



IT ENDS WITH US

COLLEEN
HOOVER

POWIEŚ AUTORKI BESTSELLERÓW
UGLY LOVE | NOVEMBER 9



COLLEEN HOOVER

**IT ENDS
WITH
US**

TEUMACZENIE ANNA GRALAK



OTWARTE

KRAKÓW 2017

*Mojemu ojcu, który bardzo się starał nie być potworem.
I mojej matce, która dopilnowała, żeby nie było nas w pobliżu, kiedy się nim stawał.*

CHOMIKO_WARNIA

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Siedzę okrakiem na balustradzie i spoglądam na bostońskie ulice z wysokości dwunastego piętra. Chcąc nie chcąc, myślę o samobójstwie.

Nie, nie o własnym. Lubię swoje życie i chciałabym się przekonać, co mnie jeszcze czeka.

Skupiam się raczej na innych ludziach i na tym, jak podejmują decyzję o rozstaniu się ze światem. Czy kiedykolwiek tego żałują? Podczas tego krótkiego swobodnego spadania tuż po skoku i na sekundę przed zderzeniem z ziemią na pewno czują odrobinę żalu. Może spoglądają na gwałtownie zbliżający się bruk i myślą: „O kurczę, to był zły pomysł”.

Z jakiegoś powodu mam jednak co do tego wątpliwości.

Dużo rozmyślałam o śmierci. Zwłaszcza dzisiaj, bo zaledwie dwanaście godzin temu wygłosiłam jedną z najbardziej imponujących mów pożegnalnych, jakie kiedykolwiek słyszeli mieszkańcy Plethory w stanie Maine. No dobrze, może wcale nie była najbardziej imponująca. Równie dobrze można by ją uznać za najbardziej beznadziejną. Chyba wszystko zależy od tego, czy spytalibyście o opinię mnie czy moją matkę. Moją matkę, która po dzisiejszym dniu nie będzie się do mnie odzywała przez co najmniej rok.

Nie zrozumcie mnie źle. Moja mowa pożegnalna nie była na tyle głęboka, żeby mogła przejść do historii tak jak ta wygłoszona przez Brooke Shields na pogrzebie Michaela Jacksona. Albo ta wygłoszona przez siostrę Steve’a Jobsa. Albo przez brata Pata Tillmana. Ale na swój sposób była imponująca.

Początkowo się denerwowałam. W końcu był to pogrzeb wielkiego Andrew Blooma – uwielbianego burmistrza mojego rodzinnego miasteczka i właściciela najlepiej prosperującej agencji handlu nieruchomościami w mieście. Męża uwielbianej Jenny Bloom, najbardziej szanowanej w całej Plethorze asystentki nauczyciela. Oraz ojca Lily Bloom – tej dziwnej dziewczyny z potarganymi rudymi włosami, która kiedyś zakochała się w bezdomnym i okryła rodzinę wielką hańbą.

Mowa o mnie. To ja jestem Lily Bloom, a Andrew był moim ojcem.

Gdy tylko skończyłam swoją mowę pożegnalną, wsiadłam na pokład samolotu, wróciłam do Bostonu i przywłaszczyłam sobie pierwszy dach, jaki udało mi się znaleźć. Jak mówiłam, nie dlatego że mam skłonności samobójcze. Po prostu bardzo potrzebuję świeżego powietrza i ciszy, a za cholerę nie mogę na nie liczyć w swoim pozbawionym dostępu do dachu mieszkaniu na trzecim piętrze, które zajmuję ze współlokatorką lubiącą słuchać własnego śpiewu.

Nie wzięłam jednak pod uwagę, że na dachu może być zimno. Jakoś wytrzymam, ale przyjemnie nie jest. Na szczęście widać gwiazdy. Martwi ojcowie, denerwujące współlokatorki i wątpliwej jakości mowy pożegnalne nie wydają się aż tak okropne, gdy nocne niebo jest wystarczająco bezchmurne, by można było dosłownie poczuć wspaniałość wszechświata.

Uwielbiam, gdy niebo wywołuje we mnie poczucie bycia kimś nieważnym.

Podoba mi się tu dzisiaj.

A właściwie... pozwólcie, że ujmę to w czasie przeszłym, który lepiej oddaje moje uczucia.

Podobało mi się.

Na moje nieszczęście ktoś z taką siłą otworzył drzwi, że jak przypuszczam, za chwilę będę mieć towarzystwo. Słysząc trzaśnięcie i czyjeś szybkie kroki. Nawet nie zadaję sobie trudu, żeby spojrzeć w tamtym kierunku. Ktokolwiek to jest, najprawdopodobniej nie zauważy, że

siedzę na balustradzie po lewej stronie. Zjawił się tak nagle, że jeśli uzna, że jest sam, nie będzie to moja wina.

Wzdycham cicho, zamykam oczy i opieram głowę o otynkowaną ścianę, przeklinając wszechświat, który odebrał mi tę spokojną chwilę introspekcji. Mógłby przynajmniej dopilnować, żeby intruz był kobietą – jeśli już mam mieć towarzystwo, wołałabym damskie. Jestem nieduża, lecz silna i w większości sytuacji chyba potrafię dać sobie radę, ale teraz jest mi zbyt przyjemnie, żebym miała tkwić na dachu z jakimś obcym mężczyzną w środku nocy. Mogłabym zacząć się obawiać o swoje bezpieczeństwo i zapragnąć się stąd wynieść, a naprawdę nie chcę się stąd wynosić. Jak już powiedziałam... przyjemnie mi tu.

W końcu pozwalam swoim oczom na wycieczkę w stronę sylwetki pochylonej nad balustradą. Oczywiście jak na złość jest to bez wątpienia mężczyzna. Nawet gdy się pochyla, widzę, że jest wysoki. Szerokie barki silnie kontrastują z bezradnością, z jaką trzyma się za głowę. Z trudem dostrzegam gwałtowne unoszenie się i opadanie jego ramion, kiedy głęboko wciąga powietrze, by potem je z siebie wyrzucić.

Wygląda jak ktoś na skraju załamania nerwowego. Zastanawiam się, czy czegoś nie powiedzieć, żeby dać mu znać, że ma towarzystwo, albo czy nie chrząknąć, lecz zanim mam okazję przejść do czynów, szybko się odwraca i kopie jedno ze stojących za nim krzeseł ogrodowych.

Wzdrygam się, gdy krzesło z nieprzyjemnym zgrzytem przesuwają się po dachu, ale ten gość, najwyraźniej nie wiedząc, że ma widownię, nie poprzestaje na jednym kopniaku. Kopie krzesło raz po raz, bez końca. Ono zaś, zamiast się połamać w zderzeniu z siłą jego stopy, tylko coraz bardziej się od niego oddala.

To krzesło jest chyba z jakiegoś polimeru odpornego na ekstremalne warunki.

Kiedyś widziałam, jak cofając samochodem, mój ojciec najechał na stół ogrodowy wykonany z takiego tworzywa, i ten stół, gdyby mógł, zaśmiałyby mu się w twarz. Wgniótł się zderzak, a na meblu nie było nawet zadraśnięcia.

Ten gość najwyraźniej zdaje sobie sprawę, że nie ma szans w starciu z materiałem takiej jakości, bo w końcu przestaje kopać. Stoi nad krzesłem z zaciśniętymi pięściami. Szczerze mówiąc, trochę mu zazdroszczę. Po mistrzowsku wyładowuje agresję na meblach ogrodowych. Najwidoczniej podobnie jak ja miał gówniany dzień, lecz w przeciwieństwie do mnie, powstrzymującej złość, która narasta, by w końcu przejawić się pod postacią biernej agresji, on znajduje dla swojej ujście.

Kiedyś znajdowałam ujście dla złości w ogrodnictwie. Zawsze gdy coś mnie stresowało, szłam do ogródka i wyrывałam wszystkie chwasty, jakie zdołałam znaleźć. Odkąd jednak dwa lata temu przeprowadziłam się do Bostonu, nie mam ogródka. Ani tarasu. Nie mam nawet chwastów.

Może powinnam zainwestować w krzesło ogrodowe odporne na ekstremalne warunki.

Jeszcze przez chwilę gapię się na tego typu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek sobie pójdzie. Ciągle tylko stoi, wpatrując się w krzesło. Nie zaciska już dłoni. Spoczywają na jego biodrach i dopiero teraz zauważam, że jego koszula nie jest dobrze dopasowana wokół bicepsów. Wszędzie indziej tak, ale nie na tych potężnych barkach. Zaczyna gmerać w kieszeniach, aż w końcu znajduje to, czego mu brakowało, i – bez wątpienia wciąż szukając ujścia dla agresji – zapala skręta.

Mam dwadzieścia trzy lata, studiowałam i parę razy zdarzyło mi się popalać na imprezach. Nie zamierzam osądzać kogoś, kto ma ochotę puścić dymka w samotności. Ale właśnie na tym polega problem – on nie jest sam. Po prostu jeszcze o tym nie wie.

Zaciąga się głęboko i zaczyna się odwracać w stronę balustrady. Wypuszczając dym,

zauważa mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, zastyga w bezruchu. Mój widok ani go nie zaskakuje, ani nie bawi. Facet stoi jakieś trzy metry ode mnie, lecz w świetle gwiazd widzę, jak powoli przesuwając wzrokiem po moim ciele, w żaden sposób nie zdradzając, o czym myśli. Niełatwo przejrzeć takiego gościa. Lekko mruży oczy i zaciska usta jak męska wersja Mona Lizy.

– Jak masz na imię? – pyta.

Czuję ten głos w żołądku. Niedobrze. Głosy powinny się zatrzymywać w uszach, ale czasami – właściwie to niezbyt często – czyjś głos przenika przez moje uszy i rozbrzmiewa w całym ciele. On ma właśnie taki głos. Głęboki, nasycony pewnością siebie i trochę jakby miękko-maślany.

Nie odpowiadam. Facet ponownie zbliża skręta do ust i się zaciąga.

– Lily – mówię w końcu. Mój głos brzmi okropnie. Zbyt słabo, by w ogóle zdołał dotrzeć do jego uszu, a tym bardziej rozbrzmieć w jego ciele.

Gość lekko unosi brodę i kiwa do mnie głową.

– Lily, czy mogłabyś stamtąd zejść?

Dopiero gdy wypowiada te słowa, zauważam jego postawę. Stoi wyprostowany, wręcz sztywny. Prawie jakby się bał, że spadną. Nie zamierzam spaść. Balustrada ma co najmniej trzydzieści centymetrów szerokości, a ja w przeważającej mierze znajduję się po stronie dachu. Gdybym zaczęła się zsuwać, z łatwością mogłabym się czegoś złapać, a poza tym wiatr mi sprzyja.

Spoglądam w dół, na swoje stopy, potem znowu na niego.

– Dzięki, ale nie. Wygodnie mi tu, gdzie jestem.

Odwraca się lekko, jakby nie był w stanie patrzeć prosto na mnie.

– Proszę, zjedź stamtąd. – Teraz to już raczej żądanie, mimo że użył słowa „proszę”. – Stoi tu siedem wolnych krzeseł.

– O mały włos zostałoby sześć – mówię, przypominając mu, że właśnie próbował wykończyć jedno z nich.

Nie dostrzega w mojej odpowiedzi niczego zabawnego. Widząc, że nie mam zamiaru wypełnić jego polecenia, robi dwa kroki w moją stronę.

– Tylko dziesięć centymetrów dzieli cię od śmierci. A ja mam jej dość jak na jeden dzień. – Znowu mi pokazuje, że bym zeszała. – Przez ciebie zaczynam się denerwować. Nie wspominając o tym, że psujesz mi haj.

Przewracam oczami i przerzucam nogi na stronę dachu.

– Broń Boże, żeby skręt miał się zmarnować. – Zeskakuję na dół i wycieram ręce o dżinsy. – Lepiej? – pytam, ruszając w jego stronę.

Gwałtownie wypuszcza powietrze, jakby dotąd, widząc mnie na balustradzie, wstrzymywał oddech. Mijam go, idąc ku tej stronie dachu, z której roztacza się lepszy widok, i przy okazji jestem zmuszona zauważyć, że niezłe z niego ciacho.

Nie. Ciacho brzmi obraźliwie.

On jest piękny. Zadbany, czuć od niego pieniędzmi i wygląda na kilka lat starszego ode mnie. Gdy odprowadza mnie wzrokiem, w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki, a jego usta zdają się zaciskać, mimo że wcale się nie zaciskają. Gdy docieram do tej strony dachu, z której widać ulicę, wychylam się i patrzę na samochody, starając się nie dać po sobie poznać, jakie zrobił na mnie wrażenie. Już po samej jego fryzurze poznaję, że facet należy do ludzi, których specjalnością jest robienie wrażenia na innych, więc postanawiam nie łechtać jego ego. Nie żeby w jakikolwiek sposób dał mi do zrozumienia, że cierpi na jego przerost. Ale nosi koszulę Burberry, a jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby na moim radarze pojawił się ktoś, kto ot tak

mógłby sobie na nią pozwolić.

Słyszę zbliżające się kroki i po chwili nieznajomy przechyla się przez balustradę obok mnie. Kątem oka widzę, że znowu zaciąga się skrzem. Potem podsuwa go mnie, ale tylko macham dłonią. Ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba, jest upalenie się w obecności tego faceta. Sam jego głos działa na mnie jak narkotyk. Z jakiegoś powodu pragnę go znowu usłyszeć, więc rzucam pytanie:

– No więc czym ci tak podpadło to krzesło?

Spogląda na mnie. Naprawdę na mnie spogląda. W skupieniu patrzy mi w oczy, jakby wszystkie moje tajemnice uwidoczniły się na twarzy. Jeszcze nigdy nie widziałam tak ciemnych oczu. Chociaż może i widziałam, tylko że te wydają się ciemniejsze, bo należą do tak onieśmielającego człowieka. Nie odpowiada na moje pytanie, lecz nie tak łatwo stłumić moją ciekawość. Skoro zmusił mnie do zejścia z bardzo bezpiecznej i wygodnej balustrady, oczekuję, że będzie mnie zabawiał konwersacją.

– Chodzi o kobietę? – drązę. – Złamała ci serce?

Śmieje się cicho.

– Szkoda, że moje problemy nie są tak banalne jak sprawy sercowe. – Opiera się o ścianę, żeby nadal mieć mnie w zasięgu wzroku. – Na którym piętrze mieszkasz? – Oblizuje palce i gasi nimi skręta, po czym wkłada go z powrotem do kieszeni. – Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem.

– To dlatego, że tu nie mieszkam. – Pokazuję w stronę swojego bloku. – Widzisz ten budynek towarzystwa ubezpieczeniowego?

Mruży oczy, spoglądając we wskazanym kierunku.

– No.

– Mieszkam w budynku obok. Jest za niski, żeby można go było stąd zobaczyć. Ma tylko trzy piętra.

Znowu na mnie patrzy, opierając się łokciem o balustradę.

– Skoro mieszkasz tam, to co robisz tutaj? Przyszłaś w odwiedziny do chłopaka czy coś?

Z jakiegoś powodu jego pytanie sprawia, że czuję się płytka. Jest zbyt proste – amatorski podryw. Sądząc po wyglądzie tego gościa, stać go na więcej. Myślę, że bardziej wyszukane teksty rezerwuje dla kobiet, które uznaje za warte wysiłku.

– Masz fajny dach – rzucam.

Unosi brew, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– Chciałam pooddychać świeżym powietrzem. Pomyśleć. Otworzyłam Google Earth i znalazłam najbliższy apartamentowiec z przyzwoitym tarasem na dachu.

Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Przynajmniej jesteś oszczędna – mówi. – To dobra cecha.

Przynajmniej?

Kiwam głową, bo rzeczywiście jestem oszczędna. I to naprawdę dobra cecha.

– Dlaczego miałaś ochotę pooddychać świeżym powietrzem? – pyta.

Dlatego że pochowałam dziś ojca, wygłosiłam powalająco beznadziejną mowę pożegnalną, a teraz mam wrażenie, że brak mi tchu.

Znowu spoglądam przed siebie i powoli wypuszczam powietrze.

– Czy moglibyśmy przez chwilę nie rozmawiać?

Wygląda na to, że moja prośba o ciszę sprawia mu pewną ulgę. Przechyla się przez barierkę i wpatruje w ulicę. Jego ramię bezwładnie zwisa po drugiej stronie. Przez jakiś czas trwa w tej pozycji, a ja cały czas mu się przyglądam. Prawdopodobnie o tym wie, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadza.

– W ubiegłym miesiącu z tego dachu spadł jakiś facet – mówi.

Normalnie zdenerwowałby mnie jego brak poszanowania dla mojej prośby o ciszę, ale jestem lekko zaintrygowana.

– Wypadek?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiadomo. To się stało późnym wieczorem. Jego żona twierdziła, że przygotowywała kolację, a on powiedział, że idzie na dach, żeby pstryknąć kilka zdjęć zachodzącego słońca. Był fotografem. Uznano, że przechylił się przez balustradę, żeby uchwycić panoramę, i się poślizgnął.

Spoglądam na balustradę, zastanawiając się, jak ktokolwiek mógłby z niej spaść przez przypadek. Potem jednak przypominam sobie, że zaledwie przed chwilą sama na niej siedziałam.

– Kiedy usłyszałem od siostry, co się wydarzyło, byłem w stanie myśleć tylko o tym, czy ostatecznie udało mu się zrobić to zdjęcie. Miałem nadzieję, że aparat nie spadł razem z nim, bo, no wiesz, byłoby naprawdę szkoda. Umrzeć z powodu miłości do fotografii i nie zrobić ostatniego zdjęcia, które przypłaciło się życiem.

Jego słowa doprowadzają mnie do śmiechu. Choć nie jestem pewna, czy powinnam się śmiać.

– Zawsze mówisz dokładnie to, co myślisz?

Wzrusza ramionami.

– Większości ludziom nie.

Uśmiecham się. Podoba mi się, że choć mnie nie zna, z jakiegoś powodu nie uważa mnie za „większość ludzi”.

Opiera się plecami o balustradę i splata ręce na piersi.

– Urodziłaś się w Bostonie?

Kręczę głową.

– Nie. Po studiach przeprowadziłam się tu z Maine.

Marszczy nos i wygląda to całkiem seksownie – facet w koszuli Burberry i z fryzurą za dwieście dolarów, który robi śmieszne miny.

– Więc trafiłaś do bostońskiego czyścica, co? To musi być okropne.

– Co masz na myśli?

Kącik jego ust lekko się unosi.

– Turyści traktują cię jak miejscową, miejscowi traktują cię jak turystkę.

Śmieję się.

– Rany, to bardzo trafny opis sytuacji.

– Mieszkam tu od dwóch miesięcy. Nie trafiłem jeszcze nawet do czyścica, więc idzie ci lepiej niż mnie.

– Co cię sprowadza do Bostonu?

– Robię specjalizację. Poza tym mieszka tu moja siostra. – Stuka nogą w dach i dodaje: – Właściwie to mieszka tuż pod nami. Wyszła za łebskiego bostończyka i kupiła sobie całe ostatnie piętro.

Spoglądam w dół.

– Całe?

Kiwa głową.

– Ten cholerny farciarz pracuje w domu. Nawet nie musi zdejmować piżamy, a rocznie zarabia siedmiocyfrowe kwoty.

Rzeczywiście, cholerny farciarz.

– Robisz specjalizację? Jesteś lekarzem?

Potakuje.

– Neurochirurgiem. Został mi jeszcze tylko niespełna rok i będę mógł się tak oficjalnie nazywać.

Elegancki, wygadany, a do tego bystry. I w dodatku pali trawę. Gdyby to było pytanie w teście, zaczęłabym się zastanawiać, który z tych elementów nie pasuje do obrazka.

– Czy lekarze powinni palić trawę?

Uśmiecha się cierpko.

– Pewnie nie. Ale gdybyśmy od czasu do czasu sobie na to nie pozwalali, to wierz mi, o wiele więcej z nas skakałoby z takich dachów. – Znowu spogląda przed siebie, opierając brodę na przedramionach. Zamyka oczy, jakby rozkoszował się podmuchem wiatru na twarzy. W takim wydaniu nie wygląda aż tak onieśmialająco.

– Chcesz usłyszeć coś, o czym wiedzą tylko miejscowi?

– Jasne – odpowiada, znowu skupiając na mnie uwagę.

Pokazuję na wschód.

– Widzisz ten budynek? Ten z zielonym dachem.

Kiwa głową.

– Za nim, przy Melcher, stoi drugi budynek. A na nim trzeci. To pełnoprawny dom wzniesiony na dachu tamtego. Z ulicy go nie widać, a sam budynek jest tak wysoko, że niewiele osób o nim wie.

Chyba zrobiło to na nim wrażenie.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Zauważyłam go, kiedy siedziałam na Google Earth, więc sprawdziłam, o co chodzi. Okazuje się, że pozwolenie na budowę wydano w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Byłoby super, nie? Mieszkać w domu stojącym na innym budynku.

– Miałabyś dla siebie cały dach – zauważa.

O tym nie pomyślałam. Gdyby dom był mój, mogłabym założyć na górze ogród. Miałabym ujście dla swoich frustracji.

– Kto w nim mieszka? – pyta.

– W zasadzie nie wiadomo. To jedna z wielkich bostońskich tajemnic.

Śmieje się, a potem uważnie mi się przygląda.

– A jakie są pozostałe wielkie bostońskie tajemnice?

– Twoje imię. – Gdy tylko wypowiedam te słowa, walę się ręką w czoło. Zabrzmiały tak tandetnie, że pozostaje mi tylko śmiać się z samej siebie.

Uśmiecha się.

– Ryle – mówi. – Nazywam się Ryle Kincaid.

Wzdycham, markotniejąc.

– Świetne imię.

– Dlaczego tak cię to zasmuca?

– Dlatego że oddałabym wszystko za wspaniałe imię.

– Lily ci się nie podoba?

Przechylam głowę i unoszę brew.

– Na nazwisko mam... Bloom*.

Milczy. Czuję, że stara się nie okazywać współczucia.

– Wiem. Brzmi okropnie. To dobre dla dwuletniej dziewczynki, a nie dla dwudziestotrzyletniej kobiety.

– Dwuletnia dziewczynka podrośnie i będzie się nazywała tak samo. Z imion i nazwisk się nie wyrasta, Lily Bloom.

– Na moje nieszczęście. Na domiar złego uwielbiam ogrodnictwo. Uwielbiam kwiaty. Uprawę roślin. To moja pasja. Zawsze marzyłam, żeby otworzyć kwiaciarnię, ale obawiam się, że gdybym to zrobiła, ludzie uznaliby moje pragnienia za nieautentyczne. Pomyśleliby, że próbuję zbić kapitał na nazwisku i że tak naprawdę kwiaciarstwo wcale nie jest moim wymarzonym zawodem.

– Może i tak – mówi. – Ale jakie to miałyby znaczenie?

– Pewnie żadnego. – Zaskoczona słyszę własny szept: – Kwiaciarnia Lily Bloom. – Widzę, że lekko się uśmiecha. – To naprawdę wymarzone nazwisko dla kwiaciarki. Ale mam dyplom z zarządzania. Zajmowałabym się czymś poniżej swoich możliwości, nie uważasz? Pracuję dla największej firmy marketingowej w Bostonie.

– Prowadzenie własnego przedsiębiorstwa nie jest pracą poniżej swoich możliwości – odpowiada.

Unoszę brew.

– Chyba że przedsiębiorstwo splajtuje.

Kiwa głową.

– Chyba że splajtuje – przyznaje. – A jak masz na drugie, Lily Bloom?

Wydaję z siebie jęk, a on nadstawia uszu.

– Chcesz powiedzieć, że jest jeszcze gorzej?

Chowam twarz w dłoniach i kiwam głową.

– Rose?

Zaprzeczam.

– Gorzej.

– Violet?

– Chciałabym. – Krzywię się, a potem mamroczę: – Blossom**.

Na chwilę zapada cisza.

– O rany – mówi cicho.

– No. Blossom to panięskie nazwisko mojej matki i rodzice uznali, że synonimiczność ich nazwisk to przeznaczenie. Więc kiedy się urodziłam, oczywiście od razu pomyśleli o jakimś kwiatku.

– Twoi rodzice muszą być strasznymi dupkami.

Jedno z nich jest. Było.

– Ojciec zmarł w tym tygodniu.

Spogląda na mnie.

– Jasne. Nie dam się nabrać.

– Mówię poważnie. Właśnie dlatego tu dzisiaj przyszedłam. Chyba po prostu muszę się porządnie wypłakać.

Przez chwilę przygląda mi się podejrzliwie, upewniając się, czy nie żartuję. Nie przeprosza za gafę. Zamiast tego w jego oczach pojawia się trochę większe zaciekawienie, jakby naprawdę był zaintrygowany.

– Byliście ze sobą życzliwi?

Trudne pytanie. Opieram brodę na rękach i znowu spoglądam na ulicę.

– Nie wiem – odpowiadam, wzruszając ramionami. – Jako córka go kochałam. Ale jako człowiek nienawidziłam.

Znów czuję, że mi się przygląda.

– To mi się podoba – mówi w końcu. – Ta twoja szczerość.

Podoba mu się moja szczerość. Chyba się rumienię.

Milczymy chwilę i znów słyszę jego głos:

– Żałujesz czasem, że ludzie nie są bardziej przezroczyści?

– To znaczy?

Trąca kciukiem kawałek odłupanego tynku, aż ten odrywa się od elewacji. Wyrzuca go za balustradę.

– Mam wrażenie, że każdy udaje kogoś, kim nie jest, a głęboko w środku wszyscy jesteśmy tak samo popieprzeni. Po prostu jedni ukrywają to lepiej niż inni.

Albo się upalił, albo ma niebываłe skłonności do introspekcji. Tak czy inaczej, nie przeszkadza mi to. Według mnie najlepsze rozmowy to te, w których nie ma prawdziwych odpowiedzi.

– Nie wydaje mi się, żeby odrobina powściągliwości była czymś szkodliwym – mówię. – Naga prawda nie zawsze jest przyjemna.

Przygląda mi się badawczo.

– Naga prawda – powtarza. – To mi się podoba. – Odwraca się i idzie na środek dachu. Reguluje oparcie jednego ze stojących tam leżaków i sadowi się na nim, po czym wsuwa ręce pod głowę i patrzy w niebo. Biorę sąsiedni i ustawiam go w takiej samej pozycji.

– Lily, powiedz mi jakąś nagą prawdę.

– *À propos* czego?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Czegoś, z czego nie jesteś dumna. Czegoś, dzięki czemu poczuję się trochę mniej popieprzony.

Wpatruje się w niebo, czekając na moją odpowiedź. Przesuwam wzrokiem po linii jego żuchwy, łuku policzków, konturze ust. Kontempluje widok, ściągając brwi. Nie mam pojęcia dlaczego, ale chyba potrzebuje teraz rozmowy. Zastanawiam się nad jego pytaniem i próbuję sformułować szczerą odpowiedź. Gdy na nią wpadam, odwracam się od niego i spoglądam na niebo.

– Mój ojciec był agresywny. Nie wobec mnie, ale wobec matki. Czasem, kiedy się kłócili, wpadał w taką złość, że ją bił. Przez następny tydzień albo dwa starał się jej to wynagrodzić. Kupował kwiaty albo zabierał nas na dobrą kolację. Czasami mi też kupował różne rzeczy, bo wiedział, że nie znoszę, kiedy się kłóca. W dzieciństwie wyczekiwałam tych ich wieczornych kłótni. Wiedziałam, że jeśli ją uderzy, dwa następne tygodnie będą wspaniałe. – Milknę na chwilę. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek przyznałam się do tego przed sobą samą. – Oczywiście gdybym mogła, wolałabym, żeby jej nie dotykał. Ale przemoc była nieodłącznym elementem ich małżeństwa i stała się dla nas normą. Kiedy podrosłam, zdałam sobie sprawę, że nie reagując na nią, byłam równie winna jak on. Przez większość życia go nienawidziłam, ale chyba jestem niewiele lepsza od niego. Może obydwójce jesteśmy złymi ludźmi.

Ryle spogląda na mnie w zamyśleniu.

– Lily – mówi z naciskiem. – Nie ma czegoś takiego jak źli ludzie. Po prostu wszyscy czasami robimy złe rzeczy.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale po jego słowach milknę. „Po prostu wszyscy czasami robimy złe rzeczy”. W pewnym sensie to chyba prawda. Nikt nie jest wyłącznie zły albo wyłącznie dobry. Niektórzy muszą bardziej się starać, by zdusić w sobie zło.

– Twoja kolej – stwierdzam.

Sądząc po jego reakcji, nie ma ochoty grać we własną grę. Ciężko wzdycha i przeczesuje włosy palcami. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, lecz po chwili je zamyka. Przez moment się zastanawia, aż wreszcie mówi:

– Dzisiaj wieczorem patrzyłem, jak umiera mały chłopiec. Miał tylko pięć lat. Razem z młodszym bratem znaleźli pistolet w sypialni rodziców. Młodszy trzymał broń, a ona

przypadkiem wypaliła.

Czuję ucisk w żołądku. Obawiam się, że to dla mnie trochę za dużo prawdy.

– Kiedy trafił na stół operacyjny, niewiele można było zrobić. Wszyscy wokół – pielęgniarki, inni lekarze – współczuli rodzinie. „Biedni rodzice”, powtarzali. Ale kiedy musiałem wejść do poczekalni i powiedzieć tym rodzicom, że ich dziecko nie przeżyło, nie było mi ich ani trochę szkoda. Chciałem, żeby cierpieli. Chciałem, żeby poczuli ciężar swojej ignorancji, bo przecież trzymali naładowany pistolet w zasięgu dwojga niewinnych dzieci. Chciałem, żeby wiedzieli, że nie tylko stracili dziecko, ale i zrujnowali życie temu, które przez przypadek pociągnęło za spust.

Jezu Chryste. Nie byłem przygotowana na coś tak przytłaczającego.

Nawet nie jestem w stanie pojąć, jak ta rodzina po czymś takim żyje.

– Szkoda mi brata tego chłopca – mówię. – Nie wyobrażam sobie, jak to doświadczenie na niego wpłynie.

Ryle strzepuje coś z kolana.

– Zniszczy mu życie.

Przekręcam się na bok, żeby spojrzeć mu w oczy, i podpieram się na rękę.

– Czy to jest trudne? Codzienne oglądanie takich scen?

Lekko kręci głową.

– Powinno być o wiele trudniejsze, ale im dłużej mam do czynienia ze śmiercią, tym bardziej staje się ona dla mnie częścią życia. Nie jestem pewny, co o tym myśleć. – Znowu nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy. – Powiedz coś jeszcze – prosi. – Mam wrażenie, że moja naga prawda była bardziej pokręcona od twojej.

Nie zgadzam się z tym, ale mówię mu o swoim pokręconym wyczynie sprzed zaledwie dwunastu godzin.

– Dwa dni temu mama spytała, czy mogłabym wygłosić mowę pożegnalną na pogrzebie ojca. Powiedziałam, że czułabym się nieswojo – że mogłabym za bardzo płakać, żeby przemawiać przed zgromadzonymi ludźmi – ale to było kłamstwo. Po prostu nie miałam ochoty tego robić, bo uważam, że mowy pożegnalne powinni wygłaszać ludzie, którzy szanowali zmarłych. A ja nie darzyłam ojca zbyt wielkim szacunkiem.

– Zrobiłaś to?

Kiwam głową.

– Tak. Dziś rano. – Siadam na leżaku i podwijam nogi, patrząc mu w twarz. – Chcesz to usłyszeć?

Uśmiecha się.

– Pewnie.

Składam rękę na kolanach i biorę wdech.

– Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Mniej więcej godzinę przed pogrzebem wyznałam mamie, że nie chcę tego robić. Ale ona twierdziła, że to proste i że ojciec chciałby, żebym wygłosiła tę mowę. Że muszę tylko stanąć na mównicy i powiedzieć o nim pięć wspaniałych rzeczy. No więc... właśnie tak zrobiłam.

Ryle też podpira się łokciem, wydaje się jeszcze bardziej zaintrygowany. Widząc moją twarz, domyśla się, że będzie gorzej.

– O nie, Lily. Co takiego zrobiłaś?

– Już mówię. Pozwól, że to dla ciebie odegram. – Podnoszę się i staję za oparciem leżaka. Prostuję się i udaję, że spoglądam na to samo zatłoczone pomieszczenie, w którym znalazłam się dziś rano. Chrząkam. – Dzień dobry. Nazywam się Lily Bloom, jestem córką zmarłego Andrew Blooma. Dziękuję wam wszystkim, że dzielicie z nami ból po jego odejściu. Chciałam oddać mu

cześć, dzieląc się z wami pięcioma wspaniałymi rzeczami, które go dotyczyły. Po pierwsze... – Patrzę na Ryle'a i wzruszam ramionami. – I tyle.

Siada na leżaku.

– Jak to?

Zajmuję miejsce na swoim i kładę się z powrotem.

– Stałam tam przez bite dwie minuty, nie mówiąc ani słowa więcej. Nie mogłabym powiedzieć o tym człowieku żadnej dobrej rzeczy, więc tylko w milczeniu gapiłam się na ludzi, aż w końcu mama zrozumiała, co się dzieje, i kazała wujkowi usunąć mnie z mównicy.

Ryle przechyla głowę.

– Żartujesz? Wygłosiłaś antymowę pożegnalną na pogrzebie własnego ojca?

Kiwam głową.

– Nie jestem z tego dumna. Chyba nie. To znaczy gdyby był lepszym człowiekiem, mówiłabym o nim przez godzinę.

Ryle kładzie się z powrotem.

– Rany. – Kręci głową. – Chyba zostałam moją bohaterką. Właśnie zjechałaś nieboszczyka.

– To niesmaczne.

– No tak. Naga prawda boli.

Śmieję się.

– Twoja kolej.

– Tego nie przebiję – mówi.

– Na pewno dasz radę.

– Wątpię.

Przewracam oczami.

– Jasne, że tak. Nie pozwól, żebym czuła się gorsza z nas dwojga. Powiedz, jaka była twoja ostatnia myśl, której większość ludzi nie wypowiedziałyby na głos.

Wkłada ręce za głowę i patrzy mi prosto w oczy.

– Chcę się z tobą pieprzyć.

Rozdziawiam usta. A po chwili zamykam je z powrotem.

Chyba odebrało mi mowę.

Rzuca mi niewinne spojrzenie.

– Prosiłaś o ostatnią myśl, więc ci powiedziałem. Jesteś piękna. Ja jestem facetem. Gdybyś lubiła jednorazowe przygody, zabrałbym cię na dół do swojej sypialni, żeby się z tobą pieprzyć.

Nie jestem w stanie nawet na niego spojrzeć. Jego słowa wywołują we mnie mnóstwo różnych emocji.

– No tak, ale ja nie lubię jednorazowych przygód.

– Domyśliłem się – odpowiada. – Twoja kolej.

Zachowuje się tak nonszalancko. Jakby jego słowa wcale mnie nie zaszokowały.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie – przyznaję ze śmiechem. Staram się wymyślić coś lekko szokującego, ale nie potrafię przejść do porządku dziennego nad tym, co właśnie usłyszałam. Może dlatego, że jest neurochirurgiem i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś tak wykształcony mógłby z taką swobodą używać słowa „pieprzyć”.

Biorę się w garść... do pewnego stopnia. A potem mówię:

– No dobrze. Skoro już poruszyliśmy ten temat... pierwszy facet, z którym uprawiałam seks był bezdomny.

Ożywia się i spogląda na mnie.

– O, muszę usłyszeć coś więcej na ten temat.

Wyciągam rękę i kładę na niej głowę.

– Wychowałam się w Maine. Mieszkaliśmy w dość porządnej okolicy, ale ulica za naszym domem nie była w najlepszym stanie. Nasze podwórko graniczyło z domem przeznaczonym do rozbiórki sąsiadującym z dwiema opuszczonymi działkami. Zaprzyjaźniłam się z facetem o imieniu Atlas, który tam pomieszkiwał. Nikt oprócz mnie nie wiedział, że tam jest. Zanosiałam mu jedzenie, ubrania i inne rzeczy. Dopóki nie dowiedział się o tym mój ojciec.

– Co zrobił?

Zaciskam zęby. Nie wiem, dlaczego o tym wspomniałam, skoro codziennie muszę się starać, żeby o tym nie myśleć.

– Pobił go. – Jeśli chodzi o tę historię, nie mam ochoty na więcej nagiej prawdy. – Twoja kolej.

Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu, jakby wiedział, że moja opowieść ma ciąg dalszy. Potem jednak odwraca wzrok.

– Myśl o małżeństwie mnie odpycha – mówi. – Dobijam do trzydziestki i wcale nie chcę mieć żony. A już zwłaszcza nie chcę dzieci. Jedyne, czego chcę od życia, to sukces. Wielki sukces. Tylko że jeśli powiem o tym głośno, wyjdę na aroganta.

– Chodzi ci o sukces zawodowy czy o społeczny?

– O oba – odpowiada. – Dzieci może mieć każdy. Każdy może wziąć ślub. Ale nie każdy może być neurochirurgiem. Czerpię z tego wielką dumę. I nie chcę być jedynie wspaniałym neurochirurgiem. Chcę być najlepszy w swojej dziedzinie.

– Masz rację. Rzeczywiście wychodzisz na aroganta.

Uśmiecha się.

– Moja mama się martwi, że marnuję sobie życie, dlatego że ciągle tylko pracuję.

– Jesteś neurochirurgiem i twoja mama jest tobą rozczarowana? – pytam ze śmiechem. – Boże, przecież to obłąd. Czy rodzice kiedykolwiek są zadowoleni z dzieci? Czy dzieci kiedykolwiek są dość dobre?

Kręci głową.

– Moje by nie były. Niewielu ludzi ma takie ambicje jak ja, więc moje dzieci byłyby skazane na porażkę. Właśnie dlatego nigdy nie będę ich miał.

– Ryle, w zasadzie uważam, że to, co mówisz, zasługuje na szacunek. Mnóstwo osób nie chce przyznać, że są zbyt wielkimi egoistami, żeby mieć dzieci.

Kręci głową.

– O, ja jestem stanowczo zbyt wielkim egoistą, żeby mieć dzieci. I stanowczo zbyt wielkim egoistą, żeby być w związku.

– Jak tego unikasz? Po prostu nie chodzisz na randki?

Szybko spogląda mi w oczy, a na jego ustach pojawia się lekki uśmiech.

– Jeśli mam czas, znajdują się dziewczyny, które zaspokajają moje potrzeby. Niczego mi pod tym względem nie brakuje, jeśli o to pytasz. Ale miłość nigdy nie wydawała mi się atrakcyjna. Zawsze jest przede wszystkim ciężarem.

Chciałabym patrzeć na miłość w ten sposób. Moje życie byłoby wtedy o wiele łatwiejsze.

– Zazdroszczę ci. Ja ciągle wierzę, że gdzieś tam istnieje mężczyzna, który byłby dla mnie idealny. Zwykle łatwo się nudzę facetami, bo nikt nie spełnia moich oczekiwań. Czuję się, jakbym bez końca szukała Świętego Graala.

– Powinnaś spróbować mojej metody – mówi.

– Czyli?

– Jednorazowe przygody. – Unosi brew, jakby to było zaproszenie.

Dobrze, że jest ciemno, bo moja twarz płonie.

– Nie potrafiłabym się z kimś przespać, wiedząc, że nic więcej z tego nie będzie. –
Mówię. Nie brzmi to przekonująco.

Powoli bierze głęboki wdech i przewraca się na plecy.

– To nie w twoim stylu, co? – pyta z nutą rozczarowania w głosie.

Czuję się równie zawiedziona jak on. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście bym mu odmówiła, gdyby wykonał pierwszy krok, ale chyba właśnie straciłam swoją szansę.

– Więc nie przespałabyś się z nowo poznaną osobą... – Znowu patrzy mi w oczy. – Ale jak daleko byłabyś skłonna się posunąć?

Nie potrafię odpowiedzieć. Przewracam się na plecy, bo patrzy na mnie w taki sposób, że mam ochotę ponownie przemyśleć sprawę jednorazowych przygód. Chyba niekoniecznie jestem im przeciwna. Po prostu nigdy nie proponował mi ich nikt, kogo byłabym skłonna wziąć pod uwagę.

Aż do teraz. Chyba. Bo czy to w ogóle była propozycja? Flirtowanie zawsze szło mi beznadziejnie.

Wyciąga rękę i łapie za krawędź mojego leżaka. Jednym gładkim ruchem i z minimalnym wysiłkiem przysuwa go do swojego, a ich boki lekko o siebie uderzają.

Cała sztywnieję. Jest teraz tak blisko, że czuję ciepło jego oddechu. Gdybym miała unieść głowę i na niego spojrzeć, nasze twarze dzieliłyby zaledwie centymetry. Nie chcę na niego patrzeć, bo prawdopodobnie by mnie pocałował, a jeśli pominąć kilka nagich prawd, zupełnie nic o nim nie wiem. Wcale jednak nie ciąży mi to na sumieniu, gdy ciężko kładzie rękę na moim brzuchu.

– Jak daleko byś się posunęła, Lily? – Jego głos brzmi dekadenccko. Miętko. Przenika mnie aż po palce u nóg.

– Nie wiem – szepczę.

Jego dłoń zaczyna pełznąć ku krawędzi mojej bluzki. Powoli przesuwają ją w górę, odsłaniając skrawek mojego brzucha.

– Jezu – szepczę, czując ciepło jego skóry na swojej.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi znowu patrzę mu w oczy i jego spojrzenie całkowicie mnie hipnotyzuje. Są w nim nadzieja, głód i całkowita pewność siebie. Przygryza dolną wargę, a jego dłoń zaczyna powoli wsuwać mi się pod bluzkę. Wiem, że czuje, jak serce łomocze mi w piersi. Do diabła, pewnie nawet to słyszy.

– Czy to za daleko? – pyta.

Nie wiem, skąd się to we mnie bierze, ale kręcę głową i mówię:

– Ani trochę.

Uśmiecha się i muska palcami dół mojego stanika, delikatnie przesuwając opuszkami po moim ciele, które pokryło się gęsią skórą.

Gdy tylko zamykam oczy, powietrze przeszywa przenikliwy dźwięk. Ręce Ryle'a sztywnieją i obydwójce uświadamiamy sobie, że to telefon. Jego telefon.

Opuszcza czoło na moje ramię.

– Niech to szlag.

Gdy jego ręka wyślizguje się spod mojej bluzki, marszczę brwi. Gmera w kieszeni w poszukiwaniu komórki, wstaje i odchodzi kilka kroków, żeby odebrać połączenie.

– Doktor Kincaid. – Słucha w skupieniu, zaciskając dłoń na karku. – A Roberts? Nie mam dzisiaj dyżuru. – Znowu milczy, a potem mówi: – No dobrze, daj mi dziesięć minut. Już jadę.

Kończy rozmowę i wsuwa telefon z powrotem do kieszeni. Gdy się do mnie odwraca, wygląda na nieco zawiedzionego. Pokazuje drzwi prowadzące na klatkę schodową.

– Muszę...

Kiwam głową.

– W porządku.

Przygląda mi się przez kilka sekund i unosi palec.

– Nie ruszaj się – mówi, znowu sięgając po telefon. Podchodzi bliżej, trzymając go w górze, jakby zamierzał pstryknąć mi zdjęcie. Chcę zaprotestować, ale w zasadzie nie wiem dlaczego. Jestem ubrana. Tyle że z jakiegoś powodu czuję się naga.

Robi mi zdjęcie, gdy leżę na leżaku z rękami luźno spoczywającymi nad głową. Nie mam pojęcia, do czego jest mu potrzebne, ale cieszę się, że je pstryknął. Cieszę się, że odczuwa potrzebę zapamiętania, jak wyglądam, choć wie, że nigdy więcej się nie spotkamy.

Przez kilka sekund wpatruje się w zdjęcie na wyświetlaczu, a potem się uśmiecha. Kusi mnie, żeby też pstryknąć mu zdjęcie, ale nie jestem pewna, czy chcę pamiętać o kimś, kogo już nie zobaczę. Ta myśl trochę mnie przygnębia.

– Miło było cię poznać, Lily Bloom. Mam nadzieję, że twoje marzenie nie podzieli losu większości marzeń i uda ci się je spełnić.

Uśmiecham się, równie zasmucona co zdziwiona tym facetem. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się spędzić czas z kimś takim jak on – kimś prowadzącym zupełnie inny styl życia i mieszczącym się w innym przedziale podatkowym niż ja. Prawdopodobnie nigdy więcej się to nie powtórzy. Jestem jednak mile zaskoczona, widząc, że wcale się aż tak bardzo nie różnimy.

Pierwsze wrażenie okazało się mylne.

Przez chwilę wpatruje się w swoje stopy i wygląda na nieco skrępowanego. Jakby utknął między pragnieniem powiedzenia mi czegoś więcej a potrzebą odejścia. Spogląda na mnie po raz ostatni. Nie ma już twarzy pokerzysty – w ułożeniu jego ust dostrzegam rozczarowanie. Po chwili odwraca się i rusza w przeciwną stronę. Otwiera drzwi, a gdy pospiesznie schodzi po schodach, słyszę jego cichnące kroki. Znowu jestem na dachu sama, lecz ku mojemu zaskoczeniu teraz trochę mnie to zasmuca.

**Lily* (ang.) – lilia; *bloom* (ang.) – kwiat (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

***Blossom* (ang.) – kwiat, kwiecie, kwitnąć.

Rozdział drugi

Lucy – moja współlokatorka, która uwielbia słuchać własnego śpiewu – szybko przechodzi przez salon, zgarniając klucze, buty i okulary przeciwsłoneczne. Siedzę na kanapie i otwieram pudełka pełne moich rzeczy z czasów, gdy mieszkałam z rodzicami. Zabrałam je wczoraj, po pogrzebie ojca.

– Pracujesz dzisiaj? – pyta Lucy.

– Nie. Do poniedziałku mam urlop okolicznościowy.

Zatrzymuje się.

– Do poniedziałku? – pyta z oburzeniem. – Szczęściara.

– Tak, Lucy. Mam wielkie szczęście, że umarł mi ojciec. – Mówię to oczywiście sarkastycznym tonem, lecz krzywię się, gdy sobie uświadamiam, że tak naprawdę niewiele w tym sarkazmu.

– Wiesz, co mam na myśli – mamrocze. Chwyta torebkę i balansując na jednej nodze, wsuwa na drugą but. – Nie wracam dziś na noc. Zostanę u Alexa. – Zatrząskuje za sobą drzwi.

Pozornie mamy ze sobą wiele wspólnego, ale pomijając to, że nosimy ubrania w tym samym rozmiarze, jesteśmy w tym samym wieku i obie mamy czteroliterowe imiona zaczynające się na L i kończące na Y, niewiele spraw czyni z nas kogoś więcej niż tylko współlokatorki. Wcale mi to jednak nie przeszkadza. Pomijając nieustanne śpiewanie, Lucy jest nawet znośna. Sprząta i często jej nie ma. To dwie najważniejsze cechy współlokatorki.

Gdy zdejmuję wieczko kolejnego z pudełek, dzwoni mój telefon. Sięgam po niego na drugi koniec kanapy. Widząc, że to mama, przyciskam twarz do oparcia i teatralnie szlocham w poduszkę.

Przysuwam telefon do ucha.

– Słucham?

Odzywa się po trzech sekundach.

– Cześć, Lily.

Wzdycham i opadam na oparcie kanapy.

– Cześć, mamó. – Naprawdę jestem zaskoczona, że chce ze mną rozmawiać. Od pogrzebu minął dopiero jeden dzień. Myślałam, że zanim się do mnie odezwie, upłyną jeszcze trzysta sześćdziesiąt cztery.

– Jak się czujesz? – pytam.

Głośno wzdycha.

– W porządku – odpowiada. – Dzisiaj rano ciocia i wujek wrócili do Nebraski. Czeka mnie pierwsza samotna noc od czasu...

– Poradzisz sobie, mamó – zapewniam ją, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

Milczy – odrobinę zbyt długo – a potem mówi:

– Lily, chcę, żebyś wiedziała, że nie powinnaś się wstydić z powodu tego, co się wczoraj stało.

Milczę. Nie wstydzę się. Ani trochę.

– Każdemu czasem odbiera mowę. Nie powinnam była cię stawiać w takiej sytuacji, wiedząc, że ten dzień i tak jest dla ciebie trudny. Powinnam była poprosić o wygłoszenie przemowy twojego wujka.

Zamykam oczy. Znam to na pamięć. Mama neguje coś, co jest dla niej niewygodne. Bierze na siebie winę za coś, czego nie zrobiła. Wmówiła sobie, że wczoraj odebrało mi mowę

i dlatego nie byłam w stanie nic powiedzieć. Jasne. Już mam jej powiedzieć, że to wcale nie była pomyłka. Że nie odebrało mi mowy. Po prostu nie miałam nic dobrego do powiedzenia o tym jakimś człowieku, którego wybrała na mojego ojca.

Tylko że jakaś część mnie naprawdę ma poczucie winy z powodu tego, co zrobiłam – bo nie powinnam była tego robić w obecności mamy – więc po prostu godzę się na jej grę i postanawiam ją podjąć.

– Dzięki, mam. Przepraszam, że tak mnie zatkało.

– Nic nie szkodzi, Lily. Muszę już kończyć, pędzę do agencji ubezpieczeniowej. Umówiłam się na spotkanie w sprawie polis twojego ojca. Zadzwoń do mnie jutro, dobrze?

– Zadzwoń – mówię. – Kocham cię, mam.

Kończę połączenie i rzucam telefon na kanapę. Otwieram pudełko po butach leżące na moich kolanach i wyjmuję jego zawartość. Na samym wierzchu spoczywa puste drewniane serduszek. Przesuwam po nim palcami i przypominam sobie wieczór, w którym je dostałam. Gdy tylko wspomnienie nabiera kształtów, odpycham je od siebie. Tęsknota to dziwna sprawa.

Rozgarniam stare listy i wycinki z gazet. Pod nimi znajduję to, czego szukałam. I jednocześnie to, czego w pewnym sensie miałam nadzieję nie znaleźć.

Moje pamiętniki w formie listów do Ellen.

Przesuwam po nich dłońmi. W tym pudełku są trzy, ale łącznie jest ich pewnie z osiem albo dziewięć. Odkąd je napisałam, nie zaglądałam do żadnego z nich.

Kiedy byłam młodsza, nie chciałam przyznać, że piszę pamiętnik, bo wydawało mi się to strasznie oklepane. Wmówiłam sobie, że robię coś fajniejszego, bo formalnie rzecz biorąc, wcale nie piszę pamiętnika. Każdy wpis kierowałam do Ellen DeGeneres. Oglądałam jej program od pierwszego odcinka w 2003 roku, gdy byłam jeszcze mała. Codziennie po szkole zasiadałam przed telewizorem i byłam przekonana, że gdyby Ellen mogła mnie poznać, na pewno by mnie pokochała. Pisałam do niej regularnie aż do szesnastego roku życia, tak jak ktoś inny mógłby pisać w pamiętniku. Oczywiście wiedziałam, że zwierzenia jakiejś przypadkowej dziewczyny są ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje Ellen DeGeneres. Na szczęście niczego jej nie wysłałam. Mimo to lubiłam adresować do niej notki, więc to robiłam, dopóki prowadziłam pamiętnik.

Otwieram następne pudełko po butach i znajduję kolejne pamiętniki. Przekładając je, natrafiam na ten pisany, kiedy miałam piętnaście lat. Otwieram go, szukając wpisu z dnia, w którym poznałam Atlasa. Przed jego pojawieniem się w moim życiu działo się niewiele rzeczy godnych zapisania, lecz mimo to jakimś cudem zapełniłam sześć grubych zeszytów.

Przysięgłam sobie, że nigdy nie będę tego czytała, ale po śmierci ojca dużo myślę o swoim dzieciństwie. Może jeśli wrócę do pamiętników, uda mi się znaleźć w sobie trochę siły, żeby mu wybaczyć. Choć obawiam się, że może to doprowadzić do jeszcze większego żalu.

Kładę się na kanapie i zaczynam czytać.

Droga Ellen,

zanim Ci napiszę, co się dzisiaj wydarzyło, mam świetny pomysł na nowy element twojego programu. Nazywa się Ellen w domu.

Myślę, że mnóstwo osób chciałoby cię zobaczyć poza pracą. Zawsze się zastanawiam, jaka jesteś prywatnie, gdy masz przy sobie tylko Portię i nie otaczają cię kamery. Może producenci mogliby jej dać kamerę, żeby czasami się podkradała i nagrywała, jak robisz zwyczajne rzeczy, na przykład oglądasz telewizję, gotujesz albo pracujesz w ogródku. Przez kilka sekund kręciłaby to z ukrycia, a potem mogłaby zawołać: „Ellen w domu!” i napędzić Ci stracha. Nie byłoby to nie fair, bo przecież uwielbiasz kawały.

No dobrze, skoro już Ci o tym powiedziałam (już dawno miałam to zrobić, ale ciągle zapomniałam), napiszę o wczorajszym dniu. Był ciekawy. To chyba najciekawszy dzień, jaki

dotąd opisuję, jeśli pominąć ten, w którym Abigail Ivory spoliczkowała pana Carsona za to, że wpatrywał się w jej dekolt.

Pamiętasz, jak jakiś czas temu pisałam Ci o pani Burleson, która mieszka za nami? O tej, która zmarła w noc wielkiej zamieci śnieżnej? Mój tata powiedział, że miała takie zaległości podatkowe, że jej córka nie była w stanie przejąć prawa własności domu. Jestem pewna, że wcale się tym nie przejęła, bo dom i tak zaczął popadać w ruinę. Pewnie miałyby z nim przede wszystkim kłopot.

Od śmierci pani Burleson, czyli od jakichś dwóch lat, dom stoi pusty. Wiem o tym, bo mam z pokoju widok na podwórko i nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek tam wchodził albo wychodził.

Aż do wczorajszego wieczoru.

Leżałam w łóżku i tasowałam karty. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale czasami po prostu to robię. Nawet nie umiem grać w karty. Ale kiedy rodzice się kłócą, tasowanie kart mnie uspokaja i mam się na czym skupić.

W każdym razie na dworze było ciemno, więc od razu zauważyłam światło. Nie świeciło mocno, ale wydobywało się z tego starego domu. Przypominało światło świecy, więc wyszłam na tylną werandę i odszukałam lornetkę taty. Próbowałam dojrzeć, co się tam dzieje, ale niczego nie zobaczyłam. Było stanowczo zbyt ciemno. Po chwili światło zgasło.

Dzisiaj rano, szykując się do szkoły, zauważyłam, że za domem pani Burleson coś się porusza. Przykucnęłam przy oknie i zobaczyłam, jak ktoś wymyka się tylnymi drzwiami. To był chłopak z plecakiem. Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie widzi, po czym przeszedł między naszym domem a domem sąsiadów i zatrzymał się na przystanku autobusowym.

Nigdy wcześniej go nie widziałam. Jechał moim autobusem po raz pierwszy. Zajął miejsce z tyłu, a ja pośrodku, więc ze sobą nie rozmawialiśmy. Ale kiedy wysiadł przed szkołą, zobaczyłam, że wchodzi do budynku, więc widocznie też się tam uczy.

Nie pojmuję, dlaczego spał w tym domu. Prawdopodobnie nie ma tam prądu ani bieżącej wody. Myślałam, że chciał wygrać jakiś zakład, ale dzisiaj wysiadł z autobusu na tym samym przystanku co ja. Ruszył ulicą, jakby wybierał się gdzieś indziej. Pobiegnęłam prosto do swojego pokoju i zaczęłam go obserwować przez okno. Tak jak się spodziewałam, kilka minut później zobaczyłam, że znowu wchodzi chyłkiem do tego pustego domu.

Nie wiem, czy powinnam powiedzieć o tym mamie. Nie chciałabym być wścibska, bo to przecież nie moja sprawa. Ale jeśli ten chłopak nie ma się gdzie podziać, mama chyba będzie wiedziała, jak mu pomóc – w końcu pracuje w szkole.

Sama nie wiem. Chyba zaczekam parę dni, zanim jej o tym powiem. Może ten chłopak wróci do domu. Może po prostu chciał odpocząć od rodziców. Tak samo jak ja chciałabym czasem odpocząć od swoich.

To tyle. Dam Ci znać, co się wydarzy jutro.

Lily

Droga Ellen,

szybko przewijam twój taniec na początku programu. Kiedyś patrzyłam, jak tańczysz wśród publiczności, ale teraz trochę mnie to już nudzi i wolalabym po prostu posłuchać, co mówisz. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła.

No dobrze, więc odkryłam, kim jest ten chłopak. Nadal nocuje w opuszczonym domu. Minęły dwa dni, ale nikomu jeszcze o tym nie powiedziałam.

Nazywa się Atlas Corrigan i chodzi do ostatniej klasy. Niczego więcej o nim nie wiem. Spytałam o niego Katie, kiedy usiadła obok mnie w autobusie. Przewróciła oczami i powiedziała

mi, jak on się nazywa. A potem dodała: „Nic więcej o nim nie wiem, ale śmierdzi”. Zmarszczyła nos, jakby poczuła obrzydzenie. Miałam ochotę na nią nawrzeszczyć i powiedzieć, że to nie jego wina, że nie ma bieżącej wody. Zamiast tego tylko na niego spojrzałam. Chyba trochę za długo mu się przyglądałam, bo to zauważył.

Po powrocie do domu poszłam do ogródka, żeby trochę popracować – moje rzodkiewki były już gotowe do wyrwania. Tylko one zostały w ogródku. Robi się zimno, więc na razie nie mogę posadzić niczego więcej. Pewnie nic by się nie stało, gdybym poczekała z wyrwaniem ich jeszcze kilka dni, ale wyszłam z domu także dlatego, że jestem wścibska.

Zauważyłam, że części rzodkiewek brakuje. Wyglądało na to, że zniknęły całkiem niedawno. Wiem, że sama ich nie wyrwałam, a rodzice nigdy nie grzebią w moim ogródku.

Wtedy pomyślałam o Atlasie i uznałam, że to prawie na pewno on. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że skoro nie ma dostępu do prysznicy, to prawdopodobnie nie ma też jedzenia.

Poszłam do domu i zrobiłam dwie kanapki. Wyjęłam z lodówki dwa napoje gazowane i opakowanie czipsów. Włożyłam to wszystko do woreczka śniadaniowego, zaniiosłam do opuszczonego domu i położyłam obok drzwi na tylnej werandzie. Nie byłam pewna, czy Atlas mnie zauważył, więc bardzo głośno zapukałam, a potem pobiegłam z powrotem do domu i od razu poszłam do swojego pokoju. Zanim dotarłam do okna, żeby sprawdzić, czy Atlas otworzy drzwi, torebka zniknęła.

Dzięki temu wiem, że mnie obserwował. Trochę się teraz denerwuję, że on wie, że ja wiem o jego obecności w tym domu. Nie mam pojęcia, co mu powiem, jeśli jutro będzie próbował ze mną porozmawiać.

Lily

Droga Ellen,

widziałam dziś Twój wywiad z kandydatem na prezydenta Barackiem Obamą. Denerwujesz się, przeprowadzając wywiady z ludźmi, którzy mogą rządzić naszym krajem? Nie znam się na polityce, ale wątpię, żeby udało mi się zachować poczucie humoru w tak stresującej sytuacji.

Jej, w naszym życiu tyle się ostatnio dzieje – Ty właśnie przeprowadziłaś wywiad z kimś, kto może zostać naszym następnym prezydentem, a ja dokarmiam bezdomnego chłopaka.

Dziś rano, kiedy przyszłam na przystanek, Atlas już tam czekał. Początkowo byliśmy sami i nie ukrywam, że czułam się niezręcznie. Widziałam, jak autobus wyjeżdża zza rogu, i marzyłam, żeby jechał trochę szybciej. Kiedy się zatrzymał, Atlas podszedł do mnie i nie patrząc mi w twarz, powiedział „dziękuję”.

Drzwi autobusu się otworzyły i puścił mnie przodem. Nie odpowiedziałam „nie ma za co”, bo byłam lekko zszokowana swoją reakcją. Ellen, na dźwięk jego głosu poczułam dreszcze.

Czy kiedykolwiek głos jakiegoś chłopaka podziałał na Ciebie w taki sposób?

Och, wybacz... Czy kiedykolwiek głos jakiejś dziewczyny podziałał na ciebie w taki sposób?

W drodze do szkoły nie usiadł obok mnie ani nic z tych rzeczy, ale gdy wracaliśmy wszedł do autobusu ostatni. Nie było wolnych miejsc, ale widząc, jak przesuwa wzrokiem po ludziach w środku, domyśliłam się, że nie szuka wolnego miejsca. Szukał mnie.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, bardzo szybko spuściłam wzrok na kolana. Nie cierpię tego, że w obecności chłopaków brakuje mi pewności siebie. Może z tego wyrosnę, kiedy w końcu skończę piętnaście lat.

Usiadł obok mnie i położył sobie plecak między nogami. Wtedy zrozumiałam, o czym mówiła Katie. Rzeczywiście trochę śmierdział, ale ja go za to nie potępiam.

Początkowo milczał i tylko gmerał przy dziurze w džinsach. To nie była dziura mająca dodawać stylu. Poznałam, że jest prawdziwa, że te spodnie są po prostu stare. W zasadzie to wyglądały na trochę za małe, bo było mu widać kostki. Ale był na tyle chudy, że w pozostałych miejscach pasowały jak ulał.

– Powiedziałas komuś? – spytał.

Spojrzałam na niego, a on wpatrywał się we mnie, jakby czuł niepokój. Po raz pierwszy mogłam mu się przyjrzeć. Miał ciemnobrązowe włosy, ale pomyślałam, że może gdyby je umył, nie byłyby aż takie ciemne. Oczy miał jasne, niepasujące do reszty. Były naprawdę błękitne, takie, jakie widuje się u psów rasy husky. Nie powinnam ich porównywać do oczu psa, ale to pierwsze skojarzenie, jakie mi się nasunęło na ich widok.

Pokręciłam głową i odwróciłam się do okna. Myślałam, że skoro już usłyszał, że nikomu o nim nie powiedziałam, wstanie i poszuka sobie innego miejsca, ale wcale tego nie zrobił. Autobus zatrzymał się na kilku przystankach, część ludzi wysiadła. Zebrałam się na odwagę i szepciem spytałam:

– Dlaczego nie mieszkasz z rodzicami?

Wpatrywał się we mnie przez kilka sekund, jakby próbował ocenić, czy można mi zaufać. Wreszcie powiedział:

– Bo oni tego nie chcą.

I wtedy wstał. Pomyślałam, że go rozzłościłam, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że wstał dlatego, że autobus zatrzymał się na naszym przystanku. Złapałam swój plecak i wyszłam za nim. Tym razem nie starał się ukryć, dokąd idzie. Ostatnio poszedł ulicą i skręcił za róg, żebym nie widziała, jak przechodzi przez nasze podwórko. Ale dzisiaj poszedł razem ze mną w stronę mojego domu.

Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym powinnam była skręcić w stronę drzwi, obydwój się zatrzymaliśmy. Kopnął ziemię czubkiem buta i spojrzał na dom widoczny za moimi plecami.

– O której wracają twoi rodzice?

– Koło piątej – powiedziałam. Dochodziła czwarta.

Wyglądał, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale tego nie zrobił. Po prostu pokiwał głową i ruszył w stronę opustoszałego domu, w którym nie było jedzenia, prądu ani wody.

Wiesz, Ellen, zdaję sobie sprawę, że to, co potem zrobiłam, było głupie, więc nie musisz mi tego mówić. Zawołałam go po imieniu, a kiedy się zatrzymał i odwrócił, powiedziałam:

– Jeśli się pośpieszysz, możesz wziąć prysznic, zanim wrócę.

Serce biło mi jak oszalałe, bo wiedziałam, w jakie wpakowałabym się kłopoty, gdyby rodzice zastali pod naszym prysznicem bezdomnego chłopaka. Równie dobrze mogłabym umrzeć. Ale zwyczajnie nie potrafiłam patrzeć, jak idzie do tego domu, i niczego mu nie zaproponować.

Znowu spojrzał na ziemię i udzieliło mi się jego zakłopotanie. Nawet nie kiwnął głową. Po prostu poszedł za mną, nie mówiąc ani słowa.

Kiedy brał prysznic, cały czas czułam paniczny strach. Ciągle spoglądałam przez okno, sprawdzając, czy nie pojawił się samochód któregoś z rodziców, choć wiedziałam, że zanim wrócę, minie co najmniej godzina. Bałam się, że któryś z sąsiadów widział, jak Atlas wchodzi do środka, mimo że sąsiedzi nie znali mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że zwykle nie zapraszam gości.

Dałam Atlasowi ubranie na zmianę. Wiedziałam, że powinien nie tylko wyjść przed powrotem moich rodziców, ale i znaleźć się gdzieś daleko stąd. Ojciec na pewno rozpoznałby swoje ubranie na nastolatku przypadkowo spotkanym w naszej dzielnicy.

Między spoglądaniem przez okno a zerkaniem na zegarek wkładałam różne rzeczy do jednego ze swoich starych plecaków. Jedzenie niewymagające przechowywania w lodówce, dwie

koszulki ojca, džinsy, pewnie jakieś dwa rozmiary za duże, i skarpetki na zmianę.

Kiedy zapinałam plecak, Atlas wylonił się z korytarza.

Miałam rację. Nawet gdy jego włosy były mokre, widziałam, że są jaśniejsze niż wcześniej. Teraz jego oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne.

W łazience, musiał się ogolić, bo wyglądał młodziej niż wcześniej. Przełknęłam ślinę i spuściłam wzrok z powrotem na plecak, zaszokowana zmianą, jaka zaszła w jego wyglądzie. Bałam się, że odgadnie, o czym myślę.

Jeszcze raz spojrzałam przez okno i podałam mu plecak.

– Chyba będzie lepiej, jeśli wyjdiesz tylnymi drzwiami, żeby nikt cię nie zobaczył.

Wziął ode mnie plecak i przez chwilę wpatrywał się w moją twarz.

– Jak masz na imię? – spytał, zarzucając bagaż na ramię.

– Lily.

Uśmiechnął się. Uśmiechnął się do mnie po raz pierwszy, a mnie przyszła do głowy paskudna, płytka myśl. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że ktoś o tak wspaniałym uśmiechu ma tak gównianych rodziców. Natychmiast się za tę myśl znienawidziłam, bo przecież rodzice powinni kochać swoje dzieci bez względu na to, czy są śliczne, brzydkie, chude, grube, mądre albo głupie. Tylko że czasami nie da się kontrolować własnych myśli. Trzeba po prostu ćwiczyć umysł, żeby nie zapuszczał się więcej w te rejony.

Wyciągnął rękę i powiedział:

– Jestem Atlas.

– Wiem – odparłam, nie podając mu ręki. Nie mam pojęcia, dlaczego jej nie uściśnęłam. Nie bałam się go dotknąć. To znaczy bałam się, ale nie dlatego, że uważam się za kogoś lepszego od niego. Po prostu bardzo się przy nim denerwowałam.

Cofnął rękę i kiwnął głową.

– Lepiej już pójdę.

Odsunęłam się, żeby mógł przejść. Pokazał na kuchnię, pytając cicho, czy to tam są tylne drzwi. Pokiwałam głową i poszłam za nim korytarzem. Kiedy dotarł do wyjścia, zobaczyłam, że na chwilę przystaje na widok mojego pokoju.

Nagle poczułam się zakłopotana. Nikt nigdy nie zaglądał do mojego pokoju, więc dotąd nie czułam potrzeby, żeby spojrzeć na niego z dojrzałej perspektywy. Nadal mam te same różowe zasłony i narzutę, które miałam w wieku dwunastu lat. Po raz pierwszy naszła mnie ochota, żeby zerwać ze ściany plakat Adama Brody'ego.

Atlas chyba nie obchodził wystrój mojego pokoju. Spojrzał prosto na okno – to wychodzące na podwórko – a potem znowu na mnie.

– Lily, dziękuję, że mną nie pogardzasz – powiedział i chwycił za klamkę.

Kilka sekund później już go nie było.

Oczywiście słyszałam już wcześniej słowo „pogardzać”, ale dziwnie było je usłyszeć z ust nastolatka. Jeszcze dziwniejsze było to, że Atlas wydawał się złożony z samych sprzeczności. Jak to możliwe, że chłopak, który najwyraźniej jest skromny, dobrze wychowany i używa takich słów jak „pogardzać” staje się bezdomny? Jak jakkolwiek nastolatek może stać się bezdomny?

Muszę się tego dowiedzieć, Ellen.

Dowiem się, co go spotkało. Zaczekaj, a zobaczysz.

Lily

Już mam przejść do następnego wpisu, ale dzwoni telefon. Czołgam się do niego po kanapie i nie jestem ani trochę zdziwiona, widząc, że to znowu mama. Teraz, gdy ojciec umarł i została sama, będzie pewnie dzwoniła dwa razy częściej niż kiedyś.

– Słucham?

– Co byś powiedziała, gdybym przeprowadziła się do Bostonu? – wypala.

Łapię leżącą obok poduszkę i przyciskam ją do twarzy, żeby stłumić krzyk.

– Hm. O rany – bąkam. – Poważnie?

Milczy.

– Po prostu przyszła mi do głowy taka myśl – tłumaczy. – Porozmawiamy o tym jutro. Za moment mam spotkanie.

– Okej. Pa.

Natychmiast nabieram ochoty, żeby wynieść się z Massachusetts. Nie, ona nie może się tu przeprowadzić. Nikogo tu nie zna. Będzie chciała, żebym codziennie dostarczała jej rozrywki. Kocham mamę, nie zrozumcie mnie źle, ale przyjechałam do Bostonu, żeby żyć na własny rachunek, i gdyby zamieszkała w tym samym mieście, czułabym się mniej niezależna.

U ojca zdiagnozowano raka trzy lata temu, kiedy jeszcze studiowałam. Gdyby był tu teraz Ryle Kincaid, powiedziałabym mu nagą prawdę: że trochę odetchnęłam z ulgą, gdy na skutek choroby ojciec stracił siły i nie mógł fizycznie krzywdzić mamy. Zupełnie odmieniło to dynamikę ich związku i nie czułam już konieczności mieszkania w Plethorze i pilnowania, czy mamie nie dzieje się krzywda.

Myślałam, że teraz, gdy ojciec umarł i nie muszę już martwić się o mamę, w końcu, że się tak wyrażę, będę mogła rozwinąć skrzydła.

A teraz ona przeprowadza się do Bostonu?

Czuję się, jakby mi te skrzydła właśnie podcięto.

Gdzie jest krzesło odporne na ekstremalne warunki, kiedy go potrzebuję?!

Jestem naprawdę przerażona i nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli mama przeprowadzi się do Bostonu. Nie mam ogródka, podwórka, tarasu ani chwastów.

Muszę znaleźć jakieś inne ujście dla swoich frustracji.

Postanawiam posprzątać. Wszystkie stare pudełka po butach pełne pamiątek i zapisków wkładam do szafy w sypialni. Potem porządkuję całą jej zawartość. Biżuterię, buty, ubrania...

Nie, mama nie może przeprowadzić się do Bostonu.

Rozdział trzeci

Pół roku później

– Aha.

Nic więcej nie mówi.

Moja mama odwraca się i spogląda na budynek, przesuając palcem po parapecie, obok którego stoi. Rozciera kurz między opuszkami.

– To miejsce jest...

– Wiem, potrzeba dużo pracy – wchodzę jej w słowo. Pokazuję na okna za jej plecami. – Ale spójrz na witrynę. Ma potencjał.

Przesuwa wzrokiem po oknach, kiwając głową. Wydaje z siebie charakterystyczny dźwięk, jak zawsze, gdy przytakuje, nie otwierając ust. To znaczy, że tak naprawdę wcale nie przytakuje. I właśnie wydaje z siebie ten dźwięk. Dwukrotnie.

Czuję się pokonana i opadają mi ręce.

– Uważasz, że postąpiłam głupio?

Lekko kręci głową.

– Lily, wszystko zależy od tego, czy ci się uda – odpowiada.

Wcześniej w tym lokalu była restauracja i w środku nadal stoi mnóstwo starych mebli. Mama podchodzi do pobliskiego stolika i przysuwa jedno z krzeseł, żeby usiąść.

– Jeśli ci się uda i twoja kwiaciarnia odniesie sukces, ludzie będą mówili, że podjęłaś odważną, bezkompromisową i mądrą decyzję biznesową. Ale jeśli ci się nie uda i przypadnie cały spadek...

– Ludzie będą mówili, że podjęłam głupią decyzję biznesową.

Wzrusza ramionami.

– Tak to już jest. Przecież wiesz, masz dyplom z zarządzania. – Powoli rozgląda się po pomieszczeniu, jakby już widziała, jak będzie wyglądało za miesiąc. – Po prostu postaraj się, żeby to było odważne i bezkompromisowe, Lily.

Uśmiecham się. Coś takiego jestem w stanie przełknąć.

– Nie mogę uwierzyć, że to kupiłam, nie pytając cię o zdanie – mówię, siadając przy stoliku.

– Jesteś dorosła, to twoje prawo – odpowiada, ale słyszę w jej głosie nutkę rozczarowania.

Teraz, gdy jest mi coraz mniej potrzebna, czuje się chyba jeszcze bardziej samotna. Minęło pół roku od śmierci ojca i choć nie był on dobrym towarzyszem życia, na pewno trudno przywyknąć mamie do samotności. Dostała pracę w jednej z bostońskich podstawówek, więc ostatecznie postanowiła się tu przenieść. Wybrała niewielką dzielnicę na przedmieściach. Kupiła sliczny dom z dwiema sypialniami i ogromnym podwórkiem przy ślepej uliczce. Marzy mi się założenie tam ogrodu, ale ogród wymagałby codziennej pielęgnacji. A mój limit to jedna wizyta tygodniowo. Czasem dwie.

– Co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi rupieciami? – pyta.

Ma rację. Rupieci jest mnóstwo. Pozbycie się ich zajmie mi wieczność.

– Nie mam pojęcia. Pewnie zanim w ogóle pomyślę o urządzeniu kwiaciarni, przez jakiś czas będę harować jak wół.

– Kiedy po raz ostatni idziesz do pracy w tej firmie marketingowej?

Uśmiecham się.

– Wczoraj.

Wzdycha, a potem kręci głową.

– Och, Lily. Naprawdę mam nadzieję, że ci się uda.

Gdy wstajemy od stolika, otwierają się frontowe drzwi. Są zasłonięte półkami, więc wychylam się zza nich i widzę, że do środka wchodzi młoda kobieta. Rozgląda się i po chwili mnie zauważa.

– Cześć – mówi, machając ręką.

Jest śliczna i dobrze ubrana. Ma na sobie białe rybaczki, które – jeśli postoi dłużej wśród takiej ilości kurzu – za chwilę nie będą już białe.

– W czym mogę ci pomóc?

Wsadza torebkę pod pachę i podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką.

– Jestem Allysa – przedstawia się.

Ściskam jej dłoń.

– Lily.

– Obok drzwi jest tabliczka z informacją, że potrzebujesz kogoś do pomocy – mówi, pokazując kciukiem za siebie.

Spoglądam nad jej ramieniem i unoszę brew.

– Naprawdę?

Nie umieszczalam tam takiej tabliczki.

Kiwa głową, a potem wzrusza ramionami.

– Wprawdzie wygląda na starą – mówi. – Pewnie wisi tu już jakiś czas. Właśnie wysłałam na spacer i ją zobaczyłam. Zaciekawiała mnie.

Prawie natychmiast czuję do niej sympatię. Ma miły głos, a jej uśmiech wygląda na szczerzy.

Mama dotyka mojego ramienia, a potem całuje mnie w policzek.

– Muszę już iść – mówi. – Dziś wieczorem mamy dzień otwarty.

Żegnaj się z nią i patrz, jak wychodzi, a potem znowu skupiam się na Allysie.

– W zasadzie jeszcze nie zatrudniam – mówię. Szerokim gestem pokazuję salę. – Zamierzam otworzyć kwaciarnię, ale zanim to się stanie, miną pewnie co najmniej dwa miesiące.

Wiem, że pozory mogą mylić, ale ta dziewczyna nie wygląda na kogoś, kogo mogłaby zadowolić płaca minimalna. Jej torebka kosztowała pewnie więcej niż cały ten budynek.

Rozpromienia się.

– Naprawdę? Uwielbiam kwiaty! – Obraca się wokół i dodaje: – To miejsce ma ogromny potencjał. Na jaki kolor je pomalujesz?

Przykładam rękę do piersi i łapię się za łokieć.

– Nie jestem pewna – odpowiadam, odchylając się na piętach. – Godzinę temu dostałam klucze, więc właściwie nie przygotowałam jeszcze planu wystroju.

– Masz na imię Lily, prawda?

Potakuję.

– Nie będę udawała, że mam dyplom z dekoracji wnętrz, ale dosłownie to uwielbiam. Jeśli potrzebujesz pomocy, zrobię to za darmo.

Przechylam głowę.

– Byłabyś gotowa pracować za darmo?

Kiwa głową.

– Tak naprawdę nie potrzebuję pracy, po prostu zobaczyłam wywieszkę i pomyślałam: a co mi tam. Czasami się nudzę. Z radością ci pomogę, przy czym tylko będziesz chciała. Przy sprzątaniu, urządzaniu, wyborze kolorów. Mam świra na punkcie Pinteresta. – Pokazuje palcem

na coś za moimi plecami, co przykuło jej wzrok. – Mogłabym wziąć te popsute drzwi i zrobić z nich istne cacko. Ze wszystkich pozostałych rzeczy też, naprawdę. Wiesz, prawie wszystko da się wykorzystać.

Rozglądam się, doskonale wiedząc, że nie będę w stanie ogarnąć tego sama. Pewnie nawet nie dałabym rady podnieść połowy tych rzeczy. Ostatecznie i tak musiałabym kogoś zatrudnić.

– Nie pozwolę ci pracować za darmo. Ale jeśli naprawdę jesteś zainteresowana, mogłabym ci płacić dziesięć dolarów za godzinę.

Klaszcze z radości i gdyby nie była na obcasach, pewnie już by podskakiwała.

– Kiedy zaczynam?

Spoglądam na jej białe rybaczki.

– Może jutro? Pewnie wolałabyś sprzątać w ciuchach, które można później wyrzucić.

Macha ręką i rzuca torebkę Hermès na zakurzony stolik.

– Bzdura – mówi. – Mój mąż ogląda mecz Bruinsów w barze niedaleko stąd. Jeśli nie masz nic przeciwko, zostanę tu z tobą i zacznę od razu.

Dwie godziny później jestem już przekonana, że się zaprzyjaźnimy. I Allysa naprawdę ma świra na punkcie Pinteresta.

Piszemy „zostaje” i „do kosza” na karteczkach samoprzylepnych, które przyklejamy do wszystkiego, co znajduje się w lokalu. Allysa podobnie jak ja jest wyznawczynią upcyklingu, więc znajdujemy zastosowanie dla siedemdziesięciu pięciu procent rzeczy zostawionych w budynku. Allysa zapewnia, że jej mąż wyrzuci resztę, gdy tylko znajdzie wolną chwilę. Kiedy już wiemy, co zrobimy ze wszystkimi rzeczami, biorę notes i długopis i siadamy przy jednym ze stolików, żeby spisać pomysły na wystrój.

– No dobrze – mówi Allysa, odchylając się na krześle. Chce mi się śmiać, bo jej białe rybaczki są teraz niemiłosiernie brudne, lecz jej najwyraźniej wcale to nie przeszkadza. – Masz jakiś cel związany z tym miejscem? – pyta, rozglądając się.

– Tylko jeden – mówię. – Odnieść sukces.

Śmieje się.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ci się uda. Ale potrzebujesz jakiejś wizji.

Myślę o tym, co powiedziała moja mama: „Postaraj się, żeby to było odważne i bezkompromisowe, Lily”. Uśmiecham się i prostuję na krześle.

– To ma być odważne i bezkompromisowe – mówię. – Chcę, żeby ta kwaciarnia była inna niż wszystkie. Chcę zaryzykować.

Mruży oczy i przygryza koniuszek długopisu.

– Ale w gruncie rzeczy będziesz po prostu sprzedawała kwiaty – mówi. – Co w tym odważnego i bezkompromisowego?

Rozglądam się i próbuję przekształcić swoje myśli w wizję. Tyle że nie jestem pewna, o czym właściwie myślę. Po prostu czuję lekkie podniecenie i niepokój, jak zawsze gdy znajduję się o krok od wspaniałego pomysłu.

– Jakie słowa przychodzą ci do głowy, kiedy myślisz o kwiatkach? – pytam

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Kwiaty uważa się chyba za coś ślicznego. Są żywe, więc nasuwają mi się skojarzenia z życiem. I może jeszcze z kolorem różowym. I z wiosną.

– Śliczne, życie, róż, wiosna – powtarzam. A po chwili wykrzykuję: – Allysa, jesteś genialna! – Wstaję i zaczynam chodzić tam i z powrotem. – Weźmiemy wszystko, co ludzie uwielbiają w kwiatkach, i zrobimy coś zupełnie odwrotnego!

Krzywi się, widzę, że nie nadąża.

– No dobra – mówię. – A gdybyśmy tak, zamiast eksponować uroczą stronę kwiatów, eksponowały tę mroczną? Gdybyśmy zamiast różowych akcentów użyły ciemniejszych kolorów, na przykład ciemnego fioletu albo nawet czerni? I zamiast wiosny i życia celebrowały też zimę i śmierć?

Allysa wytrzeszcza oczy.

– Ale... jeśli ktoś mimo to będzie chciał różowe kwiaty?

– Wtedy oczywiście mu je sprzedamy. Ale będziemy sprzedawały też coś, czego ludzie chcą, choć jeszcze o tym nie wiedzą.

Drapie się po policzku.

– Więc myślisz o czarnych kwiatach?

Wydaje się zaniepokojona i wcale jej się nie dziwię. Widzi tylko najmroczniejszą stronę mojej wizji. Znowu siadam przy stoliku i próbuję ją przekonać.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że nie ma czegoś takiego jak źli ludzie. Po prostu wszyscy czasami robimy złe rzeczy. Wryło mi się to w pamięć, bo to prawda. Wszyscy mamy w sobie trochę dobra i trochę zła. Chcę, żeby to był nasz temat przewodni. Zamiast malować ściany na obrzydliwy cukierkowy kolor, pomalujemy je na ciemny fiolet i dodamy czarne akcenty. A zamiast ustawiać w witrynie zwyczajne pastelowe kwiaty w nudnych kryształowych wazonach kojarzących się z życiem, zrobimy coś na opak. Odważnie i bezkompromisowo. Umieścimy na wystawie ciemniejsze kwiaty owinięte skórzanymi ozdobami albo srebrnymi łańcuchami. I zamiast je wstawiać do kryształowych wazonów, wsadzimy je w czarny onyks albo... bo ja wiem... w wazony owinięte fioletowym aksamitem nabijanym ćwiekami. Możliwości są nieograniczone. – Znowu wstaję. – Na każdym rogu są kwaciarnie dla wielbicieli kwiatów. Ale czy istnieje choć jedna kwaciarnia zaspokajająca potrzeby wszystkich ludzi, którzy nienawidzą kwiatów?

Allysa kręci głową.

– Nie istnieje – szepcze.

– Właśnie. Nie istnieje.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, aż w końcu czuję, że nie wytrzymam ani sekundy dłużej. Rozpiera mnie energia i zaczynam się śmiać jak nadpobudliwe dziecko. Allysa też wybucha śmiechem, zrywa się z miejsca i pada mi w ramiona.

– Lily, to takie pokręcone, że wręcz genialne!

– Wiem! – Czuję przypływ wigoru. – Potrzebuję biurka, żebym mogła usiąść i napisać biznesplan! Ale moje przyszłe biuro jest zawałone starymi skrzynkami po warzywach!

Allysa idzie na zaplecze.

– No więc wyrzucmy stąd te skrzynki i kupmy ci biurko!

Wciskamy się do kantorka i zaczynamy wynosić skrzynki. Wspinam się na krzesło, żeby ułożyć wyższą stertę, dzięki czemu zyskamy więcej miejsca.

– Te skrzynki idealnie nadają się na wystawę, którą sobie wymyśliłam. – Allysa podaje mi jeszcze dwie i odchodzi.

Gdy wspinam się na palce, by umieścić skrzynki na samej górze, sterta zaczyna się chwiać. Staram się czegoś złapać, ale skrzynki spychają mnie z krzesła. Łądując na podłodze, czuję, że moja stopa wygina się w niewłaściwą stronę. Nagły ból przeszywa mi nogę aż po koniuszki palców.

Allysa wraca biegiem i zdejmuje ze mnie dwie skrzynki.

– Lily! – woła. – Nic ci się nie stało?

Z trudem siadam, ale nawet nie próbuję obciążać kostki. Kręcę głową.

– Moja noga...

Allysa natychmiast zdejmuję mi but, po czym sięga po telefon. Zaczyna wybierać numer, a potem patrzy na mnie.

– Wiem, że to głupie pytanie, ale masz tu może zamrażarkę z lodem?

Kręcę głową.

– Tak myślałam. – Przełącza telefon na głośnik i kładzie go na podłodze, a potem zaczyna podwijać mi nogawkę.

Krzywię się, ale nie do końca z bólu. Zwyczajnie nie mogę uwierzyć, że zrobiłam coś tak głupiego. Jeśli złamałam nogę, jestem udupiona. Właśnie wydałam wszystkie pieniądze ze spadku na lokal, którego przez najbliższe miesiące nie będę w stanie wyremontować.

– Czeeeeść, Issa – odzywa się przeciągle głos w jej telefonie. – Co porabiasz? Mecz już się skończył.

Allysa podnosi telefon i zbliża go do ust.

– Jestem w pracy. Słuchaj, muszę...

– W pracy? – wchodzi jej w słowo rozmówca. – Skarbie, przecież ty nie masz pracy.

Allysa kręci głową.

– Marshall, posłuchaj. Mam tu nagły wypadek. Moja szefowa chyba złamała nogę w kostce. Przynies trochę lodu do...

– Twoja szefowa? – przerywa jej ze śmiechem. – Skarbie, przecież ty nie masz pracy – powtarza.

Allysa przewraca oczami.

– Marshall, upiłeś się?

– Issa, jest piżamowy dzień – bełkocze do telefonu. – Wiedziałaś o tym, kiedy nas tu zostawiałaś. Darmowe piwo aż do...

Issa wydaje z siebie jęk.

– Daj mi mojego brata.

– Dobra, dobra – mamrocze Marshall. W telefonie słychać szelest, a potem ktoś mówi:

– Tak?

Allysa szybko podaje nasz adres.

– Przyjdź tu szybko. I przynieś worek z lodem.

– Tak jest, proszę pani – odpowiada jej brat. Ma taki głos, jakby też był trochę pijany.

W tle rozlega się śmiech, a potem słychać: „Allysa jest w złym humorze” i w słuchawce zapada cisza.

Allysa chowa telefon z powrotem do kieszeni.

– Zaczekam na nich na zewnątrz, pub jest tylko kawałek stąd. Poradzisz sobie sama?

Kiwam głową i sięgam po krzesło.

– Może po prostu powinnam spróbować pochodzić.

Allysa kładzie mi rękę na ramieniu.

– Nie, nie ruszaj się. Zaczekaj, aż przyjdą, dobrze?

Nie mam pojęcia, czy dwaj podpici faceci będą w stanie mi jakoś pomóc, ale kiwam głową. Moja nowa pracownica zachowuje się teraz bardziej jak szefowa i chwilowo trochę się jej boję.

Czekam na zapleczu przez jakieś dziesięć minut, aż w końcu słyszę, że otwierają się drzwi do budynku.

– O co tu chodzi? – rozlega się męski głos. – Dlaczego siedzicie same w tym obskurnym budynku?

– Ona jest na zapleczu – odpowiada mu głos Allysy.

Za Allyszą wchodzi jakiś facet w jednoczęściowej piżamie. Jest wysoki, dość chudy, lecz

chłopięco przystojny: ma duże, szczerze oczy i gęstwinę ciemnych, potarganych włosów od dawna wymagających strzyżenia. Trzyma worek z lodem.

Czy wspomniałam, że ma na sobie jednoczęściową piżamę?

Oto stoi przede mną dorosły mężczyzna w piżamie z Kanciastoportym.

– To twój mąż? – pytam, unosząc brew.

Allysa przewraca oczami.

– Niestety tak – mówi, spoglądając na niego.

Tuż za nimi wchodzi drugi facet (też w jednoczęściowej piżamie), ale moja uwaga skupia się na Allysie, która wyjaśnia, dlaczego obaj noszą takie stroje w środowe popołudnie.

– Niedaleko stąd jest bar, który oferuje piwo za darmo każdemu, kto zjawi się w jednoczęściowej piżamie w czasie meczu Bruinsów. – Podchodzi do mnie i kiwa na chłopaków, żeby zrobili to samo. – Lily spadła z krzesła i uszkodziła sobie kostkę – mówi do tego drugiego. Kiedy tamten wychodzi zza Marshalla, pierwsze, co zauważam, to jego ręce.

A niech mnie. Znam te ręce.

To ręce neurochirurga.

Allysa jest jego siostrą? Siostrą, do której należy całe ostatnie piętro apartamentowca, siostrą mającą męża, który pracuje w piżamie i zarabia siedmiocyfrowe kwoty rocznie?

Gdy tylko spoglądam Ryle'owi w oczy, cała jego twarz układa się w uśmiech. Nie widziałam go od... Boże, ile minęło czasu? Pół roku? Nie mogę powiedzieć, że wcale o nim nie myślałam, bo owszem, myślałam – i to ładnych parę razy. Ale nie przypuszczałam, że znowu go zobaczę.

– Ryle, to jest Lily. Lily, to mój brat Ryle – mówi Allysa, kiwając głową w jego stronę. – A to mój mąż Marshall.

Ryle podchodzi do mnie i przyklęka.

– Miło mi, Lily – mówi, patrząc na mnie z uśmiechem.

Od razu widać, że mnie pamięta – poznaję to po jego znaczącym uśmiechu. Ale podobnie jak ja udaje, że widzimy się po raz pierwszy. Nie jestem pewna, czy mam ochotę wyjaśniać, jak się poznaliśmy.

Ryle dotyka mojej kostki i ją ogląda.

– Możesz nią ruszać?

Próbuję poruszyć nogą, ale przeszywa mnie ostry ból. Wciągam powietrze przez zęby i kręcę głową.

– Jeszcze nie. Boli.

Ryle zwraca się do Marshalla:

– Poszukaj czegoś, w co można włożyć lód.

Allysa wychodzi za Marshalla. Gdy znikają, Ryle spogląda na mnie i jego usta rozciągają się w uśmiechu.

– Nie policzę ci za to, ale tylko dlatego, że jestem lekko wstawiony – mówi, puszczając do mnie oko.

Przechylałam głowę.

– Za pierwszym razem byłeś na haju. Teraz jesteś pijany. Zaczynam się obawiać, że nie będziesz dobrym neurochirurgiem.

Śmieje się.

– Rzeczywiście, może to tak wyglądać – przyznaje. – Ale przysięgam, bardzo rzadko popalam trawę, a dzisiaj mam pierwszy wolny dzień od ponad miesiąca, więc naprawdę potrzebuję piwa. Albo i pięciu.

Marshall wraca z lodem zawiniętym w jakąś starą szmatę. Podaje go Ryle'owi, który

przyciska łód do mojej kostki.

– Będę potrzebował tej apteczki, którą masz w bagażniku – mówi do siostry. Allysa kiwa głową i łapie Marshalla za rękę, znowu ciągnąc go za sobą.

Ryle podkłada dłoń pod moją stopę.

– Naciśnij na moją rękę – mówi.

Naciskam. Boli, ale jestem w stanie przesunąć jego dłoń.

– Jest złamana?

Przesuwa moją stopę w prawo i w lewo.

– Nie wydaje mi się. Oczekajmy parę minut i zobaczymy, czy będziesz mogła na niej stanąć.

Kiwam głową i patrzę, jak sadowi się naprzeciwko mnie. Siada po turecku i kładzie sobie moją stopę na kolanach. Rozgląda się, a potem znowu skupia na mnie.

– No więc co to za miejsce?

Uśmiecham się trochę zbyt szeroko.

– Za jakies dwa miesiące będzie tu Kwiaciarnia Lily Bloom.

Przysięgam, cała jego twarz jaśnieje z dumy.

– Niemożliwe – mówi. – Naprawdę to zrobiłaś? Otwierasz własny interes?

Kiwam głową.

– Tak. Pomyślałam, że równie dobrze mogę spróbować, póki jeszcze jestem młoda i zdołam się podnieść w razie porażki.

Jedną ręką przyciska łód do mojej kostki, ale drugą trzyma mnie za bosą stopę. Cały czas głaszcząc ją kciukiem, jakby to, że mnie dotyka, było zupełnie naturalne. Jego dotyk czuję wyraźniej niż ból w kostce.

– Śmiesznie wyglądam, nie? – pyta, spoglądając na swoją czerwoną piżamę.

Wzruszam ramionami.

– Przynajmniej wybrałaś taką bez postaci z kreskówki. Wygląda to trochę dojrzalej niż wersja z Kanciastoportym.

Śmieje się, a potem poważnie i opiera głowę o framugę. Przygląda mi się z zachwytem.

– Za dnia jesteś jeszcze ładniejsza.

W takich chwilach szczerze nie znoszę swoich rudych włosów i jasnej karnacji. Zakłopotanie nie ukazuje się wyłącznie na moich policzkach – rumieńcem oblewają się cała moja twarz, ręce i szyja.

Opieram głowę o ścianę i wpatruję się w Ryle'a tak jak on we mnie.

– Chcesz usłyszeć nagą prawdę?

Kiwa głową.

– Od tamtej nocy kilka razy miałam ochotę znowu pójść na twój dach. Ale za bardzo się bałam, że też tam będziesz. Trochę się przy tobie denerwuję.

Przestaje mnie głaskać.

– Teraz moja kolej?

Kiwam głową.

Mrużąc oczy, przesuwa palcami w stronę podeszwy mojej stopy. Powoli przemyka dłonią od palców aż do pięty.

– Nadal bardzo chcę się z tobą pieprzyć.

Ktoś wydaje z siebie zduszony okrzyk, i to nie jestem ja.

Obydwoje spoglądamy w stronę drzwi i widzimy Allyse, która stoi z wytrzeszczonymi oczami. Ma otwarte usta i pokazuje na Ryle'a.

– Czy ty właśnie... – Patrzy na mnie i mówi: – Lily, bardzo cię za niego przepraszam. –

Z wściekłością znowu przenosi wzrok na Ryle'a. – Czy ty właśnie powiedziałaś mojej szefowej, że chcesz się z nią pieprzyć?

O matko.

Ryle przygryza dolną wargę i przez chwilę się zastanawia. Marshall wchodzi na zaplecze za Allysa.

– Co się dzieje? – pyta.

Moja nowa znajoma patrzy na męża i znowu pokazuje na Ryle'a.

– Właśnie powiedział Lily, że chce się z nią pieprzyć!

Marshall spogląda to na szwagra, to na mnie. Nie wiem, czy się śmiać, czy może schować się pod stołem.

– Naprawdę? – pyta, patrząc znowu na Ryle'a.

Ryle wzrusza ramionami.

– Na to wygląda.

Allysa chowa twarz w dłoniach.

– Jezu Chryste – mówi, unosząc wzrok na mnie. – On jest pijany. Obaj są pijani. Proszę, nie myśl o mnie źle tylko dlatego, że mój brat to dupek.

Uśmiecham się do niej i lekceważąco macham ręką.

– Allysa, nic się nie stało. Mnóstwo ludzi chce się ze mną pieprzyć. – Zerkam na Ryle'a, który nadal jak gdyby nigdy nic głaszcze moją stopę. – Twój brat przynajmniej jest szczerzy. Niewiele osób ma odwagę mówić to, co naprawdę myślą.

Ryle puszcza do mnie oko, po czym ostrożnie odsuwa moją nogę.

– Sprawdźmy, czy uda ci się wstać – mówi.

Razem z Marshalllem pomagają mi się podnieść. Ryle pokazuje na stolik stojący kilka kroków dalej pod ścianą.

– Spróbuj podejść do tego stolika. Założę ci bandaż.

Przytrzymuje mnie w talii i mocno ściska za ramię, żebym nie upadła. Marshall w zasadzie tylko stoi obok mnie. Delikatnie stawiam nogę na podłodze. Boli, ale można wytrzymać. Dzięki Ryle'owi jestem w stanie doskoczyć do stolika. Pomaga mi usiąść na blacie, a ja opieram się plecami o ścianę i wyciągam nogę.

– Dobra wiadomość jest taka, że udało się uniknąć złamania.

– A zła? – pytam.

Otwiera apteczkę i mówi:

– Przez kilka dni będziesz musiała oszczędzać tę nogę. Może nawet przez tydzień albo i dłużej, w zależności od tego, jak szybko będzie się goić.

Zamykam oczy i odchylam głowę.

– Ale ja mam mnóstwo roboty – jęczę.

Ostrożnie zaczyna owijać mi kostkę bandażem. Allysa stoi za nim i się przygląda.

– Chce mi się pić – stwierdza Marshall. – Przynieść coś komuś? Po drugiej stronie ulicy jest spożywczy.

– Ja dziękuję – odpowiada Ryle.

– Poproszę wodę – mówię.

– A ja sprite'a – mówi Allysa.

Marshall łapie ją za rękę.

– Ty idziesz ze mną.

Allysa cofa dłoń i splata ręce na piersi.

– Nigdzie się nie wybieram. Mojemu bratu nie można ufać.

– Allysa, wszystko w porządku – zapewniam ją. – On tylko żartował.

Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu, wreszcie ustępuje:

– No dobrze. Ale nie będziesz mogła mnie zwolnić, jeśli znowu zaczniesz gadać głupoty.

– Obiecuję, że cię nie zwolnię.

Po tych słowach znowu bierze Marshalla za rękę i wychodzą.

– Moja siostra u ciebie pracuje? – pyta Ryle, wciąż bandażując mi nogę.

– Tak. Zatrudniłam ją dwie godziny temu.

Sięga do apteczki i wyjmuję z niej bandaż.

– Zdajesz sobie sprawę, że ona nigdy w życiu nie pracowała?

– Już mnie ostrzegła – odpowiadam. Zacisnął zęby i nie wydaje się już tak wyluzowany jak wcześniej. Nagle sobie uświadamiam, jak to może wyglądać: jakbym ją zatrudniła, żeby się do niego zbliżyć. – Nie miałam pojęcia, że to twoja siostra, dopóki się nie zjawiłeś. Przysięgam.

Spogląda na mnie, a potem znowu na moją nogę.

– Nie powiedziałem, że wiedziałaś. – Zaczyna obwiązywać nogę bandażem.

– Wiem, że nie powiedziałaś. Po prostu nie chcę, żebyś sobie pomyślał, że chciałam cię zwabić w pułapkę. Mamy różne oczekiwania wobec życia, pamiętasz?

Kiwa głową i ostrożnie stawia moją stopę z powrotem na stoliku.

– Zgadza się – mówi. – Moja specjalność to jednorazowe przygody, a ty szukasz Świętego Graala.

Śmieję się.

– Masz dobrą pamięć.

– Tak – mówi. Jego usta rozciągają się w leniwym uśmiechu. – A poza tym trudno cię zapomnieć.

Jezu. On naprawdę musi przestać mówić takie rzeczy. Przyciskam dłoń do blatu i zsuwam nogę.

– Przygotuj się na nagą prawdę.

Opiera się o stół obok mnie i mówi.

– Zamieniam się w słuch.

Stawiam na całkowitą szczerłość.

– Bardzo mi się podobasz – zaczynam. – Masz niewiele cech, które mi się nie podobają. Ale skoro mamy odmienne oczekiwania, to gdybyśmy jeszcze kiedykolwiek się spotkali, byłabym wdzięczna, gdybyś przestał mówić rzeczy, od których kręci mi się w głowie. To naprawdę nie w porządku wobec mnie.

Kiwa głową i mówi:

– Moja kolej. – Kładzie rękę na stoliku obok mnie i lekko się pochyla. – Bardzo mi się podobasz. Masz niewiele cech, które mi się nie podobają. Ale mam cichą nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy, bo nie podoba mi się to, jak często o tobie myślę. Nie, nie bardzo często. Ale częściej, niżbym chciał. Więc skoro nadal nie jesteś zainteresowana jednorazową przygodą, chyba będzie najlepiej, jeśli postaramy się trzymać od siebie z daleka. Bo żadnemu z nas nie wyszłoby to na dobre.

Nie wiem, jak to się stało, że znalazł się tak blisko mnie, ale dzieli nas jakieś trzydzieści centymetrów. Przez tę jego bliskość trudno mi się skupić na jego słowach. Jego wzrok na chwilę zatrzymuje się na moich wargach, ale gdy tylko słychać odgłos otwieranych drzwi, jest już w połowie drogi do wyjścia. Zanim Allysa i Marshall do mnie podchodzą, Ryle zaczyna układać rozsypane skrzynki. Allysa spogląda na moją kostkę.

– Jaki werdykt? – pyta.

Wysuwam dolną wargę.

– Twój brat lekarz mówi, że muszę oszczędzać nogę przez kilka dni.

Allysa podaje mi wodę.

– Na szczęście masz mnie. Postaram się tu posprzątać, zanim dojdiesz do siebie.

Upijam łyk i ocieram usta.

– Allysa, ogłaszam cię pracownikiem miesiąca.

Uśmiecha się szeroko.

– Słyszałeś? – mówi do męża. – Zostałam jej najlepszym pracownikiem!

Obejmuje ją ramieniem i całuje w czubek głowy.

– Issa, jestem z ciebie dumny.

Podoba mi się, że nazywa ją Issa, co, jak zakładam, jest zdrobnieniem od Allysy. Myślę o własnym imieniu i zastanawiam się, czy kiedykolwiek znajdę faceta, który będzie je zdrabniał w jakiś oszałamiająco uroczy sposób. Illy?

Nie. To jednak nie to samo.

– Odprowadzić cię do domu? – pyta.

Zeskakuję ze stolika i wypróbuję nogę.

– Chyba tylko do samochodu. To lewa noga, więc nie powinnam mieć problemu z prowadzeniem.

Podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramieniem.

– Jeśli zostawisz mi klucze, pozamykam, a jutro wrócę i zacznę sprzątać.

Wszyscy troje odprowadzają mnie do auta, ale Ryle pozwala, by zajęła się mną Allysa. Wygląda, jakby z jakiegoś powodu bał się mnie teraz dotknąć. Gdy już siedzę na miejscu kierowcy, Allysa przekłada moją torebkę i inne rzeczy na podłogę i siada obok. Bierze mój telefon i zaczyna wpisywać swój numer.

Ryle pochyla się do okna.

– Pamiętaj, żeby przez kilka dni jak najczęściej przykładać lód. Kąpiele też pomagają.

Kiwam głową.

– Dzięki za pomoc.

Allysa przechyla się w jego stronę.

– Ryle, może na wszelki wypadek odwieź ją do domu i wróc taksówką.

Ryle spogląda na mnie i kręci głową.

– To raczej kiepski pomysł – odpowiada. – Nic jej nie będzie. Wypiłem kilka piw, chyba nie powinienem prowadzić.

– Mógłbyś przynajmniej pomóc jej dojść do domu – podsuwa Allysa.

Ryle znów kręci głową, a potem poklepuje dach samochodu, odwraca się i odchodzi.

Odprowadzam go wzrokiem, a Allysa oddaje mi mój telefon.

– Naprawdę bardzo cię za niego przepraszam – mówi. – Najpierw się do ciebie dowala, a potem zachowuje się jak samolubny dupek. – Wysiada z auta i zamyka drzwi, a następnie wsuwa głowę przez okno. – Właśnie dlatego do końca życia będzie sam. – Pokazuje na mój telefon. – Puść mi esemesa, jak dojedziesz. I zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Nie będę wliczała tych przysług do czasu pracy.

– Dziękuję, Allysa.

Uśmiecha się.

– Nie, to ja ci dziękuję. Nie czułam takiego podekscytowania od zeszłorocznego koncertu Paolo Nutiniego. – Macha mi na pożegnanie i oddala się w kierunku Marshalla i Ryle'a.

Ruszają ulicą, a ja obserwuję ich we wstecznym lusterku. Gdy skręcają za róg, widzę, jak Ryle spogląda przez ramię w moim kierunku.

Zamykam oczy i wypuszczam powietrze.

Moje dwa spotkania z Ryle'em przydarzyły się w dniach, o których wolałabym

zapomnieć: w dniu pogrzebu mojego ojca i w dniu, w którym skręciłam kostkę. Ale z jakiegoś powodu dzięki jego obecności nie było tak okropnie, jak mogłoby się wydawać.

To straszne, że jest bratem Allysy. Mam przeczucie, że jeszcze się spotkamy.

Rozdział czwarty

Dotarcie z samochodu do mieszkania zajmuje mi pół godziny. Dwa razy dzwoniłam do Lucy, żeby poprosić o pomoc, ale nie odebrała. Wchodząc do środka, z lekkim poirytowaniem zauważam, że leży na kanapie z telefonem przy uchu.

Zatrząskuję za sobą drzwi, a ona podnosi głowę.

– Co ci się stało? – pyta.

Podskakuję na jednej nodze, opierając się o ścianę korytarza.

– Skręciłam kostkę.

Gdy docieram do swojego pokoju, woła:

– Przepraszam, że nie odbierałam! Rozmawiam z Alexem. Miałam do ciebie oddzwonić!

– Nic się nie stało! – krzyczę w odpowiedzi i zatrząskuję za sobą drzwi.

Idę do łazienki, gdzie znajduję jakieś stare tabletki przeciwbólowe, które kiedyś włożyłam do szafki. Połykam dwie, a potem padam na łóżko i wbijam wzrok w sufit.

Nie mogę uwierzyć, że będę tkwiła w tym mieszkaniu przez cały tydzień. Łapię za telefon i esemesuję do mamy.

Skręciłam nogę w kostce. To nic poważnego, ale czy mogłabyś mi zrobić zakupy?

Rzucam telefon na łóżko i po raz pierwszy, odkąd mama przeprowadziła się do Bostonu, cieszę się, że mieszka stosunkowo niedaleko. W zasadzie nie jest tak źle. Chyba odkąd umarł ojciec, bardziej ją lubię. Kiedyś miałam do niej wielki żal o to, że go nie zostawiła. Teraz spora jego część przysłała, lecz na myśl o ojcu nadal go czuję.

To z pewnością źle, że ojciec wciąż budzi we mnie taką gorycz. Ale, cholera, był okropny. Dla mojej mamy, dla mnie, dla Atlasa.

Atlas.

Byłam tak pochłonięta przeprowadzką mamy i szukaniem lokalu po godzinach pracy, że nie miałam czasu dokończyć czytania swoich starych pamiętników.

W żałosnych podskokach zbliżam się do szafy, potykając się tylko raz. Na szczęście w porę łapię się komody. Gdy już trzymam pamiętnik, wracam na łóżko i wygodnie się układam.

Przez najbliższy tydzień nie mogę pracować, więc i tak nie mam nic lepszego do roboty. Skoro jestem uziemiona, mogę się rozczulać nad swoją przeszłością.

Droga Ellen,

ceremonia rozdania Oscarów, którą poprowadziłaś, była najlepszym wydarzeniem telewizyjnym w ubiegłym roku. Chyba nigdy Ci tego nie mówiłam. Przy skoczku z odkurzaniem posikałam się ze śmiechu.

Aha, dzisiaj udało mi się pozyskać nowego członka do grona Twoich wielbicieli. To Atlas. Zanim zaczniesz krytykować mnie za to, że znowu wpuściłam go do domu, pozwól mi wyjaśnić, jak do tego doszło.

Po tym, jak wczoraj pozwoliłam mu wziąć prysznic, wieczorem się nie widzieliśmy. Ale dziś rano znowu usiadł obok mnie w autobusie. Chyba był w trochę lepszym humorze niż poprzedniego dnia, bo kiedy wślizgnął się na miejsce, nawet się do mnie uśmiechnął.

Nie będę cię okłamywała – trochę dziwnie było go oglądać w ubraniach taty. Ale spodnie pasują na niego o wiele lepiej, niż myślałam.

– Wiesz co? – powiedział. Pochylił się i otworzył plecak.

– Co?

Wyjął ze środka jakąś torbę i mi ją podał.

– Znalazłem to w garażu. Staralem się je wyczyścić, bo były pokryte zaschniętą ziemią, ale bez wody niewiele mogę zdziałać.

Wzięłam torbę i popatrzyłam na niego podejrzliwie. To była jego najdłuższa wypowiedź, odkąd się poznaliśmy. W końcu spojrzałam na torbę i ją otworzyłam. W środku spoczywały stare narzędzia ogrodnicze.

– Jakiś czas temu widziałem, jak przekopujesz ziemię łopatką. Nie byłem pewny, czy masz prawdziwe narzędzia ogrodnicze, a tych już nikt nie używa, więc...

– Dziękuję – powiedziałam.

Byłam w lekkim szoku. Miałam kiedyś rydel, ale plastikowa rączka pękła i zaczęły mi się robić pęcherze. W ubiegłym roku poprosiłam mamę o narzędzia ogrodnicze na urodziny, a kiedy kupiła mi łopatkę i motykę, nie miałam serca jej powiedzieć, że potrzebuję czegoś innego.

Atlas chrząknął, a potem dodał znacznie ciszej:

– Wiem, to nie jest prezent z prawdziwego zdarzenia. Nie kupiłem go i w ogóle. Ale... chciałem ci coś dać. No wiesz... za...

Nie dokończył, więc pokiwałam głową i zawiązałam torbę.

– Mógłbyś to dla mnie przechować na czas lekcji? Nie mam miejsca w plecaku.

Wziął ode mnie torbę, postawił sobie plecak na kolanach i włożył ją do środka. Potem objął plecak rękami.

– Ile masz lat? – spytał.

– Piętnaście.

Spojrzał na mnie, jakby mój wiek trochę go zasmucił, ale nie wiem dlaczego.

– Jesteś w dziesiątej klasie?

Pokiwałam głową, ale szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co powiedzieć. W zasadzie nie mam zbyt wielu kontaktów z chłopakami. Zwłaszcza ze starszymi. Kiedy się denerwuję, po prostu zamykam się w sobie.

– Nie wiem, jak długo będę tam mieszkał – powiedział, znowu ściszej głoś – ale jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała po szkole pomocy w ogródku albo przy czymkolwiek innym, to nie jestem zbyt zajęty. Nie mam tam przecież prądu.

Roześmiałam się i zaraz zaczęłam się zastanawiać, czy nie popełniłam gafy.

Przez resztę drogi rozmawialiśmy o Tobie, Ellen. Kiedy wspomniał, że się nudzi, spytałam, czy kiedykolwiek oglądał Twój program. Powiedział, że chciałby, bo uważa, że jesteś zabawna, ale telewizor wymagałby prądu. Z tej uwagi też chyba nie powinnam była się śmiać.

Powiedziałam mu, że mógłby obejrzeć Twój program ze mną, po szkole. Zawsze go nagrywam na wideo i oglądam, wykonując obowiązki domowe. Pomyślałam, że mogłabym po prostu zamknąć frontowe drzwi na zasuwę, a gdyby rodzice wrócili wcześniej, Atlas wybiegłby tylnymi drzwiami.

Potem zobaczyłam go dopiero w drodze do domu. Tym razem nie usiadł obok mnie, bo Katie zjawiała się wcześniej i go uprzedziła. Chciałam ją poprosić, żeby się przesiadła, ale wtedy pomyślałaby, że podkochuję się w Atlasie. Nie dałaby mi potem spokoju, więc po prostu pozwoliłam jej siedzieć obok.

Atlas usiadł z przodu autobusu, więc wyszedł wcześniej niż ja. Potem lekko skrzepowany stał na przystanku i na mnie czekał. Gdy staliśmy obok siebie, otworzył plecak i podał mi torbę z narzędziami. Nie wspomniał o moim porannym zaproszeniu na telewizję, więc uznałam, że wszystko zostało ustalone.

– Chodź – powiedziałam. Wszedł za mną do domu, a ja zamknęłam drzwi na zasuwę. – Jeśli rodzice wrócą wcześniej, uciekaj tylnymi drzwiami i staraj się, żeby cię nie zobaczyli.

Pokiwał głową.

– Nie martw się, ucieknę – odparł lekko rozbawiony.

Spytałam, czy chce coś do picia. Przytaknął. Zrobiłam coś na ząb i razem z napojami przyniosłam do salonu. Usiadłam na kanapie, a Atlas w fotelu taty. Włączyłam Twój program i właściwie na tym się skończyło. Niewiele rozmawialiśmy, bo przewijałam wszystkie reklamy. Ale zauważyłam, że śmieje się we właściwych momentach. Myślę, że poczucie humoru to jeden z najważniejszych elementów ludzkiej osobowości. Śmiał się z Twoich dowcipów, a ja byłam bardziej zadowolona z tego, że go zaprosiłam. Nie wiem dlaczego. Może dlatego że gdyby naprawdę był kimś, z kim mogłabym się zaprzyjaźnić, miałabym mniejsze poczucie winy.

Wyszedł zaraz po programie. Chciałam zaproponować, żeby znowu skorzystał z łazienki, ale niebezpiecznie zbliżylibyśmy się do pory powrotu rodziców. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było to, żeby musiał wybiec spod prysznic i pędzić nago przez nasze podwórko.

Z drugiej strony byłoby to dość zabawne i niesamowite.

Lily

Droga Ellen,

kobieto, zlituj się. Powtórki? Cały tydzień powtórek? Rozumiem, że potrzebujesz chwili oddechu, ale coś Ci podpowiem: zamiast nagrywać jeden program dziennie, mogłabyś nagrywać dwa. Dzięki temu miałabyś ich dwa razy więcej i nigdy nie musielibyśmy oglądać powtórek.

Mówię „my”, bo mam na myśli siebie i Atlasa. Został moim regularnym partnerem w oglądaniu Ellen. Chyba uwielbia Cię tak samo jak ja, mimo to nigdy mu nie powiem, że codziennie do Ciebie piszę. Mogłabym mu się skojarzyć z fanką boys bandu.

Mieszka w opuszczonym domu już dwa tygodnie. Jeszcze kilka razy brał u mnie prysznic i zawsze, kiedy mnie odwiedza, daje mi coś do jedzenia. Po powrocie ze szkoły piorę nawet jego rzeczy. Ciągłe mnie przeprasza, jakby był ciężarem. Ale szczerze mówiąc, uwielbiam to. Dzięki niemu nie myślę o pewnych sprawach i naprawdę nie mogę się doczekać tych naszych wspólnych chwil.

Dziś wieczorem tata wrócił późno, co oznacza, że po pracy poszedł do baru. Czyli prawdopodobnie zacznie się kłócić z mamą. I prawdopodobnie znowu zrobi coś głupiego.

Przysięgam, czasami jestem na nią wściekła, że od niego nie odchodzi. Wiem, że mam tylko piętnaście lat i prawdopodobnie nie rozumiem wszystkich powodów, dla których postanawia z nim zostać, ale nie zgadzam się, żeby używała mnie w charakterze usprawiedliwienia. Nie obchodzi mnie, że ma za mało pieniędzy, żeby go zostawić i że musiałybyśmy się wprowadzić do jakiegoś gównianego mieszkania i jeść zupki chińskie, dopóki nie skończyłabym szkoły. I tak byłoby lepiej niż teraz.

Właśnie słyszę, jak się na nią wydziera. Czasami, kiedy to robi, wchodzę do salonu, mając nadzieję, że wtedy się uspokoi. Nie lubi jej bić, kiedy jestem w tym samym pomieszczeniu. Może powinnam spróbować.

Lily

Droga Ellen,

gdybym miała teraz dostęp do pistoletu albo noża, zabiłabym go.

Kiedy weszłam do salonu, zobaczyłam, jak ją popycha. Stali w kuchni. Złapała go za ramię, próbując go uspokoić, a on uderzył ją wierzchem dłoni i powalił na ziemię. Jestem przekonana, że zamierzał ją kopnąć, ale mnie zobaczył i się powstrzymał. Mruknął coś do niej, a potem poszedł do sypialni i zatrzęsął za sobą drzwi.

Pobiełam do kuchni i próbowałam pomóc mamie, ale ona woli, żebym nie oglądała jej

w takim stanie. Machnęła ręką i powiedziała:

– Nic mi nie jest, Lily. Po prostu głupio się pokłóciliśmy.

Plakała, a w miejscu, gdzie ją uderzył, było widać czerwony ślad. Kiedy podeszłam, chcąc się upewnić, że nic jej się nie stało, odwróciła się do mnie plecami i złapała się blatu.

– Lily, powiedziałam, że nic mi nie jest. Wracaj do siebie.

Pobiegłam korytarzem, ale nie wróciłam do swojego pokoju. Wypadłam tylnymi drzwiami i popędziłam przez podwórko. Byłam wściekła na mamę, że tak szorstko mnie potraktowała. Nie miałam najmniejszej ochoty przebywać z nią ani z ojcem pod jednym dachem i mimo że było już ciemno, podeszłam do domu, w którym pomieszkiwał Atlas, i zapukałam do drzwi.

Usłyszałam w środku jakiś dźwięk, jakby niechcący strącił coś na ziemię.

– To ja, Lily – szepnęłam.

Kilka sekund później tylne drzwi się otworzyły i Atlas spojrzał za mnie, a potem popatrzył w prawo i w lewo. Dopiero kiedy zobaczył moją twarz, zauważył, że płaczę.

– Co ci jest? – spytał, odsuwając się.

Wytarłam łzy koszulką i uświadomiłam sobie, że zamiast zaprosić mnie do środka, wyszedł na zewnątrz. Przycupnęłam na schodach werandy, a on usiadł obok mnie.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. – Po prostu jestem wściekła. Czasami płaczę, kiedy jestem wściekła.

Wyciągnął rękę i założył mi włosy za ucho. Spodobało mi się to i nagle przestałam być taka wściekła. Potem objął mnie ramieniem i przytulił, tak że moja głowa oparła się o jego ramię. Nie wiem, jak udało mu się mnie uspokoić bez słów, ale zdołał to zrobić. Niektórzy ludzie po prostu działają na innych uspokajająco i on do nich należy. Zupełne przeciwieństwo mojego ojca.

Siedzieliśmy tak przez chwilę, aż zobaczyłam, że zapala się światło w moim pokoju.

– Powinnaś już iść – szepnął.

Obserwowaliśmy, jak moja mama wchodzi do pokoju i się rozgląda. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że Atlas ma doskonały widok na mój pokój.

Wracając do domu, myślałam o tym, co robiłam w czasie, kiedy Atlas mieszkał w opuszczonym budynku. Próbowałam sobie przypomnieć, czy chodziłam po pokoju po zmierzchu przy włączonym świetle, bo zazwyczaj w nocy mam na sobie tylko koszulkę.

I właśnie to jest najdziwniejsze, Ellen: w zasadzie miałam nadzieję, że chodziłam.

Lily

Kiedy tabletki przeciwbólowe zaczynają działać, zamykam pamiętnik. Jutro poczytam dalej. Chyba. Czytanie o tym, co tata robił mamie, wprawia mnie w zły nastrój.

Czytanie o Atlasie wprawia mnie w smutny nastrój.

Próbuję zasnąć i pomyśleć o Ryle’u, ale cała ta sytuacja z Ryle’em wprawia mnie w zły oraz smutny nastrój.

Może po prostu pomyślę o Allysie i o tym, jak się cieszę, że się dziś u mnie zjawiała. Przyda mi się ktoś życzliwy – a już na pewno pomocny – w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Mam wrażenie, że czeka mnie więcej stresów, niż przypuszczałam.

Rozdział piąty

Ryle miał rację. Już po kilku dniach moja kostka była na tyle sprawna, że znowu mogłam chodzić. Mimo to zanim wyszłam z mieszkania, odczekałam cały tydzień. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było uszkodzenie nie do końca wyleczonej nogi.

Oczywiście najpierw poszłam do swojej kwaciarni. Kiedy się tam zjawiłam, w środku była Allysa. Powiedzieć, że po przestąpieniu progu przeżyłam szok, to za mało. Lokal zupełnie nie przypomina tego, który kupiłam. Wciąż jest mnóstwo do zrobienia, ale Allysa i Marshall pozbyli się wszystkiego, co przeznaczaliśmy do wyrzucenia. Całą resztę poukładali w sterty. Allysa umyła okna i podłogi. Posprzątała nawet pomieszczenie, w którym zamierzam urządzić biuro.

Pomagałam jej dzisiaj przez kilka godzin, ale początkowo nie pozwalała mi robić niczego, co wymaga chodzenia, więc głównie rysowałam plany wystroju. Wybrałyśmy kolory farb i ustaliłyśmy docelową datę otwarcia kwaciarni – za pięćdziesiąt cztery dni. Kiedy poszła, przez następne kilka godzin robiłam wszystko, czego nie pozwalała mi robić, gdy pracowałyśmy razem. Cieszyłam się z powrotu. Ale rany, jestem skonana.

Właśnie dlatego leżę teraz na kanapie i zastanawiam się, czy wstać i zobaczyć, kto puka do drzwi. Lucy znowu nocuje dziś u Alexa, a z mamą rozmawiałam przez telefon pięć minut temu, więc wiem, że to żadna z nich.

Podchodzę do drzwi i spoglądam przez wizjer. Z początku nie poznaję swojego gościa, bo ma spuszczoną głowę, ale gdy ją podnosi i odwraca w prawo, moje serce zaczyna wariować!

Co on tutaj robi?

Ryle puka jeszcze raz. Staram się odsunąć włosy z twarzy i przyglądnąć je rękami, ale to daremny trud. Urobiłam się dzisiaj po łokcie i wyglądam koszmarnie, a ponieważ nie mam pół godziny na wzięcie prysznic, zrobienie makijażu i narzucenie na siebie czegoś ładnego, będę musiała mu wystarczyć w obecnym wydaniu.

Otwieram drzwi. Jego reakcja wprawia mnie w zdumienie.

– Jezu Chryste – mówi, opierając głowę o framugę. Dyszy jak po treningu w siłowni i wtedy zauważam, że wcale nie wygląda na bardziej wypoczętego ani czystsze ode mnie. Ma na twarzy kilkudniowy zarost, a jego włosy nie są tak stylowo ułożone jak ostatnio. Lekko się potargały i pasują do rozbieganego spojrzenia.

– Masz pojęcie, do ilu drzwi pukałem, żeby cię znaleźć?

Kręcę głową, bo nie mam pojęcia. Ale skoro o tym mowa... Skąd, do diabła, wiedział, gdzie mieszkam?

– Do dwudziestu dziewięciu – mówi. Potem unosi ręce i powtarza tę liczbę, pokazując ją na palcach i szepcząc: – Dwudziestu... dziewięciu.

Mój wzrok ześlizguje się na jego ubranie. Ma na sobie lekarski kitel i... O rany. Wygląda w nim o niebo lepiej niż w jednoczęściowej piżamie i znacznie lepiej niż w koszuli Burberry.

– Dlaczego pukałeś do dwudziestu dziewięciu drzwi? – pytam, przechylając głowę.

– Bo mi nie powiedziałaś, które mieszkanie jest twoje – mówi rzeczowo. – Mówiłaś, że mieszkasz w tym budynku, ale nie mogłem sobie przypomnieć, czy wspomniałaś, na którym piętrze. I musisz wiedzieć, że prawie zacząłem od trzeciego piętra. Gdybym zdał się na intuicję, byłbym tu już godzinę temu.

– A po co właściwie przyszedłeś?

Przesuwa dłońmi po twarzy. Potem pokazuje na coś nad moim ramieniem.

spojrzenie jak szczeniaczek i żalony, pełen nadziei uśmiech. – Tak bardzo, bardzo cię pragnę. Przysięgam, że kiedy już się ze mną prześpisz, nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Obiecuję.

Widok neurochirurga na kolanach błagającego o seks jest ponad moje siły. To żalotne.

– Wstań – mówię, odsuwając od siebie jego ręce. – Ośmieszasz się.

Powoli się podnosi, nie odrywając dłoni od drzwi za moimi plecami, tak że w końcu tkwię między jego ramionami jak w klatce.

– Czy to znaczy tak?

Jego klatka piersiowa prawie styka się z moją i to okropne, ale miło jest wzbudzać takie pożądanie. Powinno mnie to odrzucać, ale gdy na niego patrzę, ledwie mogę oddychać. Zwłaszcza że ma na twarzy ten sugestywny uśmiech.

– Ryle, nie czuję się teraz atrakcyjna. Pracowałam cały dzień. Jestem wykończona, śmierdę potem i pewnie smakuję kurzem. Jeśli dasz mi chwilę, żebym mogła wziąć prysznic, to być może poczuję się wystarczająco ponętna, żeby uprawiać z tobą seks.

Jeszcze zanim kończę mówić, zaczyna gorączkowo potakiwać.

– Prysznic. Nie ma pośpiechu. Zaczekam.

Odpycham go od siebie i zamykam drzwi. Idzie za mną do sypialni. Mówię, żeby poczekał na mnie w łóżku.

Na szczęście wczoraj wieczorem posprzątałam w pokoju. Zwykle wszędzie walają się ubrania, a na szafce nocnej piętczą się książki, buty i staniki, które nie zdołały dotrzeć do szafy. Dziś jednak jest czysto. Nawet pościeliłam łóżko i ułożyłam na nim paskudne pikowane poduszki, którymi moja babcia obdarowała wszystkich członków rodziny.

Szybko rozglądam się po pokoju, by się upewnić, że nie ma tam nic kompromitującego. Ryle siada na łóżku. Widzę, jak rozgląda się po sypialni. Staję w drzwiach łazienki i próbuję dać mu ostatnią szansę ucieczki.

– Ryle, mówisz, że po tym ci przejdzie, ale ostrzegam: jestem jak narkotyk. Jeśli dzisiaj się ze mną prześpisz, będzie jeszcze gorzej. A zrobię to tylko raz. Nie będę jedną z tych licznych dziewczyn, które wykorzystujesz, żeby... jak to ująłeś? „Zaspokoić swoje potrzeby”?

Opiera się na łokciach.

– Lily, ty jesteś inna. A ja nie należę do facetów, którzy potrzebują kogoś więcej niż raz. Nie mamy się o co martwić.

Zamykam za sobą drzwi, zastanawiając się, jak, do diabła, udało mu się mnie do tego nakłonić.

To przez ten Kitel. Mam słabość do lekarskich kitli. To nie ma nic wspólnego z nim samym.

Ciekawe, czy mógłby go nie zdejmować podczas seksu.

Nigdy nie potrzebuję więcej niż trzydziestu minut, żeby się wyszykować, ale tym razem spędzam w łazience prawie godzinę. Ogoliłam więcej miejsc, niż to chyba konieczne, a potem przez dwadzieścia minut panikowałam, próbując wyperswadować sobie pomysł, żeby otworzyć drzwi i wyprosić go z mieszkania. Ale teraz, kiedy mam już suche włosy i jestem czystsza niż kiedykolwiek dotąd, dochodzę do wniosku, że chyba jednak będę w stanie to zrobić. Zdecydowanie mogę sobie pozwolić na jednorazową przygodę. W końcu mam dwadzieścia trzy lata.

Otwieram drzwi i widzę, jak leży na moim łóżku. Jestem trochę zawiedziona, bo zauważam jego kitel na podłodze. Ale spodni nie widzę, więc najwyraźniej nadal ma je na sobie. Leży pod kołdrą, więc trudno to stwierdzić.

Zamykam za sobą drzwi i czekam, aż przewróci się na drugi bok i na mnie spojrzy, ale na próżno. Podchodzę bliżej i wtedy słyszę jego chrapanie.

Nie cichutkie pochrapywanie spod znaku „oj, chyba przysnąłem”. To chrapanie z samego środka fazy REM.

– Ryle? – szepczę.

Potrząsam nim, ale ani drgnie.

To chyba jakiś żart.

Opadam na łóżko, nie przejmując się tym, że mogłabym go obudzić. Właśnie przez godzinę szykowałam się dla niego po całym dniu harówki, a on wykręca mi taki numer?

Nie potrafię jednak się na niego złościć, zwłaszcza gdy widzę, jak spokojnie wygląda. Nie wyobrażam sobie pracy przez czterdzieści osiem godzin. Poza tym mam naprawdę wygodne łóżko – tak wygodne, że mógłby na nim zasnąć każdy, nawet po przespaniu całej nocy. Powinnam była go ostrzec.

Sprawdzam, która jest godzina. Już prawie wpół do jedenastej. Ściszam komórkę, a potem kładę się obok Ryle’a. Jego telefon leży na poduszce obok głowy, więc sięgam po niego i włączam aparat. Unoszę komórkę nad nami, dbając o to, żeby mój dekolt dobrze się prezentował. Pstrykam zdjęcie. Niech przynajmniej wie, co go ominęło.

Wyłączam światło i uśmiecham się pod nosem, bo właśnie zasypiam obok półnagiego faceta, którego nigdy nawet nie pocałowałam.

Jeszcze przed otwarciem oczu czuję, jak jego palce przesuwają się wzdłuż mojej ręki. Powstrzymuję uśmiech i udaję, że nadal śpię. Przebiega dłonią po moim ramieniu i zatrzymuje się na obojczyku, a po chwili dociera do szyi. Mam tam mały tatuaż, który zrobiłam sobie w college’u. To prosty kontur serca leciutko rozchylony u góry. Czuję, jak jego palce okrążają tatuaż. Przysuwa się i przykłada do niego usta. Jeszcze mocniej zaciskam powieki.

– Lily – szepcze, oplatając mnie ręką w talii.

Cicho jęczę, wciąż próbując udawać, że śpię, a potem przewracam się na plecy, żeby na niego spojrzeć. Gdy otwieram oczy, zauważam, że się we mnie wpatruje. Sądząc po świetle wpadającym przez okna i rozjaśniającym mu twarz, nie ma jeszcze nawet siódmej.

– Jestem najpodlejszym facetem, jakiego kiedykolwiek znałaś. Mam rację?

Śmieję się i lekko potakuję.

– Jak cholera.

Uśmiecha się, a potem odgarnia włosy z mojej twarzy. Przysuwa się i przyciska mi usta do czoła. Jestem na niego wściekła. Teraz to mnie zaczną dręczyć bezsenne noce, bo będą w nieskończoność odtwarzała tę scenę.

– Muszę iść – mówi. – Naprawdę jestem spóźniony. Ale po pierwsze, przepraszam. Po drugie, nigdy więcej tego nie zrobię. Już o mnie nie usłyszysz, obiecuję. Po trzecie, naprawdę mi przykro. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Zmuszam się do uśmiechu, lecz mam ochotę raczej zmarszczyć brwi, bo jego „po drugie” bardzo mi się nie podoba. Właściwie to nie mam nic przeciwko temu, żeby spróbował to powtórzyć. Po chwili jednak przypominam sobie, że mamy odmienne oczekiwania wobec życia. To dobrze, że zasnął i nawet się nie pocałowaliśmy, bo gdyby się ze mną przespał w tym swoim kitlu, to ja klęczałabym pod jego drzwiami, błagając o więcej.

Tak jest lepiej. Zerwać plaster i pozwolić mu odejść.

– Miłego życia, Ryle. Życzę ci samych sukcesów.

Przygląda mi się w milczeniu, lekko marszcząc brwi, wreszcie mówi:

– Tak. Tobie też, Lily.

Odsuwa się ode mnie i wstaje. Nie potrafię nawet na niego spojrzeć, więc przekręcam się na bok i odwracam plecami. Słucham, jak wkłada buty i sięga po telefon. Zanim wstaje, mija dłuższa chwila. Wiem, że to dlatego, że na mnie patrzy. Mocno zaciskam powieki, dopóki nie

rozlega się trzaśnięcie drzwi.

Od razu czuję ciepło na twarzy, ale nie pozwalam sobie na rozczulanie się. Zmuszam się do wstania z łóżka. Mam robotę do wykonania. Nie mogę się przejmować tym, że nie jestem wystarczająco dobra, by facet zapragnął przeformułować swoje życiowe cele.

Zresztą mam na głowie własne cele. I bardzo mnie to cieszy. Tak bardzo, że w zasadzie nie mam teraz czasu na faceta.

Nie mam czasu.

Nie mam.

Zajęta ze mnie dziewczyna.

Jestem odważną i bezkompromisową bizneswoman, która ma gdzieś facetów w lekarskich kitlach.

Rozdział szósty

Odkąd Ryle wyszedł z mojego mieszkania, minęły pięćdziesiąt trzy dni. Co oznacza, że minęły pięćdziesiąt trzy dni, odkąd po raz ostatni o nim słyszałam.

Ale to nic, bo przez ten czas byłam zbyt zajęta, żeby o nim myśleć. Pochłaniały mnie przygotowania do tej chwili.

– Gotowa? – pyta Allysa.

Kiwam głową, a ona odwraca tabliczkę z napisem „Otwarte”, po czym ściskamy się i piszczymy jak małe dzieci.

Biegniemy za ladę i czekamy na pierwszego klienta. To otwarcie próbne, więc w zasadzie nie podjęłam jeszcze żadnych działań marketingowych. Po prostu chcemy się upewnić, że w dniu wielkiego otwarcia nie będzie żadnych wpadek.

– Naprawdę tu ładnie – mówi Allysa, podziwiając rezultaty naszej ciężkiej pracy.

Rozglądam się, pękając z dumy. Oczywiście chcę, żeby mi się udało, ale na tym etapie jeszcze nie jestem pewna, czy to w ogóle ma znaczenie. Wymarzyła mi się kwiaciarnia i urobiłam sobie ręce po łokcie, żeby to marzenie się spełniło. Cokolwiek się teraz stanie, będzie jedynie wisienką na torcie.

– Cudownie tu pachnie – mówię. – Uwielbiam ten zapach.

Nie wiem, czy zjawią się dzisiaj jacyś klienci, ale obie zachowujemy się tak, jakby spotkała nas najlepsza rzecz w życiu, więc klienci są chyba mało istotni. Poza tym na pewno wpadną Marshall i moja mama, więc będziemy miały dwoje klientów. To już coś.

Allysa ściska mnie za ramię, bo otwierają się drzwi. Nagle zaczynam lekko panikować. Co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak?

Po chwili naprawdę wpadam w panikę, bo właśnie coś poszło nie tak. Bardzo nie tak. Moim pierwszym klientem jest nie kto inny jak Ryle Kincaid.

Gdy drzwi się za nim zamykają, zatrzymuje się i rozgląda z podziwem.

– Jak to? – mówi, obracając się. – Przecież...? – Spogląda na mnie i na Allyse. – Niesamowite. Jakbym był w zupełnie innym budynku!

No dobrze, może jednak się cieszę, że jest naszym pierwszym klientem.

Mija kilka minut, zanim wreszcie dociera do lady, bo po drodze nie może się powstrzymać i wszystkiego dotyka, wszystko ogląda. Gdy w końcu do nas podchodzi, Allysa wybiega z za kontuaru, żeby go uściskać.

– Prawda, że jest pięknie? – mówi. Macha ręką w moją stronę. – To wszystko jej pomysł. Wszystko. Ja tylko odwaliłam brudną robotę.

Ryle się śmieje.

– Trudno mi uwierzyć, że twoje zainteresowania i słabość do Pinteresta nie odegrały tu żadnej roli.

Kiwam głową.

– Umniejsza swoje zasługi. Jej umiejętności bardzo pomogły wcielić tę wizję w życie.

Ryle uśmiecha się do mnie, ale równie dobrze mógłby mi wbić nóż w serce, bo sprawia mi ból.

Głośno opuszcza dłonie na ladę i pyta:

– Czy jestem pierwszym oficjalnym klientem?

Allysa podaje mu jedną z ulotek.

– Żeby uznano cię za klienta, musisz coś kupić.

Ryle spogląda na ulotkę, po czym odkłada ją na ladę. Podchodzi do wystawy i bierze wazon pełen fioletowych lilii.

– Chcę te – oznajmia, kładąc je na ladzie.

Uśmiecham się, zastanawiając się, czy zdaje sobie sprawę, że właśnie wybrał lilie. Jak na ironię.

– Mamy je gdzieś dostarczyć? – pyta Allysa.

– Rozwozicie kwiaty?

– Nie osobiście – odpowiadam. – Mamy kuriera w odwodzie. Nie byliśmy pewne, czy będzie nam dzisiaj potrzebny.

– Naprawdę kupujesz je dla dziewczyny? – pyta Allysa. Wnika w życie uczuciowe brata jak każda siostra, ale przyłapuję się na tym, że nadstawiam uszu, by lepiej usłyszeć odpowiedź.

– Tak – odpowiada. Spogląda mi w oczy i dodaje: – Ale nie myślę o niej zbyt często. Prawie wcale.

Allysa sięga po karteczkę i mu ją podsuwa.

– Biedaczka – mówi. – Straszny z ciebie kutas. – Stuka palcem w papier. – Z przodu napisz to, co chcesz jej przekazać, a z tyłu adres, pod który mamy dostarczyć kwiaty.

Patrzę, jak pochyla się nad karteczką i zaczyna pisać. Wiem, że nie mam prawa, ale gotuję się z zazdrości.

– Zamierzasz ją przyprowadzić w piątek na moją imprezę urodzinową? – pyta Allysa.

Uważnie obserwuję jego reakcję. Przecząco kręci głową i nie podnosząc wzroku, odpowiada:

– Nie. Przyjdiesz, Lily?

Nie potrafię ocenić po jego głosie, na co ma nadzieję: że tam będę czy że mnie nie będzie. Biorąc pod uwagę, jak bardzo stresuje go moja obecność, domyślam się, że chodzi raczej o to drugie.

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Przyjdzie – mówi Allysa. Spogląda na mnie, mrużąc oczy. – Będiesz na mojej imprezie, czy to ci się podoba czy nie. Jeśli się nie zjawisz, rzucę pracę.

Ryle kończy pisać i wkłada karteczkę do koperty przyklejonej do kwiatów. Allysa wystawia rachunek i jej brat płaci gotówką. Spogląda na mnie, odliczając pieniądze.

– Lily, wiesz, że zgodnie z tradycją należy oprawić w ramkę pierwszego zarobionego dolara?

Kiwam głową. Oczywiście, że wiem. I on wie, że ja wiem. Po prostu chce podkreślić, że to jego dolar będzie wisiał oprawiony w ramkę na ścianie mojej kwiaciarni aż do końca jej istnienia. Mam ochotę powiedzieć Allysie, żeby dała mu bukiet za darmo, ale interes to interes. Muszę zapomnieć o zranionej dumie.

Gdy już dostaje paragon, stuka pięścią w ladę, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Lekko przechyla głowę.

– Gratulacje, Lily – mówi ze szczerym uśmiechem.

Odwraca się i wychodzi. Gdy tylko zamykają się za nim drzwi, Allysa sięga po kopertę.

– Komu, do diabła, przesyła kwiaty? – pyta, wyjmując karteczkę. – Ryle nigdy nie wysyła kwiatów.

Czyta na głos to, co napisał z przodu karteczki.

– „Uwolnij mnie”.

O kurczę.

Przez chwilę wpatruje się w karteczkę, powtarzając to zdanie.

– „Uwolnij mnie”? Co to ma znaczyć, do cholery? – zastanawia się.

Dłużej tego nie zniosę. Zabieram jej bilecik i odwracam na drugą stronę. Allysa pochyla się nad nią i razem czytamy adres.

– Co za kretyn – mówi ze śmiechem. – Napisał adres naszej kwiaciarni. – Wyjmuje karteczkę z mojej dłoni.

O rany.

Ryle właśnie kupił mi kwiaty. I to nie pierwsze lepsze. Kupił mi bukiet lilii.

Allysa sięga po telefon.

– Napiszę mu esemesa, że zawalił sprawę. – Wysyła wiadomość, a potem śmieje się i patrzy na kwiaty. – Jak to możliwe, że neurochirurg jest takim kretynem?

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Cieszę się, że Allysa patrzy na bukiet, a nie na mnie, bo wtedy mogłaby dodać dwa do dwóch.

– Przechowam je w biurze, dopóki nie ustalimy, dokąd chce je wysłać.

Sięgam po wazon i zabieram swoje lilie.

Rozdział siódmy

– Przestań się wiercić – mówi Devin.

– Wcale się nie wiercę.

Bierze mnie pod rękę i prowadzi do windy.

– Właśnie że tak. A jeśli jeszcze raz pociągniesz za ten dekolt, cały pomysł włożenia małej czarnej straci sens. – Łapie za górę mojej sukienki i obciąga ją z powrotem, po czym sięga do środka, żeby poprawić mi stanik.

– Devin! – trzępię go po ręce, a on się śmieje.

– Lily, wyluzuj. Dotykałem o wiele lepszych cycków niż twoje i nadal jestem gejem.

– Tak, ale założę się, że te cycki były dołączone do kogoś, z kim spotykasz się częściej niż raz na pół roku.

Devin nie przestaje się śmiać.

– To prawda, ale to w dużej mierze twoja wina. To ty porzuciłaś nas na pastwę losu, żeby bawić się kwiatkami.

Devin był jednym z moich ulubionych współpracowników w firmie marketingowej, ale nie zżyliśmy się ze sobą na tyle, żeby przyjaźnić się poza pracą. Dziś po południu wpadł do kwaciarni i Allysa prawie natychmiast go polubiła. Błagała, żeby przyszedł ze mną na imprezę, a ponieważ raczej nie chciałam zjawiać się sama, w końcu też zaczęłam go błagać, żeby przyjął zaproszenie.

Przyglądam włosy i próbuję dojrzeć swoje odbicie w ścianach windy.

– Dlaczego tak się denerwujesz? – pyta.

– Wcale się nie denerwuję. Po prostu nie znoszę bywać gdzieś, gdzie nikogo nie znam.

Devin uśmiecha się znacząco.

– Jak mu na imię?

Wypuszczam powietrze. Naprawdę aż tak łatwo mnie przejrzeć?

– Ryle. Jest neurochirurgiem. I bardzo, bardzo chce się ze mną przespać.

– Skąd wiesz, że chce się z tobą przespać?

– Bo padł przede mną na kolana i powiedział: „Lily, błagam, prześpij się ze mną”.

Devin unosi brew.

– Błagał?

Kiwam głową.

– Nie było to tak żalosne, jak może się wydawać. Zwykle jest bardziej opanowany.

W windzie rozlega się dźwięk i drzwi zaczynają się otwierać. Słyszę muzykę wylewającą się na korytarz. Devin bierze mnie za rękę.

– No więc jaki jest plan? Mam wzbudzić jego zazdrość?

– Nie – odpowiadam, kręcąc głową. – To nie byłoby w porządku. – Ale... Za każdym razem, kiedy Ryle mnie widzi, podkreśla, że ma nadzieję nigdy więcej mnie nie zobaczyć. Więc może troszeczkę? – Marszczę nos. – Ociupinkę?

Devin ściąga usta.

– Załatwione.

Kładzie dłoń u nasady moich pleców i wyprowadza mnie z windy. W korytarzu widać tylko jedno drzwi, więc ruszamy w ich stronę i naciskamy dzwonek.

– Dlaczego nie ma więcej drzwi? – pyta Devin.

– Całe piętro należy do niej.

Chichocze.

– I ta dziewczyna dla ciebie pracuje? A niech mnie, twoje życie robi się coraz bardziej interesujące.

Drzwi się otwierają. Na widok Allysy czuję wielką ulgę. Mieszkanie rozbrzmiewa muzyką i śmiechem. Jubilatka trzyma w jednej ręce kieliszek szampana, a w drugiej szpicrutę. Widzi, że z zaskoczeniem przyglądam się temu drugiemu przedmiotowi, więc rzuca go przez ramię i bierze mnie za rękę.

– Długo by opowiadać – mówi ze śmiechem. – Wchodźcie, wchodźcie!

Wciąga mnie do środka, a ja łapię Devina za rękę i wlekę go za sobą. Allysa prowadzi nas przez tłum gości i w końcu docieramy na drugi koniec salonu.

– Hej! – woła, ciągnąc Marshalla za ramię.

Marshall odwraca się, uśmiecha, a potem ściska mnie na powitanie. Rozglądam się, ale nigdzie nie widzę Ryle'a. Może mi się poszczęściło i ma dzisiaj dyżur.

Marshall wyciąga rękę do Devina.

– Cześć, stary! Miło cię poznać!

Devin obejmuje mnie w talii.

– Jestem Devin! – mówi, przekrzykując muzykę. – Partner seksualny Lily!

Śmieję się i szturcham go w bok.

– To Marshall – mówię mu do ucha – nie ten facet. Ale nieźle ci idzie.

Allysa łapie mnie za ramię i odciąga od Devina, którego Marshall o coś zagaduje. Chcę, żeby poszedł ze mną, ale on nie ma zamiaru nigdzie się ruszać.

– Poradzisz sobie! – woła.

Idę za Allyszą do kuchni. Moja przyjaciółka wkłada mi w dłoń kieliszek i mówi:

– Pij! Zasłużyłaś sobie!

Upijam łyk szampana, ale nie jestem w stanie docenić jego smaku, widząc olbrzymią kuchnię z dwiema płytami i lodówką większą niż moje mieszkanie.

– Boże – szepczę. – Naprawdę tu mieszkasz?

Śmieje się.

– Wiem, wiem – odpowiada. – I pomyśleć, że nawet nie musiałam wychodzić za Marshalla dla pieniędzy. Kiedy się w nim zakochałam, miał siedem dolców i jeździł fordem pinto.

– Czy przypadkiem nadal nie jeździ fordem pinto?

Allysa wzdycha.

– No tak, ale mamy mnóstwo miłych wspomnień związanych z tym samochodem.

– Ohyda.

Żartobliwie porusza brwiami.

– No więc... fajny ten Devin.

– Prawdopodobnie jest bardziej zainteresowany Marshall'em niż mną.

– Oj, szkoda... Co za porażka. Kiedy go zapraszałam, myślałam, że bawię się w swatkę.

Drzwi do kuchni się otwierają i wchodzi Devin.

– Mąż cię szuka – mówi do Allysy. Jubilatka tanecznym krokiem wychodzi z kuchni, nie przestając chichotać. – Naprawdę ją polubiłem – dodaje Devin.

– Jest wspaniała, nie?

Opiera się o wyspę i oznajmia:

– Chyba właśnie poznałem wielkiego żebraka.

Serce trzepocze mi w piersi. Moim zdaniem „neurochirurg” brzmi lepiej. Pociągam następny łyk szampana.

– Skąd wiesz, że to on? Poznaliście się?

– Nie, ale usłyszał, jak Marshall przedstawia mnie komuś jako chłopaka Lily. Myślałem, że facet spali mnie wzrokiem. Właśnie dlatego tu przyszedłem. Lubię cię, ale nie mam ochoty za ciebie umierać.

Śmieję się.

– Bez obaw, jestem pewna, że to piorunujące spojrzenie to był jego uśmiech. Przeważnie trudno je od siebie odróżnić.

Drzwi znowu się otwierają i natychmiast sztywnieję, ale to tylko pracownik firmy cateringowej. Oddycham z ulgą.

– Lily – mówi Devin, jakby moje imię sprawiało mu zawód.

– Co?

– Wyglądasz, jakbyś miała puścić pawia – rzuca oskarżycielskim tonem. – On naprawdę ci się podoba.

Przewracam oczami. Później jednak opadają mi ręce i przyznaję z udawanym płaczem:

– Tak, Devin, to prawda. To prawda, tylko że ja wcale tego nie chcę.

Bierze ode mnie kieliszek i wychyla to, co w nim zostało, a potem znowu chwyta mnie pod rękę.

– Chodźmy się bawić – mówi, wyciągając mnie z kuchni wbrew mojej woli.

Teraz w salonie panuje jeszcze większy tłok. W środku musi być ponad setka osób. Nie jestem pewna, czy w ogóle znam aż tylu ludzi.

Krążymy i gawędzimy z innymi gośćmi. Przeważnie stoję z boku, a rozmawianiem zajmuje się Devin. Okazuje się, że on i każda napotkana przez nas osoba mają jakichś wspólnych znajomych. Po półgodzinie łączenia za nim nabieram przekonania, że tropienie wspólnych znajomych to coś w rodzaju jego prywatnej gry. Kiedy mu towarzyszę, część mojej uwagi skupia się na nim, a część na salonie – wciąż dyskretnie wypatruję Ryle'a. Nigdzie go nie widzę, więc zaczynam się zastanawiać, czy spotkany przez Devina facet to był rzeczywiście on.

– Hm, dziwne – mówi jakaś kobieta. – Jak myślisz, co to takiego?

Odwracam się w jej stronę i widzę, że wpatruje się w dzieło sztuki na ścianie. Wygląda to jak zdjęcie powiększone na płótnie. Przechylam głowę, żeby mu się przyjrzeć. Kobieta marszczy nos.

– Nie wiem, dlaczego ktoś zadał sobie trud, żeby powiesić to zdjęcie na ścianie – stwierdza. – Jest okropne. Takie rozmazane, że nie wiadomo, co to takiego. – Prycha i odchodzi, a ja czuję ulgę. Bo przecież... może i zdjęcie rzeczywiście jest trochę dziwne, ale czy mam prawo krytykować gust Allysy?

– Jak ci się podoba?

Jego głos jest niski, głęboki i rozlega się tuż za mną. Na chwilę zamykam oczy i biorę oddech dla uspokojenia nerwów, a wypuszczając powietrze, mam nadzieję, że nie zauważył, jakie zrobił na mnie wrażenie.

– Podoba mi się. Nie jestem pewna, co to takiego, ale wygląda interesująco. Twoja siostra ma dobry gust.

Staje obok i spogląda na mnie. Znajduje się tak blisko, że muska moje ramię.

– Przyszłaś z chłopakiem?

Mówi to tak, jakby zadawał zwyczajne pytanie, ale wiem, że ono wcale nie jest zwyczajne. Milczę, więc się pochyla i szepcze mi do ucha. Powtarza to, co powiedział przed chwilą, ale już nie w formie pytania.

– Przyszłaś z chłopakiem.

Zbieram się na odwagę, żeby na niego spojrzeć, i natychmiast tego żałuję. Ma na sobie

czarny garnitur, przy którym lekarski kitel to małe piwo. Przełykam gulę, która niespodziewanie urosła mi w gardle, i mówię:

– Przeszkadza ci to? – Odwracam wzrok z powrotem w stronę zdjęcia na ścianie. – Próbowałam ułatwić ci sprawę. No wiesz. Uwolnić cię od tego.

Uśmiecha się kwaśno i wypija resztę wina.

– Jak miło z twojej strony, Lily.

Wyrzuca pusty kieliszek po winie do kosza na śmieci w kącie pokoju. Trafia do celu, ale szkło roztrzaskuje się, uderzając o dno pustego pojemnika. Rozglądam się, lecz widzę, że nikt nie zauważył, co się stało. Gdy znowu patrzę na Ryle'a, jest już w połowie korytarza. Znika w jakimś pokoju, a ja zostaję sama i znowu gapię się na zdjęcie.

I wtedy doznaję olśnienia.

Fotografia jest rozmazana, więc początkowo trudno to było dostrzec. Ale te włosy poznałabym wszędzie. To moje włosy. Nie sposób ich przeoczyć na tle leżaka z polimeru odpornego na ekstremalne warunki. To zdjęcie zrobione przez Ryle'a na dachu tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy. Najwidoczniej powiększył je tak bardzo, żeby nikt nie mógł się domyślić, co na nim jest. Zbliżam dłoń do szyi, bo mam wrażenie, że krew wrze mi w żyłach. Naprawdę robi mi się gorąco.

Obok zjawia się Allysa.

– Dziwne, nie? – mówi, patrząc na zdjęcie.

Drapię się po dekolcie.

– Strasznie tu duszno – mówię. – Nie wydaje ci się?

Rozgląda się.

– Naprawdę? Nie zauważyłam. Z drugiej strony jestem trochę wstawiona. Powiem, Marshallowi, żeby włączył klimatyzację.

Znowu znika. Im dłużej przyglądam się zdjęciu, tym większą czuję złość. Ten facet powiesił sobie w mieszkaniu moje zdjęcie. Kupił mi kwiaty. Robi mi scenę dlatego, że przyszłam z chłopakiem na imprezę jego siostry. Zachowuje się, jakby coś między nami było, a nigdy nawet się nie pocałowaliśmy!

To wszystko uderza mnie w jednej chwili. Złość... irytacja... pół kieliszka szampana wypitego w kuchni. Jestem tak wściekła, że nie potrafię racjonalnie myśleć. Jeśli ten facet tak bardzo chce uprawiać ze mną seks... nie powinien był zasypiać! Jeśli nie chce, żebym do niego wdychała, nie powinien kupować mi kwiatów! Nie powinien wieszać moich tajemniczych zdjęć w miejscu, w którym mieszka!

Pragnę tylko świeżego powietrza. Potrzebuję świeżego powietrza. Na szczęście doskonale wiem, gdzie można je znaleźć.

Po chwili wpadam na taras na dachu. Są tu trzy osoby z imprezy, siedzą na meblach ogrodowych. Nie zwracam na nie uwagi. Podchodzę do balustrady, za którą roztacza się ładny widok, i się przez nią przechylam. Biorę parę głębokich oddechów, próbując się uspokoić. Mam ochotę zejść na dół i powiedzieć Ryle'owi, żeby się, do cholery, zdecydował, ale wiem, że najpierw muszę ochłoniąć.

Na dachu jest zimno i z jakiegoś powodu winię za to Ryle'a. Dziś wieczorem winię go za wszystko. Wszystko. Wojny, głód, przemoc – całe zło w jakiś sposób wiąże się z Ryle'em.

– Możecie na chwilę zostawić nas samych?

Odwracam się gwałtownie i widzę Ryle'a stojącego obok tamtych ludzi z imprezy. Natychmiast kiwają głowami i wstają, żebyśmy mogli porozmawiać w cztery oczy.

– Zaczekajcie – mówię, podnosząc rękę, ale nikt na mnie nie patrzy. – To nie jest konieczne. Naprawdę nie musicie wychodzić.

Ryle zachowuje stoicki spokój, ręce trzyma w kieszeniach.

– W porządku, nie ma sprawy – mamrocze jeden z gości.

Zaczynają schodzić po schodach. Przewracam oczami, a gdy zostajemy sami, szybko odwracam się w stronę balustrady.

– Wszyscy zawsze robią to, co im każesz? – pytam poirytowana.

Nie odpowiada. Podchodzi do mnie wolnym, zdecydowanym krokiem. Serce zaczyna mi walić jak na szybkiej randce i znowu drapię się po dekolcie.

– Lily – mówi, stając za mną.

Odwracam się i obiema rękami łapię za balustradę z tyłu. Jego wzrok wędruje po moim ciele i zatrzymuje się na piersiach. Natychmiast podciągam dekolt sukienki, żeby ich nie zobaczył, po czym znowu łapię się balustrady. Ryle reaguje na to śmiechem i podchodzi jeszcze bliżej. Już prawie się dotykamy. Mój mózg zmienia się w papkę. To żalosne. Ja jestem żalosna.

– Czuję, że masz mi wiele do powiedzenia – mówi. – Dlatego chciałbym dać ci szansę powiedzenia nagiej prawdy.

– Ha! – pryham. – Jesteś pewny?

Kiwa głową, więc postanawiam dać mu to, czego chce. Dotykam jego klatki piersiowej i go odpycham, żeby to on stanął teraz przy balustradzie.

– Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz, Ryle! I za każdym razem, kiedy już prawie zaczynam mieć to w dupie, zjawiasz się nie wiadomo skąd! W mojej pracy, pod moimi drzwiami, na imprezach...

– Ja tu mieszkam – mówi, usprawiedliwiając tę ostatnią obecność. To wkurza mnie jeszcze bardziej. Zaciskam pięści.

– Och! Doprowadzasz mnie do szału! Chcesz mnie czy nie?

Prostuje się i robi krok w moją stronę.

– O, chcę, Lily. Nie miej co do tego złudzeń. Po prostu nie chcę cię chcieć.

Gdy słyszę te słowa, przez moje ciało przebiega dreszcz. Po części z frustracji, a po części dlatego, że wszystko, co mówi Ryle, wywołuje u mnie ciarki, i jestem na siebie wściekła, że pozwalam się doprowadzać do takiego stanu.

Kręcę głową.

– Nic nie rozumiesz, prawda? – mówię łagodniejszym tonem. Jestem zbyt zdruzgotana, żeby dalej na niego krzyczeć. – Lubię cię, Ryle. I świadomość, że chcesz mnie tylko na jedną noc, naprawdę bardzo mnie zasmuca. Może gdyby to było kilka miesięcy temu, moglibyśmy pójść ze sobą do łóżka i wszystko byłoby w porządku. Ty byś się ulotnił, a ja żyłabym dalej jak gdyby nigdy nic. Ale już nie jest kilka miesięcy temu. Za długo zwlekałeś i za bardzo się w to zaangażowałam, więc proszę, przestań ze mną flirtować. Przestań wieszać w mieszkaniu moje zdjęcia. I nie przysyłaj mi kwiatów. Bo to wcale nie jest miłe, Ryle. Tak właściwie to sprawiasz mi tym ból.

Jestem przybita, wyczerpana i zdecydowana, by sobie pójść. Ryle przygląda mi się w milczeniu, a ja daję mu czas na odpowiedź. On jednak nic nie mówi. Odwraca się tylko, przechyla przez balustradę i wpatruje w ulicę, jakby nie usłyszał ani jednego mojego słowa.

Podchodzę do drzwi i je otwieram, w głębi serca licząc na to, że Ryle mnie zawoła i poprosi, żebym została. Docieram aż do mieszkania i dopiero tam tracę nadzieję. Przeciskam się przez tłum i przechodzę przez trzy pomieszczenia w poszukiwaniu Devina. Na widok mojej miny tylko kiwa głową i podchodzi.

– Gotowa do wyjścia? – pyta, biorąc mnie pod rękę.

Kiwam głową.

– Jeszcze jak.

Znajdujemy Allyse w największym salonie. Żegnam się z nią i Marshalllem, wymawiając się zmęczeniem związanym z otwarciem kwaciarni i koniecznością wyspania się przed jutrzejszym dniem pracy. Allysa ściska mnie i odprowadza do drzwi.

– Wracam w poniedziałek – mówi, całując mnie w policzek.

– Udanego świętowania!

Devin otwiera drzwi, lecz gdy już mamy wyjść na korytarz, słyszę, że ktoś woła mnie po imieniu.

Odwracam się i widzę, że Ryle przepycha się przez gości na drugim końcu salonu.

– Lily, zaczekaj! – krzyczy, wciąż próbując się do mnie przedostać.

Serce zamiera mi w piersi. Ryle idzie szybko, omijając ludzi, coraz bardziej zniecierpliwiony. W końcu wynurza się z tłumu i znowu spogląda mi w oczy. Wytrzymuje moje spojrzenie, energicznie krocząc w moją stronę. Nie zwalnia. Allysa musi zejść mu z drogi, bo Ryle idzie prosto na mnie. Początkowo myślę, że zamierza mnie pocałować albo przynajmniej odeprzeć wszystkie zarzuty, które skierowałam pod jego adresem. On jednak robi coś, na co zupełnie nie jestem przygotowana. Bierze mnie na rękę.

– Ryle! – krzyczę, łapiąc go za szyję. Jestem pewna, że mnie upuści. – Postaw mnie z powrotem!

Jedną ręką podtrzymuje mi nogi, a drugą plecy.

– Muszę pożyczyć Lily na noc – zwraca się do Devina. – W porządku?

Patrzę na mojego towarzysza i kręcę głową, wytrzeszczając oczy. Devin tylko się uśmiecha.

– Proszę bardzo – odpowiada.

Zdrajca!

Ryle się odwraca i rusza w stronę salonu. Po drodze patrzę na Allyse. Wpatruje się we mnie osłupiała.

– Zabiję tego twojego brata! – wołam do niej.

Gapią się na nas wszyscy ludzie w salonie. Jestem tak zawstydzona, że tylko wtulam twarz w klatkę piersiową Ryle'a, gdy on niesie mnie korytarzem do swojego pokoju. Kiedy jesteśmy już w środku, powoli stawia mnie na podłodze. Natychmiast zaczynam na niego krzyczeć i próbuję go zepchnąć z drogi do wyjścia, lecz on gwałtownie mnie odwraca i popycha na drzwi, łapiąc mnie jednocześnie za oba nadgarstki. Przyciska je do ściany nad moją głową.

– Lily?

Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że przestaję się szamotać i wstrzymuję oddech. Jego klatka piersiowa przywiera do mojej, moje plecy przywierają do drzwi. A potem czuję jego usta na swoich. Ich ciepły dotyk.

Mimo siły, jaką emanują, są jak jedwab. Szokuje mnie dreszcz, który przebiega przez moje ciało, a jeszcze bardziej szokuje mnie to, że rozchylam wargi i chcę więcej. Jego język zbliża się do mojego i Ryle uwalnia moje nadgarstki, by wziąć moją twarz w dłonie. Całuje mnie coraz namiętniej, a ja łapię go za włosy, przyciągając go bliżej. Odczuwam ten pocałunek całym ciałem.

Jak przez mgłę słyszę nasze jęki i westchnienia, nasze ciała pragną więcej. Ryle unosi moje biodra, a ja oplatom go nogami.

Rany, jak on całuje! Zupełnie jakby traktował całowanie równie poważnie jak swój zawód. Robi krok do tyłu, tak że odklejam plecy od drzwi, i wtedy do mnie dociera, że jego usta owszem, dużo potrafią, nie umiały jednak odpowiedzieć na to wszystko, co usłyszał ode mnie na dachu.

Wygląda na to, że właśnie uległam. Daję mu to, czego chce: jednorazową przygodę. A to

ostatnia rzecz, na jaką teraz zasługuje.

Odsuwam wargi od jego warg i odpycham jego ramiona.

– Postaw mnie z powrotem.

Ryle nie przestaje iść w stronę łóżka, więc powtarzam:

– Ryle, natychmiast postaw mnie z powrotem.

Zatrzymuje się i opuszcza mnie na podłogę. Muszę się od niego odsunąć i spojrzeć w drugą stronę, żeby zebrać myśli. Patrzenie na niego, gdy wciąż jeszcze czuję dotyk jego ust, jest ponad moje siły.

Obejmuje mnie w tali i kładzie głowę na moim ramieniu.

– Przepraszam – szepcze. Odwraca mnie, zbliża dłoń do mojej twarzy i głaszcze mnie kciukiem po policzku. – Teraz moja kolej, dobrze?

Nie reaguję. Nadal stoję z rękami splecionymi na piersi i zanim pozwolę sobie na jakąkolwiek reakcję, czekam na to, co ma mi do powiedzenia.

– Dałem to zdjęcie do wywołania następnego dnia po tym, jak je zrobiłem – mówi. – Wisi w moim mieszkaniu od miesiący, dlatego że byłaś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem, i chciałem na nie patrzeć każdego dnia.

Aha.

– Pamiętasz tamten wieczór, kiedy znalazłem twoje mieszkanie? Zacząłem cię szukać, ponieważ w całym moim życiu nikt nie wpęłzył mi pod skórę tak jak ty. Nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. A kwiaty kupiłem ci dlatego, że jestem z ciebie bardzo, bardzo dumny, bo spełniłaś swoje marzenie. Lecz gdybym przysyłał ci kwiaty za każdym razem, kiedy czuję taką potrzebę, nie zmieściłyby się w twoim mieszkaniu. Tak często o tobie myślę... I masz rację, Lily. Sprawiam ci ból, ale ja też go czuję. I aż do dzisiaj... nie wiedziałem dlaczego.

Nie mam pojęcia, skąd biorę siłę, żeby odezwać się po tym, co właśnie usłyszałam.

– Dlaczego czujesz ból?

Opiera czoło o moje.

– Bo nie mam pojęcia, co robić – wzdycha. – Przy tobie chcę być innym człowiekiem, ale co będzie, jeśli nie będę umiał być taki, jaki chcesz, żebym był? To wszystko jest dla mnie nowe i chcę ci udowodnić, że pragnę o wiele więcej niż tylko jednej nocy.

Wydaje się teraz zupełnie bezbronny. Chcę wierzyć w szczerść jego spojrzenia, ale kiedy się poznaliśmy, powiedział wprost, że pragnie czegoś zupełnie innego niż ja. Przeraza mnie myśl, że mu ulegnę, a wtedy on odejdzie.

– Lily, jak mam cię do siebie przekonać? Powiedz, a to zrobię.

Nie wiem. Ledwie go znam. Z drugiej strony znam go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że seks z nim mi nie wystarczy. Tylko skąd mam mieć pewność, że jemu nie zależy wyłącznie na seksie?

Natychmiast spoglądam mu w oczy.

– Nie uprawiajmy seksu.

Wpatruje się we mnie z niemożliwą do rozszyfrowania miną, jednak po chwili kiwa głową, jakby wreszcie zrozumiał.

– W porządku – mówi. – Okej. Nie będę uprawiał z tobą seksu, Lily Bloom.

Omija mnie, podchodzi do drzwi i zamyka je na klucz. Gasi światło, zostawiając tylko lampkę nocną, a potem zdejmuję koszulę.

– Co ty robisz?

Rzuca koszulę na krzesło i zsuwa buty.

– Idziemy spać.

Zdezorientowana spoglądam na łóżko. A potem na niego.

– Teraz?

Przytakuje i podchodzi bliżej. Jednym płynnym ruchem podnosi moją sukienkę i zdejmuje mi ją przez głowę. Stoję teraz na środku jego pokoju w staniku i majtkach. Zasłaniam się, ale nie zaszczyca mnie spojrzeniem. Ciągnie mnie do łóżka i odrzuca kołdrę.

– Przecież już ze sobą spaliśmy bez uprawiania seksu – mówi, podchodząc do łóżka od swojej strony. – Bułka z masłem.

Śmieję się. Ryle sięga w stronę komody i podłącza telefon do ładowarki. Wykorzystuję tę chwilę, żeby rozejrzeć się po jego pokoju. Zdecydowanie nie przypomina pokoi gościnnych, do jakich przywykłam. Jest wielkości trzech moich sypialni. Pod przeciwległą ścianą stoją kanapa i fotel zwrócony w stronę telewizora, a obok nich znajduje się pełnoprawny gabinet wyposażony w biblioteczkę sięgającą od podłogi po sufit. Nadal się rozglądam, ale światło gaśnie.

– Masz naprawdę bogatą siostrę – mówię, czując, jak przykrywa mnie kołdrą. – Co ona właściwie robi z tymi dziesięcioma dolcami za godzinę, które jej płacę? Podciera się nimi?

Ryle się śmieje i łapie mnie za rękę, wsuwając palce między moje.

– Pewnie nawet nie spienięża czeków – odpowiada. – Sprawdziałaś to kiedyś?

Nie sprawdzałam. Jestem bardzo ciekawa.

– Dobranoc, Lily – mówi.

Nie potrafię przestać się uśmiechać, bo to trochę zabawne. I jednocześnie wspaniałe.

– Dobranoc, Ryle.

Chyba zabłądziłam.

Wszystko jest takie białe i czyste, wręcz oślepiające. Drepczę przez jeden z salonów, próbując znaleźć drogę do kuchni. Nie mam pojęcia, gdzie wylądowała wczoraj moja sukienka, więc włożyłam jedną z koszulek Ryle'a. Sięga mi za kolana. Zastanawiam się, czy Ryle musi kupować za duże koszulki, żeby nie opinały go w barkach.

W mieszkaniu jest stanowczo za jasno, więc muszę osłaniać oczy dłońmi, bo razi mnie słońce.

Wchodzę do kuchni i pierwsze, co widzę, to ekspres do kawy.

Całe szczęście!

Nastawiam go. Gdy zaczynam szukać kubka, otwierają się drzwi za moimi plecami. Odwracam się szybko i czuję ulgę, widząc, że Allysa nie zawsze jest idealnie umalowana i obwieszona biżuterią. Na czubku głowy ma przekrzywiony kok, a na policzkach rozmazany tusz do rzęs. Pokazuje na ekspres.

– Też będę potrzebowała kofeiny – mówi. Siada na wypie, a potem niezgrabnie się pochyla.

– Mogę cię o coś spytać? – odzywam się.

Ledwie starcza jej siły, żeby pokiwać głową.

Wykonuję szeroki gest.

– Jak to się stało? Jak to możliwe, że między wczorajszą imprezą a moją dzisiejszą pobudką twoje mieszkanie znowu stało się nieskazitelnie czyste? Nie poszłaś spać i sprzątałaś?

Śmieje się.

– Mamy od tego ludzi – mówi.

– Ludzi?

Kiwa głową.

– No. Mamy ludzi od wszystkiego – ciągnie. – Nie uwierzyłybyś. No, pomyśl o czymś. O czymkolwiek. Prawdopodobnie mamy od tego ludzi.

– Zakupy spożywcze?

– Ludzie.
– Ozdoby świąteczne?
– Od tego też mamy ludzi.
– A prezenty urodzinowe? Na przykład dla członków rodziny?
– Ludzie – mówi z uśmiechem. – Każda osoba z mojej rodziny dostaje prezent i kartkę z każdej możliwej okazji, a ja nie muszę nawet o tym pamiętać.

Kręcę głową.

– Rany. Od dawna jesteś taka bogata?
– Od trzech lat. Marshall sprzedał Apple’owi kilka apek za mnóstwo pieniędzy. Co pół roku robi aktualizacje i je też sprzedaje.

Z ekspresu zaczyna ciurkać kawa, więc łapię kubek i czekam, aż się napełni.

– Chcesz cukru albo mleka? – pytam. – A może od tego też masz ludzi?

Śmieje się.

– Tak. Mam ciebie i poproszę słodzoną.

Wsypuję trochę cukru do kubka Allysy i go jej podsuwam, a potem nalewam kawy także sobie. Gdy dodaję śmietanki, na chwilę zapada cisza. Czekam, aż Allysa powie coś o mnie i Ryle’u. Ta rozmowa jest nieunikniona.

– Mogłybyśmy uniknąć tej krępującej atmosfery? – pyta.

Wzdycham z ulgą.

– Pewnie. Nie ścierpiałabym jej. – Patrzę na Allyse i upijam łyk. Ona odstawia kubek i zaciska dłonie na blacie.

– Jak w ogóle do tego doszło?

Kręcę głową, bardzo starając się powstrzymać rozmarzony uśmiech. Nie chcę, żeby mnie uznała za słabą albo głupią, dlatego że mu uległam.

– Poznaliśmy się, zanim poznałam ciebie.

Przechyla głowę.

– Czekaj – mówi. – Zanim poznałaś mnie lepiej czy zanim w ogóle mnie poznałaś?

– W ogóle – precyzuję. – Poznaliśmy się pewnej nocy jakiegoś pół roku przed tym, jak poznałam ciebie.

– Pewnej nocy? – pyta. – To była... jednorazowa przygoda?

– Nie, nie. Do wczorajszego wieczoru nawet się nie całowaliśmy. Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu dość długo ze sobą flirtowaliśmy i wczoraj wreszcie nastąpiło apogeum. To wszystko.

Znowu sięga po kawę i powoli upija łyk. Wpatruje się w podłogę i nie sposób nie zauważyć, że trochę posmutniała.

– Allysa? Nie jesteś na mnie zła, prawda?

Pospiesznie kręci głową.

– Nie, Lily. Po prostu... – Odstawia kubek. – Po prostu znam swojego brata. I kocham go. Naprawdę. Ale...

– Ale co?

Obie spoglądamy w stronę źródła głosu. Ryle stoi w drzwiach z rękami splecionymi na piersi. Ma na sobie szare spodnie do biegania, które ledwie trzymają się na jego biodrach. Jest bez koszuli. Dodam ten strój do wszystkich pozostałych skatalogowanych w mojej głowie.

Ryle odsuwa się od drzwi i wchodzi do kuchni. Zbliża się do mnie i wyjmuję mi kubek z ręki. Pochyla się, całuje mnie w czoło, a potem upija łyk i opiera się o blat.

– Nie chciałem przeszkadzać – zwraca się do Allysy. – Kontynuujcie.

Allysa przewraca oczami.

– Przestań – mówi.

Ryle oddaje mi kubek, odwraca się i sięga po własny. Zaczyna nalewać sobie kawy z dzbanka.

– Brzmiało to tak, jakbyś chciała ostrzec Lily. Po prostu jestem ciekaw, co masz do powiedzenia.

Allysa zeskakuje z wyspy i niesie kubek do zlewu.

– Ryle, to moja przyjaciółka. Nie masz najlepszych notowań, jeśli chodzi o związki. – Myje naczynie, a potem opiera się biodrem o blat i patrzy na nas. – Jako jej przyjaciółka mam prawo wyrażać swoją opinię na temat facetów, z którymi się umawia. Od tego są przyjaciółki.

Nagle zaczynam się denerwować, bo czuję, jak narasta między nimi napięcie. Ryle nie pije kawy. Podchodzi do Allysy i całą zawartość kubka wylewa do zlewu. Stoi tuż przed nią, ale ona nawet na niego nie spogląda.

– No cóż, jako twój brat miałem nadzieję, że pokładasz we mnie trochę więcej wiary. Od tego jest rodzeństwo.

Wychodzi z kuchni, zostawiając otwarte drzwi. Gdy znika, Allysa bierze głęboki oddech. Kręci głową i chowa twarz w dłoniach.

– Przepraszam cię za to – mówi z wymuszonym uśmiechem. – Muszę wziąć prysznic.

– Nie masz od tego ludzi?

Śmieje się, wychodząc z kuchni. Myję kubek i ruszam z powrotem do pokoju Ryle’a. Gdy otwieram drzwi, siedzi na kanapie, przeglądając esemesy. Nawet przez chwilę nie patrzy w moją stronę. Chyba na mnie też jest wściekły. Potem jednak rzuca telefon na bok i opada na oparcie kanapy.

– Chodź do mnie – mówi.

Łapie mnie za rękę i przyciąga do siebie, tak że siadam na nim okrakiem. Przywiera ustami do moich ust i całuje tak namiętnie, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie próbuje udowodnić, że jego siostra nie ma racji.

Odsuwa od siebie moją głowę i zaczyna powoli sunąć wzrokiem po moim ciele.

– Podobasz mi się w moich ubraniach.

Uśmiecham się.

– No cóż, niestety muszę iść do pracy, więc powinnam się przebrać.

Odgarnia mi włosy z twarzy.

– Czeka mnie bardzo ważna operacja i muszę się do niej przygotować – mówi. – A to oznacza, że prawdopodobnie nie będziemy się widzieli przez kilka dni.

Staram się ukryć rozczarowanie, ale jeśli Ryle naprawdę zamierza się postarać, żeby nam się udało, muszę do tego przywyknąć. Już mnie ostrzegał, że za dużo pracuje.

– Też jestem zajęta. W piątek wielkie otwarcie.

– Obiecuję, że zobaczymy się wcześniej niż w piątek.

Tym razem nie powstrzymuję uśmiechu.

– Okej.

Znowu mnie całuje, i to przez bitą minutę. Zaczyna mnie zsuwać na kanapę, ale po chwili oddala twarz od mojej i mówi:

– Nie. Za bardzo lubię się z tobą całować.

Kładę się i patrzę, jak szykuje się do pracy.

Ku mojej radości wkłada kitel.

Rozdział ósmy

– Musimy porozmawiać – mówi Lucy.

Siedzi na kanapie, policzki ma umazane smugami tuszu do rzęs.

O cholera.

Rzucam torebkę i podbiegam do niej. Gdy tylko siadam obok, zaczyna płakać.

– Co się stało? Alex z tobą zerwał?

Kręci głową i na dobre zaczyna beczeć. Boże, niech to nie będzie rak. Łapię ją za rękę i wtedy coś zauważam.

– Lucy! Zaręczyłaś się?

Potakuje.

– Przepraszam. Wiem, że nasza umowa najmu kończy się dopiero za pół roku, ale on chce, żebym się do niego wprowadziła.

Wpatruję się w nią przez chwilę. To dlatego płacze? Bo chce się wycofać z umowy? Sięga po chusteczkę i zaczyna wycierać oczy.

– Lily, czuję się okropnie. Zostaniesz całkiem sama. Wyprowadzam się i nikogo przy tobie nie będzie.

O co jej, do diabła...

– Lucy? Hm... Nic mi się nie stanie. Obiecuję.

Patrzy na mnie z miną pełną nadziei.

– Naprawdę?

Jak to się stało, do cholery, że wyrobiła sobie o mnie takie zdanie? Ponownie kiwam głową.

– Tak, nie jestem na ciebie zła. Cieszę się twoim szczęściem.

Zarzuca mi ręce na szyję i mnie ściska.

– Och, Lily, dziękuję! – Chichocze i płacze na zmianę. Kiedy mnie wypuszcza, zrywa się na nogi. – Muszę iść powiedzieć Alexowi. Tak się martwił, że nie pozwolisz mi się wycofać z umowy! – Łapie torebkę i buty, po czym znika za drzwiami.

Kładę się na kanapie i wbijam wzrok w sufit. Czyżby właśnie mnie urobiła?

Zaczynam się śmiać, bo aż do tej chwili nie miałam pojęcia, jak bardzo na to czekałam. Całe mieszkanie dla mnie!

Jeszcze lepsze jest to, że gdy w końcu zdecyduję się na seks z Ryle'em, będziemy mogli uprawiać go tutaj bez przerwy, nie martwiąc się, że jesteście za głośno.

Po raz ostatni rozmawialiśmy, gdy wychodziłam od niego w sobotę. Uzgodniliśmy, że spróbujemy. Na razie bez zobowiązań. Po prostu zbadamy grunt, żeby sprawdzić, czy związek to coś, czego oboje chcemy. Dziś jest poniedziałkowy wieczór i czuję się trochę zawiedziona, że jeszcze się do mnie nie odezwał. W sobotę, zanim się pożegnaliśmy, dałam mu swój numer telefonu, ale w zasadzie nie jestem obeznana z esemesową etykietą, zwłaszcza na etapie badania gruntu.

W każdym razie nie zamierzam pisać pierwsza.

Zamiast tego postanawiam się skupić na rozterkach dojrzewania i Ellen DeGeneres. Nie zamierzam czekać, aż skinie na mnie facet, z którym nawet nie uprawiam seksu. Nie wiem jednak, dlaczego zakładam, że czytanie o pierwszym facecie, z którym uprawiałam seks, pozwoli mi oderwać myśli od faceta, z którym go nie uprawiam.

Droga Ellen,

mój pradziadek miał na imię Ellis. Przez całe życie myślałam, że to naprawdę fajne imię jak na takiego staruszka. Po jego śmierci przeczytałam nekrolog. Dasz wiarę, że wcale nie miał na imię Ellis? Naprawdę nazywał się Levi Sampson, a ja nie miałam o tym pojęcia.

Spytałam babcię, skąd się wzięło imię Ellis. Powiedziała, że inicjały jego imion to L.S. i ludzie tak długo zwracali się do niego, używając tych inicjałów, że z biegiem lat po prostu złąły się w nowe imię.

Właśnie przyglądałam się Twojemu imieniu i przypomniała mi się ta historia. Ellen. Naprawdę masz tak na imię? A może podobnie jak mój pradziadek używasz dla niepoznaki inicjałów?

L.N.

Mam Cię na oku, „Ellen”.

Skoro mowa o imionach, nie sądzisz, że Atlas to dziwne imię? Jest dziwne, prawda?

Wczoraj, kiedy oglądaliśmy Twój program, spytałam, skąd się wzięło. Powiedział, że nie wie. Bez zastanowienia odparłam, że powinien spytać mamę. Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, a potem stwierdził: „Trochę już na to za późno”.

Nie wiem, co miał na myśli. Nie wiem, czy jego mama umarła, czy może oddała go do adopcji. Przyjaźnimy się już od kilku tygodni, a w zasadzie nadal nic nie wiem ani o nim, ani o tym, dlaczego nie ma domu. Mogłabym go po prostu spytać, ale nie jestem pewna, czy mi ufa. Zdaje się, że ma problemy z zaufaniem, i chyba trudno się temu dziwić.

Martwię się o niego. W tym tygodniu zrobiło się naprawdę zimno, a w przyszłym podobno ochłodzi się jeszcze bardziej. Jeśli Atlas nie ma prądu, to znaczy, że nie ma też grzejnika. Mam nadzieję, że przynajmniej są tam koce. Wiesz, jak okropnie bym się czuła, gdyby zamarł na śmierć? Masakrycznie okropnie, Ellen.

W tym tygodniu poszukam jakichś koców i mu je dam.

Lily

Droga Ellen,

niedługo zacznie padać śnieg, więc postanowiłam przygotować ogródek na zimę. Rzodkiewki już zebrałam, więc chciałam tylko rozrzucić trochę mulczu i obornika, co nie zajęłoby mi dużo czasu, ale Atlas się uparł, żeby mi pomóc.

Zadaje mi mnóstwo pytań o ogrodnictwo i podoba mi się, że ciekawią go moje zainteresowania. Pokazałam mu, jak się rozkłada obornik i mulcz, żeby okryć grunt i zabezpieczyć go przed śniegiem. Mój ogródek jest mały w porównaniu z większością okolicznych ogródków – ma może ze trzy metry na cztery. Ale tata nie pozwala mi zagospodarować większej części podwórka.

Atlas pokrył cały ogródek, a ja siedziałam po turecku na trawie i go obserwowałam. Nie leniłam się, po prostu przejął pałeczkę i chciał to zrobić, więc mu pozwoliłam. Widzę, że potrafi ciężko pracować. Może jeśli znajduje sobie jakieś zajęcie, jest mu łatwiej oderwać myśli od różnych spraw i dlatego zawsze tak bardzo chce mi pomagać.

Kiedy skończył, podszedł i usiadł obok mnie na trawie.

– Dlaczego zaczęłaś uprawiać rośliny? – spytał.

Spojrzałam na niego. Siedział po turecku i przyglądał mi się z zaciekawieniem. Uświadomiłam sobie, że jest chyba najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam, i że prawie nic o sobie nawzajem nie wiemy. Mam przyjaciół w szkole, ale z oczywistych powodów nie mogą przychodzić do mnie do domu. Mama zawsze się martwi, że ojciec robi coś złego i ludzie zaczną rozmawiać o jego napadach szału. W zasadzie sama też nikogo nie odwiedzam, ale nie jestem pewna dlaczego. Może tata nie chce, żebym przebywała w domach przyjaciół,

gdzie mogłabym zobaczyć, jak dobry mąż powinien traktować żonę. Pewnie woli, żebym uważała za normalne to, jak traktuje mamę.

Atlas to pierwszy z moich przyjaciół, który był u mnie domu. Poza tym jest pierwszym z moich przyjaciół, który wie, jak uwielbiam ogrodnictwo. A teraz został pierwszym przyjacielem, który kiedykolwiek mnie spytał, dlaczego uprawiam rośliny.

Sięgnęłam w stronę chwastu, wyciągnęłam go z ziemi i zaczęłam rwać na kawałeczki, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Kiedy miałam dziesięć lat, mama wykupiła mi abonament na stronie internetowej Anonimowe Nasiona – powiedziałam. – Co miesiąc dostawałam pocztą nieoznakowaną paczuszkę nasion z instrukcją siewu i pielęgnacji. Nie wiedziałam, co z nich wyrosnie, dopóki nie wyszło z ziemi. Codziennie po szkole biegłam prosto na podwórko, żeby ocenić postępy. Dzięki temu miałam coś, czego można wyczekiwać. Uprawianie roślin to dla mnie rodzaj nagrody.

Czułam, że Atlas mi się przygląda.

– Nagrody za co? – spytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Za to, że kocham rośliny. Rośliny potrafią się odwdzięczyć w zależności od tego, ile okazujesz im uczucia. Jeśli jesteś dla nich okrutny albo je zaniedbujesz, nie dają ci nic. Ale jeśli o nie dbasz i je kochasz, nagradzają cię prezentami w postaci warzyw, owoców albo kwiatów.

Spojrzałam na chwast, który rwałam na kawałeczki. Zostały go już tylko ze dwa centymetry. Położyłam go między palcami i podrzuciłam.

Nie chciałam patrzeć na Atlasa, bo czułam, że nadal mi się przygląda, więc zamiast tego spojrzałam na ogródek pokryty mulczem.

– Jesteśmy dokładnie tacy sami – powiedział.

Spojrzałam mu w oczy.

– Ja i ty?

Pokręcił głową.

– Nie. Rośliny i ludzie. Rośliny potrzebują miłości, żeby przetrwać. Ludzie też. Żeby przeżyć, od początku musimy mieć wystarczająco dużo miłości ze strony rodziców. Jeśli rodzice nam tę miłość okazują, stajemy się lepszymi ludźmi. A jeśli nas zaniedbują... – Ściszył głos. Zabrzmiało to jakoś smutno. Wytarł ręce w kolana, próbując pozbyć się resztek ziemi. – Jeśli nas zaniedbują, stajemy się bezdomni i niezdolni do tego, co ważne.

Po tych słowach poczułam się tak, jakby moje serce zmieniło się w mulcz, który właśnie Atlas rozłożył w ogródku. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Czy naprawdę tak o sobie myśli?

Poruszył się, jakby zamierzał wstać, ale zanim się podniósł, wypowiedziałam jego imię.

Z powrotem usiadł na trawie. Pokazałam na rząd drzew rosnących wzdłuż żywopłotu po lewej stronie podwórka.

– Widzisz to drzewo?

Pośrodku rzędu stał dąb wyższy niż wszystkie pozostałe drzewa.

Atlas spojrzał na niego i powiódł wzrokiem aż do wierzchołka.

– Urosło samo – powiedziałam. – Większość rzeczy potrzebuje mnóstwa troski, by przetrwać. Ale niektóre, na przykład drzewa, są dość silne, by polegać wyłącznie na sobie.

Nie miałam pojęcia, czy wie, co próbuję powiedzieć, bo nie mówiłam tego wprost. Chciałam tylko, żeby wiedział, że moim zdaniem jest wystarczająco silny, żeby przetrwać wszystko, co go spotyka. Nie znałam go dobrze, ale czułam, że jest odporny. O wiele bardziej, niż ja byłabym w jego sytuacji.

Nie odrywał wzroku od drzewa. Minęło dużo czasu, zanim choćby mrugnął. Gdy wreszcie to zrobił, lekko pokiwał głową i spojrzał na trawę. Widząc, że drgnęły mu usta, pomyślałam, że za

chwile zmarszczy brwi, ale on lekko się uśmiechnął.

Na widok tego uśmiechu poczułam ciepło w sercu.

– Jesteśmy tacy sami – powtórzył swoje wcześniejsze słowa.

– Rośliny i ludzie? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Nie. Ja i ty.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Ellen, mam nadzieję, że tego nie usłyszał, ale z całą pewnością wydałam z siebie zduszony okrzyk. Bo niby co miałam na to powiedzieć?

Siedziałam, bardzo skrępowana i milcząca, dopóki nie wstał i nie skierował się do domu.

– Atlas, zaczekaj.

Spojrzał na mnie. Pokazałam na jego rękę.

– Chyba najpierw powinieneś wziąć szybki prysznic – powiedziałam. – Obornik robi się z krowiego nawozu.

Podniósł dłonie, spojrzał na nie, a potem na swoje pokryte obornikiem ubranie.

– Z krowiego nawozu? Poważnie?

Pokiwałam głową. Roześmiał się, a potem, zanim się spostrzegłam, znalazł się obok mnie i zaczął się we mnie wycierać. Gdy sięgnął do stojącego obok worka i rozsmarował obornik na moich rękach, ja również zaczęłam się śmiać.

Ellen, jestem pewna, że zdanie, które zamierzam napisać, jeszcze nigdy nie zostało napisane ani wypowiedziane na głos.

W życiu nie byłam tak podniecona jak wtedy, kiedy rozsmarowywał na mnie to krowie łajno.

Kilka minut później obydwoje leżeliśmy na ziemi, dysząc i nadal się śmiejąc. W końcu wstał i pomógł mi się podnieść. Wiedział, że jeśli chce wziąć prysznic przed powrotem do rodziców, nie może tracić czasu.

Kiedy już był w łazience, ja myłam ręce nad zlewem i zastanawiałam się, co miał na myśli, mówiąc, że jesteśmy dokładnie tacy sami.

Czy to był komplement? Zdecydowanie brzmiało to jak komplement. Czy mówił, że jego zdaniem też jestem silna? Bo przeważnie wcale nie czuję się silna. W tamtej chwili słabłam na samą myśl o nim. Zastanawiałam się, co zrobię w związku z uczuciami, które ogarniały mnie w jego towarzystwie.

Zastanawiałam się też, jak długo uda mi się go ukrywać przed rodzicami. I jak długo będzie pomieszkiwał w opuszczonym domu. Zimą w Maine jest lodowato. Nie przetrwa bez grzejnika.

Albo bez koców.

Wzięłam się w garść i pozbierałam wszystkie niepotrzebne koce, jakie udało mi się znaleźć. Zamierzałam mu je dać, kiedy skończy brać prysznic, ale była już piąta i wyszedł w pośpiechu.

Dam mu je jutro.

Lily

Droga Ellen,

Harry Connick junior jest obłędnie zabawny. Nie wiem, czy kiedykolwiek gościłaś go u siebie w programie, bo przynajmniej ze wstydem, że chyba zdarzyło mi się przegapić parę odcinków, ale jeśli go jeszcze nie zaprosiłaś, powinnaś to zrobić. Oglądałaś Late Night with Conan O'Brien? Jest tam taki Andy, który w każdym odcinku siedzi na kanapie. Chciałabym, żeby Harry siedział na kanapie w każdym odcinku Twojego programu. Rzuca najlepsze teksty i we

dwoje bylibyście wspaniali.

Chciałabym ci podziękować. Wiem, że nie prowadzisz programu w telewizji wyłącznie po to, żeby mnie rozśmieszać, ale nieraz mam takie wrażenie. Czasami życie tak daje mi w kość, że czuję, jakbym straciła zdolność śmiania się i uśmiechania, ale potem włączam Twój program i bez względu na to, w jakim jestem humorze, pod koniec zawsze czuję się lepiej.

Dziękuję Ci za to.

Domyślam się, że czekasz na najnowsze wieści dotyczące Atlasa, i za chwilę Ci je przekażę. Ale najpierw muszę Ci opowiedzieć o czymś, co wydarzyło się wczoraj.

Moja mama jest asystentką nauczyciela w Brimer Elementary. To kawałek od nas i dlatego wraca do domu dopiero koło piątej. Tata, choć pracuje trzy kilometry od domu, też zawsze przyjeżdża o tej porze.

Mamy garaż, ale mieści się w nim tylko jeden samochód, bo tata trzyma w środku mnóstwo rzeczy. Jego samochód stoi w garażu, a mamy na podjeździe.

No i wczoraj mama wróciła z pracy trochę wcześniej. Atlas był jeszcze u mnie i właśnie kończyliśmy oglądać Twój program. Nagle usłyszałam, że brama garażowa zaczyna się otwierać. Atlas uciekł tylnymi drzwiami, a ja pospiesznie pozbierałam puszki po napojach i pozostałości po przekąskach.

Wczoraj koło południa zaczął mocno padać śnieg, a mama przywiozła sporo rzeczy, więc wjechała do garażu, żeby wnieść je wszystkie kuchennymi drzwiami. To były rzeczy z pracy i trochę zakupów spożywczych. Kiedy pomagałam jej taszczyć to wszystko do środka, na podjeździe zatrzymał się tata. Zaczął trąbić, bo się wściekł, że mama zaparkowała w garażu. Chyba nie chciał wysiadać z samochodu, bo sypało naprawdę ostro. Wydaje mi się, że tylko dlatego mogło mu tak zależeć, żeby natychmiast wyjechała z garażu, i nie mógł po prostu zaczekać, aż skończy wnieść rzeczy do domu. Jeśli się nad tym zastanowić, to właściwie nie rozumiem, dlaczego garaż zawsze dostaje się ojcu. Można by pomyśleć, że żaden kochający mężczyzna nie chciałby, żeby jego żona parkowała w gorszym miejscu niż on.

W każdym razie kiedy zaczął trąbić, mama zrobiła wystraszoną minę i poprosiła, żebym zaniósła resztę rzeczy na stół, a sama poszła przeparkować.

Nie jestem pewna, co się stało, kiedy wróciła do garażu. Usłyszałam trzask, a potem jej krzyk, więc tam pobiegłam, myśląc, że poślizgnęła się na lodzie.

Ellen... wolałabym nie opisywać tego, co się potem stało. Nadal jestem tym wstrząśnięta.

Otworzyłam drzwi do garażu, ale nie zobaczyłam mamy. Zauważyłam tylko tatę, który robił coś za samochodem. Podeszłam i zrozumiałam, dlaczego jej nie widać. Popchnął ją na maskę i chwycił za gardło.

Ellen, on ją dusił!

Mogłabym się rozplakać na samo wspomnienie. Wrzeszczał i patrzył na nią z taką nienawiścią... Krzyczał coś o braku szacunku do jego ciężkiej pracy. Nie mam pojęcia, czym go tak rozwścieczyła, bo nie była w stanie powiedzieć ani słowa i tylko próbowała łapać powietrze. Następne kilka minut pamiętam jak przez mgłę, ale wiem, że na niego krzyczałam. Skoczyłam mu na plecy i zaczęłam okładać po głowie.

A potem już go nie okładałam.

Naprawdę nie wiem, co się stało, ale domyślam się, że mnie z siebie zrzucił. Pamiętam tylko, że w jednej chwili wczepiałam się w jego ramiona, a w następnej leżałam na ziemi i potwornie bolało mnie czoło. Mama siedziała obok, trzymając mnie za głowę i przepraszając. Rozejrzałam się w poszukiwaniu taty, ale już go nie było. Kiedy uderzyłam się w głowę, wsiadł do samochodu i odjechał.

Mama dała mi ściereczkę i kazała przyciskać ją do głowy, bo leciała mi krew, a potem

pomogła mi wsiąść do samochodu i zawiozła mnie do szpitala. Po drodze powiedziała tylko jedno zdanie:

– Kiedy spytają, co się stało, powiedz, że poślizgnęłaś się na lodzie.

Po tych słowach odwróciłam się do okna i zaczęłam płakać. Myślałam, że to kropla, która przelala czarę goryczy. Że teraz, kiedy mnie skrzywdził, mama od niego odejdzie. Jednak w tym momencie zdałam sobie sprawę, że ona go nigdy nie zostawi. Byłam zdruzgotana, ale za bardzo się bałam, żeby jej o tym powiedzieć.

Musieli mi założyć dziewięć szwów. Nadal nie jestem pewna, o co się uderzyłam, ale to w zasadzie bez znaczenia. Liczy się fakt, że zraniłam się przez ojca, a on nawet nie zaczekał, żeby zobaczyć, co mi się stało. Po prostu zostawił nas obie na podłodze w garażu i odjechał.

Wróciłyśmy do domu bardzo późno. Od razu zasnąłam, bo podali mi jakieś środki przeciwbólowe.

Rano, idąc na autobus, starałam się nie patrzeć prosto na Atlasa, żeby nie zauważył rany na moim czole. Zasłoniłam ją włosami i nie od razu ją dostrzegł. Usiedliśmy obok siebie, a kiedy kładliśmy plecaki na podłodze, dotknęliśmy się rękami.

Ellen, jego ręce były zimne jak lód. Jak lód!

Wtedy zdałam sobie sprawę, że przez wcześniejszy powrót mamy z pracy zapomniałam mu dać koce, które przygotowałam poprzedniego dnia. Incydent w garażu pochłonął mnie zupełnie i zapomniałam o Atlasie. Przez całą noc padał śnieg i trzymał mróz, a on siedział sam jak palec w ciemnym, opuszczonym domu. Teraz był taki zziębnięty, że nie wiedziałam, czy w ogóle jest w stanie funkcjonować.

Chwyciłam go za rękę.

– Atlas, jesteś lodowaty – powiedziałam.

Nie odezwał się. Zaczęłam pocierać jego dłonie, żeby je ogrzać. Położyłam głowę na jego ramieniu, a potem robiłam coś bardzo żenującego. Zaczęłam płakać. Nieczęsto mi się to zdarza, ale nadal byłam przygnębiona z powodu tego, co wczoraj zaszło, a w dodatku miałam potworne poczucie winy, że zapomniałam mu zanieść koce. To wszystko uderzyło we mnie akurat w drodze do szkoły. Atlas milczał. Wysunął ręce z moich dłoni i je na nich położył. Siedzieliśmy tak przez całą drogę: stykając się głowami i z jego dłońmi przykrywającymi moje.

Pomyślałam, że byłoby to urocze, gdyby nie było takie smutne.

W drodze powrotnej zauważył ranę na moim czole.

Szczerze mówiąc, zapomniałam o niej. Nikt w szkole się nią nie zainteresował i kiedy Atlas usiadł obok mnie w autobusie, nie starałam się jej zasłaniać włosami. Spojrzał na mnie i od razu spytał:

– Co ci się stało w głowę?

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Dotknęłam jej tylko palcami, a potem odwróciłam się do szyby. Staram się wzbudzić jego zaufanie, mając nadzieję, że mi powie, dlaczego nie ma domu, więc nie chcę go okłamywać. Jednocześnie w tamtej chwili nie chciałam mu mówić prawdy.

– Wczoraj po wyjściu z twojego domu usłyszałem, że coś się u ciebie dzieje – odezwał się Atlas, kiedy autobus ruszył. – Ktoś krzyczał. Usłyszałem też twój krzyk, a potem zobaczyłem, jak twój ojciec odjeżdża. Zamierzałem sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku, ale kiedy do ciebie szedłem, zauważyłem, że jedziesz gdzieś z mamą.

Widocznie słyszał kłótnię w garażu, a potem widział, jak jedziemy do szpitala. Nie mogłam uwierzyć, że chciał przyjść do naszego domu. Wiesz, co zrobiłby mu tata, gdyby go zobaczył w swoich ubraniach? Zaczęłam się o niego okropnie martwić, bo przecież on nie wie, do czego jest zdolny mój ojciec.

Spojrzałam na niego.

– Atlas, nie wolno ci tego robić! – zaprotestowałam. – Nie możesz do mnie przychodzić, kiedy rodzice są w domu!

Zamilkł, a potem powiedział:

– Lily, słyszałem, jak krzyczysz.

Jakby to, że znalazłam się w niebezpieczeństwie, było dla niego ważniejsze niż wszystko inne.

Poczułam się okropnie, bo wiedziałam, że po prostu próbował mi pomóc, tylko że to jeszcze bardziej pogorszyłoby sytuację.

– Przewróciłam się – mruknęłam.

Kiedy skłamałam, od razu poczułam się podle. Szczerze mówiąc, wydawał się mną lekko rozczarowany, bo chyba wiedział, że nie mówię prawdy.

Podciągnął rękaw i pokazał mi rękę.

Ellen, poczułam ucisk w żołądku. To było straszne. Na całym przedramieniu miał malutkie blizny. Niektóre wyglądały tak, jakby ktoś przyłożył tam papierosa i przytrzymał.

Odwrócił rękę, żebym zobaczyła, że druga strona wygląda podobnie.

– Lily, ja kiedyś też często się przewracałem.

Opuścił rękaw i nie powiedział już nic więcej.

Przez chwilę miałam ochotę wyjaśnić, że to wcale nie jest tak – że tata nigdy nie robi mi krzywdy i po prostu chciał mnie z siebie zrzucić. Ale potem zdałam sobie sprawę, że użyłabym takich samych wymówek jak mama.

Trochę mi wstyd, że Atlas wie, co się u nas dzieje. Przez resztę drogi patrzyłam przez szybę, bo nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

Kiedy podeszliśmy do mojego domu, zobaczyłam samochód mamy. Oczywiście na podjeździe, nie w garażu.

To oznaczało, że Atlas nie może do mnie wpaść i obejrzeć Twojego programu. Zamierzałam powiedzieć, że później przyniosę mu koce, ale kiedy wysiadł z autobusu, nawet się ze mną nie pożegnał. Po prostu ruszył chodnikiem, jakby był wściekły.

Teraz jest już ciemno i czekam, aż rodzice zasną. Gdy już będą spać, zamierzam zanieść mu trochę koców.

Lily

Droga Ellen,

zupełnie się pogubiłam.

Zdarza Ci się robić coś, o czym wiesz, że jest złe, ale jednocześnie czujesz, że z jakiegoś powodu jest też dobre? Nie potrafię tego wyrazić prostszymi słowami.

Chodzi mi o to, że mam dopiero piętnaście lat i na pewno nie powinnam zapraszać chłopaków na noc. Ale jeśli wiesz, że ktoś nie ma się gdzie podziać, to czy nie masz obowiązku mi pomóc?

Wczoraj wieczorem, kiedy rodzice zasnęli, wymknęłam się tylnymi drzwiami, żeby zanieść Atlasowi koce. Wzięłam ze sobą latarkę, bo było ciemno. Śnieg wciąż mocno sypał, więc zanim dotarłam do opuszczonego domu, zmarzłam na kość. Zastukałam do tylnych drzwi i gdy tylko Atlas je otworzył, wpakowałam się do środka, żeby się ogrzać.

Tylko że... wcale się nie ogrzałam. Z jakiegoś powodu temperatura w tym starym domu wydawała się jeszcze niższa niż na zewnątrz. Nadal miałam włączoną latarkę i poświeciłam na salon i kuchnię. Ellen, niczego tam nie było!

Ani kanapy, ani krzesła, ani materaca. Podalam Atlasowi koce i dalej się rozglądałam.

W dachu nad kuchnią ziała duża dziura, przez którą wpadał śnieg. Kiedy poświeciłam na salon, zobaczyłam rzeczy Atlasa zgromadzone w kącie. Dwa plecaki: jego i ten, który mu dałam. Była tam też kupka innych rzeczy, które ode mnie dostał, między innymi trochę ubrań taty. A obok na podłodze zauważyłam dwa ręczniki. Chyba na jednym leżał, a drugim się przykrywał.

Zastłoniłam usta dłonią, bo byłam przerażona. Mieszkał tam tak od tygodni!

Atlas położył dłoń na moich plecach i próbował skierować mnie do wyjścia.

– Lily, nie powinnaś tu przychodzić – powiedział. – Mogłabyś mieć kłopoty.

Złapałam go za rękę.

– Ciebie też nie powinno tu być – powiedziałam. Zaczęłam ciągnąć go za sobą na zewnątrz, ale cofnął dłoń. Wtedy dodałam: – Dziś możesz spać w moim pokoju na podłodze. Zamknę drzwi na klucz. Nie wolno ci spędzić tu nocy, Atlas. Jest za zimno, zachorujesz na zapalenie płuc i umrzesz.

Wyglądał, jakby nie wiedział, co robić. Wizja przyłapania nas przez moich rodziców na pewno przerażała go równie mocno jak perspektywa zachorowania na zapalenie płuc i śmierci. Spojrzał na swoje posłanie, a potem tylko kiwnął głową i powiedział:

– W porządku.

No więc powiedz mi, Ellen: czy postąpiłam źle, wpuszczając go na noc do swojego pokoju? Nie miałam wrażenia, że robię coś złego. Wydawało mi się, że tak należy. Ale jeśli nas przyłapią, na pewno wpakuję się w wielkie kłopoty. W każdym razie spał na podłodze, chodziło mi wyłącznie o udostępnienie mu ciepłego miejsca do spania.

Wczoraj wieczorem dowiedziałam się o nim trochę więcej. Kiedy wślizgnęliśmy się do mojego pokoju, zamknęłam drzwi i rozłożyłam mu posłanie obok łóżka. Nastawiłam budzik na szóstą rano i powiedziałam, że będzie musiał wyjść, zanim wstaną rodzice, bo czasami mama przychodzi mnie obudzić.

Wpełzłam do łóżka i przysunęłam się do krawędzi, żeby go widzieć. Przez chwilę rozmawialiśmy. Spytałam, jak długo będzie pomieszkiwał w opuszczonym domu. Odparł, że nie wie. Wtedy spytałam, jak to się stało, że tam trafił. Miałam włączoną lampkę i rozmawialiśmy szeptem, ale po tym pytaniu zamilkł. Przez chwilę tylko leżał z rękami pod głową i patrzył na mnie.

– Nie znam mojego prawdziwego ojca – wyznał w końcu. – Nigdy nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Zawsze byłem tylko z mamą, która jakieś pięć lat temu ponownie wyszła za mąż. Za faceta, który nigdy za mną nie przepadał. Często się kłóciliśmy. Kilka miesięcy temu, kiedy skończyłem osiemnaście lat, wybuchła wielka awantura i mnie wyrzucił.

Wziął głęboki oddech, jakby nie chciał mówić nic więcej. Potem jednak znowu zaczął opowiadać.

– Od tamtej pory mieszkałem u przyjaciela, ale jego tatę przenieśli do Kolorado, więc się przeprowadzili. Oczywiście nie mogli mnie ze sobą zabrać. Jego rodzice po prostu chcieli być mili i pozwalali mi u siebie mieszkać. Dobrze o tym wiedziałem, więc skłamałem, że rozmawiałem z mamą i do niej wracam. Kiedy wyjechali, nie miałem się gdzie podziać. No więc poszedłem do domu i powiedziałem mamie, że chciałbym z nią mieszkać, dopóki nie skończę szkoły. Nie zgodziła się. Powiedziała, że ojczym byłby zły. – Odwrócił się i spojrzał na ścianę. – No więc włóczyłem się przez kilka dni, aż w końcu zauważyłem ten dom. Uznałem, że w nim pomieszkam, dopóki nie znajdę czegoś lepszego albo nie skończę szkoły. W maju mam się zgłosić do piechoty morskiej, więc do tego czasu muszę sobie jakoś radzić.

Do maja zostało pół roku, Ellen. Pół roku.

Kiedy skończył opowiadać, miałam łzy w oczach. Spytałam, dlaczego nie może po prostu zwrócić się do kogoś o pomoc. Odparł, że próbował, ale dorośli mają trudniej niż dzieci, a on

skończył osiemnaście lat. Mówił, że dostał od kogoś numer do jakichś schronisk, gdzie mógłby uzyskać pomoc. W promieniu trzydziestu kilometrów od naszego miasta są trzy takie schroniska, ale dwa są przeznaczone dla maltretowanych kobiet. Trzecie pomaga bezdomnym, ale dysponuje tylko kilkoma łózkami i znajduje się za daleko od szkoły. Poza tym na łóżko trzeba czekać w długiej kolejce. Powiedział, że raz spróbował, ale w opuszczonym domu czuje się bezpieczniej niż w tym schronisku.

– Naprawdę nie ma innych możliwości? – spytałam głupio. Zawsze w takich sytuacjach wychodzi ze mnie naiwniaczka. – Nie możesz powiedzieć dyrektorowi szkoły, co zrobiła twoja mama?

Pokręcił głową i wyjaśnił, że jest za stary na rodzinę zastępczą. Ma osiemnaście lat, więc jego matka nie zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za to, że nie przyjęła go z powrotem. Dodał, że w ubiegłym tygodniu zgłosił się po bony na żywność, ale nie miał pieniędzy, żeby dojechać na umówione spotkanie. Poza tym oczywiście nie ma samochodu, więc nie może znaleźć pracy. Mimo to jej szuka. Kiedy wychodzi ode mnie po południu, składa podania w różnych miejscach, ale nie ma adresu ani numeru telefonu, więc to dodatkowe utrudnienie.

Ellen, przysięgam, miał odpowiedź na każde pytanie, jakie mu zadałam. Jakby próbował wszystkiego, byleby nie utknąć w sytuacji, w której się znalazł. Tylko że tacy ludzie jak on nie mogą liczyć na pomoc. Bardzo się rozzłościłam z tego powodu i powiedziałam, że jego pomysł z zaciągnięciem się do wojska to szaleństwo.

– Niby dlaczego miałbyś służyć krajowi, który dopuścił do tego, żebyś tak skończył? – spytałam podniesionym głosem.

Posmutniał. I wiesz, co mi odpowiedział?

– To nie wina kraju, że moja matka ma mnie w dupie. – Wyciągnął rękę i wyłączył lampkę. – Dobranoc, Lily.

Niewiele potem spałam. Byłam zbyt wściekła. W zasadzie to nawet nie jestem pewna na kogo. Po prostu myślałam o naszym kraju i całym świecie, o tym, jakie to popieprzone, że ludzie nie robią czegoś więcej dla siebie nawzajem. Nie wiem, kiedy przestaliśmy się troszczyć o innych. Może zawsze tak było. Zaczęłam się zastanawiać, jak wiele jest osób takich jak Atlas. A także czy w naszej szkole uczy się więcej bezdomnych dzieci.

Chodzę do szkoły codziennie i przeważnie na nią narzekam, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że szkoła może być dla kogoś jedynym domem. To jedyne miejsce, w którym Atlas może liczyć na coś do jedzenia.

Już nigdy nie będę w stanie szanować bogatych ludzi, wiedząc, że wolą wydawać pieniądze na dobra materialne, zamiast na pomoc innym.

Bez urazy, Ellen. Wiem, że jesteś bogata, ale chyba nie mam na myśli osób takich jak Ty. Oglądam Twój program i widzę, ile robisz dla innych, wiem, jak mocno wspierasz organizacje dobroczynne. Ale wiem też, że istnieje mnóstwo samolubnych bogaczy. Cholera, istnieją nawet samolubni biedacy. I samolubni przedstawiciele klasy średniej. Spójrz na moich rodziców. Nie jesteśmy bogaci, ale na pewno nie jesteśmy zbyt biedni, żeby pomagać innym. Mimo to wątpię, żeby tata kiedykolwiek zrobił coś dla potrzebujących.

Pamiętam, jak raz szliśmy do sklepu spożywczego i jakiś staruszek dzwonił dzwonkiem Armii Zbawienia. Spytałam tatę, czy moglibyśmy mu dać trochę pieniędzy, a on powiedział, że nie, bo ciężko na te pieniądze pracuje i nie zamierza ich rozdawać. Dodał, że to nie jego wina, że innym nie chce się pracować. Kiedy robiliśmy zakupy, cały czas opowiadał mi o tym, jak ludzie wykorzystują państwo, i powtarzał, że dopóki państwo nie przestanie im pomagać, uprawiając rozdawnictwo, ten problem nie zniknie.

Wierzyłam mu, Ellen. To było trzy lata temu i aż do tej pory myślałam, że bezdomni są

bezdomni dlatego, że są leniwi, uzależnieni od narkotyków albo po prostu nie chcą pracować tak jak inni ludzie. Teraz wiem, że to nieprawda. Jasne, tata miał trochę racji, ale posługiwał się najgorszymi przykładami. Nie każdy jest bezdomny, ponieważ tak sobie postanowił. Niektórzy są bezdomni, bo za mało się ich wspiera.

I tacy ludzie jak mój ojciec stanowią problem. Zamiast pomagać innym, posługują się najgorszymi przykładami, żeby usprawiedliwić własny egoizm i pazerność.

Nigdy taka nie będę. Przysięgam Ci, że kiedy dorosnę, będę robiła wszystko, co w mojej mocy, żeby pomagać innym. Będę taka jak Ty, Ellen. Tylko że prawdopodobnie nie aż tak bogata.

Lily

Rozdział dziewiąty

Opuszczam pamiętnik na pierś. Ze zdziwieniem zauważam, że po policzkach płyną mi łzy. Za każdym razem, kiedy sięgam po swoje zapiski, łudzę się, że nic mi nie będzie – że to wszystko wydarzyło się dawno temu i nie poczuję już tego, co wtedy.

Ale ze mnie idiotka. Po tej lekturze mam ochotę uściskać wiele osób z przeszłości. Zwłaszcza mamę, bo przez ostatni rok właściwie nie myślałam o tym wszystkim, przez co musiała przejść, zanim umarł ojciec. Wiem, że prawdopodobnie nadal cierpi.

Sięgam po telefon, żeby do niej zadzwonić, i patrzę na ekran. Przeoczyłam cztery esemesy od Ryle'a. Serce od razu zaczyna mi szybciej bić. Nie do wiary, że ściszyłam dźwięk! Przewracam oczami, poirytowana swoją reakcją, bo przecież nie powinnam się aż tak emocjonować.

Ryle: Śpisz?

Ryle: Chyba tak.

Ryle: Lily...

Ryle: :(

Smutna buźka została przesłana dziesięć minut temu. Szybko wciskam przycisk odpowiedzi i piszę:

Nie. Nie śpię.

Mniej więcej dziesięć sekund później przychodzi kolejny esemes.

Ryle: To dobrze. Właśnie idę do ciebie po schodach. Będę za moment.

Uśmiecham się i wyskakuję z łóżka. Idę do łazienki, żeby sprawdzić, jak wyglądam. Nie jest źle. Biegnę do drzwi i je otwieram, gdy Ryle idzie jeszcze po schodach. Z trudem wlecze się na górę, a gdy wreszcie dociera do mieszkania, przystaje, żeby odpocząć. Wygląda na bardzo zmęczonego. Ma czerwone oczy, pod którymi rysują się ciemne sińce. Obejmuje mnie w tali i przyciąga do siebie, wtulając twarz w moją szyję.

– Tak ładnie pachniesz – mówi.

Wciągam go do mieszkania.

– Jesteś głodny? Mogę przygotować coś do jedzenia.

Ściągając marynarkę, kręci głową, więc daję sobie spokój z kuchnią i ruszam do sypialni. Idzie za mną i rzuca marynarkę na oparcie krzesła. Zdejmuje buty i spycha je pod ścianę.

Ma na sobie kitel.

– Wyglądasz na wykończonego – mówię.

Uśmiecha się i kładzie dłoń na moich ustach.

– Bo jestem wykończony. Właśnie asystowałem przy osiemnastogodzinnej operacji. – Pochyla się i całuje tatuaż na moim obojczyku.

Nic dziwnego, że jest wyczerpany.

– Jak to w ogóle możliwe? – pytam. – Osiemnaście godzin?

Kiwa głową, a potem prowadzi mnie do łóżka i ciągnie na dół. Układamy się tak, żeby

patrzeć sobie w oczy, dzieląc się poduszką.

– Tak, ale było niesamowicie. Przełomowo. Będą o tej operacji pisali w czasopiśmie medycznych, a ja przy niej byłem, więc nie narzekam. Jestem tylko bardzo zmęczony.

Przysuwam się i cmokam go w usta. Kładzie dłoń na moim policzku i się odsuwa.

– Wiem, że prawdopodobnie jesteś gotowa na gorący, dziki seks, ale dzisiaj nie mam siły. Przepraszam. W każdym razie tęskniłem za tobą i z jakiegoś powodu lepiej mi się przy tobie śpi. Nie przeszkadza ci, że tu jestem?

Uśmiecham się.

– Ani trochę.

Przysuwa się i całuje mnie w czoło. Łapie mnie za rękę i kładzie ją między nami na poduszce. Zamykają mu się oczy, ale moje nadal są otwarte. Wpatruję się w niego. W jego twarzy jest coś onieśmielającego, bo można się w niej zatracić. I pomyśleć, że wolno mi na nią patrzeć cały czas. Nie muszę się ograniczać i odwracać wzroku, bo on jest mój.

Chyba.

Badamy grunt. Muszę o tym pamiętać.

Po chwili wypuszcza moją rękę i zaczyna miarowo zginać i prostować palce. Patrzę na jego dłoń, zastanawiając się, jakie to uczucie... musieć stać przez osiemnaście godzin i bez przerwy używać swoich umiejętności manualnych. Nie przychodzi mi do głowy zbyt wiele innych czynności mogących doprowadzić do takiego zmęczenia.

Wyślizguję się z łóżka i przynoszę balsam z łązienki. Wracam do sypialni i siadam obok niego po turecku. Wyciskam trochę balsamu na dłoń i kładę sobie jego rękę na kolanach. Otwiera oczy i podnosi na mnie wzrok.

– Co robisz? – mruczy.

– Cii. Śpij dalej – mówię.

Uciskam kciukami jego dłoń i kolistymi ruchami przesuвам się w górę i w dół. Opadają mu powieki i jęczy w poduszkę. Masuję mu rękę jeszcze przez jakieś pięć minut, a potem przechodzę do drugiej. Przez cały czas ma zamknięte oczy. Gdy kończę z rękami, każę mu się obrócić na brzuch i siadam okrakiem na jego plecach. Pomaga mi, gdy zdejmuję z niego koszulę, ale ręce ma wiotkie jak makaron.

Masuję mu ramiona, szyję, plecy i ręce. Potem zsuwam się z niego i kładę obok.

Przezesuję mu włosy palcami i gdy masuję mu głowę, otwiera oczy.

– Lily? – szepcze, patrząc na mnie szczerze. – Chyba nigdy nie spotkało mnie nic lepszego niż ty.

Jego słowa otulają mnie jak ciepły koc. Nie wiem, jak mu odpowiedzieć. Podnosi rękę i delikatnie ujmuję mój policzek, a ja czuję jego spojrzenie głęboko w brzuchu. Powoli się przysuwa i przyciska usta do moich. Spodziewam się cmoknięcia, ale on się nie cofa. Koniuszek jego języka prześlizguje się między moimi wargami, lekko je rozchylając. Jest taki ciepły... Mruczę, a on całuje mnie coraz głębiej.

Przewraca mnie na plecy i przesuwa dłonią wzdłuż mojego ciała, prosto ku biodrom. Przybliża się jeszcze bardziej, a jego ręka sunie po moim udzie. Gdy gwałtownie przywiera do mnie całym ciałem, czuję nagły przypływ gorąca. Chwytam go za włosy i szepczę, zbliżając usta do jego ust:

– Chyba czekaliśmy wystarczająco długo. Bardzo bym chciała, żebyś się ze mną pieprzył.

Dosłownie warczy, czując przypływ energii, i zaczyna zdejmować mi bluzkę. Wzdychamy i jęczymy oboje, nasze dłonie i języki tańczą, skóra pokrywa się potem. Czuję się, jakby po raz pierwszy dotykał mnie mężczyzna. Tych kilku przed nim to byli tylko chłopcy – nerwowe dłonie i nieśmiałe usta. Ale Ryle to ucieleśnienie pewności siebie. Doskonale wie,

gdzie mnie dotykać i jak całować.

Skupia na moim ciele całą uwagę, przerywając tylko na chwilę, żeby sięgnąć do leżącego na podłodze portfela po prezerwatywę. Gdy wraca pod kołdrę i kondom trafia na swoje miejsce, nie waha się ani chwili. Bierze mnie bezczelnie jednym szybkim pchnięciem, a ja z ustami tuż przy jego ustach wydaję z siebie zduszony okrzyk. Czuję, jak napina się każdy mięsień w moim ciele.

Jego wargi są napastliwe i złaknione, całują mnie wszędzie, gdzie mogą dosięgnąć. Tak bardzo kręci mi się w głowie, że mogę mu się jedynie poddać. Pieprzy mnie bez cienia skruchy. Wsuwa dłoń między wezłowie łóżka a czubek mojej głowy i napiera coraz mocniej. Przy każdym pchnięciu łóżko uderza w ścianę.

Zatapiam paznokcie w skórze na jego plecach, a on wtula twarz w moją szyję.

– Ryle – szepczę. – Ojej... Ryle! – to ostatnie słowo już krzyczę.

A potem zaciskam zęby na jego ramieniu, żeby stłumić wszystkie kolejne dźwięki. Czuję to całe moje ciało – od głowy aż po palce u nóg.

Boję się, że mogłabym na chwilę dosłownie stracić przytomność, więc mocniej oplatom go nogami, a wtedy cały tężeje.

– Lily, o rany...

Jego ciałem wstrząsają dreszcze i wykonuje ostatnie pchnięcie. Jęczy, nieruchomiejąc na mnie. Moja głowa opada na poduszkę.

Mija pełna minuta, zanim którekolwiek z nas jest w stanie się poruszyć. I nawet wtedy wolimy tego nie robić. Ryle wtula twarz w poduszkę i głęboko wzdycha.

– Nie mogę... – Odsuwa się i patrzy na mnie. Jego oczy są pełne czegoś... nie wiem czego. Przywiera ustami do moich ust, a potem mówi: – Miałaś całkowitą rację.

– W jakiej sprawie?

Powoli się ze mnie wyslizguje i opiera się na przedramionach.

– Ostrzegłaś mnie. Mówiłaś, że jeden raz mi nie wystarczy. Że jesteś jak narkotyk. Zapomniałaś tylko dodać, że nic nie uzależnia bardziej od ciebie.

Rozdział dziesiąty

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

Allysa przytakuje, dopieszczając bukiet kwiatów, który za chwilę pojedzie do klienta. Za trzy dni nasze wielkie otwarcie i z każdym kolejnym przybywa nam pracy.

– O co chodzi? – pyta Allysa, odwracając się do mnie. Opiera się o ladę i zaczyna skubać paznokcie.

– Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz – zastrzegam.

– Nie będę mogła odpowiedzieć, jeśli nie zadasz pytania.

Słuszna uwaga.

– Czy ty i Marshall wspieracie jakieś organizacje charytatywne?

Po jej twarzy przemyka zdziwienie.

– Tak – mówi po chwili. – A co?

Wzruszam ramionami.

– Po prostu byłam ciekawa. Nie osądzałabym was ani nic z tych rzeczy. Sama ostatnio myślałam o zaangażowaniu się w jakąś działalność dobroczynną.

– Jakiego rodzaju? – pyta. – Teraz, kiedy mamy pieniądze, wspieramy kilka różnych fundacji, ale moja ulubiona to ta, która buduje szkoły za granicą. Znaleźliśmy ją w ubiegłym roku. Od tamtej pory ufundowaliśmy trzy nowe budynki.

Wiedziałam, że lubię ją nie bez powodu.

– Jak wiesz, nie mam aż tyle kasy, ale chciałabym zrobić cokolwiek. Tylko że jeszcze nie wiem co.

– Najpierw ochłóńmy po wielkim próbnym otwarciu, a potem będziesz mogła zacząć myśleć o filantropii. Po jednym marzeniu na raz, Lily.

Wychodzi zza lady i łapie kosz na śmieci. Obserwuję, jak wyjmuje z niego worek i zawiązuje go na węzeł. Zastanawiam się dlaczego – skoro od wszystkiego ma ludzi – chce wykonywać pracę, w której trzeba wynosić śmieci i brudzić sobie ręce.

– Dlaczego tu pracujesz? – pytam.

Spogląda na mnie i się uśmiecha.

– Dlatego że cię lubię.

Po chwili zauważam jednak, że z jej oczu znika uśmiech. Allysa odwraca się i idzie na zaplecze wyrzucić śmieci. Kiedy wraca, znów jej się przyglądam. Powtarzam pytanie:

– Allysa? Dlaczego tu pracujesz?

Przerywa to, co akurat robi, i powoli bierze oddech, jakby się zastanawiała, czy ma być ze mną szczerą. Znowu podchodzi do lady i opiera się o nią, krzyżując nogi.

– Dlatego – mówi, spoglądając na swoje stopy – że nie mogę zająć w ciążę. Próbujemy od dwóch lat, ale nam nie wychodzi. Miałam dość ciągłego siedzenia w domu i płakania, więc postanowiłam poszukać czegoś, czym będę mogła się zająć. – Prostuje się i wyciera ręce o dżinsy. – A przy tobie, Lily Bloom, jestem bardzo zajęta. – Odwraca się i znowu zaczyna majstrować przy tym samym bukietcie kwiatów co poprzednio. Dopieszcza go od pół godziny. Sięga po karteczkę i wkłada ją między kwiaty, a potem się odwraca i podaje mi wazon. – A tak na marginesie, te kwiaty są dla ciebie.

To oczywiste, że chce zmienić temat, więc biorę je od niej.

– Jak to?

Przewraca oczami i macha ręką, odsyłając mnie do mojego biura.

– Wszystko jest napisane na bileciku. Przeczytaj.

Po jej nerwowej reakcji poznaję, że kwiaty są od Ryle’a. Uśmiecham się i biegnę na zaplecze. Siadam przy biurku i wyciągam bilecik.

Lily,

jestem na wielkim głodzie.

Ryle

Powoli wypuszczam powietrze i wkładam bilecik z powrotem do koperty. Łapię telefon i pstrykam sobie zdjęcie, pozując z kwiatami i wystawionym językiem. Piszę esemesa do Ryle’a:

Ja: Próbowałam cię ostrzec.

Natychmiast zaczyna odpowiadać. Z niecierpliwością patrzę, jak kropeczki w moim telefonie przesuwają się w przód i w tył.

Ryle: Potrzebuję następnej dawki. Kończę za jakieś pół godziny. Pójdiesz ze mną na kolację?

Ja: Nie mogę. Mama chce, żebym wypróbowała z nią dzisiaj jakąś nową restaurację. Ma totalnego świra na punkcie jedzenia :(

Ryle: Lubię jedzenie. Jem je. Dokąd ją zabierasz?

Ja: Do Bib’s przy Marketson.

Ryle: Znajdzie się miejsce dla kogoś jeszcze?

Przez chwilę wpatruję się w jego esemesa. Ryle chce poznać moją mamę? Oficjalnie nawet ze sobą nie jesteśmy. To znaczy... nie przejmuję się tym, że pozna moją mamę – będzie nim zachwycona. Tyle że niedawno nie chciał mieć nic wspólnego ze związkami, a teraz nagle, raptem pięć dni później, proponuje pierwszą jazdę próbną, czyli na poznanie jednego z rodziców... Boże. Naprawdę działam jak narkotyk.

Odpisuję:

Pewnie. Spotkajmy się tam za pół godziny.

Wychodzę z biura i idę prosto do Allysy. Podsuwam jej telefon pod nos.

– Chce poznać moją mamę.

– Kto?

– Ryle.

– Mój brat? – Wydaje się równie zaszokowana co ja.

Kiwam głową.

– Twój brat. Moją mamę.

Łapie mój telefon i czyta esemesy.

– Hm. Bardzo dziwne.

Wyjmuję jej komórkę z ręki.

– Dzięki za wotum zaufania.

Śmieje się i mówi:

– Wiesz, co mam na myśli. Mówimy o Ryle’u. On nigdy, w całej historii bycia Ryle’em Kincaidem, nie poznał rodziców swojej dziewczyny.

Ta informacja oczywiście skłania mnie do uśmiechu, ale potem zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem Ryle nie robi tego tylko po to, żeby mi się przypodobać. Czy nie robi czegoś, czego tak naprawdę nie chce, tylko dlatego, że zależy mi na związku.

Po chwili uśmiecham się jeszcze szerzej, bo czy nie właśnie o to chodzi? O poświęcenie się dla osoby, którą lubisz, żeby była szczęśliwa?

– Twój brat musi mnie naprawdę lubić – droczę się z nią. Odwracam się do Allysy, myśląc, że się roześmieje, ale ona ma poważną minę.

Kiwa głową.

– No – przyznaje. – Obawiam się, że tak. – Bierze swoją torebkę spod lady. – Będę już lecieć. Daj mi znać, jak poszło, okej?

Przechodzi obok mnie. Odprowadzam ją wzrokiem, a potem przez dłuższą chwilę wpatruję się w drzwi.

Niepokoi mnie, że nie wydaje się podekscytowana perspektywą mojego związku z Ryle'em. Zaczynam się zastanawiać, czy ma to więcej wspólnego z jej uczuciami do mnie czy z jej uczuciami do niego.

Dwadzieścia minut później przekręcam tabliczkę na drzwiach. Jeszcze tylko kilka dni. Zamykam kwaciarnię i idę do samochodu, ale zastygam w pół kroku, widząc, że ktoś się o niego opiera. Rozpoznaję go dopiero po chwili. Patrzy w drugą stronę, rozmawiając przez telefon.

Myślałam, że mamy się spotkać w restauracji, ale niech będzie.

Gdy wciskam guzik w kluczyku, rozlega się krótki dźwięk alarmu i Ryle gwałtownie się odwraca. Uśmiecha się na mój widok.

– Tak, zgadzam się – mówi do telefonu. Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie, odciskając pocałunek na moim czole. – Porozmawiamy o tym jutro – dodaje. – Mam teraz bardzo ważną sprawę.

Rozłącza się i wsuwa telefon do kieszeni, a potem całuje mnie w usta. Nie jest to zwykły pocałunek na powitanie. To pocałunek mówiący, że Ryle bez przerwy o mnie myślał. Oplata mnie obiema rękami i obraca, tak że staję tyłem do samochodu. Całuje dalej, a mnie znów zaczyna się kręcić w głowie. Kiedy się odsuwa, spogląda na mnie z uznaniem.

– Wiesz, jaka część ciebie doprowadza mnie do największego szaleństwa? – Przysuwa palce do moich ust i obrysowuje mój uśmiech. – One – mówi. – Twoje usta. Uwielbiam to, że są równie czerwone jak twoje włosy i nawet nie musisz ich malować.

Uśmiecham się i całuję jego opuszki.

– W takim razie muszę cię pilnować w obecności mojej mamy, bo wszyscy mówią, że mamy takie same usta.

Jego palce zastygają mi na wargach. Poważnieje.

– Tylko nie to.

Śmieję się i otwieram drzwi samochodu.

– Jedziemy osobno?

Przytrzymuje mi drzwi.

– Przyjechałem uberem. Pojedziemy razem.

Gdy docieramy na miejsce, mama już siedzi przy stoliku. Jest odwrócona plecami do drzwi. Idę przodem.

Restauracja od razu robi na mnie wrażenie. Mój wzrok przyciągają ciepłe, neutralne kolory ścian i prawie rzeczywistych rozmiarów drzewo na środku restauracji. Wygląda, jakby wyrastało prosto z podłogi, jakby całą restaurację zbudowano wokół niego. Ryle idzie tuż za mną, opierając rękę na moich plecach. Gdy zatrzymujemy się przy stoliku, zaczynam zdejmować kurtkę.

– Cześć, mammo.

Mama odrywa wzrok od telefonu.

– O, cześć, skarbie. – Wrzuca komórkę do torebki i energicznym gestem pokazuje mi restaurację. – Już ją uwielbiam. Spójrz na to oświetlenie – mówi, kierując rękę w stronę sufitu. – Te lampy wyglądają jak coś, co mogłabyś wyhodować w którymś ze swoich ogródków.

Wślizguję się do boksu, a mama zauważa Ryle'a cierpliwie stojącego obok mnie.

– Na razie poprosimy dwie wody mineralne – mówi do niego z uśmiechem.

Zerkam na Ryle'a, a potem znowu na mamę.

– Mammo, on przyszedł ze mną. To nie kelner.

Zdezorientowana znowu patrzy na Ryle'a. On tylko się uśmiecha i wyciąga rękę.

– Każdy mógłby się pomylić, proszę pani. Nazywam się Ryle Kincaid.

Ściska mu dłoń, spoglądając to na mnie, to na niego. Ryle wypuszcza jej dłoń i siada w boksie.

– Jenny Bloom – przedstawia się mama, lekko się rumieniąc. – Miło mi. – Znowu skupia się na mnie i unosi brwi. – Lily, to twój przyjaciel?

Nie mogę uwierzyć, że jestem tak słabo przygotowana na tę chwilę. Cholera, jak mam go przedstawić? Mam powiedzieć, że badamy razem grunt? Nie mogę go nazwać swoim chłopakiem, z drugiej strony nie powiem, że jest przyjacielem. Zalotnik brzmi chyba trochę przestarzałe.

Ryle zauważa, że się zastanawiam, więc kładzie rękę na moim kolanie i uspokajająco je ściska.

– Moja siostra pracuje dla Lily – mówi. – Poznała ją pani? Ma na imię Allysa.

– Och! Tak, oczywiście! – Mama się rozpromienia. – Teraz, kiedy o tym wspomniłeś, zauważam, jacy jesteście podobni. To chyba te oczy. I usta.

Kiwa głową.

– Obydwoje wdaliśmy się w matkę.

Mama uśmiecha się do mnie.

– Wszyscy mówią, że Lily wdała się we mnie.

– Tak – mówi Ryle. – Identyczne usta. Niesamowite. – Znowu ściska moje kolano pod stołem, a ja staram się powstrzymać śmiech. – Drogie panie, wybaczcie, ale muszę pójść do toalety. – Przechyliła się w moją stronę i zanim wstaje, całuje mnie w skroń. – Jeśli przyjdzie kelner, poproszę tylko wodę.

Mama odprowadza Ryle'a wzrokiem, po czym powoli odwraca się z powrotem do mnie. Pokazuje na mnie, a potem na puste miejsce Ryle'a.

– Jak to możliwe, że nic o nim nie słyszałam?

Uśmiecham się lekko.

– Bo to trochę... To niezupełnie... – Nie mam pojęcia, jak to mamie wyjaśnić. – On dużo pracuje, więc w zasadzie rzadko spędzamy ze sobą czas. Bardzo rzadko. Właściwie to po raz pierwszy poszliśmy na kolację.

Mama unosi brew.

– Naprawdę? – dziwi się, opadając na oparcie. – Wygląda na to, że on traktuje to poważnie. To znaczy... wydaje się traktować cię ze swobodną czułością. To nieczęste u ludzi, którzy znają się od niedawna.

– Nie poznaliśmy się niedawno – mówię. – Od naszego pierwszego spotkania minął prawie rok. I spędzamy ze sobą czas, tyle że nie na randkach. On dużo pracuje.

– Gdzie?

– W szpitalu Massachusetts General.

Mama pochyla się i oczy prawie wychodzą jej z orbit.

– Lily! – syczy. – To lekarz?

Kiwam głową, powstrzymując uśmiech.

– Neurochirurg.

– Mogę paniom zaproponować coś do picia? – pyta kelner.

– Tak – odpowiadam. – Poprosimy trzy...

I nagle zamykam usta.

Wpatruję się w kelnera, a kelner wpatruje się we mnie. Serce podchodzi mi do gardła. Nie pamiętam, jak się mówi.

– Lily? – odzywa się mama. Wykonuje gest w stronę kelnera. – Pan czeka, aż zamówisz napoje.

Kręcę głową i zaczynam się jękać.

– Poprosimy... ee...

– Trzy wody – mówi mama.

Kelner otrząsa się z transu na tyle, by zastukać ołówkiem w notes.

– Trzy wody – powtarza. – Dobrze.

Odwraca się i odchodzi, ale widzę, jak na mnie spogląda, zanim znika za drzwiami do kuchni.

– Co się z tobą dzieje, na litość boską? – dziwi się mama.

Wskazuję przez ramię.

– Ten kelner. – Kręcę głową. – Wyglądał całkiem jak...

Już mam powiedzieć „Atlas Corrigan”, ale wraca Ryle i siada na swoim miejscu.

Wodzi wzrokiem między mną a mamą.

– Coś mnie ominęło?

Głośno przełykam ślinę, kręcąc głową. Przecież to nie mógł być Atlas. Ale te oczy... te usta. Wiem, że minęły całe lata, odkąd go widziałam, ale nigdy nie zapomnę, jak wygląda. To musiał być on. Jestem pewna, że to on, i wiem, że też mnie poznał, bo w chwili, w której nasze spojrzenia się spotkały... wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Lily? – zagaduje Ryle, ściskając mnie za rękę. – Wszystko w porządku?

Kiwam głową i zmuszam się do uśmiechu, a potem odchrząkuję.

– Tak. Właśnie o tobie rozmawialiśmy – odpowiadam, spoglądając z powrotem na mamę. – W tym tygodniu Ryle asystował przy osiemnastogodzinnej operacji.

Mama pochyla się z zainteresowaniem. Ryle zaczyna jej opowiadać o zabiegu. Zjawia się kelner, tym razem inny, przynosi wodę. Pyta, czy zdążyliśmy przejrzeć kartę dań, a potem wymienia specjalności szefa kuchni. Zamawiamy jedzenie. Ze wszystkich sił staram się skupić, ale wodzę wzrokiem po restauracji, wypatrując Atlasa. Muszę wziąć się w garść. Kilka minut później przechylam się w stronę Ryle’a.

– Muszę biec do toalety.

Wstaje, żeby mnie przepuścić. Idąc przez salę, przyglądam się każdemu napotkanemu kelnerowi. Wychodzę na korytarz prowadzący do toalet. Gdy tylko zostaję sama, opieram się plecami o ścianę. Pochyliłam się i długo wypuszczam powietrze. Postanawiam chwilę odczekać, żeby dojść do siebie, zanim wrócę do stolika. Przykładam ręce do czoła i zamykam oczy.

Od dziewięciu lat zastanawiam się, co się z nim stało. Od dziewięciu lat.

– Lily?

Odwracam głowę i gwałtownie wciągam powietrze. Stoi na końcu korytarza jak duch przybyły prosto z przeszłości. Mój wzrok biegnie w stronę jego stóp, żeby się upewnić, że nie unoszą się w powietrzu.

Nie unoszą się. Jest prawdziwy i stoi dokładnie naprzeciwko mnie.

Zamieram przy ścianie, nie wiedząc, co powinnam powiedzieć.

– Atlas?

Gdy tylko wypowiadam jego imię, z ulgą wypuszcza powietrze, a potem robi trzy wielkie kroki w moją stronę. Odruchowo robię to samo. Spotykamy się w połowie drogi i padamy sobie w ramiona.

– Jasna cholera – mówi, przytulając mnie mocno.

Kiwam głową,

– No. Jasna cholera.

Kładzie ręce na moich barkach i odsuwa się o krok, żeby mi się przyjrzeć.

– Nic się nie zmieniłaś.

Zasłaniam usta dłonią – wciąż jestem w szoku – i omiatam go spojrzeniem. Jego twarz wygląda tak samo jak kiedyś, ale przestał być mizernym nastolatkiem, którego pamiętam.

– Nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.

Spogląda na siebie ze śmiechem.

– No tak – mówi. – Po ośmiu latach w wojsku wygląda się inaczej.

Obydwoje jesteśmy wstrząśnięci, więc milczymy i z niedowierzaniem kręcimy głowami. On się śmieje i ja też zaczynam się śmiać. W końcu zabiera dłonie z moich ramion i splata ręce na piersi.

– Co cię sprowadza do Bostonu?

Zadaje to pytanie zupełnie zwyczajnym tonem i jestem mu za to wdzięczna. Może nie pamięta, że wiele lat temu rozmawialiśmy o Bostonie. Oszczędziłoby mi to zażenowania.

– Mieszkam tu – mówię, starając się, żeby moja odpowiedź zabrzmiała równie zwyczajnie. – Mam kwaciarnię przy Park Plaza.

Uśmiecha się znacząco, jakby wcale go to nie zaskoczyło. Spoglądam na drzwi, wiedząc, że powinnam wracać do stolika. Zauważa to i odsuwa się jeszcze o krok. Przez chwilę patrzy mi w oczy i robi się naprawdę cicho. O wiele za cicho. Mamy sobie tyle do powiedzenia, ale żadne z nas nie wie, od czego zacząć. Atlas poważnieje i wykonuje gest w stronę drzwi.

– Chyba powinnaś wracać do towarzystwa. Wpadnę do ciebie kiedyś. Powiedziałaś Park Plaza, prawda?

Kiwam głową.

On też kiwa głową.

Otwierają się drzwi i pojawia się jakaś kobieta z dzieckiem. Przechodzi między nami, co jeszcze bardziej zwiększa dzielący nas dystans. Robię krok w stronę wyjścia, ale on nie rusza się z miejsca. Kładę dłoń na klamce odwracam się do niego i uśmiecham.

– Naprawdę miło cię widzieć, Atlas.

Odwzajemnia uśmiech, ale jego oczy pozostają poważne.

– Tak, Lily. Ciebie też.

W trakcie posiłku prawie cały czas milczę, ale nie jestem pewna, czy Ryle i moja mama w ogóle to zauważają, bo ona bez oporów bombarduje go pytaniami. Ryle znosi to po mistrzowsku. Jest dla niej przemiły i stara się robić dobre wrażenie.

Nieoczekiwane spotkanie z Atlasem wytrąciło mnie z równowagi, ale nim kolacja dobiega końca, dzięki Ryle'owi udaje mi się uspokoić.

Mama bierze serwetkę, wyciera usta i kiwa do mnie głową.

– Moja nowa ulubiona restauracja – mówi. – Niesamowita!

Ryle potakuje.

– Zgadzam się. Muszę tu przyprowadzić Allyse. Uwielbia odkrywać nowe restauracje.

Jedzenie jest naprawdę dobre, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję jest to, żeby tych dwoje jeszcze tu przychodziło.

– Było w porządku – przyznaję.

Ryle reguluje rachunek, a potem nalega, żebyśmy odprowadzili mamę do samochodu. Coś mi mówi, że wieczorem mama zadzwoni, poznaję to po jej zadowolonej minie.

Kiedy odjeżdża, Ryle podchodzi ze mną do mojego auta.

– Zamówiłem ubera, żebyś nie musiała nadkładać drogi, odwożąc mnie do domu. Mamy około... – spogląda na telefon – półtorej minuty na całowanie.

Śmieje się. Obejmuje mnie i całuje najpierw w szyję, a potem w policzek.

– Wprosiłbym się do ciebie, ale jutro rano mam operację i mój pacjent na pewno się ucieszy, jeśli większości nocy nie spędzę w tobie.

Całuję go, czując rozczarowanie i jednocześnie ulgę, że ze mną nie jedzie.

– Za kilka dni mamy wielkie otwarcie. Chyba też powinnam się wyspać.

– Kiedy będziesz miała wolne? – pyta.

– Nigdy. A ty?

– Nigdy.

Kręcę głową.

– Jesteśmy skazani na klęskę. Zbyt dużo w nas ambicji i żądzy sukcesu.

– To znaczy, że faza miodowego miesiąca będzie trwała aż do osiemdziesiątki – mówi. –

W piątek wpadnę na twoje wielkie otwarcie, a potem wszyscy czworo pójdziemy to uczcić.

Obok zatrzymuje się samochód i Ryle wsuwa palce w moje włosy, całując mnie na pożegnanie.

– Tak na marginesie, masz cudowną mamę. Dziękuję, że pozwoliłaś mi przyjść na tę kolację.

Odsuwa się i wsiada do samochodu. Patrzę, jak wyjeżdża z parkingu.

Mam naprawdę dobre przecucia w związku z tym facetem.

Uśmiecham się i odwracam w stronę mojego auta, ale na widok Atlasa przyciskam rękę do piersi i wydaję z siebie zduszony okrzyk.

Atlas stoi obok bagażnika.

– Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

Wypuszczam powietrze i opieram się o drzwi.

– Ale przestraszyłeś.

Atlas stoi w miejscu, trzy kroki ode mnie. Spogląda na ulicę.

– No i? Kim jest ten szczęściarz?

– To... – Milknę. Cała ta sytuacja jest strasznie dziwna. Nadal brak mi tchu i czuję ucisk w żołądku. Nie jestem w stanie ocenić, czy to pozostałość po całowaniu się z Ryle'em czy skutek obecności Atlasa. – Ma na imię Ryle. Poznaliśmy się mniej więcej rok temu.

Natychmiast żałuję, że powiedziałam, że znamy się od tak dawna. Brzmi to, jakbyśmy od roku byli parą, a przecież oficjalnie nawet ze sobą nie randkujemy.

– A co u ciebie? Ożeniłeś się? Masz dziewczynę?

Nie jestem pewna, czy zadaję te pytania, żeby pociągnąć rozmowę, którą zaczął, czy dlatego, że naprawdę jestem ciekawa.

– Tak. Nazywa się Cassie. Jesteśmy ze sobą już prawie rok.

Zgaga. Chyba mam zgagę. Rok? Kładę rękę na piersi i kiwam głową.

– To dobrze. Wyglądasz na szczęśliwego.

Czy wyglądasz na szczęśliwego? Nie mam pojęcia.

– Tak. No to... Lily, naprawdę się cieszę, że cię spotkałem. – Odchodzi kilka kroków, ale

zaraz znowu na mnie patrzy, wkładając ręce do tylnych kieszeni spodni. – Chcę powiedzieć, że... trochę żałuję, że nie spotkaliśmy się rok temu.

Słyszając te słowa, wzdrygam się, próbując nie dopuścić do tego, żeby dotarły głębiej. Atlas się odwraca i idzie w stronę restauracji.

Szukam kluczyków i wciskam guzik otwierający samochód. Wślizguję się do środka, zamykam drzwi i łapię za kierownicę. Z jakiegoś powodu po policzku spływa mi ogromna łza. Ogromna, żałosna łza, która wzięła się nie wiadomo skąd. Wycieram ją i włączam silnik.

Nie przypuszczałam, że jego widok wywoła tyle bólu.

Ale to dobrze. Nie bez powodu tak się stało. Moje serce potrzebowało zamknięcia tamtej historii, żebym mogła je otworzyć przed Ryle'em, i chyba aż do tej chwili nie było to możliwe.

To dobrze.

Owszem, płaczę.

Ale poczuję się lepiej. Taka już ludzka natura: stara rana się goi, a w jej miejsce powstaje nowa, świeża warstwa skóry.

I tyle.

Rozdział jedenasty

Zwijam się w kłębek na łóżku i wpatruję się w pamiętnik.
Już prawie skończyłam czytać. Nie pozostało wiele wpisów.
Sięgam po zeszyt i kładę go na poduszce obok.
– Nie będę cię czytała – szepczę.

Choć gdybym przeczytała to, co zostało, sprawa byłaby zakończona. Widziałam dziś Atlasa, wiem, że ma dziewczynę, pracę i z całą pewnością także dom, a to najlepszy finał tego rozdziału, jakiego potrzebuję. I gdybym po prostu doczytała ten przeklęty pamiętnik do końca, mogłabym go włożyć z powrotem do pudełka po butach i nigdy więcej do niego nie zaglądać.

W końcu po niego sięgam i przewracam się na plecy. Ellen DeGeneres, ale z ciebie zołza.

Droga Ellen,

„płynie się dalej”.

Kojarzysz te słowa? Tak w Gdzie jest Nemo? powiedziała Dory do Marlina.

„Płynie się dalej, płynie, płynie”.

Nie jestem wielką fanką filmów animowanych, ale za dubbing do tej masz moje uznanie. Lubię kreskówki, które wywołują nie tylko śmiech, ale i pewne emocje. Po dzisiejszym dniu myślę, że to moja ulubiona. Dlatego że ostatnio mam wrażenie, że tonę, a czasami ludziom trzeba przypomnieć, że powinni po prostu płynąć dalej.

Atlas się rozchorował. Rozchorował się naprawdę poważnie.

Od kilku dni wkrada się do mnie przez okno i śpi na podłodze. Wczoraj wieczorem, gdy tylko na niego spojrzałam, zauważyłam, że coś jest z nim nie tak. Była niedziela, więc nie widziałam go od poprzedniej nocy, ale wyglądał okropnie. Miał przekrwione oczy, był błydy i pocił się mimo zimna. Nawet nie spytałam, czy dobrze się czuje, od razu wiedziałam, że nie. Przyłożyłam mu rękę do czoła. Było tak rozpalone, że o mało nie zawołałam mamy.

– Nic mi nie będzie, Lily – powiedział, a potem zaczął szykować sobie posłanie na podłodze.

Kazałam mu poczekać i poszłam do kuchni po szklankę wody. Znalazłam w szafce jakieś leki – coś na grypę. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście ma grypę, ale i tak kazałam mu połknąć tabletki.

Położył się na podłodze i zwinął się w kłębek. Pół godziny później się odezwał:

– Lily? Chyba będę potrzebował kosza na śmieci.

Zerwałam się z łóżka i złapałam kosz stojący pod biurkiem. Gdy tylko postawiłam go przed Atlasem, pochylił się nad nim i zaczął wymiotować.

Boże, było mi go strasznie żal. Okropnie się rozchorował, a nie miał ani łazienki, ani łóżka, ani domu, ani mamy. Miał tylko mnie, a ja nie wiedziałam, jak mu pomóc.

Kiedy skończył, kazałam mu napić się wody i powiedziałam, żeby położył się na łóżku. Wzbrańał się, ale nie chciałam o tym słyszeć. Postawiłam kosz na śmieci obok łóżka i zmusiłam go, żeby przeniósł się na górę.

Był rozpalony i tak bardzo się trząsnął, że zwyczajnie bałam się go zostawić na podłodze. Położyłam się obok niego. Przez następne sześć godzin regularnie wymiotował. Musiałam chodzić do łazienki, żeby opróżniać kosz. Nie będę kłamała, to było ohydne. Nigdy dotąd nie robiłam czegoś równie obrzydliwego, ale czy miałam inne wyjście? Potrzebował mojej pomocy, nie miał nikogo oprócz mnie.

Kiedy rano przyszła pora jego wyjścia, poprosiłam, żeby wracał do siebie, i obiecałam

zajrzeć do niego przed szkołą. Dziwię się, że w ogóle miał siłę, żeby wyczołgać się przez okno. Nie odstawiłam kosza na miejsce i czekałam, aż mama przyjdzie mnie obudzić. Kiedy się zjawiała, zobaczyła stojący przy łóżku kubek i od razu przyłożyła rękę do mojego czoła.

– Lily, dobrze się czujesz?

Jęknęłam, kręcąc głową.

– Nie. Wymiotowałam przez całą noc. Chyba już mi przeszło, ale w ogóle nie spałam.

Zabrała kosz i kazała mi zostać w łóżku, dodając, że zadzwoni do szkoły i uprzedzi, że mnie dziś nie będzie. Kiedy pojechała do pracy, poszłam po Atlasa i powiedziałam, że może pobyć ze mną w domu przez cały dzień. Dalej miał mdłości, więc pozwoliłam mu się wyspać w moim pokoju. Zaglądałam do niego mniej więcej co pół godziny. Koło południa wreszcie przestał wymiotować. Wziął prysznic, a potem ugotowałam mu zupę.

Był zbyt słaby, żeby ją zjeść. Wzięłam koc i przykryliśmy się nim, siedząc razem na kanapie. Nie wiem, kiedy poczułam się wystarczająco pewnie, żeby się do niego przytulić, ale zwyczajnie uznałam, że tak będzie dobrze. Kilka minut później przysunął głowę i przyłożył usta do mojego obojczyka. To był krótki pocałunek i chyba nie miał być romantyczny – przypominał raczej gest podziękowania. Mimo to wywołał we mnie przeróżne emocje. Od tego pocałunku minęło kilka rodzin, a ja ciągle dotykam tego miejsca palcami, bo nadal go czuję.

Ellen, wiem, że był to prawdopodobnie najgorszy dzień w jego życiu. Ale dla mnie był jednym z najlepszych.

Czuję się z tego powodu paskudnie.

Oglądaliśmy Gdzie jest Nemo?. W pewnym momencie szukający Nema Marlin się załamał. Wtedy Dory powiedziała do niego: „Wiesz, co się robi, jak życie dołuje? Mówi się trudno i płynie się dalej. Płynie się dalej, płynie, płynie”.

Kiedy Dory to powiedziała, Atlas złapał mnie za rękę. To nie był gest z gatunku tych pomiędzy chłopakiem a dziewczyną – Atlas ścisnął moją dłoń w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że to my. On był Marlinem, a ja Dory, i pomagałam mu płynąć.

– Po prostu płyn dalej – szepnęłam do niego.

Lily

Droga Ellen,

boję się. Bardzo się boję.

Strasznie go lubię. Kiedy jesteśmy razem, myślę tylko o nim, a kiedy go przy mnie nie ma, odchodzę od zmysłów, martwiąc się o niego. Moje życie zaczyna się obracać wokół Atlasa i wiem, że to niedobrze. Ale nie umiem na to nic poradzić i nie wiem, co w związku z tym zrobić. A teraz on może wyjechać.

Wczoraj wyszedł, kiedy skończyliśmy oglądać Gdzie jest Nemo?, a potem, gdy rodzice poszli spać, zakradł się do mojego okna. Poprzedniej nocy spał w moim łóżku, dlatego że był chory, i wiem, że nie powinnam była tego robić, ale tuż przed położeniem się spać, włożyłam jego koce do pralki. Spytał, gdzie jest jego posłanie, a ja odpowiedziałam, że znowu musi spać w łóżku, bo chciałam wyprać jego koce, żeby pozbyć się zarazków.

Przez chwilę myślałam, że sobie pójdzie. Ale on zamknął okno, zdjął buty i wślizgnął się do mnie do łóżka.

Praktycznie już wydobrzył, ale kiedy się położył, pomyślałam, że chyba sama się rozchorowałam, bo zrobiło mi się słabo. Ale nie byłam chora. Zawsze robi mi się słabo, kiedy Atlas jest tak blisko mnie.

Leżeliśmy na łóżku zwróceniu do siebie twarzami.

– Kiedy kończysz szesnaście lat? – spytał.

– Za dwa miesiące – szepnęłam. Patrzyliśmy się na siebie bez słowa, a moje serce biło coraz szybciej. – A kiedy ty kończysz dziewiętnaście? – spytałam, starając się podtrzymać rozmowę, żeby nie słyszał, jak ciężko oddycham.

– Dopiero w październiku – powiedział.

Pokiwałam głową. Zastanawiałam się, dlaczego był ciekaw, kiedy mam urodziny, a potem zaczęłam się zastanawiać, co myśli o piętnastolatkach. Czy traktuje mnie jak dziecko? Jak młodszą siostrę? Mam prawie szesnaście lat, a dwuipółletnia różnica wieku to nie aż tak wiele. Może kiedy dwoje ludzi ma piętnaście i osiemnaście lat, wydaje się spora. Ale założę się, że kiedy skończę szesnaście, nikt nie zwróci uwagi na te dzielące nas dwa i pół roku.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się.

Wstrzymałam oddech, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Skontaktowałem się dzisiaj z wujkiem z Bostonu. Kiedyś mieszkaliśmy u niego z mamą. Pewnego razu mi powiedział, że gdy wróci z podróży służbowej, będę mógł się u niego zatrzymać.

Powinnam była bardzo się ucieszyć. Powinnam była się uśmiechnąć i mu pogratulować. Zamiast tego zdałam sobie sprawę, jaka jestem niedojrzała, bo kiedy zamknęłam oczy, zrobiło mi się żal samej siebie.

– I pojedziesz? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Najpierw chciałem to omówić z tobą.

Leżał tak blisko mnie, że czułam ciepło jego oddechu. Poza tym zauważyłam, że pachnie miętą, i zaczęłam się zastanawiać, czy używa butelkowanej wody, żeby umyć zęby, zanim do mnie przyjdzie. Kiedy ode mnie wychodził, zawsze dawałam mu mnóstwo wody.

Przyłożyłam rękę do poduszki i zaczęłam skubać wystające z niej piórko. Wydobyłam je całe i obracałam w palcach.

– Atlas, nie wiem, co powiedzieć. Cieszę się, że będziesz miał gdzie mieszkać. Ale co ze szkołą?

– Mogę ją skończyć tam.

Pokiwałam głową. Wyglądało na to, że już podjął decyzję.

– Kiedy wyjeżdżasz?

Zastanawiałam się, jak daleko jest Boston. Pewnie o kilka godzin drogi stąd, ale jeśli nie ma się własnego samochodu, to tak, jakby był w innym świecie.

– Nie jestem pewny, czy wyjadę.

Upuściłam piórko na poduszkę i cofnęłam rękę.

– Co cię powstrzymuje? Wujek zaproponował ci dach nad głową. To dobrze, prawda?

Zacisnął usta i potaknął. Wziął piórko i zaczął je obracać w palcach. Odłożył je z powrotem na poduszkę, a potem zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Przyłożył palce do moich ust.

Boże, Ellen. Myślałam, że padnę trupem. Nigdy dotąd nie czułam aż tylu rzeczy naraz. Przez kilka sekund trzymał palec na moich ustach, a potem powiedział:

– Lily, dziękuję ci. Za wszystko.

Podniósł rękę, przeczesał mi włosy, przysunął się i pocałował mnie w czoło. Oddychałam tak szybko, że musiałam rozchylić wargi, żeby złapać więcej powietrza. Widziałam, że jego klatka piersiowa faluje równie mocno jak moja. Spojrzał na mnie i skupił wzrok na moich ustach.

– Czy ktoś już cię całował, Lily?

Pokręciłam głową i zbliżyłam twarz do jego twarzy, bo zapragnęłam, żeby to się natychmiast zmieniło. Inaczej nie byłabym w stanie oddychać.

Wtedy – prawie jakbym była delikatna jak skorupka jajka – ostrożnie dotknął wargami

moich warg i po prostu zastygł. Nie wiedziałam, co robić, ale wcale się tym nie przejmowałam. Nie przeszkadzałoby mi, gdybyśmy tak leżeli przez całą noc – to by mi wystarczyło.

Jego usta zamknęły się na moich i chyba zadrżała mu ręka. Zrobiłam to samo co on – też zaczęłam poruszać ustami. Poczulałam, jak koniuszek jego języka muska moje wargi, i pomyślałam, że zaraz zemdleję. Zrobił to jeszcze raz, a potem znowu, więc zaczęłam go naśladować. Kiedy nasze języki się spotkały, lekko się uśmiechnęłam, bo wcześniej dużo myślałam o swoim pierwszym pocałunku. Gdzie nastąpi, z kim... W życiu bym nie zgadła, że będzie wyglądał właśnie tak.

Atlas lekko popchnął mnie na plecy, ujął za policzek i całował dalej. Robiło się coraz lepiej, bo z każdą chwilą czułam się pewniej. Najbardziej podobał mi się moment, kiedy się odsunął i spojrzał na mnie, a potem zaczął całować jeszcze mocniej.

Nie wiem, ile czasu się całowaliśmy. Długo. Tak długo, że rozboleły mnie usta, a powieki zaczęły opadać. Jestem pewna, że kiedy zasypialiśmy, jego wargi nadal dotykały moich.

Nie rozmawialiśmy więcej o Bostonie.

Nadal nie wiem, czy wyjeżdża.

Lily

Droga Ellen,

muszę Cię przeprosić.

Nie pisałam do Ciebie od tygodnia i od tygodnia nie oglądałam Twojego programu. Nie martw się, nadal go nagrywam, więc przekażę Ci wrażenia, ale codziennie po powrocie ze szkoły Atlas bierze szybki prysznic, a potem się całujemy.

Codziennie.

Jest super.

Nie wiem, co on takiego w sobie ma, ale przy nim czuję się bezpieczna. Jest taki słodki i troskliwy. Nigdy nie robi niczego, co mi nie odpowiada. Zresztą jak dotąd nie spróbował niczego, co by mi nie odpowiadało.

Nie jestem pewna, jak dużo powinnam ci wyjawić, bo przecież nigdy się nie spotkałyśmy. Powiem tylko, że jeśli kiedykolwiek się zastanawiał, jakie są w dotyku moje piersi...

To teraz już wie.

Nie mogę pojąć, jak ludzie są w stanie funkcjonować, kiedy lubią kogoś tak bardzo jak ja jego. Gdyby to zależało ode mnie, całowalibyśmy się całymi dniami i nocami, nic poza tym nie robiąc, może z wyjątkiem rozmawiania. Atlas opowiada mi zabawne historie. Uwielbiam, kiedy się rozgaduje, bo nie zdarza się to zbyt często. Mocno przy tym gestykuluje. W dodatku często się uśmiecha, a jego uśmiech uwielbiam jeszcze bardziej niż jego pocałunki. Dlatego czasami po prostu każę mu się zamknąć, przestać się uśmiechać i mnie nie całować, tak żebym mogła po prostu na niego patrzeć. Lubię przyglądać się jego oczom. Są takie niebieskie, że mógłby stać na drugim końcu pokoju, a i tak byłoby widać ten ich błękit. Jedyne, co mi czasem przeszkadza, kiedy się całujemy, to to, że zamyka oczy.

I nie. Nadal nie rozmawialiśmy o Bostonie.

Lily

Droga Ellen,

wczoraj po południu Atlas pocałował mnie w autobusie. Dla nas nie było to nic nowego, bo dużo się wcześniej całowaliśmy, ale po raz pierwszy zrobił to publicznie. Kiedy jesteśmy razem, wszystko inne jakby znika, więc przypuszczam, że nawet nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby nas zauważyć. Ale Katie zauważyła. Siedziała za nami, a kiedy Atlas się do mnie

przysunął i mnie pocałował, powiedziała:

– Ohyda – i dodała, zwracając się do siedzącej obok dziewczyny: – Nie mogę uwierzyć, że Lily pozwala mu się dotykać. On prawie codziennie chodzi w tym samym ubraniu.

Ellen, jak ja się wścieklam. Poza tym zrobiło mi się okropnie żal Atlasa. Odsunął się ode mnie, poczułam, że jej słowa go dotknęły. Zaczęłam się odwracać, żeby ją ochrzanić za to, że osądza kogoś, kogo nawet nie zna, ale złapał mnie za rękę i pokręcił głową.

– Nie rób tego, Lily.

Więc nie zrobiłam.

Ale przez całą drogę byłam strasznie zła. Byłam zła, że Katie powiedziała coś tak prostackiego, tylko po to, żeby zranić kogoś, kogo uważa za gorszego od siebie. Poza tym zabolalo mnie, że Atlas najwyraźniej przywykł do takich komentarzy.

Nie chciałam, żeby pomyślał, że się wstydzę, bo ktoś zobaczył, jak mnie całuje. Znam Atlasa lepiej niż ktokolwiek z nich i wiem, jak dobrym jest człowiekiem, bez względu na to, jak się ubiera albo jak pachniał, zanim zaczął korzystać z mojego prysznicza.

Przysunęłam się, pocałowałam go w policzek i położyłam głowę na jego ramieniu.

– Wiesz co? – zagadnęłam.

Splótnł palce z moimi i ścisnął mnie za rękę.

– Co?

– Lubię cię bardziej niż innych.

Poczułam, że tłumy śmiech, i też się uśmiechnęłam.

– Na przykład kogo? – spytał.

– Bardziej niż wszystkich.

Pocałował mnie w czoło i odparł:

– Ja też cię lubię bardziej niż innych, Lily. O wiele bardziej.

Kiedy autobus zatrzymał się na mojej ulicy i wychodziliśmy, Atlas nie wypuścił mojej dłoni. Szedł przede mną, więc nie zauważył, że się odwróciłam i pokazałam Katie środkowy palec.

Pewnie nie powinnam była tego robić, ale widząc jej minę, uznałam, że było warto.

Kiedy dotarliśmy do mojego domu, Atlas wyjął mi klucz z ręki i otworzył drzwi. Czulałam się dziwnie, widząc, z jaką swobodą to robi. Wszedł do środka i zamknął za nami. Chciałam zapalić światło, ale okazało się, że w domu nie ma prądu. Spojrzałam przez okno i zobaczyłam furgonetkę elekrowni i elektryków pracujących przy sieci. To oznaczało, że nie możemy obejrzeć Twojego programu. Nie bardzo się tym jednak zmartwiłam, bo to oznaczało, że prawdopodobnie będziemy się całować przez bite półtorej godziny.

– Masz piekarnik na gaz czy na prąd? – spytał Atlas.

– Na gaz – powiedziałam lekko zaskoczona.

Zdjął buty (które kiedyś należały do mojego taty) i ruszył w stronę kuchni.

– Coś dla ciebie zrobić – powiedział.

– Umiesz gotować?

Otworzył lodówkę i zaczął przesuwać produkty.

– No. Chyba lubię gotować równie mocno, jak ty lubisz uprawiać rośliny.

Wyjął kilka rzeczy z lodówki i włączył piekarnik. Oparłam się o blat i zaczęłam go obserwować. Nawet nie zaglądał do przepisu ani nie używał miarki. Po prostu wsypywał składniki do miski i je mieszał.

Nigdy nie widziałam, żeby mój tata cokolwiek robił w kuchni. Jestem pewna, że nie potrafiłby nawet rozgrzać piekarnika. Chyba myślałam, że większość mężczyzn jest taka jak on, ale patrząc na Atlasa, rozumiałam, że się myliłam.

– Co robisz? – spytałam. Oparłam ręce na wyspie i na nią wskoczyłam.

– Ciasteczka – powiedział.

Podszedł do mnie z miską, nabrał łyżką ciasta i przysunął ją do moich ust. Spróbowałam. Surowe ciasto na ciasteczka to jedna z moich słabości, a ciasto Atlasa należało do najlepszych, jakich kiedykolwiek próbowałam.

– Ojej... – westchnęłam, oblizując wargi.

Postawił miskę obok mnie, a potem się przysunął i mnie pocałował. W razie gdybyś była ciekawa, surowe ciasto w połączeniu z ustami Atlasa smakuje niebiańsko. Mruknęłam przeciągle, dając mu znać, że taki zestaw bardzo mi się podoba. To go rozśmieszyło. Ale nie przestał mnie całować. Po prostu śmiał się, całując mnie dalej, co do reszty zmiękczyło mi serce. Szczęśliwy Atlas działał na mnie oszalamiająco. Sprawiał, że pragnęłam odkryć każdą rzecz na świecie, którą lubi, i podarować mu je wszystkie.

Kiedy mnie całował, zastanawiałam się, czy go kocham. Nigdy dotąd nie miałam chłopaka, więc nie mam z czym porównać swoich uczuć. W zasadzie to przed Atlasem nigdy nawet nie chciałam się z nikim wiązać. Nie mam wzorców traktowania kobiety przez mężczyznę, więc zawsze czułam chorą nieufność w stosunku do związków i innych ludzi.

Czasami się zastanawiałam, czy kiedykolwiek zdołam zaufać facetowi. Przeważnie nienawidzę mężczyzn, bo jedyny przykład, jaki mam, to mój ojciec. Ale spędzając tyle czasu z Atlasem, zmieniam się. Nie jakoś drastycznie, co to, to nie. Nadal przeważnie nie ufam ludziom. Ale Atlas zmienia mnie w wystarczającym stopniu, żebym zaczęła wierzyć, że być może istnieją wyjątki od reguły.

Przestał mnie całować i zabrał miskę. Zaniósł ją na blat naprzeciwko i zaczął wykladać ciasto łyżką na dwie blachy.

– Zdradzić ci sekret pieczenia w piekarniku gazowym? – spytał.

Prawdę mówiąc, dotąd nie interesowałam się pieczeniem, ale jakimś cudem sprawił, że zapagnęłam się dowiedzieć wszystkiego, co wie na ten temat. Może dlatego, że kiedy o tym mówił, wydawał się bardzo szczęśliwy.

– Piekarnik gazowy nagrzewa się nierównomiernie – powiedział. Otworzył drzwiczki i włożył blachy do środka. – Musisz co jakiś czas obracać blachy, żeby ciasteczka równo się upiekły. – Zamknął drzwiczki i zdjął rękawicę kuchenną. Rzucił ją na blat. – Kamień do pizzy też bywa pomocny. Jeśli trzymasz go w piekarniku, nawet kiedy nie pieczesz pizzy, pomaga utrzymać jednolitą temperaturę.

Podszedł do mnie. Kiedy zaczął odchylać kołnierzyk mojej koszulki, poczułam, jak przeszywa mnie prąd. Pocałował miejsce na moim ramieniu, które zawsze uwielbia całować, i powoli przesunął dłońmi po moich plecach. Przysięgam, czasem nawet kiedy go przy mnie nie ma, nadal czuję jego wargi na obojczyku.

Zamierzał mnie pocałować w usta, ale wtedy usłyszeliśmy, że ktoś parkuje na podjeździe, a brama garażowa zaczyna się otwierać. Zeskoczyłam z wyspy, gorączkowo rozglądając się po kuchni. Atlas ujął moją twarz w dłonie i delikatnie uniósł, tak bym spojrzała mu w oczy.

– Miej oko na ciasteczka. Będą gotowe za jakieś dwadzieścia minut. – Pocałował mnie namiętnie, a potem się odsunął i pobiegł przez salon po plecak. Uciekł tylnymi drzwiami w tej samej sekundzie, w której ojciec wyłączył silnik.

Zacząłam chować składniki. Gdy tata wszedł do kuchni, rozejrzał się uważnie. Zauważył światelko w piekarniku.

– Pieczesz coś? – spytał.

Pokiwałam głową, bo serce biło mi jak szalone i bałam się, że jeśli odpowiem, zadrży mi głos. Przez chwilę szorowałam zupełnie czyste miejsce na blacie. Odchrząknęłam

i powiedziałam:

– Ciasteczka. Piękę ciasteczka.

Postawił teczkę na blacie, podszedł do lodówki i wyjął piwo.

– Wysiadł prąd – powiedziałam. – Nudziłam się i pomyślałam, że coś upiekę, zanim tego nie naprawią.

Ojciec usiadł przy stole i przez następne dziesięć minut pytał mnie o szkołę i plany dotyczące college'u. Czasami, kiedy jesteśmy tylko we dwoje, zauważam przebłyśki tego, jak mogłyby wyglądać normalne relacje z ojcem. Zwyczajna rozmowa w kuchni o college'u, wymarzonych zawodach, liceum... Przeważnie nienawidziłam taty, ale mimo to pragnęłam więcej takich chwil. Gdyby zawsze mógł być takim facetem, jakim potrafił być w tych rzadkich momentach, życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Życie całej naszej rodziny.

Obróciłam ciasteczka, tak jak kazał Atlas, a kiedy się upiekły, wyjęłam je z piekarnika. Zdjęłam jedno z blachy i podałam je ojcu. Czulałam się podle, będąc dla niego taka miła. Prawie jakbym marnowała jedno z ciasteczek Atlasa.

– O rany, Lily! – zawołał ojciec. – Są pyszne.

Zmusiłam się, żeby mu podziękować. Przecież nie mogłam mu powiedzieć, że wcale ich nie upiekłam.

– Zrobiłam je do szkoły, więc możesz zjeść tylko jedno – skłamałam.

Gdy ciasteczka ostygły, włożyłam je do plastikowego pojemnika i zaniiosłam do swojego pokoju. Nie chciałam ich próbować bez Atlasa, więc postanowiłam poczekać do naszego wieczornego spotkania.

– Powinnaś była spróbować, kiedy były jeszcze gorące – powiedział, gdy zakradł się do mnie nocą. – Wtedy są najlepsze.

– Nie chciałam ich jeść bez ciebie – powiedziałam.

Siedzieliśmy na łóżku, oparci plecami o ścianę i zjedliśmy pół miski ciasteczek. Powiedziałam Atlasowi, że są pyszne, ale nie dodałam, że to najpyszniejsze ciasteczka, jakie kiedykolwiek jadłam. Nie chciałam, żeby za bardzo urosło mu ego. Chyba podoba mi się, jaki jest skromny.

Zamierzałam sięgnąć po kolejne ciasteczko, ale Atlas odsunął pojemnik i go zamknął.

– Jeśli zjesz za dużo, rozboli cię brzuch i przestaniesz lubić moje wypieki.

Roześmiałam się.

– To niemożliwe.

Napił się wody, podniósł się i stanął przodem do mnie.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, sięgając do kieszeni.

– Więcej ciasteczek? – spytałam.

Uśmiechnął się, pokręcił głową i przysunął do mnie rękę zaciśniętą w pięść. Podłożyłam pod nią otwartą dłoń, a wtedy upuścił na nią coś twardego. Było to serduszko, mniej więcej pięciocentymetrowe, wyrzeźbione w drewnie.

Pogłaskałam je kciukiem, starając się nie uśmiechać zbyt szeroko. Nie miało anatomicznego kształtu, z drugiej strony nie przypominało tych, jakie się zwykle rysuje. Było nierówne i puste w środku.

– Sam je zrobiłeś? – spytałam, patrząc na niego.

Pokiwał głową.

– Wyciąłem je starym nożykiem, który znalazłem w domu.

Końce serduszka nie były złączone. Po prostu lekko się zaginały, tworząc małą przerwę u góry. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czulałam, że usiadł z powrotem na łóżku, ale nie mogłam oderwać oczu od serduszka.

– Wyrzeźbiłem je w gałęzi – powiedział szeptem. – W gałęzi tego dębu z twojego podwórka.

Przysięgam, Ellen, nigdy nie przypuszczałam, że cokolwiek mogłoby mi się tak podobać. A może to, co czułam, nie miało związku z prezentem, tylko z człowiekiem, który mi go podarował. Zamknęłam serduszko w dłoni, a potem przysunęłam się do Atlasa i pocałowałam go tak mocno, że opadł na łóżko. Przerzuciłam przez niego nogę, usiadłam na nim okrakiem, a on złapał mnie w talii i się uśmiechnął, nie przestając mnie całować.

– Wyrzeźbię ci w tym przeklętym dębie cały dom, jeśli będziesz mi tak dziękować – szepnął.

Roześmiałam się.

– Musisz przestać być taki doskonały – powiedziałam. – Już teraz lubię cię bardziej niż innych, ale nie jesteś w porządku wobec reszty ludzi, bo teraz nikt nie będzie w stanie ci dorównać.

Przytrzymał moją głowę i przeturlał mnie na plecy, a sam znalazł się na górze.

– W takim razie mój plan działa – stwierdził i znowu mnie pocałował.

Kiedy się całowaliśmy, cały czas trzymałam serduszko, chcąc wierzyć, że to prezent bez okazji. Ale trochę się bałam, że to prezent pożegnalny przed jego wyjazdem do Bostonu.

Nie chciałam, żeby wyjeżdżał. Gdyby tak się stało, przestałby być częścią mojego życia.

Ellen, nie chcę, żeby Atlas przeprowadzał się do Bostonu. Wiem, że to samolubne z mojej strony, bo przecież nie może wiecznie mieszkać w opuszczonym domu. Nie wiem, czego boję się bardziej. Patrzenia, jak wyjeżdża, czy samolubnego błagania go, żeby tego nie robił.

Wiem, że musimy o tym porozmawiać. Spytam go o Boston, kiedy przyjdzie dziś na noc. Po prostu nie chciałam poruszać tego tematu wieczorem, bo to był naprawdę idealny dzień.

Lily

Droga Ellen,

po prostu płyn dalej. Płyn dalej.

Atlas przeprowadza się do Bostonu.

Naprawdę nie mam ochoty o tym pisać.

Lily

Droga Ellen,

żeby ukryć coś takiego, mama będzie się musiała bardzo starać.

Zazwyczaj ojciec świadomie bije ją tak, żeby nie było widać siniaków. Chyba ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, jest to, żeby mieszkańcy Plethory dowiedzieli się, jak ją traktuje. Kilka razy widziałam, jak ją kopie, dusi, bije po plecach i brzuchu, ciągnie za włosy. W tych nielicznych przypadkach, kiedy uderzał ją w twarz, zawsze bił otwartą dłonią, żeby ślady szybko zniknęły.

Ale jeszcze nigdy nie widziałam, żeby zrobił to, co wczoraj.

Wrócili do domu naprawdę późno. Był weekend, więc wybrali się na jakąś oficjalną imprezę. Ojciec ma agencję nieruchomości, a poza tym jest burmistrzem, więc często muszą się udzielać publicznie, na przykład chodzić na kolacje dobroczynne. Co zakrawa na ironię, bo mój ojciec nienawidzi dobroczynności. Ale chyba musi dbać o wizerunek.

Kiedy wrócili, Atlas był już w moim pokoju. Gdy tylko weszli do domu, usłyszałam, jak się klóć. Ściany stłumiły większość słów, ale brzmiało to tak, jakby ojciec oskarżał mamę, że flirtowała z jakimś mężczyzną.

Ellen, znam moją mamę. Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Jeśli już, to pewnie ktoś na nią spojrzal i ojciec zrobił się zazdrosny. Mama jest naprawdę piękna.

Nazwał ją kurwą, a potem ją uderzył. Chciałam wstać z łóżka, ale Atlas pociągnął mnie z powrotem, mówiąc, żebym tam nie szła, że może mi się stać krzywda. Odparłam, że czasami to pomaga. Że kiedy się zjawiam, ojciec się wycofuje.

Atlas próbował mi to wyperswadować, ale w końcu wstałam i poszłam do salonu.

Ellen...

To było po prostu...

Leżał na niej.

Byli na kanapie i trzymał ją za gardło, ale drugą ręką podciągał jej sukienkę. Mama próbowała się wyswobodzić, a ja tylko stałam jak skamieniała. Mama cały czas błagała, żeby z niej zszedł. Po chwili uderzył ją prosto w twarz i kazał jej się zamknąć.

– Potrzebujesz zainteresowania? Już ja ci, kurwa, dam zainteresowanie – warknął.

Wtedy mama zupełnie zastygła i przestała się bronić. Usłyszałam, jak płacze, a potem powiedziała:

– Proszę, tylko cicho, Lily tu jest.

Powiedziała: „Proszę, tylko cicho”.

Tylko bądź cicho, kochanie, kiedy będziesz mnie gwałcił.

Ellen, nie wiedziałam, że człowiek jest zdolny do takiej nienawiści. I nawet nie mówię o ojcu. Mówię o sobie.

Poszłam prosto do kuchni i otworzyłam szufladę. Chwyciłam największy nóż, jaki udało mi się znaleźć, i... Nie potrafię tego wyjaśnić. To było tak, jakbym przestała panować nad własnym ciałem. Widziałam, jak idę przez kuchnię z nożem w ręku, i wiedziałam, że go nie użyję. Po prostu potrzebowałam czegoś większego ode mnie, żeby go od niej odgonić. Ale zanim wyszłam z kuchni, ktoś złapał mnie od tyłu w pasie i podniósł. Upuściłam nóż. Ojciec tego nie usłyszał, ale mama tak. Nasze oczy się spotkały i Atlas zaniósł mnie z powrotem do pokoju. Kiedy już byliśmy w środku, zaczęłam go okładać po klatce piersiowej, próbując wrócić na dół. Płakałam i robiłam wszystko, żeby zszedł mi z drogi, ale nie chciał ustąpić.

Obejmował mnie tylko i mówił:

– Lily, uspokój się.

Powtarzał to bez końca i trzymał mnie bardzo długo, aż w końcu pogodziłam się z tym, że nie pozwoli mi pójść na dół. Nie zamierzał dopuścić do tego, żebym znowu sięgnęła po nóż.

Podszedł do łóżka, złapał swoją kurtkę i zaczął wkładać buty.

– Pójdziemy do sąsiadów – powiedział. – Wezwiemy policję.

Policję.

Mama już mnie ostrzegła, żeby nie wzywać policji. Mówiła, że to zniszczyłoby ojcu karierę. Ale szczerze mówiąc, nic mnie to w tym momencie nie obchodziło. Nie obchodziło mnie, że jest burmistrzem i że ludzie, którzy go uwielbiają, nie znają go od tej paskudnej strony. Obchodziło mnie tylko to, żeby pomóc mamie, więc włożyłam kurtkę i podeszłam do szafy, żeby wyjąć buty. Kiedy się od niej odsunęłam, Atlas wpatrywał się w drzwi mojego pokoju.

Otwierały się.

Mama weszła do środka i szybko przekręciła klucz w zamku. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądała. Z wargi leciała jej krew. Oko już zaczynało puchnąć, a do ramienia przyczepiła się kępka wyrwanych włosów. Spojrzała na Atlasa, potem na mnie.

Nawet przez chwilę się nie bałam, że przyłapała mnie w moim pokoju z chłopakiem. Nic mnie to nie obchodziło. Martwiłam się tylko o nią. Podeszłam do niej, złapałam ją za ręce i zaprowadziłam do łóżka. Strzepnęłam włosy z jej ramienia i odgarnęłam kosmyk z czoła.

– Mamo, on wezwie policję. Dobrze?

Wytrzeszczyła oczy i energicznie pokręciła głową.

– Nie – powiedziała stanowczo. Popatrzyła na Atlasa i dodała: – Nie możesz. Nie. Atlas stał już przy oknie, gotów do wyjścia, ale zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Lily, on jest pijany – powiedziała. – Usłyszał, jak zamykasz drzwi, i poszedł do sypialni. Uspokoił się. Jeśli wezwiecie policję, zrobi się jeszcze gorzej, wierz mi. Niech się po prostu prześpi, jutro będzie lepiej.

Poczułam, jak łzy szczypią mnie w oczy.

– Mamo, on próbował cię zgwałcić!

Kiedy to powiedziałam, pochyliła się i skrzywiła. Znowu pokręciła głowę.

– To nie tak, Lily – szepnęła. – Jesteśmy małżeństwem, a czasami w małżeństwie po prostu... Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

Na chwilę zrobiło się naprawdę cicho. Gdy milczenie się przedłużało, stwierdziłam:

– Cholera, mam nadzieję, że nigdy nie zrozumiem.

Wtedy zaczęła płakać. Po prostu schowała twarz w dłoniach i zaczęła szlochać, a ja byłam w stanie jedynie ją objąć i płakać razem z nią. Nigdy nie widziałam, żeby była tak zrozpaczona. Ani tak zraniona. Ani tak wystraszona. Ellen, ten widok rozdzierał mi serce.

Rozdzierał mnie cała.

Kiedy skończyła płakać, rozejrzałam się i zauważyłam, że Atlas zniknął. Poszliśmy do kuchni, gdzie pomogłam mamie opatrzyć wargę i oko. Ani razu nie wspomniała o tym, że był u mnie chłopak. Ani razu. Czekałam, aż da mi szlaban, ale tego nie zrobiła. Uświadomiłam sobie, że mogło to do niej nie dotrzeć, tak jak wiele innych spraw. Jeśli coś sprawia jej ból, zamiata to pod dywan i nigdy więcej o tym nie wspomina.

Lily

Droga Ellen,

chyba już jestem gotowa, żeby ci napisać o Bostonie.

Dzisiaj Atlas wyjechał.

Tak długo tasowałam karty, że aż rozbolewały mnie ręce. Boję się, że jeśli zaraz nie przeleję swoich emocji na papier, to zwariuję.

Nasz ostatni wieczór nie należał do udanych. Początkowo długo się całowaliśmy, ale obydwójce byliśmy zbyt smutni, żeby się na tym skupić. Po raz drugi w ciągu dwóch dni Atlas powiedział, że zmienił zdanie i jednak nie wyjedzie. Nie chciał zostawiać mnie samej w tym domu. Ale przecież mieszkam z rodzicami prawie szesnaście lat. Postąpiłby niemądrze, rezygnując z dachu nad głową tylko ze względu na mnie. Obydwójce o tym wiedzieliśmy, ale i tak sprawiało nam to ból.

Staralam się za bardzo nie smucić, więc kiedy tak leżeliśmy, poprosiłam, żeby mi opowiedział o Bostonie. Powiedziałam, że może któregoś dnia po szkole mogłabym go odwiedzić.

Kiedy zaczął mówić o Bostonie, w jego oczach pojawił się błysk. Błysk, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Zupełnie jakby mówił o raj. Opowiadał, że wszyscy mówią tam ze wspaniałym akcentem. Zamiast „car” mówią „cah”. Widocznie nie zdaje sobie sprawy, że czasem też wymawia r w ten sposób. Wspominał, że mieszkał w Bostonie od dziewiętego do czternastego roku życia, więc chyba podłapał ten akcent.

Wspominał, że jego wujek mieszka w apartamentowcu ze wspaniałym tarasem na dachu.

– Mnóstwo budynków ma tam tarasy na dachach – dodał. – Na niektórych są nawet baseny.

W Plethorze nie ma chyba nawet wystarczająco wysokiego budynku, żeby na jego dachu można było urządzić taras. Zastanawiałam się, jakie to uczucie być tak wysoko. Spytałam, czy kiedykolwiek był na tym tarasie. Powiedział, że tak. Że kiedy był młodszy, czasami wchodził na

ten dach, siadał i rozmyślał, patrząc na miasto.

Mówił też o jedzeniu. Już wiedziałam, że lubi gotować, ale nie miałam pojęcia, jak bardzo go to pasjonuje. Chyba dlatego, że nie ma piekarnika ani kuchenki, więc w zasadzie oprócz dnia, w którym upiekł mi ciasteczka, nigdy nie rozmawialiśmy o gotowaniu.

Opowiedział mi o porcie i o tym, że zanim jego mama ponownie wyszła za mąż, zabierała go tam na ryby.

– Przypuszczam, że Boston nie różni się za bardzo od innych dużych miast – stwierdził. – Nie ma żadnych wyjątkowych cech. Po prostu... Bo ja wiem? Tam jest niesamowita atmosfera. Naprawdę świetna energia. Kiedy ludzie mówią, że mieszkają w Bostonie, są z tego dumni. Czasami mi tego brakuje.

Przeczesałam jego włosy palcami i powiedziałam:

– Kiedy o nim mówisz, ma się wrażenie, że to najlepsze miejsce na ziemi. Jakby w Bostonie wszystko było lepsze.

Spojrzał na mnie i odparł ze smutkiem w oczach:

– W Bostonie prawie wszystko jest lepsze. Oprócz dziewczyn. W Bostonie nie ma ciebie.

Zarumieniłam się. Pocałował mnie naprawdę czule.

– Jeszcze mnie tam nie ma – poprawiłam go. – Pewnego dnia się tam przeprowadzę i cię znajdę.

Kazał mi to obiecać. Powiedział, że gdybym się przeniosła do Bostonu, wszystko byłoby tam lepsze i Boston stałby się najwspanialszym miejscem na świecie.

Znowu się całowaliśmy. I robiliśmy inne rzeczy, którymi nie będę cię zanudzała. Co wcale nie znaczy, że były nudne.

O nie...

Mimo to dzisiaj rano musiałam się z nim pożegnać. Przytulił mnie i tak mocno całował, że pomyślałam, że umrę, jeśli mnie wypuści.

Ale nie umarłam. Wypuścił mnie i zostałam tutaj. Nadal żyję. Nadal oddycham.

Chociaż z trudem.

Lily

Przewracam pamiętnik na następną stronę, lecz po chwili zamykam go z hukiem. Został jeszcze tylko jeden wpis i nie wiem, czy naprawdę mam ochotę go teraz czytać. Albo kiedykolwiek indziej. Odkładam pamiętnik do szafy. Ten rozdział mojego życia jest już zakończony. Atlas jest teraz szczęśliwy.

Ja jestem szczęśliwa.

Czas naprawdę leczy rany.

A przynajmniej większość z nich.

Gaszę lampkę i włączam telefon. Mam dwie nieprzeczytane wiadomości od Ryle'a i jedną od mamy.

Ryle: Cześć. Nadciąga naga prawda. 3... 2...

Ryle: Bałem się, że związek przysporzy mi nowych obowiązków. Dlatego przez całe życie unikałem głębszych relacji z kobietami. I tak mam dużo na głowie, a widząc, jakich stresów przysparza małżeństwo moim rodzicom i jak rozpadają się małżeństwa niektórych przyjaciół, nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Ale po dzisiejszym wieczorze zrozumiałem, że mnóstwo ludzi robi to chyba niewłaściwie. Bo to, co dzieje się między nami, wcale nie kojarzy się z obowiązkiem. Raczej z nagrodą. I zasypiając, będę się zastanawiał, czym sobie na to zasłużyłem.

Przykładam telefon do piersi i się uśmiecham. Potem robię zrzut ekranu, bo zamierzam zachować tego esemesa na zawsze. Otwieram trzecią wiadomość.

Mama: Lekarz, Lily? I własna firma? Kiedy dorosnę, chcę być tobą.

Tego esemesa też zapisuję.

Rozdział dwunasty

– Co ty robisz tym biednym kwiatom? – pyta Allysa, stając za mną.

Zginam kolejną metalową podkładkę i wsuwam ją na łożygę.

– To steampunk.

Stoimy, podziwiając bukiet. W każdym razie... mam nadzieję, że Allysa też go podziwia. Wypadł lepiej, niż przypuszczałam. Użyłam barwnika do kwiatów, żeby płatki części białych róż zmieniły kolor na intensywnie fioletowy. Potem ozdobiłam łożygi różnymi steampunkowymi elementami, takimi jak małe metalowe podkładki i kółka zębate, a nawet przykleiłam mały zegarek do spinającego bukiet paska brązowej skóry.

– Steampunk?

– To taki styl. Coś w rodzaju podgatunku beletrystyki, ale przenosi się na inne dziedziny: sztukę, muzykę... – Odwracam się z uśmiechem, unosząc bukiet. – A teraz... na kwiaty.

Allysa bierze ode mnie bukiet i przytrzymuje go przed sobą.

– Jest taki.. dziwny. Strasznie mi się podoba. – Tuli go do siebie. – Mogę go zatrzymać?

Odsuwam go od niej.

– Nie, będzie stał na wystawie podczas naszego wielkiego otwarcia. Nie jest na sprzedaż.

Biorę kwiaty i sięgam po wazon, który zrobiłam wczoraj. W zeszłym tygodniu znalazłam na pchlim targu parę starych damskich butów zapinanych na guziki. Skojarzyły mi się ze stylem steampunkowym i to właśnie one mnie zainspirowały. Wyczyściłam je, wysuszyłam i poprzyklejałam do nich różne metalowe elementy. Pokryłam je klejem do decoupage'u, a potem mogłam umieścić w środku wazon z wodą.

– Allysa? – Ustawiam kwiaty na środkowym stoliku. – Jestem przekonana, że właśnie to powinnam robić w życiu.

– Robić steampunkowe drobiazgi? – pyta.

Śmieję się.

– Tworzyć! – mówię. A potem, piętnaście minut przed czasem, odwracam tabliczkę w drzwiach. „Otwarte”.

Tego dnia obie jesteśmy bardziej zajęte, niż przypuszczałyśmy. Przyjmujemy zamówienia telefoniczne, internetowe i te składane osobiście, nie mając nawet czasu pójść na lunch.

– Potrzebujesz więcej pracowników – mówi Allysa, mijając mnie z dwoma bukietami. Jest trzynasta.

– Potrzebujesz więcej pracowników – mówi do mnie o czternastej, przystawiając telefon do ucha i zapisując zamówienie. Jednocześnie podlicza kogoś przy kasie.

Po piętnastej wpada do nas Marshall i pyta, jak leci.

– Lily potrzebuje więcej pracowników – mówi Allysa.

O szesnastej pomagam jakiejś pani zanieść bukiet do samochodu, a kiedy wracam, Allysa wychodzi, trzymając następny.

– Potrzebujesz więcej pracowników – mówi zrozpaczona.

O osiemnastej zamyka drzwi i przekręca tabliczkę. Opiera się o szybę i osuwa na podłogę, patrząc na mnie.

– Wiem – mówię. – Potrzebuję więcej pracowników.

Allysa przytakuje.

Obie wybuchamy śmiechem. Podchodzę do niej i siadam obok. Stykamy się głowami i patrzymy na kwaciarnię. Steampunkowe kwiaty stoją na samym środku i choć nie chciałam

sprzedać tego bukietu, przyjęłyśmy osiem zamówień na podobne.

– Lily, jestem z ciebie dumna – mówi Allysa.

Uśmiecham się.

– Bez ciebie bym sobie nie poradziła, Issa.

Siedzimy tak kilka minut, rozkoszując się odpoczynkiem, jakiego wreszcie zaznają nasze stopy. To był naprawdę jeden z najlepszych dni w moim życiu, ale chcąc nie chcąc, czuję dotkliwy smutek, że Ryle się nie pokazał. Nawet nie przysłał esemesa.

– Czy twój brat się dziś do ciebie odzywał? – pytam.

– Nie, ale na pewno jest po prostu zajęty.

No tak. Wiem, że jest zajęty.

Obie podnosimy głowy, bo rozlega się pukanie do drzwi. Uśmiecham się, na widok Ryle'a, który przyciska twarz do szyby, osłaniając oczy palcami. W końcu spogląda na dół i zauważa, że siedzimy na podłodze.

– O wilku mowa – kwituje Allysa.

Zrywam się i otwieram drzwi, żeby go wypuścić. Od razu pakuje się do środka.

– Spóźniłem się? Tak. Spóźniłem się. – Przytula mnie. – Przepraszam, starałem się przyjść jak najszybciej.

Też go przytula.

– Nic się nie stało – mówię. – Przyszedłeś. Było wspaniale. – Tak się cieszę, że jednak się zjawił, że z radości aż kręci mi się w głowie.

– To ty jesteś wspaniała – odpowiada, całując mnie.

Allysa przeciska się obok nas.

– To ty jesteś wspaniała – przedrzeźnia go. – Hej Ryle, wiesz co?

Ryle wypuszcza mnie z objęć.

– Co?

Allysa łapie kosz na śmieci i stawia go na ladzie.

– Lily potrzebuje więcej pracowników.

Parskam z rozbawieniem, a Ryle ściska mnie za rękę.

– Wygląda na to, że interes kwitnie.

Wzruszam ramionami.

– Nie mogę narzekać. To znaczy... nie jestem neurochirurgiem, ale w tym, co robię, radzę sobie całkiem nieźle.

Ryle się śmieje.

– Potrzebujecie pomocy?

Zapręgamy go do pracy przy sprzątanii. Gdy kończymy porządki, przygotowujemy wszystko na następny dzień, a potem, akurat kiedy wychodzimy, zjawia się Marshall i stawia na ladzie jakąś torbę. Zaczyna z niej wyjmować naręczą jakiegoś materiału, które rzuca po kolei każdemu z nas. Łapię swój i rozkładam.

To jednoczęściowa piżama.

W kotki.

– Mecz Bruinsów. Darmowe piwo. Ubieraj się, drużyno!

Allysa wydaje z siebie jęk.

– Marshall – mówi – zarobiłeś w tym roku sześć milionów dolarów. Naprawdę potrzebujemy darmowego piwa?

Zamyka jej usta palcem, lekko je przy tym rozchylając.

– Cii, Issa! Nie zachowuj się jak rozpieszczona bogaczka. To bluźnierstwo.

Allysa się śmieje, a Marshall wyjmuje jej z ręki piżamę. Rozpina ją i pomaga żonie ją

włożyć. Kiedy już wszyscy jesteśmy wystrojeni, zamykamy kwaciarnię i idziemy do baru.

Nigdy w życiu nie widziałam tylu facetów w jednoczęściowych piżamach. Jesteśmy z Allyszą jedynymi kobietami, które też je włożyły, ale całkiem mi się to podoba. Panuje tu taki harmider, że po każdym dobrym zagranium Bruinsów musimy z Allyszą zatykać uszy, żeby nie słyszeć wrzasku. Mniej więcej pół godziny później zwalnia się boks na piętrze, więc biegniemy na górę, żeby go zająć.

– Od razu lepiej – mówi Allysa, kiedy się do niego wślizgujemy. Na górze jest znacznie ciszej, choć nadal głośno w porównaniu z normą.

Przychodzi kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Gdy proszę o czerwone wino, Marshall o mało nie spada na podłogę.

– Wino? – krzyczy. – Jesteś w piżamie! W piżamie nie dostaje się darmowego wina!

Mówi kelnerce, żeby przyniosła mi piwo. Ryle nalega, żeby było to jednak wino. Allysa chce wodę, co jeszcze bardziej zasmuca Marshalla. Prosi kelnerkę o cztery butelki piwa.

– Dwa piwa, czerwone wino i wodę – poprawia go Ryle.

Odchodząc od stolika, kelnerka jest bardzo zdezorientowana.

Marshall obejmuje Allycę i ją całuje.

– Jak mam cię dzisiaj zapłodnić, jeśli trochę się przedtem nie upijesz?

Wyraz twarzy Allycy zmienia się i natychmiast zaczynam jej współczuć. Wiem, że Marshall tylko żartował, ale na pewno ją to zraniło. Kilka dni temu opowiadała mi, jak ją przynębia niemożność zajścia w ciążę.

– Marshall, nie mogę pić piwa.

– No to wypij przynajmniej wino. Kiedy jesteś podchmielona, bardziej ci się podobam. – Marshall śmieje się z własnego dowcipu, ale Allysa pozostaje poważna.

– Wina też nie mogę. Właściwie to w ogóle nie wolno mi pić alkoholu.

Marshall przestaje się śmiać.

Serce podskakuje mi w piersi.

Marshall odwraca się do Allycy i łapie ją za ramiona, zmuszając, żeby spojrzała mu w twarz.

– Allysa?

Ona tylko kiwa głową. Nie wiem, kto zaczyna płakać pierwszy – ja, Marshall czy Allysa.

– Będę tatą? – woła Marshall.

Allysa nadal potakuje, a ja beczę jak kretynka. Marshall zrywa się na nogi i krzyczy:

– Będę tatą!

Nawet nie potrafię tego opisać. Dorosły mężczyzna w jednoczęściowej piżamie stoi w boksie barowym, wykrzykując wszem i wobec, że będzie tatą. Podnosi Allycę na nogi i teraz obydwójce stoją. Całuje ją i jest to najbardziej urocza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Dopóki nie spoglądam na Ryle'a i nie przyłapuję go na tym, że przygryza dolną wargę, jakby próbował powstrzymać łzy. Zerka na mnie, zauważa, że mu się przyglądam, i odwraca wzrok.

– Spadaj – mówi. – W końcu to moja siostra.

Uśmiecham się, przysuwam do niego i całuję go w policzek.

– Gratulacje, wujku Ryle'u.

Kiedy przyszli rodzice przestają się całować, Ryle i ja wstajemy, żeby złożyć im gratulacje. Allysa przyznaje, że od jakiegoś czasu czuła mdłości, ale rano w dniu naszego wielkiego otwarcia zrobiła test. Zamierzała poczekać, aż wrócą z Marshalllem do domu i dopiero wtedy mu powiedzieć, ale nie była w stanie zwlekać ani sekundy dłużej.

Kelnerka przynosi napoje i zamawiamy jedzenie. Gdy znów zostajemy sami przy stoliku,

spoglądam na Marshalla.

– Jak się poznaliście? – pytam.

– Issa opowiada tę historię lepiej niż ja.

Allysa ożywia się i pochyla nad blatem.

– Nie znosiłam go – mówi. – Był najlepszym przyjacielem Ryle’a i ciągle przesiadywał u nas w domu. Strasznie działał mi na nerwy. Niedawno przeprowadził się do Ohio z Bostonu i mówił z bostońskim akcentem. Wydawało mu się, że dzięki temu robi na innych świetne wrażenie, ale za każdym razem, kiedy się odzywał, miałam ochotę mu przywalić.

– Allysa jest przeurocza – wtrąca z sarkazmem Marshall.

– Zachowywałaś się jak kretyń – odpowiada Allysa, przewracając oczami. – W każdym razie pewnego dnia zaprosiliśmy z Ryle’em paru przyjaciół. To nie była żadna wielka impreza, ale rodzice wyjechali z miasta, więc nie wypadało nie zorganizować choć skromnego spotkania.

– Przyszło trzydzieści osób – prostuje Ryle. – To była impreza.

– No dobra, impreza – przyznaje Allysa. – Weszłam do kuchni, a Marshall obściskował się z jakąś lafiryndą.

– Nie z żadną lafiryndą – poprawia Marshall. – To była fajna dziewczyna. Smakowała cheetosami, ale...

Żona piorunuje go wzrokiem, więc Marshall milknie. Allysa odwraca się do mnie.

– Wściekłam się – mówi. – Zaczęłam wrzeszczeć, żeby sprowadzał swoje dziwki do własnego domu. Tak przeraziłam tę dziewczynę, że uciekła i więcej się nie pokazała.

– I dymanko przeszło mi koło nosa – wzdycha Marshall.

Allysa wali go pięścią w ramię.

– W każdym razie, kiedy już dymanko przeszło mu koło nosa, pobiegłam do swojego pokoju, zawstydzona własnym zachowaniem. Powodowała mną czysta zazdrość. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że Marshall mi się podoba, dopóki nie zobaczyłam jego rąk na tyłku tej dziewczyny. Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam płakać. Kilka minut później przyszedł i spytał, czy dobrze się czuję. Przewróciłam się na bok i krzyknęłam: „Podobasz mi się, ty głupi kretyń!”.

– A reszta to już historia... mówi Marshall.

Śmieję się.

– Uu. „Głupi kretyń”. Uroczo.

Ryle unosi palec.

– Pomijacie najciekawszą część – mówi.

Allysa wzrusza ramionami.

– A, tak. No więc Marshall podszedł, ściągnął mnie z łóżka, pocałował tymi samymi ustami, którymi przed chwilą całował tę lafiryndę, i obściskaliśmy się przez pół godziny. Ryle nas przyłapał i zaczął krzyczeć na Marshalla. Potem Marshall wypchnął Ryle’a z mojego pokoju, zamknął drzwi i obściskaliśmy się przez następną godzinę.

Ryle kręci głową.

– Zdradzony przez najlepszego przyjaciela.

Marshall przyciąga do siebie Allyse.

– Ona mi się podoba, ty głupi kretyń.

Śmieję się, ale Ryle odwraca się do mnie z poważną miną.

– Byłem taki wściekły, że nie odzywałem się do niego przez cały miesiąc. W końcu mi przeszło. Mieliśmy po osiemnaście lat, ona miała siedemnaście. Niewiele mogłem zrobić, żeby utrzymać ich z dala od siebie.

– O rany – mówię. – Czasami zapominam, że jesteście prawie w tym samym wieku.

Allysa się uśmiecha.

– Troje dzieci w trzy lata. Szkoda mi naszych rodziców.

Przy stoliku zapada cisza. Widzę przeprasające spojrzenie, jakie moja przyjaciółka posyła Ryle'owi.

– Troje? – pytam. – Macie jeszcze brata albo siostrę?

Ryle prostuje się, upija łyk piwa i odstawia kufel na stolik.

– Mieliśmy starszego brata. Umarł, kiedy byliśmy mali.

Taki wspaniały wieczór popsuty zwyczajnym pytaniem. Na szczęście Marshall po mistrzowsku zmienia temat.

Przez resztę wieczoru słucham historii o tym, jak dorastali. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek śmiałam się tak bardzo jak dzisiaj.

Po meczu wszyscy idziemy z powrotem do kwaciarni, przed którą zaparkowaliśmy. Ryle mówi, że wcześniej wziął ubera, więc po prostu pojedzie razem ze mną. Przed pożegnaniem z Allyszą i Marshalllem proszę, żeby chwilę poczekał. Biegnę do kwaciarni, łapię steampunkowe kwiaty i pędzę z nimi do ich samochodu. Kiedy podaję bukiet Allysie, cała się rozpromienia.

– Cieszę się, że jesteś w ciąży, ale nie dlatego daję ci kwiaty. Po prostu chcę, żebyś je miała. Bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Allysa ściska mnie i szepcze mi do ucha:

– Mam nadzieję, że pewnego dnia się z tobą ożeni. Będziemy jeszcze lepszymi siostrami.

Wsiada do auta i odjeżdżają, a ja stoję, odprowadzając ich wzrokiem. Nie wiem, czy kiedykolwiek miałam taką przyjaciółkę. Może to przez wino. Nie mam pojęcia, w każdym razie jestem zachwycona dzisiejszym dniem – każdą jego częścią. A najlepsza jest możliwość przyglądania się Ryle'owi, który opiera się o mój samochód i nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Wyglądasz naprawdę pięknie, kiedy jesteś szczęśliwa.

Och! Ten dzień jest doskonały!

Na klatce schodowej Ryle łapie mnie w tali, popycha na ścianę i zaczyna całować.

– Jakiś ty niecierpliwy – mruczę.

Śmieje się i obiema rękami chwyta mnie za tyłek.

– To przez tę piżamę. Powinnaś się zastanowić, czy nie zrobić z niej swojego stroju służbowego. – Znowu mnie całuje i przestaje, dopiero gdy mija nas ktoś schodzący na dół.

– Fajne piżamy – mamrocze sąsiad, przeciskając się obok. – Bruinsi wygrali?

Ryle kiwa głową.

– Trzy do jednego – odpowiada, nie patrząc w jego stronę.

– Fajnie – mówi tamten.

Kiedy znika, odsuwam się od Ryle'a.

– O co chodzi z tymi jednoczęściowymi piżamami? Każdy facet w Bostonie o tym wie?

Ryle się śmieje.

– Darmowe piwo, Lily. Wszystko przez darmowe piwo.

Wciąga mnie po schodach, a kiedy wchodzimy do mieszkania, natykamy się na Lucy. Stoi przy stole w kuchni, zaklejając karton ze swoimi rzeczami. Obok czeka drugie, jeszcze niezaklejone pudło, i mogłabym przysiąc, że wystaje z niego miska, którą kupiłam w HomeGoods. Lucy zapowiedziała, że zabierze swoje rzeczy najpóźniej w przyszłym tygodniu, ale mam przeczucie, że przy okazji weźmie też trochę moich.

– A ty to kto? – pyta, mierzając Ryle'a wzrokiem.

– Ryle Kincaid. Jestem chłopakiem Lily.

Chłopakiem Lily.

Słyszeliście to?

Chłopakiem.

Potwierdził to po raz pierwszy, i to z przekonaniem.

– Jesteś moim chłopakiem?

Idę do kuchni po butelkę wina i dwa kieliszki.

Ryle staje za mną, kiedy je napełniam, i oplata mnie w tali ramionami.

– Tak. Twoim chłopakiem.

Podaję mu wino.

– Więc ja jestem twoją dziewczyną?

Unosi kieliszek i stuka nim w mój.

– Za koniec badania gruntu i początek tego, co trwałe.

Obydwoje się uśmiechamy i upijamy po łyku.

Lucy bierze oba pudła i wychodzi.

– Wygląda na to, że wyprowadzam się w samą porę – mówi.

Zamykają się za nią drzwi i Ryle unosi brew.

– Twoja współlokatorka chyba mnie nie polubiła.

– Zdziwiłbyś się. Też myślałam, że mnie nie lubi, a wczoraj spytała, czy będę druhną na jej ślubie. Choć przypuszczam, że po prostu liczy na darmowe kwiaty. Jest bardzo wygodna.

Ryle się śmieje i opiera o lodówkę. Jego wzrok pada na magnes z napisem „Boston”. Zdejmuje go i unosi brew.

– Nigdy nie wydostaniesz się z bostońskiego czyścica, jeśli będziesz trzymała pamiątki z Bostonu na lodówce jak jakaś turystka.

Śmieję się, zabieram mu magnes i przyczepiam go z powrotem. Podoba mi się, że Ryle tak dobrze pamięta nasze pierwsze spotkanie.

– To prezent. Byłby turystyczną pamiątką, gdybym kupiła go sama.

Podchodzi do mnie i wyjmuję mi kieliszek z ręki. Stawia go razem ze swoim na blacie, a potem przysuwa się i składa na moich ustach głęboki, namiętny, zaprawiony alkoholem pocałunek. Wyczuwam na jego języku cierpką owocowość wina i bardzo mi się to podoba. Jego ręce przesuwają się w stronę zamka mojej piżamy.

– Wydobądźmy cię z tego ubranka.

Ciągnie mnie do sypialni i cały czas całuje. Po drodze obydwójce próbujemy zrzucić z siebie piżamy. Kiedy docieramy na miejsce, jestem już tylko w staniku i majtkach.

Ryle popycha mnie na drzwi, a ja, zaskoczona, wydaję z siebie zduszony okrzyk.

– Nie ruszaj się – mówi. Przyciska usta do mojej piersi, a potem zaczyna mnie powoli całować, przesuwając się w dół.

Ojej. Czy ten dzień mógłby być jeszcze lepszy?

Przeczesałem jego włosy palcami, ale chwytam go za rękę i unieruchamiam ją na drzwiach. Wspina się z powrotem po moim ciele, mocno ściskając mnie za nadgarstki. Ostrzegawczo unosi brew.

– Powiedziałem... nie ruszaj się.

Staram się nie śmiać, ale trudno się powstrzymać. Wraca na dół. Powoli zsuwa mi majtki do kostek, ale zabronił mi się ruszać, więc nie odrzucam ich na bok.

Jego usta prześlizgują się w górę mojego uda, aż w końcu...

O tak.

Najlepszy.

Dzień.

W życiu.

Rozdział trzynasty

Ryle: Jesteś w domu czy jeszcze pracujesz?

Ja: Pracuję. Powinnam skończyć za jakąś godzinę.

Ryle: Możemy się spotkać?

Ja: Wiesz, że według niektórych ludzi nie ma czegoś takiego jak głupie pytanie? Są w błędzie. To pytanie było głupie.

Ryle: :)

Pół godziny później puka do drzwi kwiaciarni. Zamknęłam ją prawie trzy godziny temu, ale nadal siedzę w środku, próbując zapanować nad chaosem, który się tu rozpętał od czasu otwarcia. Kwiaciarnia działa dopiero miesiąc – zbyt krótko, żebym mogła stwierdzić, jak sobie radzi. Jedne dni są wspaniałe, a inne tak niemrawe, że odsyłam Allyse do domu. Ale ogólnie jak na razie jestem zadowolona z obrotów.

I z tego, jak mi się układa z Ryle'em.

Otwieram drzwi i wpuszczam go do środka. Znowu ma na sobie błękitny kitel i stetoskop. Przyszedł prosto z pracy. To bardzo miłe. Za każdym razem, kiedy widzę go zaraz po pracy, muszę walczyć z głupim uśmiechem wypływającym mi na twarz. Całuję go szybko, a potem odwracam się w stronę zaplecza.

– Mam tu jeszcze parę spraw do dokończenia, a potem możemy jechać do mnie.

Idzie za mną do biura i zamyka drzwi.

– Masz kanapę? – pyta, rozglądając się.

Część ostatniego tygodnia poświęciłam na dopieszczenie biura. Kupiłam dwie lampki, żeby nie musieć włączać przytłaczających jarzeńówek, i teraz biuro jest skąpane w delikatnym świetle. Poza tym wniosłam tu na stałe kilka roślin. Ogródek to nie jest, ale w tych warunkach musi mi wystarczyć. Dużo się zmieniło, odkąd przechowywano w tym pomieszczeniu skrzynki na warzywa.

Ryle podchodzi do kanapy i pada na nią twarzą do dołu.

– Nie spiesz się – mamrocze w poduszkę. – Utnę sobie drzemkę, a ty pracuj w spokoju.

Czasami się martwię, że za bardzo nadwyręża się w pracy, ale nic nie mówię. Siedzę w kwiaciarni od dwunastu godzin, więc nie powinnam się wypowiadać na temat pracoholizmu.

Przez następne piętnaście minut dopinam zamówienia. Wreszcie zamykam laptopa i spoglądam na Ryle'a.

Myślałam, że śpi, ale on leży na boku z głową opartą na dłoni. Przez cały czas mnie obserwował i na widok jego uśmiechu oblewam się rumieńcem. Odsuwam krzesło i wstaję.

– Lily, chyba za bardzo cię lubię – mówi, gdy do niego podchodzę.

Marszczę nos, a on siada na kanapie i wciąga mnie sobie na kolana.

– Za bardzo? To nie brzmi jak komplement.

– Dlatego że nie jestem pewny, czy nim jest – odpowiada. Układa moje nogi po obu stronach swoich i oplata mnie rękami w tali. – To mój pierwszy poważny związek. Nie wiem, czy powinienem cię już tak bardzo lubić. Nie chcę cię przestraszyć.

Śmieję się.

– Jakby to było w ogóle możliwe. Stanowczo za dużo pracujesz, żeby móc mnie przytłoczyć.

Masuje mnie po plecach.

– Przeszkadza ci, że tak dużo pracuję?

Kręcę głową.

– Nie. Czasami się o ciebie martwię, bo nie chcę, żebyś się wypalił. Ale nie przeszkadza mi, że muszę się tobą dzielić z twoją pasją. W zasadzie bardzo mi się podoba, że jesteś taki ambitny. To całkiem seksowne. Może nawet właśnie to lubię w tobie najbardziej.

– Wiesz, co ja najbardziej w tobie lubię?

– Już mówiłeś – odpowiadam z uśmiechem. – Moje usta.

Opiera głowę o kanapę.

– A, no tak. Usta są na pierwszym miejscu. Ale czy wiesz, co jest na drugim?

Kręcę głową.

– Nie wywierasz na mnie nacisku, żebym był kimś, kim nie potrafię być. Akceptujesz mnie dokładnie takim, jakim jestem.

Uśmiecham się.

– No wiesz, szczerze mówiąc, jesteś trochę inny niż wtedy, kiedy cię poznałam. Przestałeś być taki antyzwiązkowy.

– Dlatego że przy tobie jest łatwiej – mówi, wsuwając mi rękę pod koszulkę na plecach. – Łatwo jest z tobą być. Nadal mogę robić karierę, na której zawsze mi zależało, ale z twoim wsparciem jest mi dziesięć razy łatwiej. Przy tobie czuję się tak, jakbym miał ciastko i zjadł ciastko.

Wsunął mi już pod koszulkę obie ręce i przyciska je do moich pleców. Przysuwa mnie do siebie i całuje. Uśmiecham się, nie odrywając od niego ust.

– Czy to najlepsze ciastko, jakie kiedykolwiek jadłeś? – szepczę.

Jedna z jego rąk przesuwa się w stronę mojego stanika i z łatwością go rozpiną.

– Bardzo możliwe, ale żeby mieć absolutną pewność, chyba muszę go jeszcze raz spróbować. – Zdejmuje mi koszulkę i stanik przez głowę. Zaczynam się od niego odsuwać, żeby zdjąć dzinsy, ale wciąga mnie z powrotem na kolana. Łapie stetoskop, wkłada słuchawki do uszu, po czym przystawia mi głowicę do piersi tuż nad sercem.

– Lily, dlaczego tak mocno bije ci serce?

Niewinnie wzruszam ramionami.

– Chyba ma to coś wspólnego z panem, panie doktorze.

Wypuszcza końcówkę stetoskopu, a potem podnosi mnie i popycha na kanapę. Rozchyła mi nogi i klęka między nimi, znowu przykładając mi stetoskop do piersi. Słucha mojego serca, podpierając się drugą ręką.

– Powiedziałbym, że to jakieś dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę.

– To dobrze czy źle?

Uśmiecha się i kładzie na mnie.

– Będę zadowolony, jeśli dojdzie do stu czterdziestu.

Tak. Myślę, że jeśli dojdzie do stu czterdziestu, ja też będę zadowolona.

Zbliża usta do mojej klatki piersiowej, a ja zamykam oczy, czując, jak jego język przesuwa się ku sutkowi. Bierze go w usta, przez cały czas przykładając stetoskop do skóry.

– Teraz jest już około stu – mówi.

Owiają sobie stetoskop wokół szyi i odsuwa się, żeby rozpiąć mi dzinsy. Kiedy je ze mnie zdejmuje, przewraca mnie na brzuch i opiera moje ręce na podłokietniku kanapy.

– Uklęknij – prosi.

Spełniam polecenie i jeszcze zanim przyjmuję odpowiednią pozycję, czuję, jak zimny metal stetoskopu znowu styka się z moją klatką piersiową, tym razem od tyłu. Kiedy Ryle mierzy mi puls, zastygam w bezruchu. Drugą ręką powoli zaczyna błądzić między moimi nogami, a potem się we mnie wślizguje. Zaciskam dłonie na kanapie, ale staram się ograniczyć dźwięki do minimum, bo Ryle cały czas słucha bicia mojego serca.

– Sto dziesięć – mówi, wciąż nieusatisfakcjonowany.

Przyciąga moje biodra i czuję, jak wyswobadza się z kitla. Jedną ręką łapie mnie za biodro, a drugą odrzuca na bok moje majtki. Wsuwa się we mnie aż do końca.

Gdy przerywa, żeby znowu zmierzyć mi puls, rozpaczliwie zaciskam dłonie na kanapie.

– Lily – mówi z udawanym rozczarowaniem. – Sto dwadzieścia. Oczekuję od ciebie czegoś więcej.

Stetoskop znowu znika, a on obejmuje mnie w talii. Jego ręka sunie po moim brzuchu i zatrzymuje się między nogami. Nie mogę za nim nadażyć. W tej pozycji z trudem zachowuję równowagę. Jakimś cudem przytrzymuje mnie jedną ręką, a drugą pieści w najlepszy z możliwych sposobów. Gdy zaczynam drżeć, pociąga mnie do góry, tak że moje plecy stykają się z jego torsem. Nadal jest w środku, ale teraz znowu skupia się na moim sercu, przysuwając mi stetoskop do piersi.

Wydaję z siebie jęk, a wtedy przywiera ustami do mojego ucha.

– Ciicho. Nie hałasuj.

Nie mam pojęcia, jak udaje mi się wytrzymać następne pół minuty, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Ryle obejmuje mnie jedną ręką, przyciskając mi do piersi stetoskop. Drugą kładzie na moim podbrzuszu i wyczynia prawdziwe cuda. Jakimś sposobem nadal jest głęboko we mnie. Próbuję poruszać biodrami, lecz on jest nieugięty. Zaczynają mną wstrząsać dreszcze. Trzęsą mi się nogi, a dłonie zaciskają się na jego udach. Potrzebuję każdego grama swojej siły, żeby nie wykrzyknąć jego imienia.

Kiedy podnosi moją rękę i przystawia stetoskop do nadgarstka, nadal drzę. Kilka sekund później odsuwa stetoskop i rzuca go na podłogę.

– Sto pięćdziesiąt – mówi zadowolony.

Wysuwa się ze mnie, odwraca mnie na plecy i po chwili jego usta są przy moich, a on znowu jest we mnie.

Moje ciało za bardzo opadło z sił, żeby się poruszać, i nawet nie jestem w stanie otworzyć oczu, żeby na niego patrzeć. Po kilku pchnięciach nieruchomieje, jęcząc mi w usta. Opada na mnie spięty, lecz jednocześnie drżący.

Całuje mnie w szyję, a zaraz potem jego usta spotykają się z tatuażem w kształcie serca na moim obojczyku. Wreszcie wtula się we mnie i wzdycha.

– Wspominałem ci już dzisiaj, jak bardzo cię lubię? – pyta.

Śmieję się.

– Raz czy dwa.

– No więc powiem to po raz trzeci – mówi. – Lubię cię, Lily. Lubię w tobie wszystko. Lubię być w tobie, lubię być poza tobą. Lubię być obok ciebie. Lubię wszystko, co z tobą związane.

Uśmiecham się, zachwycona tym, jak jego słowa muskają mi skórę... i serce. Otwieram usta, żeby powiedzieć, że ja też go lubię, ale przerywa mi dzwonek jego telefonu.

Ryle jęczy mi w szyję, zsuwa się ze mnie i sięga po telefon. Poprawia kitel i śmieje się, widząc, kto dzwoni.

– To moja mama – mówi, pochylając się i całując mnie w kolano spoczywające na

oparciu kanapy. Rzuca telefon na bok, wstaje i podchodzi do biurka, sięgając po pudełko chusteczek.

Sprzątanie po seksie zawsze jest krępujące. Ale chyba jeszcze nigdy nie krępowało mnie tak jak teraz, gdy wiem, że właśnie dzwoni do niego mama.

Kiedy moje ubranie wraca na miejsce, Ryle pociąga mnie na siebie na kanapę. Kładę się na nim, opierając głowę na jego klatce piersiowej.

Minęła już dziesiąta i tak mi wygodnie, że zastanawiam się, czy nie zostać tu na noc. Znowu odzywa się telefon Ryle'a, informując o nowej wiadomości głosowej. Uśmiecham się na myśl o jego relacjach z mamą. Allysa czasami mówi o rodzicach, ale z Ryle'em nigdy wcześniej o nich nie rozmawiałam.

– Dobrze dogadujesz się z mamą i tatą?

Delikatnie mnie głaszcz.

– No, dogaduję się. To dobrzy ludzie. Mieliliśmy trudny okres, kiedy byłem nastolatkiem, ale daliśmy radę. Teraz rozmawiam z mamą prawie codziennie.

Splatam ręce na jego piersi i opieram na nich brodę, patrząc mu w oczy.

– Opowiesz mi coś więcej o swojej mamie? Allysa mówiła, że kilka lat temu wasi rodzice przeprowadzili się do Anglii. A miesiąc temu wspomniała, że wybrali się na wakacje do Australii.

Ryle się śmieje.

– Mam ci opowiedzieć o mamie? No cóż... moja mama jest bardzo apodyktyczna. I bardzo krytyczna, zwłaszcza wobec ludzi, których najmocniej kocha. Nigdy nie opuściła niedzielnej mszy. I nigdy nie słyszałem, żeby nazwała mojego tatę inaczej niż doktor Kincaid.

Mimo tych ostrzeżeń mówi o niej z uśmiechem.

– Twój tata też jest lekarzem?

Kiwa głową.

– Psychiatrą. Wybrał dziedzinę, która pozwala wieść normalne życie. Spryciarz.

– Odwiedzają was w Bostonie?

– Niespecjalnie. Mama nie znosi podróżować samolotem, więc ja i Allysa latamy do nich dwa razy w roku. Ale chce cię poznać, więc możliwe, że następnym razem też się z nami wybierzesz.

Uśmiecham się.

– Mówiłeś o mnie mamie?

– Oczywiście – odpowiada. – Wiesz, to nie byle co. Mam dziewczynę. Mama dzwoni codziennie, żeby się upewnić, czy tego nie spieprzyłem.

Śmieję się, co skłania go do sięgnięcia po telefon.

– Myślisz, że żartuję? Gwarantuję ci, że wspomniała o tobie w wiadomości głosowej.

Wcisną kilka przycisków i rozlega się nagrana wiadomość:

Cześć, skarbie! Mówi mama. Od wczoraj nie rozmawialiśmy. Tęsknię. Uściskaj ode mnie Lily. Nadal się z nią spotykasz, prawda? Allysa mówi, że bez przerwy o niej opowiadasz. Wciąż jest twoją dziewczyną, prawda? No dobrze. Jest ze mną Gretchen, jemy podwieczorek. Kocham cię. Buziaki.

Przytulam twarz do jego piersi i śmieję się.

– Jesteśmy ze sobą raptem kilka miesięcy. Jak często jej o mnie mówisz?

Sięga po moją dłoń i ją całuje.

– Za często, Lily. O wiele za często.

Uśmiecham się.

– Nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoich rodziców. Nie tylko wychowali

niesamowitą córkę, ale i stworzyli ciebie. To dość imponujące.

Przytula mnie mocniej i całuje w czubek głowy.

– Jak miał na imię wasz brat? – pytam.

Czuję, że lekko sztywnieje. Żałuję, że poruszyłam ten temat, ale jest już za późno, żeby się wycofać.

– Emerson.

Słyszę po jego głosie, że nie ma teraz ochoty o tym rozmawiać. Zamiast drażnić, przesuвам się do góry, a potem przywieram ustami do jego ust.

To bardzo nierozważne z mojej strony. Wszystko wskazuje na to, że gdy jestem z Ryle'em, nie może się skończyć na pocałunkach. Kilka minut później znowu mam go w sobie, ale tym razem jest zupełnie inaczej niż przed chwilą.

Tym razem się kochamy.

Rozdział czternasty

Dzwoni mój telefon. Podnoszę go, żeby sprawdzić, kto to, i jestem trochę zaskoczona. Ryle po raz pierwszy do mnie dzwoni. Dotąd tylko esemesowaliśmy. Jakie to dziwne: mieć chłopaka od ponad trzech miesięcy i ani razu nie rozmawiać z nim przez telefon.

– Słucham?

– Cześć, moja dziewczyno – mówi.

Uśmiecham się błogo na dźwięk jego głosu.

– Cześć, mój chłopaku.

– Wiesz co?

– Co?

– Jutro biorę sobie wolne. Kwaciarnia będzie zamknięta do pierwszej w niedzielę. Właśnie do ciebie jadę z dwiema butelkami wina. Masz ochotę przenocować swojego chłopaka, uprawiać pijacki seks do rana i spać do południa?

To, co wyprawiają ze mną jego słowa, naprawdę mnie zawstydzają. Uśmiecham się.

– Wiesz co? – pytam.

– Co?

– Właśnie przygotowuję ci kolację. I mam na sobie fartuszek.

– Tak? – mówi.

– Tylko fartuszek – uściślam i rozłączam się.

Kilka sekund później przychodzi esemes.

Ryle: Proszę o fotkę.

Ja: Przyjdź tu i sam ją zrób.

Gdy otwierają się drzwi, kończę przygotowywać sos do zapiekanki. Wlewam go do naczynia żaroodpornego. Słyszę, jak Ryle wchodzi do kuchni, ale się nie odwracam. Pisząc, że mam na sobie tylko fartuszek, nie żartowałam. Nie włożyłam nawet majtek.

Słyszę, jak gwałtownie wciąga powietrze, kiedy pochylam się przed piekarnikiem i wkładam do środka zapiekankę. Możliwe, że dla lepszego efektu pochyliłam się trochę bardziej, niż trzeba. Zamykam piekarnik, ale się nie odwracam. Sięgam po ściereczkę i zaczynam wycierać drzwiczki, zmysłowo kołysząc biodrami. Nagle czuję mocne uklucie na prawym pośladku. Piszcząc, odwracam się szybko i widzę uśmiechniętego Ryle'a trzymającego dwie butelki wina.

– Czy ty mnie właśnie ugryzłeś?

Patrzy na mnie z niewinną miną.

– Nie kuś skorpiona, jeśli nie chcesz, żeby cię ukłuł. – Ogląda mnie od stóp do głów, otwierając jedną z butelek. Unosi ją i mówi: – Dobry rocznik.

– Dobry rocznik – mówię z udawanym podziwem. – A cóż to za szczególna okazja?

Podaje mi kieliszek.

– Będę wujkiem. Mam niesamowicie seksowną dziewczynę. A w poniedziałek przeprowadzę bardzo rzadką, prawdopodobnie przydarzającą się raz w życiu operację rozdzielenia bliźniąt craniopagusowych.

– Cranio... jakich?

Opróżnia kieliszek i robi sobie dolewkę.

– Craniopagusowych. Bliźniąt syjamskich – wyjaśnia. Puka się w czubek głowy. – Są zrośnięte w tym miejscu. Badamy je, odkąd przyszedł na świat. To bardzo rzadka operacja. Bardzo rzadka.

Chyba po raz pierwszy podnieca mnie jako lekarz. To znaczy podziwiam jego ambicję i poświęcenie, ale kiedy się tak emocjonuje tym, jak zarabia na życie, jest naprawdę seksowny.

– Jak myślisz, ile to potrwa? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Nie jestem pewny. Są małe, więc długotrwała narkoza byłaby ryzykowna. – Podnosi prawą dłoń i przebiera palcami. – Ale to wyjątkowa ręka, która przeszła specjalistyczne szkolenie warte blisko pół miliona dolarów. Mam do niej wielkie zaufanie.

Podchodzę do niego i zbliżam usta do jego dłoni.

– Ja też ją trochę lubię.

Gładzi mnie po szyi, a potem obraca przodem do blatu. Wydaję z siebie zduszony okrzyk, bo się tego nie spodziewałam.

Przywiera do mnie od tyłu i powoli wodzi dłonią po moim ciele. Przyciskam dłonie do granitu i zamykam oczy, już teraz czując działanie wina.

– Ta ręka – szepcze – to najpewniejsza ręka w całym Bostonie.

Naciska na mój kark, żebym się pochyliła. Jego ręka styka się z wewnętrzną stroną mojego kolana i sunie w górę. Powoli. O rany.

Rozchyła mi nogi, a po chwili jego palce są już we mnie. Jęczę i staram się znaleźć coś, czego mogłabym się przytrzymać. Łapię za kran, a Ryle zaczyna swoje czary.

I nagle, całkiem jak podczas magicznej sztuczki, jego dłoń znika.

Słyszę oddalające się kroki. Patrzę w stronę drzwi, a Ryle puszcza do mnie oko, opróżnia kieliszek i mówi:

– Wezmę szybki prysznic.

Ale dowcipniś.

– Ty dupku! – krzyczę za nim.

– Nie jestem dupkiem! – woła z mojego pokoju. – Jestem wysoce wykwalifikowanym neurochirurgiem!

Śmieję się i dolewam sobie wina.

Pokażę mu, które z nas bardziej lubi się droczyć.

Gdy wychodzi z mojego pokoju, piję już trzeci kieliszek.

Rozmawiam z mamą przez telefon. Siedząc na kanapie, patrzę, jak Ryle idzie do kuchni po dolewkę.

To wino jest naprawdę wyborne.

– Co robisz dzisiaj wieczorem? – pyta mama.

Przełączyłam ją na głośnik. Ryle opiera się o ścianę, przysłuchując się naszej rozmowie.

– Nic szczególnego. Pomagam Ryle’owi w nauce.

– To... niezbyt interesujące – mówi.

Ryle puszcza do mnie oko.

– O, to akurat bardzo interesujące – odpowiadam. – Często mu pomagam w nauce. Przeważnie ćwiczymy kontrolę sprawności motorycznej. W zasadzie to chyba czeka nas cała noc nauki.

Po trzech kieliszkach wina jestem w figlarnym nastroju. Nie mogę uwierzyć, że z nim flirtuję, rozmawiając przez telefon z mamą. Ohyda.

– Muszę już lecieć – rzucam. – Jutro wieczorem zabieramy na kolację Allyse i Marshalla, więc zadzwonię do ciebie w poniedziałek.

– Aha. A dokąd idziecie?

Przewracam oczami. Ta kobieta zupełnie nie rozumie aluzji.

– Nie wiem. Ryle, dokąd ich zabieramy?

– Tam, gdzie byliśmy z twoją mamą. Do Bib's? Zarezerwowałem stolik na szóstą.

Mam wrażenie, że serce zamiera mi w piersi.

– O, dobry wybór – cieszy się mama.

– Tak, jeśli ktoś lubi czerstwe pieczywo. Pa, mamó. – Rozłączam się i spoglądam na Ryle'a. – Nie chcę znowu tam iść. Nie podobało mi się. Spróbujmy czegoś nowego.

Nie mówię mu, dlaczego naprawdę nie chcę tam iść. Ale jak powiedzieć facetowi, z którym jesteś od niedawna, że starasz się uniknąć spotkania ze swoją pierwszą miłością?

Ryle odsuwa się od ściany.

– Jakoś to przeżyjesz – mruczy. – Allysa bardzo się ucieszyła, że tam idziemy. Opowiadałem jej o tej restauracji.

Może mi się poszczęści i Atlas będzie miał wolne.

– A skoro mowa o jedzeniu – podejmuje Ryle – to umieram z głodu.

Zapiekanka!

– O cholera! – mówię ze śmiechem.

Ryle pędzi do kuchni, a ja wstaję i idę za nim. Kiedy wchodzę, właśnie otwiera drzwiczki piekarnika i ręką rozgania dym. Katastrofa.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Za szybko wstałam po wypiciu trzech kieliszków wina. Łapię się blatu, żeby nie stracić równowagi, a on wyciąga rękę po spaloną zapiekankę.

– Ryle! Musisz wziąć...

– Niech to szlag! – krzyczy.

– ... rękawicę.

Zapiekanka ląduje na podłodze, naczynie żaroodporne rozpryskuje się na kawałki. Podnoszę nogi, żeby nie oberwać odłamkami szkła i gorącym kurczakiem. Zaczynam się śmiać, bo dociera do mnie, że Ryle'owi nawet nie przyszło do głowy, żeby sięgnąć po rękawicę.

To pewnie przez wino.

Ryle zatrzaskuje drzwiczki piekarnika i podchodzi do kranu. Wkłada rękę pod strumień zimnej wody i klnie pod nosem. Staram się powstrzymać śmiech, ale wino w połączeniu z niedorzecznością ostatnich kilkunastu sekund skutecznie to utrudnia. Patrzę na podłogę – na bałagan, który będziemy musieli posprzątać – i wybucham śmiechem. Przysuwam się do Ryle'a, żeby spojrzeć na jego dłoń. Mam nadzieję, że się za bardzo nie poparzył.

I nagle przestaję się śmiać. Leżę na podłodze, przyciskając dłoń do oka.

Ręka Ryle'a wystrzeliła nie wiadomo skąd i uderzyła mnie, zwalając z nóg. Cios był tak silny, że straciłam równowagę. Upadając, uderzyłam się o uchwyt jednej z szafek.

Czuję przeszywający ból obok oka, tuż przy skroni.

A zaraz potem przytłacza mnie ciężar.

Ten ciężar przygniata każdą część mnie. Jest potężny i miazdzy moje emocje. Wszystko się rozpada.

Moje łzy, moje serce, mój śmiech, moja dusza. Rozpadają się jak potłuczone szkło i spadają na mnie niczym deszcz.

Oplatam głowę rękami i próbuję cofnąć ostatnie dziesięć sekund.

– Lily, do diabła – słyszę jego głos. – To nie jest śmieszne. Ta ręka to moja pieprzona kariera.

Nie patrzę na niego. Tym razem jego głos nie przenika przez moje ciało, lecz dżga, słowa tną jak miecze. Po chwili jest już przy mnie, czuję na plecach jego pieprzoną rękę.

Głaszczcie mnie.

– Lily – mówi. – Boże, Lily. – Próbuje rozpleść mi ramiona, ale nie chcę ustąpić. Zaczynam kręcić głową, marząc o tym, by wymazać ostatnie piętnaście sekund. Piętnaście sekund! Tylko tyle potrzeba, żeby obraz człowieka całkiem się zmienił.

Piętnaście sekund, których nigdy nie cofniemy.

Przyciąga mnie do siebie i zaczyna całować po włosach.

– Tak mi przykro. Po prostu... oparzyłem się w rękę. Spanikowałem. Ty się śmiałaś i... Tak mi przykro, to się stało tak szybko. Nie chciałem cię popchnąć, Lily, przepraszam.

Tym razem nie słyszę głosu Ryle'a. Słyszę głos mojego ojca.

„Przepraszam, Jenny. To był wypadek. Tak mi przykro”.

– Przepraszam, Lily. To był wypadek. Tak mi przykro.

Marzę tylko o tym, żeby sobie poszedł. Napinam mięśnie i z całej siły odpycham go od siebie.

Leci do tyłu i podpira się rękami. Jego oczy są pełne szczerzego smutku, ale i czegoś innego.

Obawy? Paniki?

Powoli podnosi prawą dłoń i wtedy zauważam krew. Spływa po nadgarstku. Patrzę na podłogę – na kawałki roztrzaskanego szkła z naczynia żaroodpornego. Boże, właśnie popchnęłam go na szkło...

Odwraca się i podnosi z podłogi. Wsadza rękę pod strumień wody. Wstaję, akurat gdy wyjmuje kawałek szkła z dłoni i rzuca go na blat.

Przepelnia mnie złość, ale jakimś cudem niepokój o Ryle'a okazuje się silniejszy. Łapię ręcznik i mu go wciskam. Wokół jest mnóstwo krwi.

To jego prawa ręka.

W poniedziałek ma operację.

Staram się pomóc zatrzymać krwawienie, ale za bardzo się trzęsę.

– Ryle, twoja ręka.

Odsuwa ją i drugą ręką unosi moją brodę.

– Lily, pieprzyć rękę. Nie obchodzi mnie moja ręka. Dobrze się czujesz? – Z przejęciem przygląda się ranie na mojej twarzy.

Zaczynam dygotać, a po moich policzkach płyną łzy. Nie mogę ich powstrzymać.

– Nie. – Jestem w lekkim szoku i wiem, że Ryle słyszy, jak przy tym jednym słowie pęka mi serce. – Boże, Ryle, popchnąłeś mnie. Ty mnie... – Świadomość tego, co się właśnie stało, boli bardziej niż sama sytuacja.

Ryle obejmuje mnie i mocno przytula.

– Przepraszam, Lily. Boże, tak strasznie cię przepraszam! – Chowa twarz w moich włosach, tuląc mnie z siłą wszystkich nagromadzonych w nim emocji. – Proszę, nie zniechodź mnie. Błagam.

Jego głos powoli na powrót staje się głosem Ryle'a i czuję go w swoim żołądku, w palcach u nóg. Cała jego kariera zależy od tej ręki, więc to na pewno coś znaczy, że w ogóle nie przejął się raną. Prawda? Mam mętlik w głowie.

Za dużo się dzieje. Dym, wino, potłuczone szkło, rozbryzgi jedzenia na podłodze, krew, złość, przeprosiny... to za dużo.

– Przepraszam – powtarza. Odsuwam się. Ma zaczerwienione oczy. Nigdy nie widziałam, żeby był taki smutny. – Spanikowałem. Nie chciałem cię odepchnąć. Po prostu spanikowałem. Potrafiłem myśleć tylko o tej poniedziałkowej operacji i o mojej ręce i... Przepraszam. – Przywiera ustami do moich i wciąga powietrze.

On nie jest taki jak mój ojciec. Na pewno nie. W niczym nie przypomina tego nieczułego drania.

Obydwoje jesteśmy przybici, całujemy się zdezorientowani i smutni. Nigdy dotąd nie czułam niczego takiego jak w tej chwili – tak brzydkiego i bolesnego. Ale z jakiegoś powodu jedyne, co łagodzi ból spowodowany przez tego mężczyznę, to właśnie ten mężczyzna. Jego smutek sprawia, że moja rozpacz odrobinę maleje, moje emocje uspokajają się pod wpływem jego pocałunków i czułych objęć.

Oplata mnie ramionami w talii, podnosi i ostrożnie niesie w kierunku drzwi, starając się nie wdepnąć w szkło. Nie potrafię powiedzieć, czy czuję się bardziej rozczarowana nim czy sobą. Nim, dlatego że puściły mu nerwy, czy sobą, dlatego że jakimś cudem znalazłam pocieszenie w jego przeprosinach.

Całuje mnie i niesie do sypialni. Nie przerywając pocałunków, kładzie mnie na łóżku i szepcze:

– Przepraszam, Lily. – Muska wargami miejsce, w które się uderzyłam. – Przepraszam.

Jego usta znowu są przy moich, gorące i wilgotne, a ja nie wiem, co się ze mną dzieje. Czuję ogromny ból, ale moje ciało pragnie przeprosin w formie dotyku. Mam ochotę na niego naskoczyć, zareagować tak, jak zawsze chciałam, żeby zareagowała mama, kiedy ojciec ją krzywdził, ale w głębi serca chcę wierzyć, że to naprawdę był wypadek. Ryle nie jest taki jak mój ojciec. Zdecydowanie nie.

Muszę poczuć jego smutek. Jego żal. Jedno i drugie znajduję w sposobie, w jaki mnie całuje. Rozchyłam przed nim nogi i jego smutek przybiera inną formę. Powolnych, przepaszających pchnięć. Ilekroć się we mnie wsuwa, szepcze kolejne przeprosiny. I jakimś cudem ilekroć się ze mnie wysuwa, moja złość opuszcza mnie razem z nim.

Całuje mnie w ramię. W policzek. W oko. Nadal na mnie leży i delikatnie mnie dotyka. Jeszcze nigdy nie byłam dotykana w taki sposób... z taką czułością. Staram się zapomnieć o tym, co się stało w kuchni, ale o niczym innym nie potrafię myśleć.

Odepchnął mnie od siebie.

Ryle mnie popchnął.

Przez piętnaście sekund widziałam tę jego stronę, która nie jest nim. Która nie jest mną. Roześmiałam się, choć powinnam się zaniepokoić. Popchnął mnie, choć w ogóle nie powinien był mnie dotykać. Odepchnęłam go i zranił się w rękę.

To było okropne. Cała ta sytuacja, całe piętnaście sekund, to wszystko było okropne. Nigdy więcej nie chcę do tego wracać.

Ryle nadal trzyma w dłoni zmięty ręcznik, który przesiąkł już krwią. Odpycham jego klatkę piersiową.

– Zaraz wracam – mówię. Całuje mnie jeszcze raz i zsuwa się ze mnie. Idę do łazienki, zamykam za sobą drzwi. Spoglądam w lustro i wydaję z siebie zduszony okrzyk.

Krew. W moich włosach, na policzkach, na ciele. Wszędzie krew Ryle'a. Łapię ręcznik i próbuję ją z siebie zmyć, a potem zaglądam pod umywalkę w poszukiwaniu apteczki. Nie mam pojęcia, w jakim stanie jest jego ręka. Najpierw ją sobie poparzył, potem zranił. A niespełna godzinę temu mówił, jak ważna jest dla niego poniedziałkowa operacja.

Koniec z winem. Nie wolno nam więcej pić wina.

Wyjmuję pudełko spod umywalki i otwieram drzwi do sypialni. Ryle wychodzi z kuchni z małym workiem lodu. Unosi go.

– Na twoje oko – mówi.

Pokazuję apteczkę.

– Na twoją rękę.

Obydwoje się uśmiechamy i siadamy na łóżku. Ryle opiera się o wezgłowie, a ja układam sobie jego rękę na kolanach. Kiedy ją opatruję, cały czas przykładam lód do mojego oka.

Wyciskam na palec trochę maści odkażającej i delikatnie wcieram ją w jego poparzone palce. Nie wyglądają tak źle, jak się obawiałam, więc czuję ulgę.

– Można jakoś uniknąć bąbli? – pytam.

Kręci głową.

– Jeśli to poparzenie drugiego stopnia, to nie.

Mam ochotę spytać, czy będzie w stanie przeprowadzić operację, jeśli jego palce pokryją się pęcherzami, ale się powstrzymuję. Wiem, że martwi się tym tak samo jak ja.

– Nałożyć trochę na ranę?

Kiwa głową. Krwawienie ustało. Jestem pewna, że gdyby potrzebował szwów, toby je sobie założył, ale chyba obejdzie się bez nich. Wyjmuję bandaże z apteczki i zaczynam owijać mu dłoń.

– Lily – szepcze. Spoglądam na niego. Opiera się o wezgłowie łóżka i wygląda, jakby miał się rozplakać. – Czuję się okropnie. Gdybym mógł to cofnąć...

– Wiem – przerywam mu. – Wiem, Ryle. To było straszne. Popchnąłeś mnie. Zmusiłeś do zakwestionowania wszystkiego, co myślałam, że o tobie wiem. Ale wiem też, że tego żałujesz. Nie możemy tego cofnąć. Nie chcę o tym więcej rozmawiać. – Kończę bandażowanie i patrzę mu w oczy. – Ale pamiętaj, jeśli coś takiego kiedykolwiek się powtórzy... będę wiedziała, że to nie był przypadek. I odejdę od ciebie, nie oglądając się wstecz.

Długo się we mnie wpatruje, marszcząc brwi w poczuciu winy. Przysuwa się do mnie i przywiera ustami do moich.

– Lily, to się nie powtórzy. Przysięgam. Nie jestem taki jak on. Wiem, że tak pomyślałaś, ale przysięgam...

Kręcę głową, pragnąc, żeby przestał. Nie potrafię znieść bólu w jego głosie.

– Wiem, że nie jesteś taki jak mój ojciec – mówię. – Po prostu... nie zmuszaj mnie, żebym jeszcze kiedykolwiek w to wątpiła. Proszę.

Odsuwa mi włosy z czoła.

– Lily, jesteś najważniejszą częścią mojego życia. Chcę cię uszczęśliwić, nie ranić. – Całuje mnie, a potem wstaje i pochyla się nade mną, przykładając mi lód do twarzy. – Przytrzymaj to jeszcze z dziesięć minut. Zapobiegnie opuchliznie.

Przejmuję od niego worek z lodem.

– Dokąd idziesz?

Całuje mnie w czoło.

– Posprzątać bałagan, którego narobiłem.

Przez następne dwadzieścia minut krząta się w kuchni. Słyszę, jak wrzuca szkło do kosza na śmieci, wylewa wino do zlewu. Idę do łazienki, żeby wziąć szybki prysznic i zmyć z siebie krew, a potem zmieniam pościel. Kiedy w końcu w kuchni jest czysto, Ryle wraca do sypialni i podaje mi szklankę.

– To cola – mówi. – Kofeina dobrze ci zrobi.

Upijam łyk, napój musuje mi w gardle. Wspaniałe uczucie. Piję jeszcze trochę i odstawiam szklankę na szafkę nocną.

– Na co pomaga? Na kaca?

Ryle wślizguje się do łóżka i przykrywa nas kołdrą.

– Nie, właściwie to chyba nie pomaga na nic. Mama zawsze podawała mi colę, kiedy miałem zły dzień, i zawsze czułem się potem trochę lepiej.

Uśmiecham się.

– Tak, to działa.

Głaszcz mnie po policzku, a jego spojrzenie i dotyk przekonują mnie, że zasługuje na drugą szansę. Czuję, że jeśli nie znajdę sposobu, żeby mu wybaczyć, w pewnym sensie obarczę go winą za żal, który wciąż mam do ojca. A Ryle nie jest taki jak mój ojciec.

Ryle mnie kocha. Jeszcze nigdy tego nie powiedział, ale wiem, że tak jest. A ja kocham jego. Jestem pewna, że nic podobnego już się nie powtórzy. Przecież widziałam, jak przygnębiło go to, że mnie zranił.

Wszyscy ludzie popełniają błędy. Lecz tym, co determinuje czyjś charakter, nie są błędy, które popełnia, tylko sposób, w jaki je traktuje – jako usprawiedliwienie bądź jako lekcję.

W oczach Ryle'a dostrzegam bezgraniczną szczerość. Przysuwa się i całuje mnie w ramię. Kładzie głowę na poduszce i po prostu leżymy, wpatrując się w siebie, a obecna między nami energia wypełnia wszystkie dziury, które pozostawił w nas ten wieczór.

Kilka minut później Ryle ściska mi rękę.

– Lily – mówi, głaszcząc mój kciuk swoim. – Zakochałem się w tobie.

Czuję jego słowa każdą częścią ciała. Szepczę:

– Ja też cię kocham.

I jest to najbardziej naga prawda, jaką mu kiedykolwiek wyjawiałam.

Rozdział piętnasty

Docieram do restauracji z piętnastominutowym spóźnieniem. Tuż przed zamknięciem miałam klientów, którzy chcieli zamówić kwiaty na pogrzeb. Nie mogłam ich odprawić. To smutne, ale... kwiaciarze zarabiają najwięcej właśnie na pogrzebach.

Ryle macha do mnie, a ja idę w jego kierunku. Staram się nie rozglądać. Nie chcę zobaczyć Atlasa. Dwa razy próbowałam ich nakłonić, żeby zarezerwowali stolik gdzieś indziej, ale gdy Allysa usłyszała od Ryle'a, jak wspaniale tu karmią, koniecznie chciała przyjść właśnie tutaj.

Wślizguję się do boksu, a Ryle przechyla się w moją stronę i całuje mnie w policzek.

– Cześć, moja dziewczyno.

Allysa jęczy.

– Boże, jesteście tacy uroczy, że aż dostaje się mdłości.

Uśmiecham się do niej, a jej wzrok natychmiast podąża w stronę mojego oka. Dziś nie wygląda ono tak źle, jak się obawiałam, co prawdopodobnie zawdzięczam Ryle'owi, który zmusił mnie do przykładania lodu.

– O matko – mówi Allysa. – Ryle wspominał, co się stało, ale nie przypuszczałam, że jest aż tak źle.

Spoglądam na Ryle'a, zastanawiając się, co jej powiedział. Prawdę? Ryle się uśmiecha.

– Wszędzie była oliwa z oliwek – mówi. – Kiedy Lily się poślizgnęła, padała z takim wdziękiem, że można by ją wziąć za baletnicę.

Skłamał.

I dobrze. Zrobiłabym tak samo.

– To było dość żałosne – mówię ze śmiechem.

Jakimś cudem kolacja mija bez zgrzytów. Nigdzie nie widać Atlasa, nie myślę o wczorajszym wieczorze i obydwójce z Ryle'em unikamy wina. Kiedy kończymy jeść, do stolika podchodzi kelner.

– Mają państwo ochotę na deser? – pyta.

Kręcę głową, ale Allysa się ożywia.

– Co pan proponuje?

Marshall wydaje się równie zainteresowany.

– Jemy za dwoje, więc weźmiemy wszystko, co ma w sobie czekoladę – mówi.

Gdy kelner odchodzi, Allysa spogląda na męża.

– Na razie to dziecko ma wielkość pluskwy. Przez kilka następnych miesięcy lepiej nie wyrabiać w nim złych nawyków.

Kelner wraca z kartą deserów.

– Wszystkie przyszłe mamy dostają od szefa kuchni deser gratis – mówi. – Gratulacje.

– Naprawdę? – cieszy się Allysa.

– Pewnie dlatego restauracja nazywa się Bib's – zauważa Marshall. – Szef kuchni lubi dzieci.

Spoglądamy na menu.

– O rany – szepczę, patrząc na propozycje.

– To moja nowa ulubiona restauracja – oznajmia Allysa.

Wybieramy trzy desery do podziału. Czekając na nie, rozmawiamy o imionach dla dzieci.

– Nie – protestuje Allysa, gdy słyszy męża. – Nie nazwiemy tego dziecka na cześć

żadnego stanu.

– Ale Nebraska brzmi wspaniale – jęczy Marshall. – A może Idaho?

Allysa chowa twarz w dłoniach.

– Nasze małżeństwo czeka agonia.

– Agonia – powtarza Marshall. – Dobrze imię.

Uchodzi z życiem tylko dlatego, że właśnie podają nam desery. Kelner stawia przed Allyszą kawałek ciasta czekoladowego i odsuwa się na bok, robiąc miejsce drugiemu kelnerowi niosącemu dwa pozostałe desery.

– Szef kuchni chciałby państwu pogratulować – mówi, pokazując na kolegę.

– Jak smakowała kolacja? – pyta szef kuchni, zwracając się do Allysy i Marshalla.

Zanim przenosi spojrzenie na mnie, coś ściska mnie w żołądku. Atlas patrzy mi w oczy, a ja bez zastanowienia wypalam:

– Jesteś szefem kuchni?

Odpowiada mi kelner:

– Szefem kuchni. Właścicielem. Czasami kelnerem, czasami pomywaczem. Ten człowiek nadaje nowe znaczenie wyrażeniu „czynny udział”.

Allysa, Marshall i Ryle niczego nie zauważają, ale dla mnie następnych pięć sekund zdaje się trwać wieczność.

Spojrzenie Atlasa zatrzymuje się na moim oku.

Na obandażowanej ręce Ryle’a.

Znowu na moim oku.

– Jesteśmy zachwyceni pańską restauracją – mówi Allysa. – Stworzył pan naprawdę wspaniałe miejsce.

Atlas nie patrzy na nią. Widzę ruch jego grdyki, kiedy przetyka ślinę. Zaciska zęby i odchodzi bez słowa.

Cholera.

Kelner stara się ratować sytuację, obnaża zęby w przesadnie szerokim uśmiechu.

– Smacznego – rzuca i umyka w stronę kuchni.

– No to kicha – mówi Allysa. – Znajdujemy nową ulubioną restaurację i szef kuchni okazuje się dupkiem.

Ryle się śmieje.

– Tak, ale dupki są najlepsze. Pomyśl o Gordonie Ramsayu.

– Słuszna uwaga – przyznaje Marshall.

Kładę rękę na ramieniu Ryle’a.

– Muszę do toalety – mówię.

Kiwa głową.

– A Wolfgang Puck? – zastanawia się Marshall, kiedy wychodzę z boksu. – Myślicie, że też jest dupkiem?

Idę przez restaurację szybkim krokiem, ze spuszczoną głową. Nie zwalniając, skręcam w znajomy korytarz. Otwieram drzwi do damskiej toalety, odwracam się i zamykam je na klucz.

Niech to szlag!

To jego spojrzenie. Złość, z jaką zacisnął zęby.

Kiedy sobie poszedł, odczułam ulgę, ale coś mi mówi, że gdy wyjdziemy z restauracji, będzie czekał na zewnątrz, gotów skopać Ryle’owi tyłek.

Wciążam powietrze nosem, wypuszczam ustami, myję ręce i biorę jeszcze kilka głębokich oddechów. Kiedy się uspokajam, osuszam dłonie ręcznikiem.

Wrócę do stolika i powiem Ryle’owi, że kiepsko się czuję. Wyjdziemy stąd i nigdy

więcej się tu nie pokażemy. Wszyscy uznali, że szef kuchni jest dupkiem, więc to będzie moja wymówka.

Przekręcam klucz, ale nie mogę otworzyć drzwi. Ktoś popycha z drugiej strony, więc się odsuwam. Do toalety wchodzi Atlas. Opiera się plecami o zamknięte drzwi i patrzy na mnie, skupiając wzrok na moim skaleczeniu.

– Co się stało? – pyta.

Kręcę głową.

– Nic.

Mruży oczy. Nadal są błękitne jak lód, ale jakimś cudem płonie w nich ogień.

– Lily, kłamiesz.

Zdobywam się na uśmiech, żeby jakoś z tego wybrnąć.

– To był wypadek.

Atlas się śmieje, ale potem nagle poważnieje.

– Odejdź od niego.

„Odejdź od niego”?

O rany, on nic nie rozumie. Robię krok w jego stronę.

– Atlas, on taki nie jest. To nie było tak. Ryle to dobry człowiek.

Przechyla głowę, a potem lekko ją spuszcza.

– Zabawne. Mówisz jak twoja mama.

Jego słowa sprawiają mi ból. Natychmiast kładę dłoń na klamce, ale łapie mnie za nadgarstek.

– Lily, odejdź od niego.

Wyrwam rękę. Odwracam się i głęboko wciągam powietrze. Powoli je wypuszczam i znowu patrzę mu w twarz.

– Jeśli to coś znaczy, to teraz bardziej boję się ciebie, niż kiedykolwiek bałam się jego.

Atlas na chwilę zastyga. Powoli kiwa głową i odsuwa się od drzwi.

– Nie chciałem cię niepokoić. Po prostu próbowałem się odwdziżyć za troskę, którą mi zawsze okazywałaś.

Wpatruję się w niego, nie wiedząc, jak mam potraktować te słowa. Widzę, że nadal jest wściekły, choć zachowuje pozory spokoju i opanowania. Pozwala mi wyjść. Wyciągam rękę i otwieram drzwi.

Gdy napotykam spojrzenie Ryle’a, wydaję z siebie zduszony okrzyk. Szybko spoglądam przez ramię i widzę, że Atlas wychodzi tuż za mną.

W oczach Ryle’a widać dezorientację, spogląda to na mnie, to na Atlasa.

– Lily, o co tu, kurwa, chodzi?

– Ryle. – Drży mi głos. Boże, to wygląda o wiele gorzej, niż powinno.

Atlas omija mnie i rusza w stronę drzwi do kuchni, jakby Ryle dla niego nie istniał. Ryle wierci mu wzrokiem dziurę w plecach.

Atlas, nie zatrzymuj się...

Tuż przed drzwiami do kuchni, Atlas się zatrzymuje.

Nie, nie, nie... Idź dalej!

I wtedy następuje jedna z najstraszniejszych chwil, jakie jestem w stanie sobie wyobrazić: Atlas gwałtownie się odwraca, podchodzi do Ryle’a, łapie go za kołnierz. Ryle prawie od razu odpycha go na przeciwległą ścianę. Atlas znowu rzuca się na Ryle’a, tym razem przyciskając mu gardło przedramieniem do ściany.

– Dotknij ją jeszcze raz, a odetnę tą twoją pieprzoną rękę i wepchnę ci ją do gardła, ty bezwartościowy gnoju!

– Atlas, przestań! – krzyczę.

Atlas z ociąganiem wypuszcza Ryle’a i robi krok do tyłu. Ryle ciężko oddycha, długo i intensywnie wpatrując się w Atlasa. Potem jego uwaga skupia się na mnie.

– Atlas? – mówi, jakby już znał to imię.

Dlaczego wypowiada je takim tonem, jakby już je ode mnie słyszał? Nigdy nie wspominałam mu o Atlasie.

Zaraz.

O nie.

Tamtego pierwszego wieczoru na dachu. To była jedna z moich nagich prawd.

Ryle śmieje się z niedowierzaniem i pokazuje na Atlasa, ale wciąż patrzy na mnie.

– To jest ten Atlas? Ten bezdomny, z którym przespałeś się z litości?

O Boże.

Rzucają się na siebie i zaczynają się okładać pięściami. Słyszę swój krzyk. Dwaj kelnerzy wypadają z pomieszczenia obok i ich rozdzielają, kończąc bójkę równie szybko, jak się zaczęła.

Przytrzymują Atlasa i Ryle’a przy przeciwległych ścianach, a oni wpatrują się w siebie, dysząc. Nie jestem w stanie spojrzeć na żadnego z nich.

Nie potrafię popatrzeć na Atlasa. Nie po tym, co właśnie powiedział Ryle. Nie mogę też spojrzeć na Ryle’a, bo prawdopodobnie snuje teraz najgorsze z możliwych domysłów.

– Wynocha! – krzyczy Atlas, pokazując na drzwi, ale patrząc na Ryle’a. – Won z mojej restauracji!

Napotykam spojrzenie Ryle’a, kiedy przechodzi obok mnie. Boję się tego, co zobaczę w jego oczach. Ale nie ma w nich złości.

Tylko ból.

Mnóstwo bólu.

Przystaje, jakby zamierzał coś do mnie powiedzieć. Ale gdy wraca na salę, jego twarz wykrzywia tylko rozczarowanie.

W końcu patrzę na Atlasa i widzę rozczarowanie także na jego twarzy. Nie mogę nawet wytłumaczyć mu słów Ryle’a, bo odwraca się i znika za drzwiami do kuchni.

Od razu biegnę za Ryle’em. Łapie kurtkę leżącą w boksie i wychodzi, nawet nie patrząc na Allyse i Marshalla.

Allysa spogląda na mnie i pytająco unosi ręce. Kręcę głową, sięgam po torebkę i mówię:

– To długa historia. Pogadamy jutro.

Wychodzę za Ryle’em, który idzie w stronę parkingu. Biegnę za nim, a on przystaje i boksuje powietrze.

– Niech to szlag, nie przyjechałem swoim samochodem! – krzyczy sfrustrowany.

Wyjmuję kluczyki z torebki, a on podchodzi i mi je zabiera. Znowu za nim idę, tym razem do mojego samochodu.

Nie wiem, co robić. Nie wiem, czy w ogóle ma teraz ochotę ze mną rozmawiać. Właśnie widział, że zamknęłam się w toalecie z facetem, którego kiedyś kochałam. A potem ten facet się na niego rzucił.

Fatalnie to wygląda...

Kiedy docieramy do samochodu, Ryle od razu podchodzi do drzwi kierowcy, a mnie pokazuje drugie.

– Wsiadaj, Lily.

Przez całą drogę milczy. Raz wypowiadam jego imię, ale on tylko kręci głową. Widocznie jeszcze nie jest gotowy na moje wyjaśnienia. Kiedy wjeżdżamy do garażu, gasi silnik i natychmiast wysiada, jakby nie mógł się doczekać, kiedy się ode mnie uwolni.

Chodzi tam i z powrotem wzdłuż samochodu.

– Ryle, to nie było tak, jak ci się wydaje – mówię, robiąc krok w jego stronę. – Przysięgam.

Zatrzymuje się, a kiedy na mnie spogląda, ściska mi się serce. W jego oczach jest mnóstwo bólu, i to zupełnie niepotrzebnie. Wszystko z powodu głupiego nieporozumienia.

– Nie chciałem tego – mówi. – Nie chciałem tego związku! Nie chciałem tego stresu w swoim życiu!

Mimo jego bólu spowodowanego tym, co jego zdaniem zobaczył, strasznie mnie tymi słowami wkurza.

– No to odejdź ode mnie!

– Co?

Wyrzucam ręce w górę.

– Nie chcę być dla ciebie ciężarem, Ryle! Bardzo mi przykro, że moja obecność w twoim życiu jest taka nieznośna!

Robi krok w moją stronę.

– Lily, nie to miałem na myśli. – Sfrustrowany unosi ramiona, a potem przechodzi obok mnie. Opiera się o samochód i splata ręce na piersi. Na dłuższą chwilę zapada cisza. Czekam, co ma mi do powiedzenia. Stoi ze spuszczoną głową, ale potem lekko ją podnosi, żeby na mnie spojrzeć.

– Naga prawda, Lily. Tylko tego teraz od ciebie chcę. Czy mogłabyś mi ją dać?

Kiwam głową.

– Wiedziałaś, że on tam pracuje?

Zaciskam usta i oplatom się ramionami.

– Tak. Dlatego nie chciałam tam iść. Nie chciałam się na niego natknąć.

Wygląda na to, że moja odpowiedź nieco złagodziła napięcie. Ryle przesuwając dłoń po twarzy.

– Powiedziałaś mu, co się wczoraj stało? Powiedziałaś mu o naszej kłótni?

Podchodzę do niego i stanowczo kręcę głową.

– Nie. Domyślił się. Zobaczył moje oko i twoją rękę i po prostu się domyślił.

Wypuszcza nagromadzone powietrze i odchyła głowę. Mam wrażenie, że następne pytanie jest ponad jego siły.

– Dlaczego byliście sami w toalecie?

Podchodzę jeszcze bliżej.

– Wszedł tam za mną. Ryle, to dla mnie teraz obcy człowiek. Nawet nie wiedziałam, że jest właścicielem tej restauracji, myślałam, że tylko tam pracuje. Przestał być częścią mojego życia, przysięgam. On po prostu... – Splatom ręce i ściszam głos. – Obydwoje wychowaliśmy się w domach, w których panowała przemoc. Zobaczył moją twarz, twoją rękę i... zwyczajnie się o mnie zaniepokoił. To wszystko.

Ryle przykładając dłoń do ust. Gdy wzdycha, słyszę powietrze przelatujące między jego palcami. Prostuje się i przez chwilę zastanawia nad moimi słowami.

– Moja kolej – mówi.

Odpycha się od samochodu i pokonuje trzy ostatnie dzielące nas kroki. Ujmuje moją twarz i patrzy mi prosto w oczy.

– Lily, jeśli nie chcesz ze mną być... proszę, powiedz mi o tym teraz. Bo kiedy cię z nim zobaczyłem... to zabolalo. Nigdy więcej nie chcę się tak czuć. A jeśli to boli tak bardzo już teraz, to przeraża mnie myśl, jak mogłoby boleć za rok.

Czuję, jak po moich policzkach zaczynają płynąć łzy. Kładę ręce na jego dłoniach i kręcę

głową.

– Ryle, nie chcę nikogo innego. Tylko ciebie.

Zmusza się do najsmutniejszego uśmiechu, jaki kiedykolwiek widziałam u drugiego człowieka. Przyciąga mnie do siebie i przytula. Obejmuję go najmocniej, jak umiem, a on przyciska usta do mojej skroni.

– Kocham cię, Lily. Boże, kocham cię.

Mocno go przytulam, odciskając pocałunek na jego ramieniu.

– Ja też cię kocham.

Zamykam oczy i żałuję, że nie mogę wymazać całych dwóch ostatnich dni.

Atlas myli się co do Ryle'a.

Szkoda tylko, że o tym nie wie.

Rozdział szesnasty

– No bo... nie chcę być egoistką, Lily, ale nie spróbowałaś deseru – jęczy Allysa. – Och, był przepyszny.

– Więcej tam nie pójdziemy – mówię do niej.

Tupie nogą jak mała dziewczynka.

– Ale...

– Nie ma mowy. Musimy uszanować wolę twojego brata.

Splata ręce na piersi.

– Wiem, wiem. Dlaczego jako nastolatka musiałaś ulec hormonom i zakochać się w najlepszym szefie kuchni w Bostonie?

– Wtedy nie był szefem kuchni.

– Mniejsza o to – mówi. Wychodzi z biura i zamyka drzwi.

Mój telefon wibruje, informując o odebranych esemesie.

Ryle: 5 godzin za mną. Zostało jeszcze z 5. Jak na razie jest dobrze. Ręka spisuje się wspaniale.

Wzdycham z ulgą. Nie byłam pewna, czy będzie w stanie dziś operować, ale wiem, jak bardzo na to czekał, więc cieszę się jego szczęściem.

Ja: Najpewniejsze ręce w całym Bostonie.

Otwieram laptopa i sprawdzam skrzynkę pocztową. Od razu rzuca mi się w oczy zapytanie od „Boston Globe”. Otwieram wiadomość. Jakaś dziennikarka chce napisać artykuł o kwiaciarni. Uśmiecham się jak idiotka, a gdy zaczynam odpisywać, do drzwi puka Allysa. Wsuwa głowę do środka.

– Cześć – zagaduje.

– No cześć.

Puka palcami we framugę.

– Pamiętasz, jak kilka minut temu powiedziałaś, że nie mogę więcej iść do Bib’s, bo to nie w porządku wobec Ryle’a, skoro właścicielem jest chłopak, w którym się kochałaś jako nastolatka?

Opadam na oparcie krzesła.

– Allysa, czego ty chcesz?

Marszczy nos.

– Skoro z powodu właściciela nie byłoby w porządku, gdybyśmy tam poszli, to czy to w porządku, że właściciel przychodzi tutaj?

Co?

Zamykam laptopa i wstaję.

– O czym ty mówisz? On tu jest?

Kiwa głową i wślizguje się do biura, zamykając za sobą drzwi.

– Tak. Pytał o ciebie. I wiem, że spotykasz się z moim bratem, a ja jestem w ciąży, ale czy nie mogłybyśmy przez chwilę pogapić się na tego faceta? Jest doskonały...

Uśmiecha się z rozmarzeniem, a ja teatralnie wznoszę oczy ku sufitowi.

– Allysa!

– Ale te jego oczy... – Otwiera drzwi i wychodzi. Idę za nią i widzę Atlasa. – Jest tutaj –

mówi do niego Allysa. – Odwiesić twój płaszcz?

My nie odwieszamy płaszczy.

Atlas spogląda na mnie, gdy wychodzę z biura. Przez chwilę patrzy na Allyse, a potem kręci głową.

– Nie, dziękuję. Wpadłem tylko na chwilę.

Allysa opiera się na ladzie, opuszczając brodę na dłoń.

– Zostań, ile tylko chcesz. Nie szukasz przypadkiem dodatkowej pracy? Lily musi zatrudnić więcej ludzi, a potrzebny nam ktoś, kto potrafi przenosić ciężary. To wymaga wielkiej elastyczności. Pochylania się.

Posyłam jej mordercze spojrzenie i bezgłośnie poruszam ustami: „Dość”.

Niewinnie wzrusza ramionami. Przytrzymuję drzwi, żeby wpuścić Atlasa, ale kiedy przechodzi obok, unikam patrzenia mu w oczy. Mam okropne poczucie winy z powodu tego, co wczoraj zaszło, lecz jednocześnie jestem wściekła.

Okrażam biurko i opadam na krzesło, przygotowana na kłótnię. Kiedy jednak spoglądam na Atlasa, zamykam usta.

On się uśmiecha. Siadając naprzeciwko mnie, wykonuje szeroki gest.

– Lily, to niesamowite.

– Dziękuję – mówię po chwili.

Dalej się do mnie uśmiecha, jakby był ze mnie dumny. Kładzie na blacie papierową torebkę i przesuwa ją w moją stronę.

– To prezent – mówi. – Możesz otworzyć później.

Dlaczego kupuje mi prezenty? Przecież ma dziewczynę. Ja mam chłopaka. Nasza przeszłość wywołała już dość problemów w mojej terażniejszości. Z całą pewnością nie potrzebuję prezentów mogących pogorszyć sprawę.

– Atlas, dlaczego kupujesz mi prezenty?

Odchyła się na krześle i splata ręce na piersi.

– Kupiłem to trzy lata temu. Przechowałem, w razie gdybym kiedykolwiek cię spotkał.

Troskliwy Atlas. Nic się nie zmienił. Niech to cholera.

Podnoszę torebkę i kładę ją na podłodze obok biurka. Próbuję się rozluźnić, ale to naprawdę trudne, bo wszystko, co ma związek z Atlasem, powoduje u mnie wielkie napięcie.

– Przyszedłem cię przeprosić – mówię.

Zbzywam to machnięciem ręki, dając do zrozumienia, że nie ma takiej potrzeby.

– Wszystko w porządku. To było nieporozumienie. Ryle doszedł do siebie.

Atlas śmieje się pod nosem.

– Nie za to przepraszałem – mówię. – Nigdy nie przepraszałbym za to, że cię broniłem.

– Wcale mnie nie broniłeś – odpowiadam. – Nie było przed czym.

Przechyla głowę, patrząc na mnie tak jak poprzedniego wieczoru. Daje mi do zrozumienia, że sprawiam mu zawód. Kłuje mnie to do żywego.

Chrząkam.

– No więc za co przepraszasz?

Przez chwilę milczy. Zastanawia się.

– Powiedziałem, że mówisz jak twoja matka. To było okrutne. I za to przepraszam.

Nie wiem, dlaczego w jego towarzystwie zawsze chce mi się płakać – podobnie jak wtedy, kiedy o nim myślę i kiedy o nim czytam. Jakbym z jakiegoś powodu nadal była z nim emocjonalnie związana i nie wiedziała, jak zerwać tę więź.

Spuszcza wzrok na biurko i przysuwa sobie trzy przedmioty: długopis, karteczkę samoprzylepną i mój telefon.

Zapisuje coś na karteczce i zaczyna demontować moją komórkę. Zsuwa obudowę i umieszcza karteczkę między nią a baterią, po czym z powrotem składa wszystko w całość. Przesuwa telefon w moją stronę. Spoglądam na komórkę, a następnie na Atlasa. Wstaje, rzucając długopis na biurko.

– To mój numer. Trzymaj go tam, w razie gdybyś go kiedyś potrzebowała.

Krzywię się w odpowiedzi na ten gest. Zbędny gest.

– Nie będę go potrzebowała.

– Mam nadzieję, że nie będziesz. – Podchodzi do drzwi i kładzie dłoń na klamce. Wiem, że to moja ostatnia szansa, żeby wydobyć z siebie to, co mam do powiedzenia, zanim Atlas na zawsze zniknie z mojego życia.

– Atlas, zaczekaj.

Wstaję tak szybko, że krzesło sunie po podłodze i uderza w ścianę. Atlas lekko się odwraca i patrzy na mnie.

– Chodzi o to, co powiedział ci wczoraj Ryle... Ja nigdy... – Nerwowo zbliżam rękę do szyi. Czuję, jak łomocze mi serce. – Nigdy czegoś takiego nie mówiłam. Czuł się zraniony i zły, więc przekreślił coś, co usłyszał ode mnie dawno temu.

Atlasowi lekko drży kącik ust. Nie jestem pewna, czy stara się powstrzymać uśmiech czy grymas niezadowolenia. Patrzy mi prosto w oczy.

– Lily, wierz mi, wiem, że to nie było pieprzenie z litości. Byłem przy tym.

Wychodzi, a jego słowa powalają mnie z powrotem na krzesło.

Tylko że... krzesła tam nie ma. Nadal stoi pod ścianą, a ja ląduję na podłodze.

Gdy przybiega Allysa, leżę na plecach za biurkiem.

– Lily? – Okrąża je i staje nade mną. – Nic ci się nie stało?

Pokazuję jej uniesiony kciuk.

– Wszystko w porządku. Po prostu krzywo usiadłam.

Wyciąga rękę i pomaga mi wstać.

– O co mu chodziło?

Spoglądam na drzwi, przysuwając krzesło. Siadam i patrzę na telefon.

– O nic. Chciał tylko przeprosić.

Allysa tęsknie wzdycha i odwraca się do drzwi.

– Czy to znaczy, że nie jest zainteresowany pracą?

Trzeba jej to przyznać – nawet w samym środku emocjonalnego zamętu potrafi mnie rozśmieszyć.

– Wracaj do roboty, zanim potrącę ci z pensji.

Śmieje się i odwraca do wyjścia. Stukam długopisem w biurko.

– Allysa, zaczekaj – mówię.

– Wiem, wiem – wchodzi mi w słowo. – Ryle nie musi wiedzieć o tej wizycie. Przecież rozumiem.

Uśmiecham się.

– Dzięki.

Zamyka drzwi.

Sięgam po torebkę z trzyletnim prezentem. Wyjmuję go i od razu poznaję, że to książka. Zrywam z niej cienki papier i opadam na oparcie krzesła.

Na wierzchu jest zdjęcie Ellen DeGeneres. Tytuł brzmi *Seriously... I'm Kidding*. Śmieję się i otwieram książkę, a na widok autografu wydaję z siebie zduszony okrzyk. Przebiegam opuszkami po słowach dedykacji.

Lily,

Atlas mówi, żebyś po prostu płynęła dalej.

Ellen DeGeneres

Przesuwam palcem po podpisie. Potem rzucam książkę na biurko, przyciskam do niej czoło i udaję, że wypłakuję się w okładkę.

Rozdział siedemnasty

Gdy wracam do domu, jest już po siódmej. Ryle zadzwonił przed godziną i powiedział, że nie przyjdzie na noc. Ta separacja krakrablablowa (czy jak tam brzmiała ta ważna nazwa, której ostatnio użył) zakończyła się sukcesem, ale chciał zostać w szpitalu na wypadek komplikacji.

Wchodzę do swojego spokojnego mieszkania. Przebieram się w spokojną piżamę. Spokojnie jem kanapkę. A potem kładę się w spokojnej sypialni i spokojnie otwieram swoją nową książkę, licząc, że ukoji moje emocje.

I rzeczywiście, trzy godziny i większość książki później wszystkie emocje z ostatnich kilku dni zaczynają ze mnie ulatywać. Umieszczam zakładkę na stronie, na której przerywam czytanie.

Długo wpatruję się w swój prezent. Myślę o Ryle'u. Myślę o Atlasie. Myślę o tym, że czasami, bez względu na to, jak bardzo jesteśmy przekonani, że nasze życie potoczy się w określonym kierunku, cała ta pewność może odpłynąć wskutek zwykłej zmiany prądów.

Biorę książkę, którą kupił mi Atlas, i wkładam ją do szafy razem ze wszystkimi pamiętnikami. Następnie sięgam po ten wypełniony wspomnieniami o nim. I wiem, że wreszcie przyszła pora przeczytać ostatni wpis. Potem będę mogła na zawsze zamknąć ten rozdział.

Droga Ellen,

przeważnie cieszę się, że nie wiesz o moim istnieniu, że tak naprawdę nigdy Ci nie wysłałam tego wszystkiego, co do Ciebie piszę.

Ale czasami, zwłaszcza dziś wieczorem, żałuję, że tak jest. Po prostu potrzebuję kogoś, z kim mogłabym porozmawiać o tym, co czuję. Minęło pół roku, odkąd widziałam Atlasa po raz ostatni. Nie wiem, gdzie jest ani co robi. Odkąd przeprowadził się do Bostonu, wiele się wydarzyło. Myślałam, że długo go nie zobaczę, ale się myliłam.

Zobaczyłam go znowu kilka tygodni po jego wyjeździe. To było w moje szesnaste urodziny i kiedy się zjawił, poczułam, że to absolutnie najlepszy dzień mojego życia.

A potem stał się absolutnie najgorszy.

Minęły dokładnie czterdzieści dwa dni, odkąd Atlas przeniósł się do Bostonu. Liczyłam każdy dzień, jakby mogło mi to jakoś pomóc. Ellen, byłam strasznie przygnębiona. Nadal jestem. Ludzie mówią, że nastolatki nie potrafią kochać tak jak dorośli. Część mnie w to wierzy, ale nie jestem dorosła, więc nie mam porównania. W każdym razie rozumiem, że prawdopodobnie kochamy inaczej. W miłości dorosłych na pewno jest więcej głębi niż w miłości nastolatków. Zapewne jest dojrzałsza, więcej w niej szacunku i odpowiedzialności. Ale bez względu na to, jak bardzo może się różnić istota miłości w zależności od wieku, wiem, że sama miłość waży tyle samo. Czujesz jej ciężar na ramionach, w brzuchu i w sercu bez względu na to, ile masz lat. A moje uczucia do Atlasa są bardzo ciężkie. Co noc płaczę w poduszkę, szepcząc: „Po prostu płyn dalej”. Ale bardzo trudno się płynie, kiedy masz wrażenie, że jakaś kotwica trzyma cię w miejscu.

Jeśli się nad tym zastanowić, w pewnym sensie doświadczam kolejnych etapów żaloby. Pojawiają się we mnie zaprzeczenie, złość, targowanie się, przygnębienie i akceptacja. Wieczorem w dniu moich szesnastych urodzin tkwiłam głęboko w fazie przygnębienia. Mama starała się umilić mi ten dzień. Kupiła mi narzędzia ogrodnicze, upiekła moje ulubione ciasto i poszliśmy razem na kolację. Ale kiedy wieczorem kładłam się spać, nie potrafiłam odegnąć smutku.

Płacząc, usłyszałam pukanie w okno. Początkowo myślałam, że zaczął padać deszcz, ale

zaraz dobiegł mnie znajomy głos. Zerwałam się z łóżka i podbiegłam do okna, czując rozpierającą mnie radość. Atlas stał w ciemności i uśmiechał się do mnie. Otworzyłam okno, pomogłam mu wejść, a on wziął mnie w ramiona i bardzo długo tulił, gdy płakałam.

Pachniał wspaniale. Przytulając się do niego, czułam, że w ciągu tych sześciu tygodni, przybyło mu kilka bardzo potrzebnych kilogramów. Odsunął się i otarł mi łzy z policzków.

– Lily, dlaczego płaczesz?

Wstydziałam się tych łez. W tym miesiącu często płakałam – chyba częściej niż kiedykolwiek w moim życiu. To pewnie kwestia hormonów, stresu związanego z sytuacją w domu i rozłąki z Atlassem.

Podniosłam z podłogi jakąś koszulkę i wytarłam oczy. Gdy usiedliśmy na łóżku, Atlas przytulił mnie i oparł się o wezglowie.

– Co ty tu robisz? – spytałam.

– Są twoje urodziny – odparł. – I nadal lubię cię bardziej niż innych. A poza tym za tobą tęskniłem.

Kiedy się zjawiał, była pewnie najwyżej dziesiąta, ale gdy następnym razem spojrzałam na zegarek, okazało się, że już po północy. Nawet nie pamiętam, o czym przez ten czas rozmawialiśmy, ale wiem, co wtedy czułam. Atlas wydawał się taki szczęśliwy! W oczach miał światło, którego nie widziałam nigdy wcześniej. Jakby wreszcie odnalazł dom.

Oznajmił, że chce mi o czymś powiedzieć, i jego głos zabrzmiał poważnie. Posadził mnie sobie na kolanach, tak że siedziałam na nim okrakiem. Chciał to powiedzieć, patrząc mi w oczy. Pomyślałam, że za chwilę wyzna, że ma dziewczynę albo że zaciągnie się do wojska jeszcze wcześniej, niż planował. Jego słowa mną wstrząsnęły.

Powiedział, że znalazł się w tym opuszczonym domu nie dlatego, że potrzebował miejsca na nocleg.

Poszedł tam, żeby się zabić.

Zastłoniłam usta rękami. Nie miałam pojęcia, że było z nim aż tak źle, że stracił chęć do życia.

– Lily, mam nadzieję, że nigdy nie zaznasz takiej samotności – powiedział.

Dodał, że pierwszego wieczoru w tym domu siedział na podłodze w salonie z żyletką przyłożoną do nadgarstka. I kiedy już miał jej użyć, zapaliło się światło w moim pokoju.

– Stałaś tam jak anioł skąpany w niebiańskiej jasności – powiedział. – Nie mogłem oderwać od ciebie oczu.

Przez jakiś czas obserwował, jak chodzę po pokoju. I jak leżąc na łóżku, piszę coś w pamiętniku. Odłożył żyletkę, bo jak powiedział, minął miesiąc, odkąd cokolwiek czuł, a gdy na mnie patrzył, w jego sercu znów coś drgnęło – na tyle mocno, że otrząsnął się z odrętwienia i zrezygnował z odebrania sobie życia.

Parę dni później zaniósłam mu jedzenie i postawiłam je na tylnej werandzie. Resztę tej historii chyba już znasz.

– Lily, uratowałaś mi życie – powiedział. – A nawet się nie starałaś.

Przysunął się i pocałował mnie w obojczyk, tak jak zawsze lubił. Spodobało mi się to. Nie jestem zbyt zadowolona ze swojego ciała, ale to miejsce między ramieniem a szyją stało się dla mnie moją ulubioną częścią.

Wziął mnie za rękę i powiedział, że zaciągnie się do wojska wcześniej, niż planował, ale nie mógł wyjechać bez podziękowania. Wyjaśnił, że nie będzie go przez cztery lata i że ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, byłoby to, żebym zrezygnowała ze swojego życia z powodu chłopaka, który nie będzie się ze mną widywał ani kontaktował.

Przy następnych słowach jego niebieskie oczy wypełniły się łzami. Miałam wrażenie, że

stały się zupełnie przezroczyste.

– Lily, życie jest dziwne. Żyjemy tylko przez określony czas, więc musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby jak najlepiej wykorzystać dane nam lata. Nie powinniśmy ich marnować na czekanie na coś, co wydarzy się w odległej przyszłości albo nie wydarzy się w ogóle.

Wiedziałałam, co ma na myśli. Że zaciąga się do wojska i nie chce, żebym na niego czekała. W zasadzie wcale ze mną nie zrywał, bo tak naprawdę nigdy nie byliśmy razem. Byliśmy po prostu dwojgiem ludzi, którzy pomagali sobie nawzajem, a przy okazji się w sobie zakochali.

Trudno było dać się wypuścić z objęć komuś, kto tak naprawdę nigdy do końca mnie w nich nie trzymał. Przez cały czas, który ze sobą spędziliśmy, obydwójce chyba wiedzieliśmy, że to nie będzie trwało wiecznie. Nie jestem pewna dlaczego. Może w normalnych okolicznościach, gdybyśmy byli razem jak typowe nastolatki i on miałby zwyczajne życie rodzinne, moglibyśmy tworzyć parę. Parę, która po prostu ze sobą jest i nie doświadcza okrucieństwa ze strony bliskich.

Tego wieczoru nawet nie próbowałam go nakłonić do zmiany zdania. Czuję, że łączy nas więź, jakiej nie byłby w stanie zniszczyć nawet ogień piekielny. Czuję, że mógłby spędzić ten czas w wojsku, a ja pobyłabym nastolatką, a potem, gdy przyszedłaby właściwa pora, wszystko znowu wróciłoby na właściwe tory.

– Chcę ci coś obiecać – powiedział. – Jeśli moje życie będzie wystarczająco dobre, żebyś mogła zostać jego częścią, odnajdę cię. Ale nie chcę, żebyś na mnie czekała, bo być może nigdy się tak nie stanie.

Nie spodobała mi się ta obietnica, bo oznaczała jedną z dwóch rzeczy. Albo myślał, że nie dożyje końca służby, albo uważał, że jego życie nigdy nie będzie dla mnie wystarczająco dobre.

Jego życie już teraz było dla mnie wystarczająco dobre, ale pokiwałam głową i zmusiłam się do uśmiechu.

– Jeśli po mnie nie wrócisz, sama cię odnajdę. I to nie będzie przyjemne, Atlasie Corriganie.

Moja pogróżka go rozbawiła.

– To nie będziesz musiała długo szukać. Dobrze wiesz, gdzie będę.

Uśmiechnęłam się.

– Tam, gdzie wszystko jest lepsze.

Odpowiedział uśmiechem.

– W Bostonie.

A potem mnie pocałował.

Ellen, wiem, że jesteś dorosła i doskonale zdajesz sobie sprawę, co się dzieje później, ale mimo to się krępuję, opisując ci, co się działo przez następne dwie godziny. Powiedzmy po prostu, że dużo się całowaliśmy. Dużo się śmialiśmy. Dużo się kochaliśmy. Dużo wzdychaliśmy. Bardzo dużo. I obydwójce musieliśmy zasłaniać sobie usta i zachowywać się jak najciszej, żeby nas nie przyłapano.

Kiedy było po wszystkim, przytulił mnie. Leżeliśmy ciało przy ciele, serce przy sercu. Pocałował mnie i spojrzał mi prosto w oczy.

– Lily, kocham cię. Kocham cię całą. Kocham cię.

Wiem, że ludzie często rzucają takie słowa, zwłaszcza tacy w naszym wieku. Często robią to przedwcześnie i bez większego uzasadnienia. Ale kiedy usłyszałam je od niego, wiedziałam, że nie chodzi o zwykłe zauroczenie. To było inne „kocham cię”.

Wyobraź sobie tych wszystkich ludzi, których spotykasz w życiu. Jest ich tak wielu. Przybywają jak fale i jak fale odchodzą. Niektóre fale są znacznie większe od innych i zostawiają większy ślad. Czasami przynoszą ze sobą przedmioty z dna morza i wyrzucają je na brzeg. Ślady na piasku dowodzące, że fale tam były, jeszcze długo po przypływie.

Właśnie o tym mówił Atlas, kiedy wyznał mi miłość. Dawał mi do zrozumienia, że jestem największą falą, jaką kiedykolwiek widział. I tyle ze sobą przyniosłam, że mój ślad zostanie w nim na zawsze, nawet gdy woda się cofnie.

Kiedy powiedział, że mnie kocha, dodał, że ma dla mnie prezent urodzinowy. Wyjął małą papierową torebkę.

– To niewiele, ale tylko na to było mnie stać.

Otworzyłam torebkę i wyjęłam najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam – magnesik z napisem „Boston”. Poniżej malutkimi literkami dopisano: „Tu wszystko jest lepsze”. Powiedziałam, że zachowam ten magnesik na zawsze i ilekroć na niego spojrzę, pomyślę o nim, o Atlasie.

Na początku tego listu wspomniałam, że szesnaste urodziny były jednym z najlepszych dni w moim życiu. I do tej chwili tak właśnie było.

Lecz nagle wszystko uległo zmianie.

Nie spodziewałam się Atlasa, więc nie pomyślałam o tym, żeby zamknąć drzwi do pokoju. Ojciec usłyszał, że z kimś rozmawiam, a kiedy wszedł do środka i zobaczył obcego chłopaka w moim łóżku, wściekł się bardziej niż kiedykolwiek dotąd. A Atlas był na przegranej pozycji, bo nie przygotował się na to, co się później stało.

Nie zapomnę tej chwili aż do śmierci. Zupełnej bezradności Atlasa, gdy ojciec rzucił się na niego z kijem bejsbolowym. Moje krzyki przerywał tylko trzask łamanych kości.

Nie wiem, kto wezwał policję. Jestem pewna, że mama, ale choć minęło pół roku, nigdy nie rozmawialiśmy o tamtej nocy. Kiedy policja wpadła do mojego pokoju i odciągnęła ojca, Atlas był tak zakrwawiony, że trudno byłoby go rozpoznać.

Dostałam histerii.

Histerii!

Nie tylko musieli zabrać Atlasa do szpitala, musieli też wezwać karetkę dla mnie, bo nie mogłam oddychać. To był pierwszy i jedyny atak paniki, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam.

Nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest Atlas ani jak się czuje. Ojca nie aresztowali za to, co zrobił. Wydało się, że Atlas pomieszkiwał w opuszczonym domu i że był bezdomny. Ojca podziwiano za bohaterski czyn – uratowanie córki przed bezdomnym, który omotał ją i nakłonił do seksu.

Ojciec powiedział, że zhańbiłam całą rodzinę, dostarczając miastu tematu do plotek. I musisz wiedzieć, że ludzie nadal o tym plotkują. Słyszałam dziś w autobusie, jak Katie mówi komuś, że próbowała mnie ostrzec przed Atlasem. Powiedziała, że od pierwszej chwili wiedziała, że to typ spod ciemnej gwiazdy. Gówno prawda. Gdyby Atlas jechał wtedy ze mną, pewnie ugryzłabym się w język i zareagowała dojrzałe, tak jak mnie uczył. Ale w tych okolicznościach tak się wkurzyłam, że odwróciłam się i kazałam jej spadać. Powiedziałam, że Atlas był lepszym człowiekiem, niż ona kiedykolwiek będzie, i że jeśli jeszcze raz usłyszę, jak mówi o nim coś złego, to pożałuje.

Katie tylko przewróciła oczami i powiedziała:

– Jezu, Lily, zrobił ci pranie mózgu? Był brudnym, bezdomnym złodziejem i pewnie ćpał. Wykorzystał cię dla jedzenia i seksu, a ty go jeszcze bronisz?

Miała szczęście, że autobus zatrzymał się przed moim domem. Złapałam plecak i wyszłam, a kiedy znalazłam się u siebie w pokoju, przeplakałam bite trzy godziny. Teraz boli mnie głowa, ale wiedziałam, że poczuję się lepiej, tylko jeśli wreszcie przeleję to wszystko na papier. Przez pół roku odwlekałam napisanie tego listu.

Bez urazy, Ellen, ale dalej boli mnie głowa. Podobnie jak serce. Może dzisiaj nawet bardziej niż wczoraj. Ten cholerny list w ogóle mi nie pomógł.

Chyba zrobię sobie przerwę w pisaniu do Ciebie. Kiedy do Ciebie piszę, przypominam sobie o Atlasie, a to za bardzo boli. Dopóki do mnie nie wróci, będę po prostu udawała, że wszystko jest w porządku. Będę udawała, że płynę, choć tak naprawdę tylko dryfuję. Z trudem trzymam głowę nad powierzchnią wody.

Lily

Przewracam kartkę, ale jest pusta. To był mój ostatni list do Ellen.

Atlas nigdy więcej się ze mną nie skontaktował i w dużej mierze doskonale to rozumiałam. O mało nie zginął z rąk mojego ojca. W takiej sytuacji trudno oczekiwać wybaczenia.

Wiedziałam, że przeżył i ma się dobrze, bo w następnych latach ciekawość czasami brała nade mną górę i szukałam informacji w internecie. Ale znalazłam niewiele. Wystarczająco, żeby wiedzieć, że przeżył i trafił do wojska.

Mimo to wciąż o nim pamiętam. Czas złagodził rany, ale czasami widzę coś, co mi o nim przypomina, i wtedy ogarnia mnie smutek. Dopiero po paru latach, kiedy byłam z kimś innym, uświadomiłam sobie, że Atlas chyba nie powinien być całym moim życiem. Chyba powinien być tylko jego częścią.

Może miłość nie zatacza kręgu. Może to tylko przyływy i odpływy, tak samo jak ludzie pojawiający się w naszym życiu.

Gdy byłam już w college'u, pewnego wieczoru poczułam się szczególnie samotna. Poszłam do studia tatuażu i wytatuowałam sobie serduszko w miejscu, gdzie całował mnie Atlas. Jest malutkie, mniej więcej wielkości opuszki, i wygląda całkiem jak serce, które dla mnie wystrugał. Nie jest domknięte u góry. Ciekawe, czy Atlas wyrzeźbił je tak celowo. Bo właśnie tak się czuję, zawsze kiedy o nim myślę – jakby w moim sercu była dziurka, przez którą ulatuje całe powietrze.

Po college'u wylądowałam w Bostonie niekoniecznie dlatego, że miałam nadzieję znaleźć Atlasa, ale ponieważ musiałam zobaczyć na własne oczy, czy Boston rzeczywiście jest lepszy. Zresztą Plethora i tak nie miała mi nic do zaoferowania, a poza tym chciałam uciec jak najdalej od ojca. Był chory i nie mógł więcej krzywdzić mamy, ale z jakiegoś powodu budził we mnie chęć oddalenia się od całego Maine, więc właśnie tak zrobiłam.

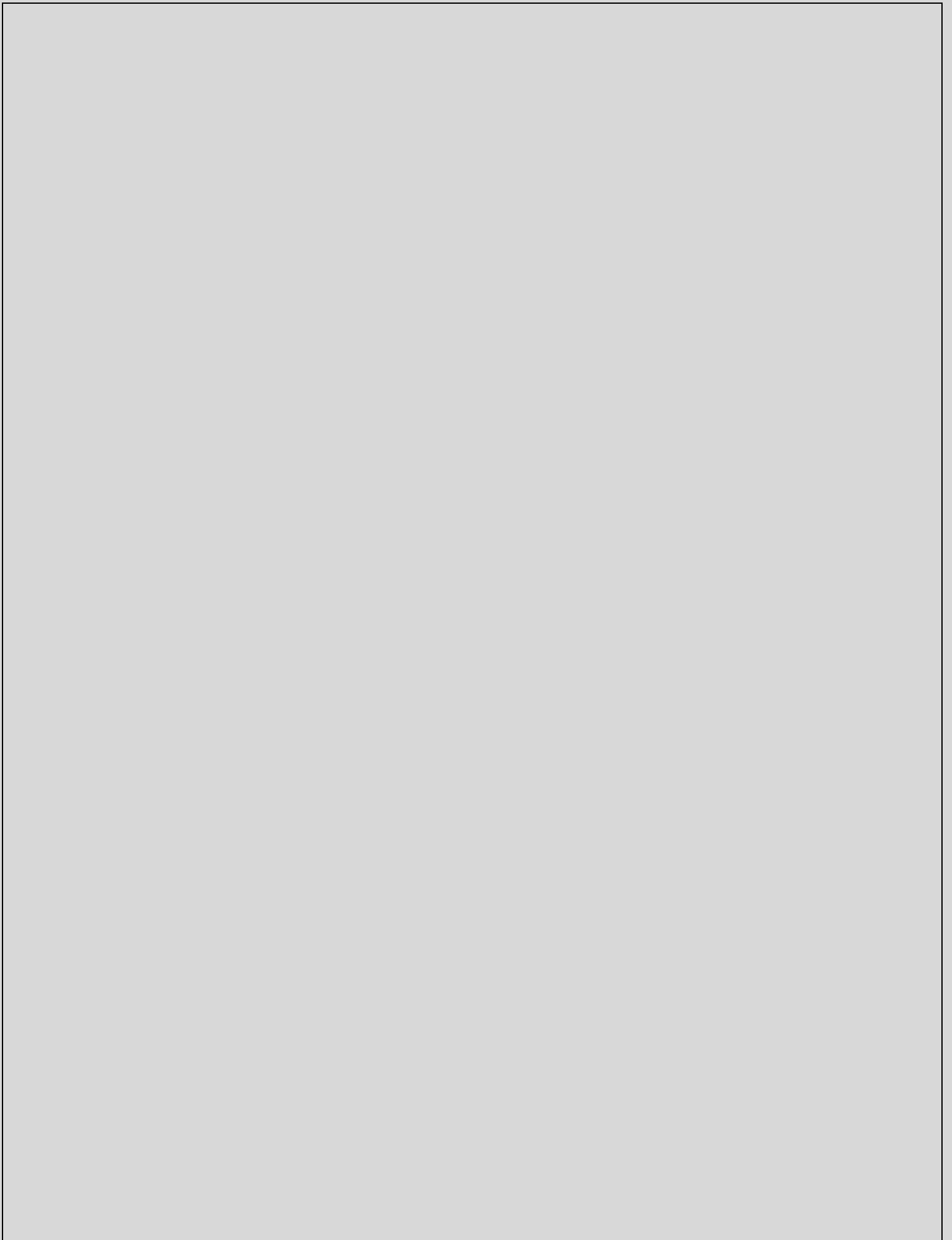
Pierwsze spotkanie z Atlasem w jego restauracji przepełniło mnie tyloma emocjami, że nie potrafiłam ich ogarnąć. Cieszyłam się, że wszystko u niego w porządku. Cieszyłam się, że zdrowo wygląda. Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie byłam trochę zawiedziona, że nie próbował mnie odnaleźć, tak jak kiedyś obiecał.

Kocham go. Nadal go kocham i zawsze będę go kochać. Był ogromną falą, która zostawiła w moim życiu wiele śladów, i po kres moich dni będę czuła ciężar jego miłości. Pogodziłam się z tym.

Ale teraz sytuacja wygląda inaczej. Po dzisiejszym dniu, kiedy wyszedł z mojego biura, długo i intensywnie o nas myślałam. Uważam, że obydwójce znaleźliśmy się w życiu w takim miejscu, w jakim powinniśmy się znaleźć. Ja mam Ryle'a. Atlas ma dziewczynę. Obydwójce wykonujemy zawody, o których zawsze marzyliśmy. To, że nie płyniemy na tej samej fali, nie oznacza, że przestaliśmy być częścią jednego oceanu.

Relacja z Ryle'em nadal jest stosunkowo nowa, ale łączy mnie z nim coś równie głębokiego jak kiedyś z Atlasem. Ryle kocha mnie tak mocno jak Atlas. I wiem, że gdyby Atlas miał okazję go poznać, zrozumiałby to i cieszyłby się moim szczęściem.

Czasami pojawia się niespodziewana fala, porywa cię i nie chce wypuścić. Ryle jest dla mnie taką właśnie falą i płynę po jej pięknym grzbiecie.



Część druga

Rozdział osiemnasty

– Boże, chyba zwymiotuję.

Ryle unosi mój podbródek, chcąc, bym spojrzała mu w oczy. Uśmiecha się.

– Wszystko będzie dobrze. Przestań panikować.

Potrząsam rękami i podskakuję.

– Nic na to nie poradzę – mówię. – Wszystko, co usłyszałam o waszej mamie od ciebie i Allysy, strasznie mnie stresuje. – Wytrzeszczam oczy i zasłaniam usta rękami. – Boże, Ryle, a jeśli spyta mnie o Jezusa? Nie chodzę do kościoła. To znaczy kiedyś czytałam Biblię, ale nie potrafię odpowiadać na związane z nią pytania.

Teraz już naprawdę się śmieje. Przyciąga mnie do siebie i całuje w skroń.

– Nie będzie mówiła o Jezusie. Już teraz cię uwielbia na podstawie tego, co ode mnie usłyszała. Lily, musisz tylko być sobą.

– Być sobą. Okej. Chyba mogę przez jeden wieczór udawać siebie. Prawda?

Winda się otwiera i idziemy w stronę apartamentu Allysy. Ryle zabawnie wygląda, pukając do drzwi, ale formalnie rzecz biorąc, chyba już tu nie mieszka. W ciągu ostatnich kilku miesięcy w zasadzie przeniósł się do mnie. Wszystkie ubrania trzyma w moim mieszkaniu. Kosmetyki też. W zeszłym tygodniu nawet powiesił w sypialni to śmieszne rozmazane zdjęcie moich włosów i wtedy poczułam, że naprawdę oficjalnie ze sobą mieszkamy.

– Czy twoja mama wie, że razem mieszkamy? – pytam. – Nie ma nic przeciwko temu? Bo przecież nie jesteśmy małżeństwem, a ona co niedziela chodzi do kościoła. O nie, Ryle! A jeśli pomyśli, że jestem jakąś grzeszną dziwką?

Ryle kiwa głową w stronę drzwi. Odwracam się gwałtownie i widzę, że jego mama stoi na progu z lekko zszokowaną miną.

– Mamo – mówi Ryle. – Poznaj Lily. Moją grzeszną dziwkę.

Niech to szlag.

Pani Kincaid wyciąga ręce i ściska mnie na powitanie, a jej śmiech to wszystko, czego mi potrzeba, żeby jakoś przeżyć tę chwilę.

– Lily! – mówi, odsuwając mnie na długość ręki, żeby mi się przyjrzeć. – Skarbie, nie uważam cię za grzeszną dziwkę. Przez dziesięć lat modliłam się o to, żeby u boku Ryle’a znalazł się taki anioł jak ty!

Prowadzi nas do środka. Ojciec Ryle’a też ściska mnie na powitanie.

– Nie, zdecydowanie nie wygląda na grzeszną dziwkę – ocenia. – Nie to co obecny tu Marshall, który zatopił kły w mojej córeczce, kiedy miała zaledwie siedemnaście lat. – Piorunuje spojrzeniem zięcia, który siedzi na kanapie.

Marshall się śmieje.

– I tu się pan myli, doktorze Kincaid, bo to Allysa zatopiła kły we mnie. Moje kły tkwiły wtedy w innej dziewczynie, która smakowała jak cheetosy i...

Marshall zgina się w pół, bo Allysa wbija mu łokieć w bok.

I tak po prostu rozwiewają się wszystkie moje obawy. Ci ludzie są doskonali. Normalni. Mówią „dziwka” i śmieją się z dowcipów Marshalla.

Niczego lepszego nie mogłabym sobie wymarzyć.

Trzy godziny później leżę obok Allysy na jej łóżku. Jej rodzice wcześniej poszli spać, usprawiedliwiając się jet lagiem. Ryle i Marshall siedzą w salonie i oglądają mecz. Trzymam rękę na brzuchu Allysy, czekając na kopnięcie dziecka.

– Nóżki ma tutaj – mówi przyjaciółka, przesuując moją rękę o kilka centymetrów. – Daj jej kilka sekund. Jest dzisiaj wyjątkowo ruchliwa.

Milczymy, czekając, aż mała kopnie. Kiedy to następuje, piszczę z radości.

– Całkiem jak istota pozaziemska!

Allysa z uśmiechem kładzie ręce na brzuchu.

– Te ostatnie dwa i pół miesiąca to będzie piekło – mówi. – Tak bardzo chciałabym już ją poznać.

– Ja też. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę cicią.

– A ja nie mogę się doczekać, kiedy zajdziesz w ciążę z Ryle'em.

Opadam na plecy i wsuwam ręce pod głowę.

– Nie wiem, czy Ryle chce mieć dzieci. W zasadzie nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Nieważne, czy chce mieć dzieci. Zechce. Zanim cię spotkał, nie chciał związku ani nie chciał się żenić, a czuję, że w najbliższych miesiącach może się oświadczyć.

Podpieram głowę ręką i spoglądam na Allyse.

– Jesteśmy ze sobą dopiero niespełna pół roku. Na pewno woli z tym trochę poczekać.

Nie naciskam na Ryle'a, żeby przejść na kolejny poziom. Nasze życie jest doskonałe w obecnym kształcie. Zresztą i tak jesteśmy zbyt zajęci, żeby brać ślub, więc nie pogniewam się, jeśli będzie chciał trochę zaczekać.

– A ty? – dąży Allysa. – Zgodziłabyś się, gdyby ci się oświadczył?

Śmieję się.

– Żartujesz? No pewnie. Wyszłabym za niego choćby dzisiaj.

Allysa patrzy nad moim ramieniem w stronę drzwi. Zaciska usta i próbuje powstrzymać uśmiech.

– Ryle stoi w drzwiach, prawda?

Kiwa głową.

– Słyszał, co powiedziałam, prawda?

Znowu potakuje.

Przewracam się na plecy i spoglądam na Ryle'a, który stoi oparty o framugę z rękami splecionymi na piersi. Nie potrafię zgadnąć, o czym myśli. Ma poważną minę. Zaciśnięte szczęki. Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Lily – mówi ze stoickim spokojem – ożeniłbym się z tobą nawet w piekle.

Jego słowa wywołują na moich ustach bardzo żenujący i bardzo szczery uśmiech, więc zasłaniam twarz poduszką.

– O, dziękuję ci, Ryle – odpowiadam stłumionym głosem.

– Jakie to urocze – odzywa się Allysa. – Mam naprawdę uroczego brata.

Ktoś odsuwa ode mnie poduszkę i widzę nad sobą Ryle'a, który przyciska ją do biodra.

– Zróbmy to – mówi.

Moje serce zaczyna bić mocniej.

– Teraz?

Kiwa głową.

– Wziąłem wolny weekend z powodu przyjazdu rodziców. Ktoś może popilnować kwaciarni. Polećmy do Vegas i weźmy ślub.

Allysa siada na łóżku.

– Tak nie wolno – mówi. – Lily jest dziewczyną. Chce prawdziwego ślubu z kwiatami, druhami i innymi pierdołami.

Ryle patrzy na mnie.

– Chcesz prawdziwego ślubu z kwiatami, druhami i innymi pierdołami?

Zastanawiam się.

– Nie.

Wszyscy troje milkniemy, a potem Allysa zaczyna wierzgać na łóżku, oszołomiona szczęściem.

– Pobierają się! – krzyczy. Zsuwa się z łóżka i pędzi do salonu. – Marshall, pakuj walizki! Jedziemy do Vegas!

Ryle sięga po moją rękę i pomaga mi wstać. Uśmiecha się, ale nie ma mowy, żebym zdecydowała się na ślub, dopóki nie będę pewna, że on też go chce.

– Ryle, jesteś pewny?

Przezesuje mi włosy palcami i delikatnie całuje w usta.

– Naga prawda – szepcze. – Tak się cieszę, że zostanę twoim mężem, że mógłbym nasikać w gacie.

Rozdział dziewiętnasty

– Mamo, minęło sześć tygodni, musisz się z tym pogodzić.

Mama wzdycha w słuchawkę.

– Jesteś moim jedynym dzieckiem. Nic na to nie poradzę, że przez całe życie marzyłam o twoim ślubie.

Wciąż mi nie wybaczyła, mimo że została zaproszona. Zadzwoniliśmy do niej tuż przed tym, jak Allysa zabukowała bilety lotnicze. Wyciągnęliśmy ją z łóżka, wyciągnęliśmy z łóżka rodziców Ryle'a, a potem zapakowaliśmy się do nocnego samolotu do Vegas. Nie próbowała mi tego wyperswadować, bo z pewnością jeszcze zanim dotarła na lotnisko, wiedziała, że nasza decyzja jest nieodwołalna. Ale nie pozwala mi o tym zapomnieć. Odkąd przyszedłam na świat, marzyło jej się wielkie wesele, kupowanie sukni ślubnej i wybieranie tortu.

Macham nogami nad kanapą.

– A jeśli ci to wynagrodzę? – mówię. – Jeśli obiecuję, że gdy zdecydujemy się na dziecko, sprawimy je sobie w naturalny sposób, a nie kupimy go w Vegas?

Mama się śmieje. Potem wzdycha.

– Jeśli pewnego dnia dacie mi wnuki, chyba to jakoś przeboleję.

Rozmawialiśmy z Ryle'em o dzieciach w samolocie do Vegas. Przed zobowiązaniem się do tego, że spędzę z nim całe życie, chciałam mieć pewność, że dopuszcza taką możliwość. Powiedział, że jak najbardziej ją dopuszcza. Potem wyjaśniliśmy sobie mnóstwo innych spraw mogących powodować problemy. Powiedziałam mu, że chcę mieć osobne konto w banku, ale ponieważ on zarabia więcej ode mnie, będzie mi musiał kupować mnóstwo prezentów, żebym się czuła szczęśliwa. Zgodził się. Kazał mi obiecać, że nigdy nie zostanę weganką. Przyszło mi to z łatwością – za bardzo lubię sery. Powiedziałam mu, że musimy się zaangażować w jakąś działalność dobroczynną albo przynajmniej zasilać konta fundacji, które wspierają Marshall i Allysa. Odparł, że już to robi, co sprawiło, że jeszcze bardziej zapragnęłam za niego wyjść. Kazał mi obiecać, że będę głosowała w wyborach, i zaznaczył, że wolno mi głosować na kogo zechcę, bylebym tylko nie rezygnowała z tego przywileju. Przypieczętowaliśmy umowę uściskiem dłoni.

Przed wylądowaniem w Vegas osiągnęliśmy całkowite porozumienie.

Słyszę, że otwierają się drzwi, więc przewracam się na plecy.

– Muszę kończyć – mówię do mamy. – Właśnie wrócił Ryle. – Zamyka za sobą drzwi, a wtedy uśmiecham się do niego i mówię: – Zaczekaj, mamo. Powinam się poprawić. Właśnie wrócił mój mąż.

Mama się śmieje i żegnamy się. Rozłączam się i rzucam telefon na bok. Podnoszę rękę nad głowę i leniwie opieram na podłokietniku kanapy. Następnie kładę nogę na oparciu, tak że spódnica podjeżdża mi na biodro. Ryle niespiesznie sunie wzrokiem po moim ciele i podchodzi do mnie z uśmiechem. Pada na kolana obok kanapy i powoli wspina się na mnie.

– Jak się miewa moja żona? – szepcze, składając pocałunki na moich ustach. Wciska się między moje nogi, a gdy całuje mnie po szyi, odchylam głowę.

To jest życie!

Obydwoje pracujemy niemal codziennie. Ryle dwa razy więcej niż ja. Tylko parę razy w tygodniu wraca do domu, zanim położę się spać. Ale jeśli już spędzamy razem wieczory, zwykle pragnę, żeby spędzał je głęboko we mnie.

Nie skarży się.

Całuje mnie w szyję tak mocno, że aż sprawia mi tym ból.

– Aua!

Przytula się do mnie i mamrocze:

– Robię ci malinkę. Nie ruszaj się.

Śmieję się, ale nie protestuję. Mam dość długie włosy, żeby ją zasłonić, a poza tym jeszcze nigdy nie miałam malinki.

Jego usta pozostają w tym samym miejscu, ssą i całują, aż przestaję czuć pieczenie. Napiera na mnie. Sięgam w dół i zsuwam mu spodnie tylko na tyle, żeby mógł się we mnie wślizgnąć. Nie przestając całować, bierze mnie na kanapie.

Pierwszy wziął prysznic, a gdy tylko spod niego wyszedł, wskoczyłam do łazienki. Powiedziałam mu, że musimy zmyć z siebie zapach seksu przed kolacją z Allyszą i Marshalllem.

Allysa ma rodzić za kilka tygodni, więc spotykamy się we czwórkę, kiedy tylko możemy. Martwi się, że po urodzeniu dziecka przestaniemy ją odwiedzać, co moim zdaniem jest niedorzeczne. Będziemy przychodzić jeszcze częściej. Już teraz kocham moją siostrzenicę bardziej niż ich oboje.

No dobra, może nie do końca. Ale prawie.

Splukując z siebie mydło, staram się nie zamoczyć włosów, bo już jesteśmy spóźnieni. Łapię maszynkę do golenia, ale gdy przystawiam ją do pachy, słyszę trzask. Zastygam.

– Ryle?

Nic.

Kończę się golić i splukuję pianę. Znowu trzask.

Co on tam wyrabia?

Zakręcam wodę i łapię ręcznik, wycierając się pospiesznie.

– Ryle!

Nadal nie odpowiada. Szybko wkładam džinsy i otwieram drzwi, wciągając koszulkę przez głowę.

Szafka nocna przy naszym łóżku leży przewrócona. Idę do salonu i widzę, że Ryle siedzi na skraju kanapy z głową opartą na dłoni. Przygląda się czemuś, co trzyma w drugiej ręce.

– Co robisz?

Patrzy na mnie i nie poznaję jego miny. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Nie wiem, czy po prostu dostał jakąś złą wiadomość czy...

O Boże. Allysa.

– Ryle, przerażasz mnie. Co się stało?

Podnosi mój telefon i patrzy na mnie bez słowa, jakby chciał dać do zrozumienia, że powinnam wiedzieć, co się stało. Kiedy zdezorientowana kręcę głową, unosi karteczkę.

– Zabawna sprawa – mówi, kładąc komórkę na stoliku do kawy. – Przez przypadek upuściłem twój telefon. Odpadła obudowa i z tyłu znalazłem schowany ten numer.

O Boże.

Nie, nie, nie!

Gniecie karteczkę, zaciskając pięść.

– Pomyślałem: „Hm, dziwne. Przecież Lily nie ma przede mną tajemnic”. – Wstaje i bierze mój telefon. – Więc zadzwoniłem pod ten numer. Ma szczęście, że połączyłem się z jego pieprzoną pocztą głosową. – Rzuca komórką przez cały pokój, tak że telefon roztrzaskuje się o ścianę.

Następuje trzysekundowa przerwa, podczas której myślę, że za chwilę wydarzy się jedna z dwóch rzeczy.

Albo ode mnie odejdzie.

Albo zrobi mi krzywdę.
Przezesuje włosy palcami i rusza prosto do drzwi.
Odchodzi.

– Ryle! – wołam.

Dlaczego nie wyrzuciłam tego numeru?!

Biegnę za nim. Bierze po dwa stopnie naraz, ale na drugim piętrze wreszcie go doganiam.

Zagradzam mu drogę i łapię go za koszulę.

– Ryle, proszę. Pozwól mi wyjaśnić.

Chwyta mnie za nadgarstki i odpycha.

– Nie ruszaj się.

Czuję na sobie jego rękę. Delikatne. Spokojne.

Z jakiegoś powodu szczypią mnie oczy i widzę niewyraźnie.

– Lily, nie ruszaj się. Proszę.

Jego głos brzmi kojąco. Boli mnie głowa.

– Ryle? – próbuję podnieść powieki, ale światło jest zbyt jasne. Czuję pieczenie w kąciu oka i krzywię się. Staram się usiąść, ale mnie powstrzymuje.

– Lily, nie możesz się ruszać, dopóki nie skończę.

Unoszę powieki i patrzę na sufit. To sufit w naszej sypialni.

– Dopóki nie skończysz czego?

Kiedy mówię, bolą mnie usta, więc podnoszę rękę i ich dotykam.

– Spadłaś ze schodów – mówi. – Jesteś ranna.

Nasze spojrzenia się spotykają. W jego oczach widzę niepokój, ale i urazę. Złość. Mam mętlik w głowie.

Znowu zamykam oczy i staram się sobie przypomnieć, dlaczego jest zły. Dlaczego jest urażony.

Mój telefon.

Numer Atlasa.

Schody.

Złapałam go za koszulę.

Odepchnął mnie.

„Spadłaś ze schodów”.

Tylko że nie do końca „spadłam”.

Popchnął mnie. Znowu.

To już drugi raz.

„Popchnąłeś mnie, Ryle”.

Czuję, jak całym moim ciałem zaczyna wstrząsać szloch. Nie mam pojęcia, jak bardzo ucierpiałam, ale nic mnie to nie obchodzi. Żaden ból fizyczny nie może się równać z tym, co właśnie czuję w sercu. Zaczynam go uderzać po rękach, żeby się ode mnie odsunął. Gdy wstaje, zwijam się w kłębek.

Czekam, aż będzie próbował załagodzić sytuację tak jak poprzednim razem, ale na próżno. Słyszę, jak chodzi po sypialni. Nie wiem, co robi. Kiedy przede mną klęka, nadal płaczę.

– Możliwe, że doznałaś wstrząśnienia mózgu – mówi rzeczowym tonem. – Masz lekko rozciętą wargę. Właśnie opatrzyłem ci ranę obok oka. Szwy nie będą potrzebne.

Jego głos brzmi lodowato.

– Boli cię gdzieś jeszcze? Ręce? Nogi?

Zachowuje się całkiem jak lekarz i zupełnie nie jak mąż.

– Popchnąłeś mnie – mówię przez łzy. Tylko o tym jestem w stanie myśleć i mówić.

– Upadłaś – mówi spokojnie. – Mniej więcej pięć minut temu. Zaraz po tym, jak odkryłem, że ożeniłem się z pieprzoną kłamczuchą. – Kładzie coś na poduszce obok mnie. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, na pewno możesz zadzwonić pod ten numer.

Patrzę na pomietą karteczkę obok mojej głowy. Widnieje na niej numer Atlasa.

– Ryle – płaczę.

Co się dzieje?

Słyszę trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Wali mi się cały świat.

– Ryle – szepczę w pustkę.

Zasłaniam twarz rękami i płaczę tak, jak jeszcze nigdy nie płakałam. Jestem zdruzgotana.

Pięć minut.

Tylko tyle potrzeba, żeby doszczętnie kogoś zniszczyć.

Mija kilka minut.

Może dziesięć.

Nie potrafię przestać płakać. Nadal leżę na łóżku. Boję się spojrzeć w lustro. Po prostu... boję się.

Słyszę, jak drzwi wejściowe się otwierają i znów zamykają z trzaskiem. Na progu pojawia się Ryle i nie mam pojęcia, czy powinnam go nienawidzić.

Czy się go bać.

Czy mu współczuć.

Jak to możliwe, że czuję to wszystko naraz?

Przyciska czoło do drzwi naszej sypialni i uderza w nie głową. Raz. Drugi. Trzeci.

Odwraca się i szybko podchodzi do łóżka, a potem pada na kolana. Łapie mnie za ręce i je ściska.

– Lily – szepcze. Jego twarz wykrzywia ból. – Proszę, powiedz, że to nic nie znaczy. – Przykłada dłoń do mojego policzka i czuję, że drży. – Nie zniosę tego, nie zniosę. – Pochyliła się i mocno przyciska usta do mojego czoła, po czym dotyka go własnym. – Proszę, powiedz, że się z nim nie spotykasz. Proszę.

Nie jestem pewna, czy mogę mu to powiedzieć, bo nie mam ochoty się odzywać.

Nie odsuwa się, ma palce zanurzone w moich włosach.

– Lily, to tak bardzo boli. Tak bardzo cię kocham.

Kręcę głową, pragnąc wydobyć z siebie prawdę, żeby zrozumiał, jak ogromny popełnił błąd.

– Zapomniałam, że jego numer w ogóle tam jest – mówię cicho. – Następnego dnia po kłótni w restauracji... przyszedł do kwaciarni. Możesz spytać Allyse. Był tam tylko pięć minut. Wziął mój telefon i wsunął swój numer pod obudowę, bo uważał, że nie jestem przy tobie bezpieczna. Ryle, zapomniałam, że ten numer tam jest. Nigdy nawet na niego nie spojrzałam.

Wypuszcza powietrze i kiwa głową z wyraźną ulgą.

– Przysięgasz, Lily? Przysięgasz na nasze małżeństwo i na nasze życie, że od tego dnia nigdy z nim nie rozmawiałaś? – Odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Przysięgam, Ryle. Zareagowałeś impulsywnie, nie dałeś mi szansy tego wytłumaczyć – mówię. – A teraz wypieprzaj z mojego mieszkania.

Moje słowa pozbawiają go tchu. Widzę to. Opiera się plecami o ścianę i wpatruje we mnie w milczeniu. W szoku.

– Lily – szepcze. – Spadłaś ze schodów.

Nie potrafię powiedzieć, czy próbuje przekonać mnie, czy siebie.

Spokojnie powtarzam:

– Wynoś się z mojego mieszkania.

Nie rusza się z miejsca. Siadam na łóżku. Od razu przykładam rękę do pulsującego bólem oka. Ryle podnosi się z podłogi. Kiedy robi krok w moją stronę, gwałtownie się odsuwam.

– Lily, jesteś potłuczona. Nie zostawię cię samej.

Łapię jedną z poduszek i rzucam w niego.

– Wynoś się! – krzyczę.

Łapie poduszkę. Chwytam drugą, staję na łóżku i biorę zamach, wrzeszcząc:

– Wynoś się! Wynoś! Wynoś!

Kiedy słyszę trzaśnięcie drzwi wejściowych, rzucam poduszkę na podłogę.

Biegnę do salonu i zamykam drzwi na zasuwę.

Szybko wracam do sypialni i padam na łóżko. Na to samo łóżko, które dzielę z mężem. Na to samo łóżko, na którym się ze mną kocha.

Na to samo łóżko, na którym mnie kładzie, kiedy przychodzi pora, żeby posprzątał bałagan, którego narobił.

Rozdział dwudziesty

Wczoraj wieczorem przed zaśnięciem próbowałam uratować telefon, ale bezskutecznie – rozpadł się na kawalki. Nastawiłam budzik, żeby wstać wcześniej niż zwykle i w drodze do pracy kupić nowy.

Moja twarz nie wygląda tak źle, jak się obawiałam. Oczywiście nie udałoby mi się ukryć obrażeń przed Allyszą, ale nie zamierzam nawet próbować. Zaczესuję włosy na bok, żeby zasłonić większość opatrunku na oku. Jediną widoczną pozostałością po poprzednim wieczorze jest rana na wardze.

I malinka na szyi.

Pieprzona ironia losu w najlepszym wydaniu.

Łapię torebkę i otwieram drzwi. Staję jak wryta na widok bezkształtnej masy u moich stóp.

Ona się rusza.

Mija kilka sekund, zanim sobie uświadamiam, że ta bezkształtna masa to tak naprawdę Ryle. Czyżby tu spał?

Gdy tylko zauważy, że otworzyłam drzwi, podnosi się na nogi. Stoi naprzeciw mnie. Błagalny wzrok, delikatne dłonie na moich policzkach. Usta na moich ustach.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Odsuwam się i patrzę na niego. Naprawdę tu spał?

Wychodzę z mieszkania i zamykam drzwi. Spokojnie go omijam i ruszam po schodach. Idzie za mną aż do samochodu, błagając o rozmowę.

Ignoruję go.

Odjeżdżam.

Godzinę później trzymam już w ręce nowy telefon. Włączam go, siedząc w samochodzie przed sklepem z telefonami. Siedemnaście nieprzeczytanych esemesów. Wszystkie od Allysy.

No tak, Ryle by nie napisał. Wiedział, w jakim stanie jest mój telefon.

Zaczynam otwierać esemesa i wtedy ktoś dzwoni. To Allysa.

– Słucham?

Wzdycha ciężko.

– Lily! – mówi chwilę później. – Co się z tobą dzieje, do diabła? Boże, nie możesz mi tego robić, przecież jestem w ciąży!

Odpalam silnik i ruszam do kwaciarni, przełączając telefon na Bluetooth. Allysa ma dzisiaj wolne. Zostało jej już tylko kilka dni do rozpoczęcia urlopu macierzyńskiego.

– Wszystko w porządku – mówię. – U Ryle’a też. Pokłóciliśmy się. Przepraszam, nie mogłam do ciebie zadzwonić, roztrzaskał mi telefon.

Przez chwilę milczy.

– Naprawdę? – pyta. – Dobrze się czujesz? Gdzie jesteś?

– Wszystko w porządku. Jadę do pracy.

– To dobrze, też już prawie jestem na miejscu.

Zaczynam protestować, ale się rozłącza.

Kiedy docieram do kwaciarni, Allysa już czeka.

Otwieram drzwi, gotowa odpowiadać na pytania i bronić swojej decyzji o wyrzuceniu jej brata z domu. Zatrzymuję się jednak, widząc ich dwoje przy ladzie. Ryle opiera się o blat, a Allysa trzyma ręce na jego dłoniach, mówiąc coś, czego nie mogę usłyszeć.

Gdy dociera do nich odgłos zamykanych drzwi, obydwoje odwracają się w moją stronę.

– Ryle – szepcze Allysa. – Coś ty jej zrobił? – Wychodzi zza lady i mnie przytula. – Och, Lily – mówi, głaszcząc mnie po plecach. Odsuwa się ze łzami w oczach. Jej reakcja jest dla mnie zaskoczeniem. Najwyraźniej wie, że Ryle ponosi za to odpowiedzialność, ale wbrew temu, czego można by się spodziewać, nie atakuje go ani nawet nie krzyczy.

Odwraca się z powrotem do Ryle’a, który patrzy na mnie przeproszająco. Tęsknie. Jakby pragnął wyciągnąć ręce i mnie przytulić, ale śmiertelnie bał się mnie dotknąć. I słusznie.

– Musisz jej powiedzieć – mówi do niego Allysa.

Ryle natychmiast chowa twarz w dłoniach.

– Powiedz jej – nalega Allysa, tym razem z większą złością. – Ryle, ona ma prawo wiedzieć. Jest twoją żoną. Jeśli ty jej nie powiesz, ja to zrobię.

Ryle garbi się i przyciska głowę do lady. To, czego oczekuje od niego Allysa, wywołuje w nim tak silny ból, że nie jest w stanie nawet na mnie spojrzeć. Napinam mięśnie, czując strach aż na dnie duszy.

Allysa odwraca się do mnie i kładzie mi ręce na ramionach.

– Wysłuchaj go – błaga. – Nie proszę, żebyś mu wybaczyła, bo nie mam pojęcia, co między wami zaszło. Ale proszę, żebyś jako moja bratowa i najlepsza przyjaciółka posłuchała, co Ryle ma do powiedzenia.

Allysa obiecała, że przez godzinę popilnuje kwaciarni, dopóki nie zjawi się moja druga pracownica. Nadal byłam tak zła na Ryle’a, że nie chciałam jechać z nim tym samym samochodem. Powiedział, że wezwie ubera i spotkamy się w mieszkaniu.

Przez całą drogę do domu zamartwiałam się, co to za sprawa, o której ma mi powiedzieć i o której Allysa już wie. Tyle rzeczy przemykało mi przez głowę. Może umiera? Zdradza mnie? Stracił pracę? Nie wyglądało na to, żeby Allysa znała szczegóły wczorajszego zajścia, więc nie miałam pojęcia, czy te sprawy są ze sobą powiązane.

Dziesięć minut po mnie Ryle wreszcie wchodzi do mieszkania. Siedzę na kanapie, nerwowo skubiąc paznokcie.

Wstaję i zaczynam chodzić w tę i we w tę, a on powoli zbliża się do krzesła i siada. Pochyla się, składając dłonie.

– Lily, proszę, usiądź.

Mówi to błagalnym tonem, jakby nie mógł patrzeć, jak się zamartwiam. Wracam na kanapę, ale odsuwam się w stronę podłokietnika, podwijam nogi i przykładam dłonie do ust.

– Umierasz?

Wytrzeszcza oczy i natychmiast przecząco kręci głową.

– Nie. Nie. Nic z tych rzeczy.

– W takim razie o co chodzi?

Chcę, żeby po prostu to z siebie wykrztusił. Ręce zaczynają mi drżeć. Zauważa, że się stresuję, więc pochyla się, odsuwa moje dłonie od twarzy i ujmuje je w swoje. Część mnie nie chce, żeby mnie dotykał, ale inna część potrzebuje otuchy. Oczekiwanie na to, czego mam się dowiedzieć, przygotowuje mnie o mdłości.

– Nikt nie umiera. Nie zdradzam cię. To, co zamierzam ci powiedzieć, nie sprawi ci bólu, rozumiesz? To dotyczy przeszłości. Ale Allysa uważa, że powinnaś wiedzieć. I... ja też tak uważam.

Kiwam głową i Ryle wypuszcza moje ręce. Teraz to on chodzi w tę i we w tę. Jakby musiał zebrać się na odwagę, żeby znaleźć odpowiednie słowa – a to stresuje mnie jeszcze bardziej.

Znowu siada na krześle.

– Lily? Pamiętasz tę noc, kiedy się poznaliśmy?

Kiwam głową.

– Pamiętasz, jak wyszedłem na dach? Jaki byłem zły?

Znowu kiwam głową. Kopał krzesło. To było, zanim się dowiedział, że polimer odporny na ekstremalne warunki jest praktycznie niezniszczalny.

– Pamiętasz moją nagą prawdę? Pamiętasz, dlaczego byłem wtedy taki wściekły?

Wracam myślami do tamtej nocy i do wszystkich prawd, które mi powiedział. Mówił, że wizja stałego związku go mierzi. Interesowały go tylko jednorazowe przygody. Nie chciał mieć dzieci. Wściekł się z powodu pacjenta, którego wtedy stracił.

Kiwam głową.

– Chodziło o tego chłopca – powiedziałam. – To dlatego byłeś wściekły: umarł mały chłopiec i to cię przygnębiło.

Wzdycha z ulgą.

– Tak. Dlatego byłem wściekły. – Znowu wstaje i wygląda, jakby od środka rozpadał się na kawałki. Przyciska dłonie do oczu i próbuje powstrzymać łzy. – Pamiętasz, jak zareagowałaś, kiedy usłyszałaś, co mu się stało?

Czuję, że za chwilę się rozpłaczę, a nawet jeszcze nie wiem dlaczego.

– Tak. Powiedziałam, że nie wyobrażam sobie, jak coś takiego wpłynie na brata tego chłopca. Na tego, który go niechcący zastrzelił. – Usta zaczynają mi drżeć. – A wtedy ty powiedziałeś, że to mu zniszczy całe życie.

O Boże.

Do czego on zmierza?

Ryle podchodzi do mnie i klęka.

– Lily – mówi – wiedziałem, że to go zniszczy. Doskonale wiedziałem, co ten chłopiec czuje, bo... mnie też się to przydarzyło. Allysie i mojemu starszemu bratu...

Nie jestem w stanie powstrzymać łez. Po prostu zaczynam płakać, a on mocno obejmuje mnie w talii i kładzie głowę na moich kolanach.

– Zastrzeliłem go, Lily. Mojego najlepszego przyjaciela. Mojego starszego brata. Miałem tylko sześć lat. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że trzymam prawdziwy pistolet.

Cały zaczyna się trząść i ściska mnie jeszcze mocniej. Całuję go w głowę, bo czuję, że jest na skraju załamania. Tak jak tamtej nocy na dachu. I choć nadal jestem na niego zła, jednocześnie wciąż go kocham i jego wyznanie zupełnie mnie powala. Długo siedzimy w milczeniu – jego głowa na moich kolanach, jego ręce wokół mojej talii, moje usta w jego włosach.

– Kiedy to się stało, Allysa miała dopiero pięć lat. Emerson miał siedem. Byliśmy w garażu, więc długo nikt nie słyszał naszych krzyków. A ja tam siedziałem i...

Wstaje, patrząc w drugą stronę. Po długim milczeniu siada na kanapie i pochyla się.

– Próbowałem... – urywa, kręci głowę i chowa twarz w dłoniach. – Próbowałem włożyć wszystko z powrotem do jego głowy. Myślałem, że zdołam go naprawić.

Gwałtownie zasłaniam usta dłonią. Wydaję z siebie zduszony okrzyk, którego nie sposób stłumić.

Muszę wstać, żeby złapać oddech.

To nie pomaga.

Nadal nie mogę oddychać.

Ryle podchodzi do mnie, bierze mnie za ręce i przyciąga do siebie. Stoimy przytuleni przez dobrą minutę, wreszcie mówi:

– Nie mówię ci tego, żeby usprawiedliwić swoje zachowanie. – Odsuwa się i patrzy mi

prosto w oczy. – Musisz w to uwierzyć. Allysa chciała, żebyś się o tym dowiedziała, bo odkąd to się stało, nie potrafię zapanować nad pewnymi sprawami. Wpadam w złość. Tracę świadomość. Od szóstego roku życia chodzę na terapię. Ale to nie jest moje usprawiedliwienie. To moja rzeczywistość.

Ociera mi łzy, przytulając moją głowę do swojego ramienia.

– Przysięgam, że kiedy wczoraj za mną pobiegłaś, nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. Byłem przybity i zły. I czasami, kiedy czuję tak silne emocje, coś we mnie pęka. Nie pamiętam chwili, w której cię popchnąłem. Ale wiem, że to zrobiłem. Zrobiłem to. Popchnąłem cię. Kiedy za mną biegłaś, potrafiłem myśleć tylko o tym, że muszę się znaleźć gdzieś daleko od ciebie. Chciałem, żebyś zeszła mi z drogi. Nie docierało do mnie, że obok są schody. Nie porównywałem swojej siły z twoją. Lily, spieprzyłem sprawę. Spieprzyłem sprawę.

Zbliża usta do mojego ucha.

– Jesteś moją żoną – mówi łamiącym się głosem. – Powinienem cię chronić przed potworami. A nie być jednym z nich.

Tuli mnie tak rozpaczliwie, że cały się trzęsie. Nigdy, w całym swoim życiu, nie czułam takiego bólu promieniującego od jednego człowieka.

To mnie załamuje. Rozdziera na strzępy. Moje serce pragnie tylko tego, by mocno owinać się wokół jego serca.

Jednak nawet po tym wszystkim, co mi właśnie powiedział, zmagam się ze sobą, szukając w sercu przebaczenia. Przysięgam, że nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Przysięgam Ryle'owi i sobie, że jeśli jeszcze kiedyś mnie skrzywdzi, odejdę od niego.

Odsuwam się, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy. Idę do łazienki, żeby spróbować wziąć się w garść. Zamykam za sobą drzwi i łapię się umywalki, ale nie mogę nawet ustać na nogach. Osuwam się na podłogę i płaczę.

Nie tak mało być. Przez całe życie dokładnie wiedziałam, co zrobię, jeśli mężczyzna zacznie mnie traktować tak jak mój ojciec traktował matkę. To było proste. Zamierzałam od niego odejść, tak by to się nigdy nie powtórzyło.

Ale nie odeszłam. A teraz siedzę posiniaczona, z ranami na ciele zadanyimi przez człowieka, który rzekomo mnie kocha. Przez mojego męża.

Mimo to staram się go usprawiedliwić.

„To był wypadek. Myślał, że go zdradzam. Czuł się zraniony i zły, a ja stanęłam mu na drodze”.

Chowam twarz w dłoniach i płaczę, bo wiedząc, przez co przeszedł w dzieciństwie, współczuję mu bardziej niż sobie. I wcale nie czuję się dzięki temu silną altruistką. Czuję się żalosna i słaba. Powinnam go nienawidzić. Powinnam być kobietą, jaką nigdy nie miała siły być moja matka.

Jeśli jednak powielam zachowania matki, to oznacza, że Ryle powieliła zachowania mojego ojca. A przecież tak nie jest. Muszę przestać nas z nimi porównywać. Jesteśmy odrębnymi jednostkami w całkiem innej sytuacji. Ojciec nigdy nie miał usprawiedliwienia dla swojej złości i nigdy nie czuł natychmiastowej skruchy. Traktował mamę o wiele gorzej, niż Ryle traktuje mnie.

Ryle właśnie otworzył się przede mną w sposób, w jaki prawdopodobnie nie otworzył się jeszcze przed nikim. Dla mnie stara się być lepszym człowiekiem.

Owszem, wczoraj wieczorem spieprzył sprawę. Ale jest tutaj, chce, żebym poznała jego przeszłość i zrozumiała powody, dla których reaguje tak, jak reaguje. Ludzie nie są doskonali i nie mogę pozwolić, żeby jedyne małżeństwo, z którym miałam do czynienia, ciążyło na moim własnym.

Wycieram oczy i podnoszę się z podłogi. Kiedy patrzę w lustro, nie widzę mojej matki. Widzę tylko siebie. Widzę dziewczynę, która kocha męża i bardziej niż cokolwiek innego pragnie mu pomóc. Wiem, że obydwójce jesteśmy wystarczająco silni, żeby przez to przejść. Nasza miłość jest wystarczająco silna, żeby nas przez to przeprowadzić.

Wychodzę z łazienki i wracam do salonu. Ryle wstaje i patrzy na mnie. Na jego twarzy maluje się strach. Boi się, że mu nie wybaczę, a ja nie jestem pewna, czy rzeczywiście mu wybaczam. Jednak nie trzeba czegoś wybaczyć, żeby czerpać z tego naukę.

Podchodzę do niego i łapię go za ręce. Mówię mu wyłącznie nagą prawdę.

– Pamiętasz, co powiedziałeś tamtej nocy na dachu? „Nie ma czegoś takiego jak źli ludzie. Po prostu wszyscy czasami robimy złe rzeczy”.

Kiwa głową.

– Ryle, nie jesteś złym człowiekiem. Wiem to. Nadal możesz mnie chronić. Jeśli się zdenerwujesz, po prostu wyjdź. Ja też wyjdę. Zaczekamy, aż uspokoimy się na tyle, żeby móc o tym porozmawiać, dobrze? Nie jesteś potworem. Jesteś tylko człowiekiem. A jako ludzie nie możemy zakładać, że uda nam się udźwignąć cały nasz ból. Czasami musimy się nim dzielić z tymi, którzy nas kochają, żeby nie paść z wyczerpania pod jego ciężarem. Ale nie będę mogła ci pomóc, jeśli sam sobie nie uświadomisz, że tego potrzebujesz. Poproś mnie o pomoc. Przetrywamy to. Wiem, że nam się uda.

Wypuszcza powietrze, jakby od wczorajszego wieczoru wstrzymywał oddech. Mocno mnie przytula i chowa twarz w moich włosach.

– Lily, pomóż mi – szepcze. – Potrzebuję twojej pomocy.

Tuli mnie do siebie, a ja w głębi serca wiem, że postępuję słusznie. Ryle ma w sobie o wiele więcej dobra niż zła, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go o tym przekonać, tak by w końcu sam też to zauważył.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Wychodzę. Potrzebujesz ode mnie jeszcze czegoś?

Podnoszę wzrok znad papierów i kręcę głową.

– Dzięki, Serena. Do zobaczenia jutro.

Kiwa mi na pożegnanie i wychodzi, zostawiając drzwi do mojego biura otwarte.

Od ostatniego dnia Allysy w pracy minęły dwa tygodnie. Lada chwila ma rodzić. Zatrudniłam na pełny etat dwie inne dziewczyny: Serenę i Lucy.

Tak. Tę Lucy.

Kilka miesięcy wcześniej wyszła za mąż i dwa tygodnie temu przyszła spytać o pracę. W sumie nieźle się złożyło. Lucy jest dobrą pracownicą, a jeśli akurat jestem na jej zmianie, po prostu zamykam drzwi do biura, żeby nie słyszeć, jak śpiewa.

Od incydentu na schodach minął prawie miesiąc. Nawet po tym wszystkim, co wyznał Ryle, trudno mi było mu wybaczyć.

Wiem, że ma temperament. Widziałam to tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy, jeszcze zanim zamieniliśmy ze sobą choćby słowo. Widziałam to tamtego okropnego wieczoru w kuchni. Widziałam to, kiedy znalazł numer telefonu pod obudową komórki.

Ale widzę też różnicę między Ryle'em a moim ojcem.

Ryle jest pełen współczucia. Robi rzeczy, których ojciec nigdy by nie zrobił. Wpłaca datki na cele dobroczynne, troszczy się o innych, stawia mnie ponad wszystko. Ryle nigdy, nawet za milion lat, nie zmuszałby mnie do zostawiania samochodu na podjeździe, żeby samemu móc zaparkować w garażu.

Muszę sobie o tym wszystkim przypominać. Czasami żyjąca we mnie dziewczyna – córka mojego ojca – jest naprawdę bezwzględna. Mówi, że nie powinnam była mu wybaczyć – że powinnam była odejść po pierwszym razie. I czasami przyznaję jej rację. Ale z drugiej strony ta część mnie, która zna Ryle'a, rozumie, że małżeństwa nie są idealne. Bywają momenty, których żałują obie strony. I zastanawiam się, jak bym się czuła, gdybym go zostawiła po tym pierwszym incydencie. Nie powinien był mnie popychać, ale sama też zrobiłam coś, z czego nie jestem dumna. I czy odchodząc, nie złamałabym przysięgi małżeńskiej? „Na dobre i na złe”. Nie chcę lekkomyślnie rezygnować z tego związku.

Jestem silną kobietą. Przez całe życie miałam styczność z przemocą. Nigdy nie stanę się taka jak moja matka. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. A Ryle nigdy nie stanie się jak mój ojciec. Chyba potrzebowaliśmy tego zajścia na schodach, żeby poznała jego przeszłość i żebyśmy razem mogli popracować nad teraźniejszością.

W ubiegłym tygodniu znowu się pokłóciliśmy.

Bałam się. Dwa wcześniejsze przypadki nie skończyły się dobrze, i wiedziałam, że to będzie dla nas coś w rodzaju sprawdzianu.

Rozmawialiśmy o jego karierze. Skończył już staż i złożył dokumenty na trzymiesięczne szkolenie specjalistyczne w Cambridge w Anglii. Wkrótce miało się okazać, czy został przyjęty, ale nie dlatego byłam smutna. To dla niego wielka szansa i nigdy nie prosiłam, żeby tam nie jechał. Trzy miesiące to dla tak zabieganych ludzi jak my tyle co nic, więc w ogóle mnie to nie przygnębiło. Zasmuciłam się jednak, kiedy zaczął mówić, co chce robić po powrocie z Cambridge.

Zaproponowano mu pracę w Minnesocie w klinice Mayo i chce się tam przeprowadzić – Mass General uznaje się za drugi najlepszy szpital neurologiczny na świecie, a klinika Mayo to

numer jeden.

Powiedział, że nigdy nie zamierzał zostać w Bostonie na zawsze. Odparłam, że powinien był poruszyć ten temat, kiedy rozmawialiśmy o naszej przyszłości w drodze do Vegas. Nie mogę wyjechać z Bostonu. Tu mieszka moja mama. Tu mieszka Allysa. Ryle stwierdził, że to tylko pięć godzin podróży samolotem i że będziemy mogli tu wpadać, jak często zechcemy. Odparłam, że chyba trudno prowadzi się własny biznes, mieszkając kilka stanów dalej.

Kłóciliśmy się coraz bardziej i z każdą sekundą obydwójce wpadaliśmy w większą złość. W pewnym momencie Ryle strącił na podłogę wazon z kwiatami. Obydwójce patrzyliśmy na nie bez słowa. Bałam się i zastanawiałam, czy zostając z nim, podjęłam słuszną decyzję. Czy nie popełniłam błędu, wierząc, że zdołamy wspólnie przezwyciężyć jego problemy z kontrolowaniem gniewu. Ryle wziął głęboki oddech.

– Wyjdę na parę godzin – powiedział. – Chyba powinienem. Dokończymy tę rozmowę, kiedy wrócę.

Zjawił się po godzinie, o wiele spokojniejszy. Rzucił klucze na stół i od razu do mnie podszedł. Ujął moją twarz w dłoń.

– Lily – zaczął – mówiłem ci, że chcę być najlepszy w swojej dziedzinie. Wspomniałem o tym, kiedy tylko się poznaliśmy. To była jedna z moich nagich prawd. Ale jeśli mam wybierać między pracą w najlepszym szpitalu na świecie a uszczęśliwieniem mojej żony... wybieram ciebie. To ty jesteś moim sukcesem. Dopóki jesteś szczęśliwa, nie obchodzi mnie, gdzie pracuję. Zostaniemy w Bostonie.

Wtedy poczułam, że podjęłam właściwą decyzję. Każdy zasługuje na drugą szansę. Zwłaszcza ludzie, na których najbardziej ci zależy.

Od tej kłótni minął tydzień i Ryle nie wspominał więcej o przeprowadzce. Czuję się podle, jakbym pokrzyżowała mu plany, ale małżeństwo polega na kompromisach. Na robieniu tego, co najlepsze dla pary, a nie dla jednostki. Pozostanie w Bostonie jest lepsze dla naszych bliskich.

A skoro mowa o bliskich – spoglądam na telefon akurat w chwili, w której przychodzi esemes od Allysy.

Allysa: Skończyłaś już pracę? Musisz mi doradzić w kwestii mebli.

Ja: Będę za piętnaście minut.

Nie wiem, czy to przez zbliżający się poród, czy przez to, że Allysa aktualnie nie pracuje, ale jestem absolutnie pewna, że w tym tygodniu spędziłam w jej mieszkaniu więcej czasu niż we własnym. Zamykam kwaciarnię i ruszam do niej.

Kiedy wychodzę z windy, widzę karteczkę przyklejoną do jej drzwi. Jest na niej moje imię, więc ją stamtąd zrywam.

*Lily,
siódme piętro. Apartament 749.*

A.

Ma osobne mieszkanie na dodatkowe meble? Wiem, że są bogaci, ale nawet jak na nich wydaje się to lekką przesadą. Wchodzę do windy i wciskam guzik. Kiedy drzwi się otwierają, idę korytarzem w stronę apartamentu 749. Nie mam pojęcia, czy powinnam zapukać, czy po prostu wejść. Przypuszczam, że ktoś tam mieszka. Może któryś z jej „ludzi”.

Pukam i po drugiej stronie rozlegają się kroki.

Zatyka mnie, kiedy drzwi się otwierają i staje przede mną Ryle.

– Cześć – mówię zdezorientowana. – Co ty tu robisz?

Uśmiecha się i opiera o framugę.

– Mieszkam tu. A ty co tu robisz?

Patrzę na cynową tabliczkę z numerem, a potem znowu na niego.

– Jak to: „mieszkasz tu”? Myślałam, że mieszkasz ze mną. Przez cały czas miałeś własne mieszkanie?

Można by pomyśleć, że w którymś momencie mąż powinien napomknąć żonie o tym, że ma mieszkanie. To trochę denerwujące.

A w zasadzie niedorzeczne i fałszywe. Chyba zaraz naprawdę się na niego wkurzę.

Ryle się śmieje, podnosi ręce i łapie za górną framugę.

– W zasadzie to nie miałem okazji powiedzieć ci o tym mieszkaniu, bo dopiero dziś rano podpisałem papiery.

Cofam się o krok.

– Zaraz... Co?

Bierze mnie za rękę i wciąga do środka.

– Witaj w domu, Lily.

Przystaję we foyer.

Tak. Powiedziałałam „foyer”. Jest tu „foyer”.

– Kupiłeś mieszkanie?

Powoli kiwa głową, czekając na moją reakcję.

– Kupiłeś mieszkanie – powtarzam.

Wciąż kiwa głową.

– Kupiłem. Masz coś przeciwko? Pomyślałem, że teraz, kiedy już razem mieszkamy, przydałoby nam się trochę więcej miejsca.

Powoli się obracam. Kiedy mój wzrok zatrzymuje się na kuchni, nieruchomieję. Nie jest tak wielka jak ta Allysy, ale równie biała i prawie równie piękna. Zauważam chłodziarkę na wino i zmywarkę, dwa urządzenia, których u mnie brakuje. Wchodzę do kuchni i się rozglądam, bojąc się czegokolwiek dotknąć. To naprawdę moja kuchnia? Nie, to nie może być moja kuchnia.

Patrzę na sklezione sufity salonu i jego olbrzymie okna z widokiem na bostoński port.

– Lily? – odzywa się Ryle za moimi plecami. – Chyba nie jesteś na mnie wściekła?

Odwracam się szybko i patrzę mu w oczy, uświadamiając sobie, że od kilku minut czeka na moją reakcję. Ale dosłownie odebrało mi mowę.

Kręcę głową i podnoszę rękę, żeby zasłonić usta.

– Raczej nie – szepczę.

Podchodzi do mnie i bierze mnie za rękę.

– „Raczej nie”? – Wydaje się zmartwiony i zdezorientowany. – Proszę, powiedz mi nagą prawdę, bo zaczynam myśleć, że nie powinienem był ci robić takiej niespodzianki.

Patrzę na drewnianą podłogę. To prawdziwe drewno, nie laminat.

– Okej – mówię, patrząc na niego. – Myślę, że to szaleństwo, że tak po prostu poszedłeś i kupiłeś beze mnie mieszkanie. Wydaje mi się, że powinniśmy byli to zrobić razem.

Kiwa głową i wygląda, jakby za chwilę miał mnie zacząć przeproszać, ale jeszcze nie skończyłam.

– Ale moja naga prawda brzmi tak, że... ono jest idealne. Ryle, dosłownie brak mi słów. Wszystko jest takie czyste. Boję się poruszyć, bo mogłabym coś pobrudzić.

Gwałtownie wypuszcza powietrze i przyciąga mnie do siebie.

– Możesz tu brudzić, skarbie. To wszystko jest twoje. Możesz tu brudzić, ile tylko chcesz. – Całuje mnie w skroń.

Nie wiem, jak sformułować podziękowania. Mam wrażenie, że zwykłe „dziękuję” to

marna reakcja jak na tak olbrzymi gest.

– Kiedy się wprowadzamy?

Wzrusza ramionami.

– Jutro? Wziąłem wolny dzień. No i nie mamy zbyt wielu rzeczy. Przez kilka najbliższych tygodni możemy kupować nowe meble.

Kiwam głową, analizując pospiesznie plany na jutrzejszy dzień. Wiedziałam, że Ryle ma wolne, więc niczego nie zaplanowałam.

Nagle czuję, że muszę usiąść. Nie ma krzesel, ale na szczęście podłoga jest czysta.

– Muszę usiąść.

Ryle pomaga mi się usadowić na podłodze, a potem siada naprzeciwko mnie, nadal trzymając mnie za rękę.

– Allysa wie? – pytam.

Uśmiecha się i kiwa głową.

– Bardzo się cieszy, Lily. Już od jakiegoś czasu myślałem o tym, żeby kupić tu mieszkanie. Kiedy postanowiliśmy na dobre zostać w Bostonie, po prostu zrealizowałem ten plan, żeby zrobić ci niespodziankę. Allysa mi pomogła, ale zacząłem się obawiać, że się wygada.

Zwyczajnie nie mogę tego pojąć. Ja tu mieszkam? Allysa będzie teraz moją sąsiadką? Nie wiem, dlaczego czuję, że powinno mnie to niepokoić, bo naprawdę się cieszę.

Ryle się uśmiecha.

– Wiem, że potrzebujesz chwili, żeby to wszystko do ciebie dotarło, ale nie widziałś najlepszej części mieszkania, a ja nie mogę się doczekać, aż ją zobaczysz.

– To mi ją pokaż!

Uśmiecha się i pomaga mi wstać. Przechodzimy przez salon i korytarz. Ryle otwiera wszystkie drzwi i objaśnia, co za nimi jest, ale do żadnego z pomieszczeń nie pozwala mi wejść. Kiedy docieramy do głównej sypialni, już wiem, że mieszkamy w trzypokojowym mieszkaniu z dwiema łazienkami. I z gabinetem.

Nawet nie mam czasu, żeby nasycić się pięknem sypialni, bo Ryle ciągnie mnie w głąb pomieszczenia. Dochodzimy do ściany zasłoniętej zasłoną, a wtedy odwraca się, żeby na mnie spojrzeć.

– Raczej nie można tu założyć ogrodu z prawdziwego zdarzenia, ale kilka donic się zmieści.

Odsuwa zasłonę i otwiera drzwi prowadzące na olbrzymi balkon. Wychodzę za nim na zewnątrz i oczyma wyobraźni już widzę rośliny, które mogłabym tu uprawiać.

– Mamy stąd taki sam widok jak z tarasu na dachu – mówi Ryle. – Zawsze będziemy widzieli to samo co w noc, kiedy się poznaliśmy.

Musiąca upłynąć dłuższa chwila, ale nagle to wszystko do mnie dociera i zaczynam płakać. Ryle przytula mnie do piersi i mocno obejmuje.

– Lily – szepcze, głaszcząc mnie po głowie. – Nie chciałem cię doprowadzać do łez.

Śmieję się.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że tu mieszkam. – Odsuwam się od niego i patrzę mu w oczy. – Jesteśmy bogaci? Jak to możliwe, że cię na to stać?

Śmieje się.

– Wyszłaś za neurochirurga. Raczej nie klepiesz biedy.

Jego słowa rozśmieszają mnie jeszcze bardziej, a potem znowu doprowadzają do łez. Po chwili rozlega się pukanie – to nasi pierwsi goście.

– Allysa – wyjaśnia Ryle. – Czekala na korytarzu.

Biegnę do drzwi, otwieram je zamaszystym gestem, a potem ściskamy się i piszczymy.

Chyba wciąż jeszcze trochę płaczę.

Resztę wieczoru spędzamy w nowym mieszkaniu. Ryle zamawia chińszczyznę, a Marshall przychodzi zjeść razem z nami. Nie mamy jeszcze stołu, krzeseł ani naczyń, więc siedzimy we czwórkę na podłodze w salonie i jemy prosto z pudełek. Rozmawiamy o tym, jak urządzimy mieszkanie, o wszystkich sąsiedzkich rzeczach, które będziemy razem robili, a także o zbliżającym się porodzie Allysy.

 Nie mieści mi się to w głowie.

 Nie mogę się doczekać, aż powiem mamie.

Rozdział dwudziesty drugi

Allysa jest już trzy dni po terminie.

Mieszkamy w naszym nowym apartamencie od tygodnia. W dniu, w którym Ryle miał wolne, udało nam się przenieść wszystkie rzeczy, a nazajutrz po przeprowadzce poszliśmy z Allyszą kupować meble. Trzeciego dnia byliśmy już właściwie urzędzeni. Wczoraj po raz pierwszy odebraliśmy pocztę. Był to rachunek za podłączenie mediów, więc sprawa jest już przypieczętowana.

Wysłałam za męża. Mam wspaniałego męża. Cudowne mieszkanie. Tak się składa, że moja najlepsza przyjaciółka jest zarazem moją szwagierką, a do tego niebawem zostanę ciocią.

Boję się tak mówić, ale... czy moje życie mogłoby wyglądać lepiej?

Wyłączam laptopa i zaczynam się zbierać. Ostatnio wychodzę z pracy wcześniej niż zwykle, bo nie mogę się doczekać powrotu do mieszkania. Dokładnie w chwili, kiedy zamykam drzwi biura, Ryle otwiera swoim kluczem drzwi kwaciarni. Zatrząskują się same, bo wchodzi do środka z pełnymi rękami.

Pod pachą trzyma gazetę, a w dłoniach dwie kawy. Idzie ku mnie szybkim krokiem. Jest jakiś dziwnie rozgorączkowany, ale cały czas się uśmiecha.

– Lily. Podaje mi jedną z kaw i sięga po gazetę. – Mam trzy wiadomości. Po pierwsze... czytaj. – Podsuwa mi magazyn, otwarty na środku i złożony. Pokazuje mi artykuł. – Udało ci się, Lily. Udało ci się!

Patrzę na artykuł, starając się nie robić sobie wielkich nadziei. Możliwe, że mówi o czymś zupełnie innym, niż myślę. Kiedy jednak czytam nagłówek, moje wątpliwości się rozwiewają.

– Udało mi się?

Dostałam zawiadomienie, że moja kwaciarnia jest nominowana do Best of Boston. To nagroda przyznawana co roku przez czytelników gazety, a Kwaciarnia Lily Bloom została nominowana w kategorii „Najlepsza nowa firma w Bostonie”. O nagrodę mogą się ubiegać firmy otwarte w ciągu ostatnich dwóch lat. Przypuszczałam, że mam szansę na wygraną, odkąd w ubiegłym tygodniu zadzwoniła do mnie reporterka, żeby zadać kilka pytań.

Tytuł artykułu brzmi: *Najlepsze nowe firmy w Bostonie. Wybraliście finałową dziesiątkę!*

Uśmiecham się i o mało nie rozlewam kawy, kiedy Ryle przyciąga mnie do siebie, podnosi i okręca wokół.

Powiedział, że ma trzy wiadomości, a skoro zaczął od takiej, to nie mam pojęcia, jak mogą brzmieć pozostałe dwie.

– A po drugie?

Stawia mnie z powrotem na podłodze.

– Zacząłem od najlepszej. Nie mogłem się powstrzymać. – Upija łyk kawy, a potem oznajmia: – Wybrali mnie na to szkolenie w Cambridge.

Moje usta rozciągają się w uśmiechu.

– Naprawdę?

Potakuje, a potem ściska mnie i znów okręca w powietrzu.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – mówię, całując go. – Obydwoje odnosimy takie sukcesy, że aż zbiera mi się na wymioty.

Śmieje się.

– A po trzecie? – pytam.

Odsuwa się.

– A, tak. Po trzecie. – Jak gdyby nigdy nic opiera się o ladę i sący kawę. Delikatnie odstawia kubek. – Allysa rodzi.

– Co?!

– Tak. – Kiwa głową w stronę naszych kaw. – Dlatego przyniosłem ci kofeinę. Dzisiaj sobie nie pośpimy.

Klasczę i podskakuję w euforii, lecz zaraz wpadam w panikę, próbując znaleźć torebkę, kurtkę, kluczyki, telefon i wyłącznik światła. Zanim wychodzimy, Ryle biegnie z powrotem do lady i zgarnia gazetę. Kiedy zamykam drzwi, ręce trzęsą mi się z radości.

– Będziemy ciociami! – wołam, biegnąc do samochodu.

Ryle śmieje się z mojego żartu.

– Wujkami, Lily – poprawia mnie. – Będziemy wujkami.

Marshall spokojnie wychodzi na korytarz. Zrywamy się z Ryle'em z miejsc i czekamy na wieści. Przez ostatnie pół godziny w środku było cicho. Nasłuchiwalismy rozziewającego krzyku Allysy – znaku, że urodziła – ale niczego nie usłyszeliśmy. Nawet płaczu noworodka. Zasłaniam usta dłonią i na widok miny Marshalla zaczynam się obawiać najgorszego.

Zaczynają mu drżeć ramiona i z jego oczu płyną łzy.

– Jestem tata. – Boksuje powietrze. – Jestem TATA!

Ściska Ryle'a, a potem mnie.

– Dajcie nam piętnaście minut i będziecie mogli ją poznać – mówi.

Kiedy zamyka drzwi, obydwój z Ryle'em oddychamy z wielką ulgą. Spoglądamy na siebie i się uśmiechamy.

– Też pomyślałaś o najgorszym? – pyta.

Kiwam głową i mocno się do niego przytulam.

– Jesteś wujkiem – mówię z uśmiechem.

Całuje mnie w czoło.

– A ty ciocią.

Pół godziny później obydwój stoimy obok łóżka, patrząc na Allyse trzymającą noworodka. Mała wygląda absolutnie doskonale. Jeszcze trudno ocenić, w kogo się wdała, ale tak czy inaczej jest piękna.

– Chcesz potrzymać siostrzenicę? – pyta Allysa Ryle'a.

Ryle lekko sztywnieje, chyba się denerwuje, ale po chwili kiwa głową. Allysa przysuwa się i kładzie dziecko w jego ramionach, pokazując, jak należy je trzymać. Ryle nerwowo spogląda na małą, a potem podchodzi do kanapy i siada.

– Wybraliście już imię? – pyta.

– Owszem.

Obydwój z Ryle'em patrzymy na Allyse, a ona uśmiecha się ze łzami w oczach.

– Chcieliśmy dać jej imię na cześć kogoś, kto jest nam bardzo drogi. Dodaliśmy „e” do twojego imienia. Nazwiemy ją Rylee.

Od razu patrzę na Ryle'a, który szybko wypuszcza powietrze – chyba jest w szoku. Znowu spogląda na Rylee i się uśmiecha.

– Rany – szepcze. – Nie wiem, co powiedzieć.

Ściskam rękę Allysy, podchodzę do Ryle'a i siadam obok. Przeżyłam wiele chwil, w których myślałam, że nie mogłabym go kochać jeszcze mocniej, ale po raz kolejny okazało się, że byłam w błędzie. Na widok spojrzenia, jakim obdarza swoją nowo narodzoną siostrzenicę, rośnie mi serce.

Marshall siada na łóżku obok Allysy.

– Słyszeliście, jak cicho Issa zachowywała się w czasie porodu? Nawet nie pisnęła. A nie

wzięła znieczulenia. – Marshall obejmuje ją ramieniem i kładzie się obok niej. – Czuję się, jakbym grał w *Hancocku* z Willem Smithem i za chwilę miał się dowiedzieć, że ożeniłem się z superbohaterką.

Ryle się śmieje.

– W dzieciństwie parę razy skopała mi dupę. Wcale bym się nie zdziwił.

– Żadnych brzydkich słów przy Rylee – napomina Marshall.

– Dupa – szepcze do niej Ryle.

Obydwoje się śmiejemy, a potem mój mąż pyta, czy chciałabym ją potrzymać. Udaję, że pazernie rzucam się na nią z łapami, bo czekanie na moją kolej było dobijające. Biorę ją w ramiona. Nie mogę uwierzyć, że już teraz tak bardzo ją Kocham.

– Kiedy przylatują rodzice? – pyta Ryle Allyse.

– Będą tu jutro koło południa.

– W takim razie chyba powinienem się trochę przespać. Właśnie skończyłem długą zmianę. – Spogląda na mnie. – Idziesz ze mną?

Kręcę głową.

– Chcę tu jeszcze trochę zostać. Weź mój samochód, wrócę taksówką.

Całuje mnie w skroń, a potem przykładą głowę do mojej i obydwójce patrzymy na Rylee.

– Chyba też powinniśmy sobie taką sprawić – mówi.

Spoglądam na niego, nie wiedząc, czy się nie przesłyszałam.

Puszcza do mnie oko.

– Obudź mnie, jeśli będę spał, kiedy wrócisz do domu. Zaczniemy od razu.

Żegna się z Marshalllem i Allyszą. Marshall idzie go odprowadzić.

Zerkam na Allyse i widzę, że się uśmiecha.

– Mówiłam ci, że z tobą będzie chciał mieć dzieci.

Odwzajemniam uśmiech i podchodzę do łóżka. Przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce. Oddaję jej Rylee, przytulamy się do siebie i patrzymy na śpiące maleństwo, jakby to była najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek było nam dane zobaczyć.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wracam do domu trzy godziny później, jest już po dziesiątej. Po wyjściu Ryle'a posiedziałam z Allyszą jeszcze godzinę, a potem pojechałam do kwiaciarni, żeby dopiąć kilka spraw i z czystym sumieniem nie pokazywać się tam przez dwa dni. Staram się brać urlop, zawsze kiedy Ryle ma wolne.

Gdy wchodzę do mieszkania, światło jest zgaszone, co oznacza, że Ryle już śpi.

Przez całą drogę do domu myślałam o tym, co powiedział. Nie spodziewałam się tej rozmowy na tak wczesnym etapie. Mam prawie dwadzieścia pięć lat, ale myślałam, że miną co najmniej dwa kolejne, zanim zaczniemy starania o założenie rodziny. Nadal nie jestem pewna, czy czuję się na to gotowa, ale świadomość, że pewnego dnia Ryle będzie chciał zostać tatą, wprowadziła mnie w niesamowicie pozytywny nastrój.

Zanim go obudzę, postanawiam coś przegryźć. Nie jadłam jeszcze kolacji i umieram z głodu. Kiedy włączam światło w kuchni, krzyczę z przerażenia. Łapię się za serce i opieram o blat.

– Ryle, Jezu Chryste! Co ty wyprawiasz?

Stoi oparty o ścianę obok lodówki. Skrzyżował nogi w kostkach i patrzy na mnie, mrużąc oczy. Obraca coś w palcach.

Na blacie po jego lewej stronie widzę pustą szklaneczkę, w której jeszcze niedawno prawdopodobnie była szkocka. Czasami pije wieczorem odrobinę whisky, żeby łatwiej zasnąć.

Znowu na niego patrzę i widzę uśmiešek na jego twarzy. Od razu robi mi się ciepłej, bo wiem, do czego zmierza – zaraz na podłodze będą wały się nasze ubrania, a my będziemy się namiętnie całować. Odkąd się wprowadziliśmy, ochrzciliśmy prawie wszystkie pomieszczenia, ale kuchnia nadal pozostaje nietknięta.

Też się do niego uśmiecham. Serce wciąż bije mi nierówno po zaskoczeniu, które przeżyłam, znajdując go tutaj w ciemności. Ryle spogląda na przedmiot, który trzyma w dłoni, i zauważam, że to mój magnesik z napisem „Boston”. Kiedy się przeprowadzaliśmy, przyniosłam go z poprzedniego mieszkania i przyczepiłam do lodówki.

Przyczepia go z powrotem i stuka w niego palcem.

– Skąd go masz?

Patrzę na magnesik, a potem znowu na Ryle'a. Ostatnią rzeczą, jaką mam ochotę mu powiedzieć, jest to, że to prezent od Atlasa. Poruszyłabym już i tak drażliwy temat, a za bardzo cieszę się na to, co się za chwilę wydarzy, żeby mówić mu teraz nagą prawdę.

Wzruszam ramionami.

– Nie pamiętam. Mam go od zawsze.

Patrzy na mnie w milczeniu, a potem prostuje się i robi dwa kroki w moją stronę. Opieram się o blat i wstrzymuję oddech. Czuję jego dłonie na swojej talii. Wsuwa je między dżinsy a mój tyłek i przyciąga mnie do siebie. Zaczyna mnie całować, zdejmując mi spodnie.

No dobra, czyli od razu przechodzimy do rzeczy.

Ryle powoli przesuwając ustami po mojej szyi. Zrzucam buty, a wtedy zdejmuje mi spodnie aż do końca.

Chyba przegryzę coś później. Ochrczenie kuchni właśnie stało się moim priorytetem.

Znowu całuje mnie w usta, podnosi i sadza na blacie, stając między moimi kolanami. Czuję zapach szkockiej w jego oddechu i nawet mi się to podoba. Już teraz ciężko oddycham, a jego ciepłe wargi przesuwają się po moich. Bierze mnie za włosy i delikatnie pociąga, żebym

spojrzała mu w oczy.

– Naga prawda? – szepcze, przyglądając się moim ustom, jakby zamierzał mnie pożreć.
Kiwam głową.

Jego druga ręka zaczyna powoli sunąć w górę mojego uda, aż dociera do końca. Ryle wsuwa we mnie dwa ciepłe palce, cały czas patrząc mi w oczy. Gwałtownie wciągam powietrze, ściskając go nogami w pasie. Zaczynam powoli poruszać biodrami, cicho pojękując, a on mi się przygląda. W jego oczach płonie ogień.

– Lily, skąd masz ten magnesik?
Co?!

Mam wrażenie, że moje serce zaczyna bić wstecz.
Dlaczego cały czas mnie o to pyta?

Jego palce nadal się we mnie poruszają, jego oczy nadal wyglądają, jakby mnie pragnęły.
Ale jego ręka... Ręka, która trzyma mnie za włosy, zaczyna ciągnąć mocniej. Krzywię się.

– Ryle – szepczę, zachowując spokojny ton głosu, mimo że zaczynam drżeć. – To boli.

Przestaje poruszać dłońią, ale nie odrywa ode mnie wzroku. Powoli wysuwa ze mnie palce, zbliża rękę do mojego gardła i lekko ściska. Całuje mnie drapieżnie, wsuwając mi język głęboko do ust. Pozwalam mu na to, bo nie mam pojęcia, co się teraz dzieje w jego głowie, i modłę się, żebym po prostu była przewrażliwiona.

Czuję, jaki jest twardy, kiedy przywiera do mnie w dzinsach. Po chwili się jednak odsuwa. Wypuszcza mnie, opiera się o lodówkę i wodzi wzrokiem po moim ciełe, jakby miał ochotę wziąć mnie natychmiast, w kuchni. Moje serce zaczyna się uspokajać. Jestem przewrażliwiona.

Z blatu obok kuchenki podnosi gazetę. Tę samą, którą pokazał mi wcześniej, z artykułem na temat przyznanych nagród. RzUCA mi ją.

– Znalazłaś chwilę, żeby to przeczytać?

Z ulgą wypuszczam powietrze.

– Jeszcze nie – mówię, spoglądając na artykuł.

– Przeczytaj na głos.

Patrzę na niego. Uśmiecham się, ale w brzuchu czuję niepokojące łaskotanie. Coś jest nie tak, poznaję po jego zachowaniu. Ale zupełnie nie wiem co.

– Chcesz, żebym przeczytała artykuł? – pytam. – Teraz?

Czuję się dziwnie, siedząc półnaga na kuchennym blacie i trzymając gazetę. Kiwa głową.

– Ale najpierw zdejmij koszulkę. A potem przeczytaj to na głos.

Wpatruję się w niego, próbując go rozgryźć. Może po szkockiej wpadł w figlarny nastrój. Kiedy się kochamy, przeważnie po prostu się kochamy, ale czasami nasz seks bywa szalony. Trochę niebezpieczny, tak jak teraz jego spojrzenie.

Zdejmuję koszulkę i skupiam wzrok na gazecie. Zaczynam czytać artykuł na głos, ale Ryle robi krok w moją stronę i mówi:

– Nie, nie cały. – Otwiera w połowie artykułu i pokazuje na jakieś zdanie. – Przeczytaj kilka ostatnich akapitów.

Spoglądam na tekst, jeszcze bardziej skołowana. Ale jeśli dzięki temu mamy trafić do łóżka...

– „Pierwsze miejsce dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem. Kultowa restauracja Bib’s przy Marketson została otwarta w kwietniu ubiegłego roku i szybko stała się jedną z najwyżej ocenianych restauracji w mieście według serwisu TripAdvisor”.

Milknę i patrzę na Ryle’a. Dolał sobie szkockiej i właśnie upija łyk.

– Czytaj dalej – mówi, kiwając głową w stronę gazety.

Głośno przełykam ślinę, która z każdą sekundą gęstnieje mi w ustach. Staram się zapanować nad drżeniem rąk.

– „Właściciel Atlas Corrigan to dwukrotnie nagrodzony szef kuchni i żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej – czytam. – Nie jest tajemnicą, że nazwa jego święcącej sukcesy restauracji Bib’s to skrót od »Better in Boston«”.

Wydaję z siebie zduszony okrzyk.

„W Bostonie wszystko jest lepsze”.

Napinam mięśnie brzucha, starając się powstrzymać emocje.

– „Podczas wywiadu przeprowadzonego po przyznaniu ostatniej z nagród – kontynuuję – szef kuchni wyjawiał wreszcie, skąd wzięła się ta nazwa. »Długa historia – powiedział. – To hołd dla kogoś, kto wywarł olbrzymi wpływ na moje życie. Dla kogoś, kto wiele dla mnie znaczył. I nadal znaczy«”.

Kładę gazetę na blacie.

– Nie chcę dłużej tego czytać – mówię łamiącym się głosem.

Ryle podchodzi energicznym krokiem i łapie gazetę. Zaczyna czytać w miejscu, w którym skończyłam. Głośno i ze złością.

– „Kiedy spytaliśmy, czy ta osoba wie, że nazwał swoją restaurację na jej cześć, szef kuchni uśmiechnął się znacząco i powiedział: »Następne pytanie«”.

Złość pobrzmiewająca w głosie Ryle’a przyprawia mnie o mdłości.

– Ryle, przestań – mówię spokojnie. – Za dużo wypieś.

Przepycham się obok niego i szybko wychodzę z kuchni do korytarza prowadzącego do sypialni. Dużo się dzieje, a nie jestem pewna, czy cokolwiek z tego rozumiem.

W artykule nie ma słowa o tym, kogo Atlas miał na myśli. Atlas wie, że chodziło o mnie, i ja również to wiem, ale jak to się stało, do diabła, że Ryle skojarzył te fakty?

No i magnesik. Jak po przeczytaniu tego artykułu miałyby zgadnąć, że dostałam go od Atlasa?

Jest przewrażliwiony.

Idąc do sypialni, słyszę, że ruszył za mną. Otwieram drzwi i nagle staję jak wryta.

Łóżko jest usłane różnymi przedmiotami. Widzę pusty karton z napisem „Graty Lily”. A potem całą jego zawartość. Listy... pamiętniki... puste pudełka po butach. Zamykam oczy i powoli wciągam powietrze.

Przeczytał pamiętnik.

O nie.

Ryle przeczytał pamiętnik.

Obejmuje mnie od tyłu w talii. Przesuwa rękę w górę brzucha i mocno łapie za pierś. Drugą ręką muska moje ramię, odsuwając mi włosy z karku.

Zaciskam powieki, kiedy jego palce zaczynają sunąć po mojej skórze w górę ramienia. Powoli przemyka opuszką po wytatuowanym sercu i całym moim ciałem wstrząsa dreszcz. Ryle dotyka wargami tatuażu, a po chwili tak mocno zatapia w nim zęby, że aż krzyczę z bólu.

Próbuję się wyrwać, ale mocno mnie trzyma. Ból przeszywa mi ramię i dociera aż do ręki. Zaczynam płakać. Szlocham.

– Ryle, puść mnie – mówię błagalnym głosem. – Proszę. Wyjdź.

Miażdży mnie w ramionach.

Odwraca mnie, ale nadal mam zamknięte oczy. Za bardzo się boję, żeby na niego spojrzeć. Wbija palce w moje ramiona i popycha mnie w stronę łóżka. Staram się uwolnić – bezskutecznie. Jest dla mnie za silny. Jest zły. Robi mi krzywdę. I nie jest sobą.

Moje plecy natrafiają na łóżko i gorączkowo odsuwam się w stronę wezgłowia, próbując

uciec przed Ryle'em.

– Lily, dlaczego on ciągle tu jest? – Nie mówi już tak opanowanym głosem jak w kuchni. Teraz jest naprawdę wściekły. – Wszędzie go pełno. Magnesik na lodówce. Pamiętnik w pudełku, które znalazłem w naszej szafie. Twój pieprzony tatuaż, który kiedyś, kurwa, tak uwielbiałem!

Jest już na łóżku.

– Ryle – błagam – mogę to wytłumaczyć. – Łzy płyną mi po skroniach w stronę włosów. – Zdenerwowałeś się. Proszę, nie rób mi krzywdy. Proszę. Wyjdź, a kiedy wrócisz, wszystko ci wytłumaczę.

Łapie mnie za kostkę i przyciąga do siebie.

– Nie zdenerwowałem się, Lily – mówi. Teraz jego głos brzmi zatrwająco spokojnie. – Po prostu chyba ci jeszcze nie pokazałem, jak bardzo cię kocham. – Przygniata mnie swoim ciałem i jedną dłonią przytrzymuje mi ręce nad głową, przyciskając je do materaca.

– Ryle, proszę. – Łkam, próbując go odepchnąć każdą częścią ciała. – Zejdź ze mnie. Proszę.

Nie, nie, nie, nie...!

– Kocham cię, Lily – mówi, rozgniatając mi te słowa na policzku. – Bardziej niż on kiedykolwiek cię kochał. Dlaczego nie potrafisz tego zrozumieć?

Mój strach ustępuje miejsca wściekłości. Kiedy zamykam oczy, widzę jedynie moją matkę płaczącą na kanapie w naszym starym salonie i pakującego się na nią ojca. Wstrząsa mną nienawiść i zaczynam krzyczeć.

Ryle próbuje zamknąć mi usta swoimi.

Gryzę go w język.

Uderza mnie głową w czoło.

W jednej chwili cały ból ustępuje, a na mnie opada całkowita ciemność.

Czuję jego oddech tuż przy uchu. Szepcze coś niezrozumiale. Serce mi galopuje, ciałem wstrząsają dreszcze i jakimś cudem ciągle płyną mi łzy. Z trudem biorę głęboki oddech. Głos Ryle'a mnie rani, ale w głowie pulsuje zbyt wielki ból, żebym mogła rozszyfrować, co mówi.

Próbuję otworzyć oczy, ale mnie szczypią. Coś mi wpływa pod prawą powiekę i od razu wiem, że to krew.

Moja krew.

Jego słowa nabierają wyrazistości.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Nadal przyciska mi ręce do materaca i nadal na mnie leży. Ale już nie próbuje wziąć mnie siłą.

– Lily, kocham cię, przepraszam.

W jego słowach słychać paniczny strach. Delikatnie muska wargami mój policzek i usta.

Wie, co zrobił. Znowu jest Ryle'em i wie, co mi właśnie zrobił. Co zrobił nam. Naszej przyszości.

Wykorzystuję jego strach. Kręcę głową.

– Wszystko w porządku, Ryle – szepczę. – Wszystko w porządku. Zdenerwowałeś się. Nic się nie stało.

Gorączkowo całuje mnie w usta. Gdy czuję smak szkockiej, robi mi się niedobrze. Ryle nadal szepcze przeprosiny, a wokół mnie znów zapada ciemność.

Mam zamknięte oczy. Dalej jesteśmy w łóżku, ale Ryle nie przygniata mnie już ciałem. Leży na boku i mocno trzyma mnie w talii. Głowę przyciska do mojej klatki piersiowej. Nie ruszam się i tylko wodzę wzrokiem po wszystkim wokół.

Ryle ciężko oddycha przez sen. Nie wiem, czy stracił przytomność czy po prostu zasnął. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, są jego pocałunki i smak moich własnych łez.

Przez kilka minut leżę bez ruchu. Z każdą chwilą ból w głowie narasta. Zamykam oczy i próbuję myśleć.

Gdzie jest moja torebka?

Gdzie są moje klucze?

Gdzie jest mój telefon?

Wyswobodzenie się spod ręki Ryle'a zajmuje mi pełne pięć minut. Za bardzo się boję, żeby poruszać się szybciej, więc robię to centymetr po centymetrze, aż w końcu udaje mi się sturlać na podłogę. Kiedy w końcu przestaję czuć jego dotyk, z mojej piersi wyrywa się niespodziewany szloch. Szybko zasłaniam usta, wstaję i wybiegam z sypialni.

Znajduję torebkę i telefon, lecz nie mam pojęcia, gdzie są kluczyki. Gorączkowo przeszukuję salon i kuchnię, ale ledwie widzę na oczy. Cios w głowę musiał doprowadzić do rozcięcia skóry na czole, bo powieki mam pozlepiane krwią i wszystko jest zamazane.

Osuwam się na podłogę obok drzwi, czując coraz silniejsze zawroty głowy. Palce trzęsą mi się tak mocno, że odblokowuję telefon dopiero za trzecim podejściem.

Kiedy już mam wybrać numer, zastygam. W pierwszym odruchu chcę dzwonić do Allysy i Marshalla, ale nie mogę. Nie mogę im tego zrobić w takiej chwili. Kilka godzin temu Allysa urodziła dziecko. Nie wolno mi zakłócać im teraz spokoju.

Mogłabym wezwać policję, ale mój umysł nie jest w stanie nawet ogarnąć wszystkiego, co by się z tym wiązało. Nie chcę składać zeznań. Nie wiem, czy chcę wnieść zarzuty, mając świadomość, jak mogłoby to wpłynąć na jego karierę. Nie chcę, żeby Allysa była na mnie zła. Po prostu nie wiem. Nie odrzucam definitywnie możliwości zawiadomienia policji. Po prostu nie mam siły, żeby podjąć tę decyzję w tym momencie.

Ściskam telefon i próbuję myśleć. Mama.

Zaczynam wybierać jej numer, ale na myśl o tym, jak zareaguje, znowu zaczynam płakać. Nie mogę jej wciągać w ten bałagan. Za dużo przeszła. Poza tym Ryle będzie mnie szukał. Najpierw pójdzie do niej. Potem do Allysy i Marshalla. Potem do wszystkich innych ludzi, których znamy.

Wycieram łzy i zaczynam wybierać numer Atlasa.

W tej chwili nienawidzę siebie bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Nienawidzę się, bo w dniu, w którym Ryle znalazł w moim telefonie numer Atlasa, skłamałam, mówiąc, że zapomniałam o tej karteczce.

Nienawidzę się, bo w dniu, w którym Atlas ją tam schował, wyjęłam ją i na nią spojrzałam.

Nienawidzę się, bo w głębi serca wiedziałam, że mogę kiedyś potrzebować tego numeru – i nauczyłam się go na pamięć.

– Słucham?

Mówi ostrożnie. Pytająco. Nie rozpoznaje numeru. Słyszając jego głos, od razu zaczynam płakać. Zasłaniam usta i próbuję się uspokoić.

– Lily? – mówi już o wiele głośniejszym głosem. – Lily, gdzie jesteś?

Nienawidzę się, bo on wie, że to moje łzy.

– Atlas – szepczę – potrzebuję pomocy.

– Gdzie jesteś? – powtarza. Słyszę strach w jego głosie. Słyszę, że idzie, coś przesuwając. Słyszę trzaśnięcie drzwi.

– Wyślę ci esemesa – szepczę, zbyt wystraszona, żeby mówić dalej.

Nie chcę, żeby Ryle się obudził. Rozłączam się i jakimś cudem znajduję w sobie siłę,

żeby zapanować nad drżeniem rąk, gdy przesyłam Atlasowi swój adres i kod do drzwi. Zaraz wysyłam drugą wiadomość:

Przyślij mi esemesa, jak już tu będziesz. Proszę, nie pukaj.

Pełnę do kuchni, znajduję spodnie i z trudem je wkładam. Koszulka leży na blacie. Kiedy już jestem ubrana, idę do salonu. Zastanawiam się, czy nie spotkać się z Atlassem na dole, ale za bardzo się boję, że nie będę w stanie sama przejść korytarzem. Nadal krwawi mi czoło i jestem zbyt słaba, żeby wstać i czekać przy drzwiach. Osuwam się na podłogę, ściskając telefon w drżącej dłoni. Gapię się na niego i czekam na esemesa.

Koszmarne dwadzieścia cztery minuty później ekran się rozświecila.

Jestem.

Z trudem wstaję i otwieram drzwi. Oplatają mnie czyjeś ręce i wtulam się w coś miękkiego. Zaczynam płakać. Płacę całą sobą, trzęsę się i nie mogę się opanować.

– Lily – szepcze Atlas. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś wypowiadał moje imię z tak wielkim smutkiem. Unosi moją twarz i skupia na niej spojrzenie. Niepokój w jego niebieskich oczach znika, gdy kieruje wzrok w stronę mieszkania. – On dalej tam jest?

Wściekłość.

Czuję, jak wrze, gdy rusza w stronę drzwi. Obiema rękami łapię go za kurtkę.

– Nie, Atlas. Proszę. Chcę po prostu stąd wyjść.

Widzę, jak zmagają się ze sobą, kiedy przystają, nie mogąc zdecydować, czy mnie posłuchać czy ruszyć w głąb mieszkania. Ostatecznie odwraca się i mnie obejmuje. Pomaga mi dotrzeć do windy, a potem przejść przez hol. Na szczęście spotykamy po drodze tylko jednego człowieka, który właśnie rozmawia przez telefon, odwrócony w drugą stronę.

Kiedy docieramy na parking podziemny, znowu zaczyna mi się kręcić w głowie. Proszę Atlasa, żeby szedł wolniej, a po chwili czuję, że wsuwa rękę pod moje kolana i mnie podnosi. Później jesteśmy już w samochodzie. Jedziemy.

Wiem, że potrzebne będzie szycie.

Wiem, że Atlas zabiera mnie do szpitala.

Ale nie mam pojęcia, dlaczego mówię:

– Tylko nie do Mass General. Zabierz mnie gdzieś indziej.

Z jakiegoś powodu nie chcę ryzykować, że natknę się na któregoś z kolegów Ryle'a. Nienawidzę go. W tym momencie nienawidzę go bardziej, niż kiedykolwiek nienawidziłam ojca. Jednak jakimś cudem troska o jego karierę wciąż bierze górę nad nienawiścią.

Kiedy to sobie uświadamiam, nienawidzę siebie równie mocno jak jego.

Rozdział dwudziesty czwarty

Atlas stoi na drugim końcu pomieszczenia. Nie odrywa ode mnie oczu, odkąd zajęła się mną pielęgniarka. Po pobraniu krwi natychmiast wróciła i zaczęła opatrywać ranę. Na razie zadała mi niewiele pytań, ale od razu widać, że moje obrażenia to skutek przemocy. Kiedy ściera krew ze śladu po ugryzieniu na moim ramieniu, widzę jej współczujące spojrzenie.

Gdy jest już po wszystkim, zerka na Atlasa. Przesuwa się w prawo, zasłaniając mnie przed nim, po czym spogląda mi w oczy.

– Muszę pani zadać kilka osobistych pytań. Poproszę, żeby wyszedł, dobrze?

Uświadamiam sobie, że uznała Atlasa za sprawcę moich obrażeń. Natychmiast zaczynam kręcić głową.

– To nie był on – mówię. – Proszę, niech zostanie.

Na jej twarzy widać ulgę. Kiwa głową i przysuwa krzesło.

– Ma pani jeszcze jakieś obrażenia?

Zaprzeczam, bo przecież nie może nic poradzić na wszystkie rany, które Ryle zadał mojej duszy.

– Lily? – Jej głos brzmi łagodnie. – Zostałaś zgwałcona?

Moje oczy wypełniają się łzami i widzę, jak Atlas odwraca się pod ścianą i przyciska do niej czoło.

Pielęgniarka czeka, aż znowu spojrzę jej w oczy, a potem mówi dalej:

– W takich sytuacjach przeprowadzamy pewne badanie. Nazywa się SANE. Oczywiście jest dobrowolne, ale w twojej sytuacji bardzo bym ci je doradzała.

– Nie zostałam zgwałcona – mówię. – On nie...

– Na pewno, Lily? – pyta pielęgniarka.

Kiwam głową.

– Nie chcę tego badania.

Atlas znowu na mnie patrzy, a kiedy podchodzi, widzę ból malujący się na jego twarzy.

– Lily. Powinnaś. – Patrzy na mnie błagalnie.

Znowu kręcę głową.

– Atlas, przysięgam... – Mocno zamykam oczy i spuszczam głowę. – Tym razem go nie kryję – szepczę. – Próbował, ale potem przestał.

– Jeśli postanowisz wnieść oskarżenie, będziesz potrzebowała...

– Nie chcę tego badania – powtarzam zdecydowanym głosem.

Rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi lekarz, wybawiając mnie od kolejnych błagalnych spojrzeń Atlasa. Pielęgniarka zdaje doktorowi krótką relację, podsumowując moje obrażenia, i odsuwa się na bok, by mógł obejrzeć moją głowę i ramię. Świeci mi latarką w oczy. Znowu patrzy na dokumenty.

– Chciałbym wykluczyć wstrząśnienie mózgu – mówi – ale biorąc pod uwagę pani stan, nie chcę robić tomografii. Zamiast tego chcielibyśmy zatrzymać panią na obserwacji.

– Dlaczego nie chce pan zrobić tomografii? – pytam.

Lekarz wstaje.

– Nie poddajemy ciężarnych kobiet prześwietleniom, jeśli to nie jest absolutnie konieczne. Będziemy panią obserwować na wypadek komplikacji, a jeśli wszystko będzie w porządku, zostanie pani wypisana.

Niczego więcej nie słyszę.

Niczego.

W mojej głowie zaczyna rosnąć ciśnienie. W sercu też. I w żołądku. Łapię się krawędzi stołu, na którym siedzę, i wpatruję się w podłogę, dopóki obydwójce nie wychodzą.

Kiedy zamykają się za nimi drzwi, siadam zastygła w lodowatej ciszy. Widzę, że Atlas się do mnie przysuwa. Nasze stopy prawie się stykają. Lekko głaszcze mnie palcami po plecach.

– Wiedziałaś?

Szybko wypuszczam powietrze, a potem znów go nabieram. Zaczynam kręcić głową, a kiedy mnie obejmuje, dobywa się ze mnie płacz, o jaki nigdy nie podejrzewałam swojego ciała. Atlas cały czas mnie przytula. Tuli mnie, dopóki nie ulatuje ze mnie nienawiść.

Sama jestem sobie winna.

To ja do tego dopuściłam.

Jestem moją matką.

– Chcę stąd iść – szepczę.

Atlas się odsuwa.

– Lily, oni zamierzają cię zatrzymać na obserwacji. Chyba powinnaś zostać.

Patrzę na niego i kręcę głową.

– Muszę się stąd wydostać. Proszę. Chcę stąd iść.

Kiwa głową i pomaga mi włożyć buty. Zdejmuje kurtkę i mnie nią okrywa, a potem wychodzimy ze szpitala przez nikogo niezauważeni.

Po drodze Atlas milczy. Ja gapię się przez szybę, zbyt wyczerpana, żeby płakać. Zbyt zszokowana, żeby mówić. Czuję, że tonę.

„Po prostu płyn dalej”.

Atlas nie mieszka w bloku ani apartamentowcu. Ma dom na obrzeżach Bostonu, w Wellesley, gdzie wszystkie domy są piękne, wybudowane z rozmachem, zadbane i drogie. Gdy dojeżdżamy, zastanawiam się, czy ożenił się z tą dziewczyną. Z Cassie. Zastanawiam się, co ona sobie pomyśli, gdy jej mąż przyprowdzi do domu dziewczynę, którą kiedyś kochał i którą właśnie pobił jej własny mąż.

Będzie jej mnie żal. Będzie się zastanawiała, dlaczego od niego nie odeszłam. Będzie się zastanawiała, jak do tego dopuściłam – tak samo, jak ja się zastanawiałam, widząc moją matkę w takiej samej sytuacji. Ludzie często nie mogą zrozumieć, dlaczego kobiety nie odchodzą. A gdzie się podziali ci, którzy nie mogą pojąć, dlaczego mężczyźni stosują przemoc? Bo czy to nie mężczyźni powinni ponosić całą winę?

Atlas parkuje w garażu. Nie ma tam innego pojazdu. Nie czekam, aż pomoże mi wysiąść z samochodu. Otwieram drzwi i wysiadam sama, a potem idę za nim do domu. Wpisuje kod rozbrajający alarm i włącza światło. Rozglądam się po kuchni, jadalni, salonie. Wszystko jest z pięknego drewna i stali nierdzewnej, a kuchnię pomalowano na stonowaną niebieskawą zieleń. Kolor oceanu. Gdyby nie ból, który właśnie czuję, na pewno bym się uśmiechnęła.

Atlas płynął dalej i popatrz, do czego doszedł. Dopłynął aż na pieprzone Karaiby.

Podchodzi do lodówki i wyjmuję butelkę wody. Odkręca ją i mi podaje. Piję, patrząc, jak włącza światło w salonie, a potem w korytarzu.

– Mieszkasz sam? – pytam.

Potakuje, wracając do kuchni.

– Jesteś głodna?

Kręcę głową. Nawet gdybym była, nie zdołałabym niczego przełknąć.

– Pokażę ci twój pokój – mówi. – Jeśli chcesz, możesz tam wziąć prysznic.

Chcę. Mam ochotę pozbyć się z ust posmaku szkockiej. Mam ochotę zmyć z siebie sterylny zapach szpitala. I ostatnie cztery godziny mojego życia.

Idę za Atlasem do pokoju dla gości. Włącza światło. Na pustym łóżku stoją dwa kartony, a pod ścianą piętrzą się następne. Stoi tam też olbrzymi fotel zwrócony do drzwi. Atlas podchodzi do łóżka, zdejmując pudła i stawia je pod ścianą razem z innymi.

– Wprowadziłem się kilka miesięcy temu. Nie miałem jeszcze czasu się urządzić. – Podchodzi do komody i wysuwa szufladę. – Pościelę ci.

Wyjmuje pościel. Zaczyna przygotowywać łóżko, a ja wchodzę do łazienki i zamykam drzwi.

Spędzam tam pół godziny. Część tego czasu upływa mi na wpatrywaniu się w swoje odbicie. Część pod prysznicem. Reszta przy sedesie, gdzie walczę z mdłościami wywołanymi wspomnieniem ostatnich kilku godzin.

Owinięta ręcznikiem, uchylam drzwi. Atlasa nie ma już w pokoju, ale na świeżo pościelonym łóżku leżą poskładane ubrania – dół męskiej piżamy, który jest na mnie za duży, i koszulka sięgająca za kolana. Mocno zaciskam sznurek w pasie, zawiązuję go i wpełzam do łóżka. Wyłączam lampkę i naciągam kołdrę aż na głowę.

Płaczę tak bardzo, że nawet nie wydaję z siebie dźwięku.

Rozdział dwudziesty piąty

Czuję zapach grzanek.

Przeciągam się na łóżku i uśmiecham, bo Ryle wie, że uwielbiam grzanki.

Gwałtownie otwieram oczy, bo wspomnienie minionego dnia miażdży mnie z siłą zderzenia czołowego. Zaciskam powieki, przypominając sobie, gdzie jestem i dlaczego, i że zapach grzanek czuję wcale nie dlatego, że troskliwy mąż szykuje mi śniadanie do łóżka.

Natychmiast znowu zbiera mi się na płacz, więc zmuszam się do wstania z łóżka. Korzystając z łazienki, skupiam się na pustce w żołądku i powtarzam sobie, że płakać będę mogła, dopiero kiedy coś zjem. Muszę coś zjeść, nim znowu wymiotuję.

Kiedy wychodzę z toalety, zauważam, że fotel stoi zwrócony w stronę łóżka, a nie ku drzwiom. Leży na nim koc, rzucony byle jak. A więc Atlas czuwał przy mnie, kiedy spałam.

Pewnie się martwił, że mam wstrząs mózgu.

Kiedy wchodzę do kuchni, krząta się między lodówką, kuchenką a blatem. Po raz pierwszy od dwunastu godzin czuję coś innego niż rozpacz, bo przypominam sobie, że jest szefem kuchni. W dodatku dobrym. I właśnie szykuje mi śniadanie.

Spogląda na mnie.

– Dzień dobry – mówi, starając się, żeby to zabrzmiało swobodnie. – Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Podsuwa mi szklankę i karton soku pomarańczowego, a potem znowu odwraca się do kuchenki.

– Jestem.

Spogląda przez ramię i odpowiada mi namiastką uśmiechu. Nalewam sobie soku i idę na drugi koniec kuchni, gdzie stoi stół. Sięgam po leżącą na nim gazetę. Na widok artykułu o najlepszych firmach w Bostonie od razu zaczynają mi drżeć ręce i upuszczam magazyn z powrotem na blat. Zamykam oczy i powoli upijam łyk soku pomarańczowego.

Kilka minut później Atlas stawia przede mną talerz i siada naprzeciwko. Przysuwa swój talerz i wbija widelec w naleśnik.

Patrzę na swoje śniadanie – trzy naleśniki skropione syropem i ozdobione kleksem bitej śmietany. Wzdłuż prawej krawędzi leżą ułożone plasterki pomarańczy i truskawek.

Posiłek prezentuje się wręcz zbyt ładnie, żeby można go było zjeść, ale jestem tak głodna, że nie mam najmniejszych skrupułów. Wkładam kęs do ust i zamykam oczy, starając się pokazać, że to najlepsze śniadanie, jakie kiedykolwiek jadłam.

W końcu jestem zmuszona przyznać, że jego restauracja zasłużyła na nagrodę. Wprawdzie próbowałam zniechęcić Ryle'a i Allysę do chodzenia tam, ale to najlepsza restauracja, w jakiej kiedykolwiek byłam.

– Gdzie nauczyłeś się gotować? – pytam.

Upija łyk kawy.

– W piechocie morskiej – mówi, odstawiając kubek. – Ćwiczyłem trochę za pierwszym razem, a potem, kiedy znów się zaciągnąłem, zostałem szefem kuchni. – Stuka widelcem w talerz. – Smakuje ci?

Kiwam głową.

– Jest pyszne. Ale mylisz się. Umiałeś gotować, jeszcze zanim się zaciągnąłeś.

Posyła mi uśmiech.

– Pamiętasz ciasteczka?

Znów potakuję.

– Najlepsze, jakie kiedykolwiek jadłam.

Odchyła się na krześle.

– Podstaw nauczyłem się sam. Kiedy dorastałem, mama pracowała na drugą zmianę, więc jeśli chciałem zjeść kolację, sam musiałem ją sobie zrobić. Pozostawało mi albo nauczyć się gotować, albo umrzeć z głodu, więc kupiłem książkę kucharską na garażowej wyprzedaży i w ciągu roku wypróbowałem wszystkie przepisy. A miałem zaledwie trzynaście lat.

Uśmiecham się, zszokowana tym, że w ogóle jestem w stanie to robić.

– Kiedy następnym razem ktoś cię spyta, jak nauczyłeś się gotować, powinieneś opowiedzieć właśnie tę historię.

Kręci głową.

– Nikt oprócz ciebie nie wie, jak wyglądało moje życie, zanim skończyłem dziewiętnaście lat. Wolałbym, żeby tak zostało.

Zaczyna opowiadać, jak był szefem kuchni w wojsku. Jak odkładał pieniądze, żeby po zakończeniu służby otworzyć własną restaurację. Zaczął od małej, świetnie prosperującej kawiarni, a potem, półtora roku temu, otworzył Bib's.

– Jest nieźle – mówi skromnie.

Rozglądam się po kuchni i znowu patrzę na niego.

– Zdaje się, że lepiej niż tylko nieźle.

Wzrusza ramionami i wkłada do ust kolejny kęs. Później już nic nie mówię. Kończąc śniadanie, myślę o jego restauracji. O jej nazwie. O tym, co powiedział w wywiadzie. Te wszystkie myśli prowadzą mnie oczywiście z powrotem do Ryle'a i złości w jego głosie, kiedy wykrzykiwał ostatnie zdanie wywiadu.

Atlas chyba wyczuwa zmianę w moim zachowaniu, ale tego nie komentuje i bez słowa sprząta ze stołu.

Kiedy znowu siada, wybiera krzesło tuż obok mnie. Uspokajająco kładzie rękę na mojej dłoni.

– Muszę iść na kilka godzin do pracy – mówi. – Nie chcę, żebyś stąd wychodziła. Zostań, jak długo potrzebujesz, Lily. Tylko... proszę, nie wracaj dziś do domu.

Kręcę głową, słysząc niepokój w jego głosie.

– Nie wrócę. Zostanę tu – mówię. – Obiecuję.

– Potrzebujesz czegoś, zanim wyjdę?

– Dzięki, poradzę sobie.

Wstaje i zdejmuję kurtkę z wieszaka.

– Wrócę najszybciej, jak się da. Przyjadę po lunchu i podrzucę ci coś do jedzenia, dobrze?

Zmuszam się do uśmiechu. Otwiera szufladę, wyjmuje kartkę i coś na niej zapisuje. Kiedy już go nie ma, wstaję i podchodzę do blatu, żeby to przeczytać. To instrukcja uzbrojenia alarmu. Zapisał też numer swojej komórki, mimo że znam go na pamięć. A do tego numer do pracy, adres domu i adres restauracji.

Na końcu dodał małymi literkami: „Po prostu płyn dalej, Lily”.

Droga Ellen,

cześć. To ja. Lily Bloom... chociaż formalnie rzecz biorąc, teraz nazywam się Lily Kincaid.

Wiem, że minęło dużo czasu, odkąd do Ciebie pisałam. Naprawdę dużo. Po tym, co spotkało Atlasa, po prostu nie mogłam się zdobyć na ponowne otwarcie pamiętnika. Nie mogłam się zdobyć nawet na to, żeby choć raz obejrzeć Twój program, bo oglądanie go w samotności sprawiało mi ból. W zasadzie każda myśl o Tobie mnie przygnębiała. Myśląc o Tobie, myślałam

o Atlasie. A szczerze mówiąc, nie chciałam myśleć o Atlasie, więc Ciebie też musiałam wymazać ze swojego życia.

Przykro mi z tego powodu. Na pewno nie tęskniłaś za mną tak, jak ja za Tobą, ale czasami sprawy, które są dla Ciebie najważniejsze, jednocześnie sprawiają Ci największy ból. A chcąc przezwyciężyć ten ból, musisz przeciąć wszystkie łączące Cię z nim więzi. Ty byłaś dla mnie taką więzią, więc chyba właśnie tym się kierowałam. Po prostu próbowałam się uchronić przed większą rozpaczą.

Mimo to jestem pewna, że Twój program nadal jest wspaniały. Słyszałam, że wciąż tańczysz na początku niektórych odcinków, ale z czasem zaczęłam to doceniać. To chyba jedna z największych oznak tego, że człowiek dojrzał – umiejętność doceniania czegoś, co liczy się dla innych, nawet jeśli nie bardzo liczy się dla nas.

Chyba powinnam Ci opowiedzieć o zmianach, jakie zaszły w moim życiu. Umarł mój ojciec. Mam teraz dwadzieścia cztery lata. Skończyłam college, przez jakiś czas pracowałam w marketingu, a teraz mam własną firmę. Kwiaciarnię. Życiowe cele, do boju!

Poza tym mam męża i to nie jest Atlas.

I... mieszkam w Bostonie.

Wiem. Szok.

Kiedy po raz ostatni do Ciebie pisałam, miałam szesnaście lat. Byłam w naprawdę kiepskim stanie i bardzo martwiłam się o Atlasa. Już się o niego nie martwię, ale znów jestem w kiepskim stanie. W gorszym niż poprzednio.

Przepraszam, że nie czuję potrzeby pisania do Ciebie, kiedy jestem w formie. Zwykle widzisz tylko główną stronę mojego życia, ale od czego ma się przyjaciół, prawda?

Nawet nie wiem, jak zacząć. Nic ci nie wiadomo o moim obecnym życiu ani o moim mężu Ryle'u. Mamy taki zwyczaj, że gdy jedno z nas mówi „naga prawda”, drugie musi być brutalnie szczerze i mówić to, co naprawdę myśli.

No więc... naga prawda.

Przygotuj się.

Kocham mężczyznę, który mnie krzywdzi. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że ktoś taki jak ja do tego dopuścił.

Dorastając, często się zastanawiałam, co się dzieje w głowie mojej mamy, gdy ojciec robi jej krzywdę. Jak może kochać człowieka, który ją bije. Regularnie. I regularnie obiecuje, że nigdy więcej tego nie zrobi. A potem znowu ją bije.

To okropne, ale teraz ją rozumiem.

Od ponad czterech godzin siedzę na kanapie Atlasa, próbując dojść do ładu z własnymi uczuciami. Nie potrafię ich uchwycić. Nie potrafię ich pojąć. Nie wiem, jak przepracować to, co we mnie siedzi. I gdy wróciłam myślami do przeszłości, uświadomiłam sobie, że chyba powinnam przelać je na papier. Przepraszam, Ellen. Ale musisz się przygotować na wielką falę rzygów.

Gdybym miała z czymś porównać to uczucie, porównałabym je ze śmiercią. Nie ze śmiercią jako taką, ale ze śmiercią tego konkretnego człowieka. Człowieka, który jest ci bliższy niż ktokolwiek inny na świecie. Człowieka, którego śmierci nie jesteś w stanie nawet sobie wyobrazić, bo doprowadza cię to do łez.

To właśnie takie uczucie. Jakby Ryle umarł.

Astronomiczna ilość smutku. Ogrom bólu. Poczucie, że straciłam najlepszego przyjaciela, kochankę, męża, linię łączącą mnie z życiem. Z tą różnicą, że inaczej niż w wypadku śmierci, towarzyszy temu inna emocja.

Nienawiść.

Ellen, jestem na niego wściekła. Nie sposób wyrazić słowami, jak bardzo go nienawidzę.

A jednak jakimś cudem w samym środku tej całej nienawiści zaczyna się racjonalizowanie. Myślę na przykład: nie powinnam była trzymać tego magnesiku. Od razu powinnam mu była powiedzieć o tatuażu. Nie powinnam była przechowywać tych pamiątek.

Racjonalizowanie jest w tym wszystkim najgorsze. Pożera mnie po kawałku, odbierając siłę, którą daje nienawiść. Racjonalizowanie zmusza mnie do wyobrażania sobie naszej wspólnej przyszłości i wmawiania sobie, że mogłabym zapobiec tym jego atakom gniewu. Nigdy więcej go nie zdradzę. Nigdy więcej nie będę miała przed nim sekretów. Nigdy nie dam mu powodu, żeby znowu tak zareagował. Od tej pory obydwójce będziemy musieli po prostu bardziej się starać.

Na dobre i na złe, prawda?

Wiem, że takie same myśli przepływały kiedyś przez głowę mojej matki. Ale różnica między nami dwiema polega na tym, że ona miała więcej powodów do zmartwienia. Nie miała stabilności finansowej, którą mam ja. Nie miała środków, które pozwoliłyby jej odejść i zapewnić mi takie warunki życia, jakie uważała za przyzwoite. Nie chciała zabierać mnie od ojca, skoro przywykłam do mieszkania z obojgiem rodziców. Mam wrażenie, że parę razy racjonalizowanie naprawdę skopało jej tylek.

Nie potrafię nawet zacząć myśleć o tym, że będę miała dziecko z tym człowiekiem. Noszę w sobie ludzką istotę, którą razem stworzyliśmy. I bez względu na to, którą możliwość wybiorę – zostać czy odejść – żadna z nich nie będzie idealna dla mojego dziecka. Dorastać w rozbitej rodzinie czy w rodzinie, w której panuje przemoc? Już teraz zawiodłam to dziecko, a wiem o jego istnieniu dopiero jeden dzień.

Ellen, szkoda, że nie możesz mi odpisać. Szkoda, że nie możesz mi teraz powiedzieć czegoś zabawnego, bo bardzo, bardzo tego potrzebuję. Nigdy nie czułam się taka samotna. Taka zalamana. Taka zła. Taka skrzywdzona.

Ludzie będący świadkami takich sytuacji często się zastanawiają, dlaczego kobieta wraca do swojego oprawcy. Czytałam gdzieś, że osiemdziesiąt pięć procent kobiet wraca do roli ofiary. To było, zanim zdałam sobie sprawę, że sama jestem ofiarą przemocy. Gdy poznałam te dane, pomyślałam, że te kobiety są głupie i słabe. Co najmniej raz pomyślałam tak o własnej matce.

Ale czasami kobiety wracają po prostu dlatego, że kochają. Kocham mojego męża, Ellen. Kocham go z wielu powodów. Żałuję, że stłumienie uczuć do człowieka, który mnie krzywdzi, nie jest takie proste, jak mi się kiedyś wydawało. Powstrzymanie serca od wybaczenia komuś, kogo kochasz, jest tak naprawdę o wiele trudniejsze niż samo wybaczenie.

Stałam się daną statystyczną. Teraz inni, znając moją obecną sytuację, pomyśleliby o mnie to samo, co kiedyś myślałam o takich kobietach jak ja.

„Jak może go kochać po tym, co jej zrobił? Jak może w ogóle myśleć o powrocie do niego?”

To smutne, że właśnie takie myśli jako pierwsze przychodzą nam do głowy, kiedy dowiadujemy się, że ktoś jest ofiarą przemocy. Czy nie powinniśmy być bardziej zdegustowani oprawcami niż kobietami, które nadal ich kochają?

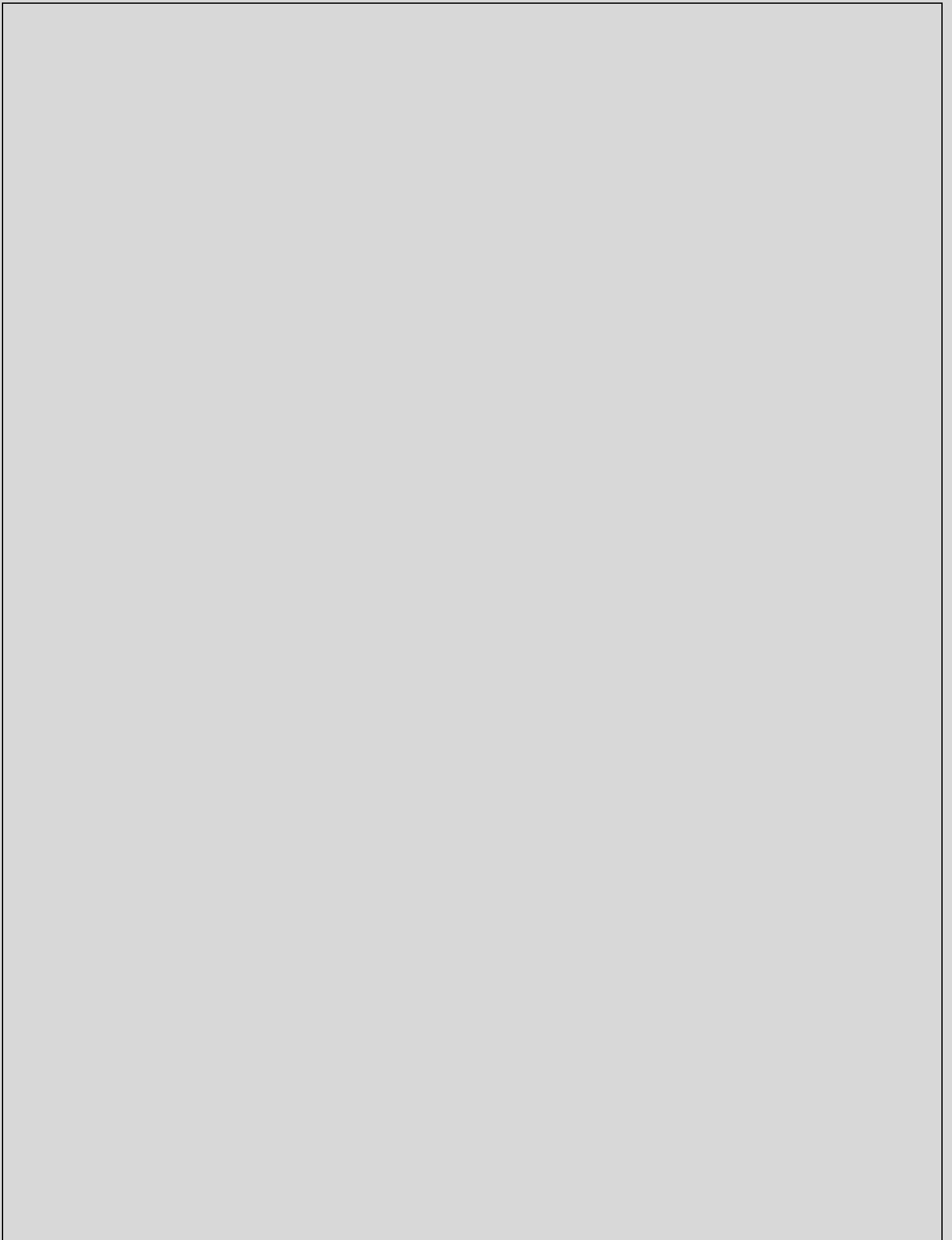
Myślę o wszystkich osobach, które były kiedyś w takiej sytuacji jak ja. O wszystkich, którzy będą w niej po mnie. Czy doznawszy przemocy ze strony ukochanych ludzi, wszystkie powtarzamy w myślach te same słowa? „Na dobre i na złe, w dostatku i biedzie, w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Może nie należy traktować tej przysięgi tak dosłownie, jak traktują ją niektóre żony.

Na dobre i na złe?

Pieprzyć te bzdury.

Lily



Rozdział dwudziesty szósty

Leżę na łóżku w pokoju gościnnym Atlasa, wpatrując się w sufit. To normalne łóżko, całkiem wygodne. Mimo to czuję się jak na łóżku wodnym. Albo może na tratwie dryfującej po morzu. I stawiam czoło ogromnym falom, z których każda przynosi coś innego. Niektóre smutek. Inne złość. Jeszcze inne łzy. Albo sen.

Od czasu do czasu kładę ręce na brzuchu i nadpływa maleńka fala miłości. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że już teraz tak bardzo kocham to dziecko, ale naprawdę czuję tę miłość. Zastanawiam się, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka i jak mu dam na imię. Zastanawiam się, czy będzie podobne do mnie czy do Ryle'a. A potem nadciąga kolejna fala gniewu i zalewa tę maleńką falę miłości.

Czuję się ograbiona z radości, która powinna towarzyszyć kobiecie na wieść o ciąży. Czuję się tak, jakby Ryle pozbawił mnie jej wczoraj wieczorem. To kolejny powód, dla którego go nienawidzę.

Nienawiść jest wyczerpująca.

Dźwigam się z łóżka i idę pod prysznic. Większość dnia spędziłam w pokoju. Atlas przyjechał kilka godzin temu i słyszałam, jak w pewnym momencie otwiera drzwi, żeby do mnie zajrzeć, ale udałam, że śpię.

Czuję się tu niezręcznie. To właśnie przez Atlasa Ryle tak się na mnie wczoraj zdenerwował, a mimo to kiedy potrzebowałam pomocy, uciekłam właśnie do Atlasa. Pobyt w jego domu przepełnia mnie poczuciem winy. Może nawet czuję odrobinę wstydu, jakby to, że zadzwoniłam do Atlasa, uzasadniało złość Ryle'a. Ale w tym momencie dosłownie nie mam dokąd pójść. Potrzebuję paru dni, żeby wszystko przemyśleć, a gdybym poszła do hotelu, Ryle mógłby mnie namierzyć, śledząc transakcje na karcie kredytowej.

Znalazłby mnie u mamy. U Allysy. U Lucy. Parę razy widział się nawet z Devinem i z całą pewnością do niego też by zajrzał.

Nie wyobrażam sobie jednak, że miałby szukać Atlasa. Na razie. Jestem pewna, że gdybym przez tydzień nie odpowiadała na jego telefony i esemesy, zaczęłby mnie szukać wszędzie, gdzie tylko można. Ale na razie raczej się tu nie zjawi.

Może dlatego tu jestem. Czuję się tu bezpieczniej niż gdziekolwiek, gdzie mogłabym pójść. Poza tym Atlas ma w domu alarm, a to też się liczy.

Spoglądam na szafkę nocną, na której leży mój telefon. Pomijam wszystkie nieprzeczytane wiadomości od Ryle'a i otwieram esemesa od Allysy.

Allysa: Cześć, ciociu Lily! Dzisiaj wieczorem wypuszczają nas do domu. Wpadnij nas odwiedzić jutro po pracy.

Dołączyła swoje zdjęcie z Rylee i na jego widok się uśmiecham. A potem płaczę. Do diabła z tymi emocjami.

Czekam, aż przestaną mi płynąć łzy, i idę do salonu. Atlas siedzi przy stole w kuchni i stuka w klawiaturę laptopa. Na mój widok uśmiecha się i zamyka komputer.

– Cześć.

Zmuszam się do uśmiechu, a potem zaglądam do kuchni.

– Masz coś do jedzenia?

Od razu wstaje.

– Jasne – mówi. – Siadaj. Coś ci przygotuję.

Zajmuję miejsce na kanapie, a on zaczyna się krzątać. Telewizor jest włączony, ale bez głosu. Włączam dźwięk i zaglądam do listy nagranych programów. Ma ich kilka, ale mój wzrok przykuwa *The Ellen DeGeneres Show*. Uśmiecham się i wybieram najświeższy nieobejrzany odcinek.

Atlas przynosi mi talerz makaronu i szklanę wody z lodem. Spogląda na telewizor i siada obok mnie.

Przez następne trzy godziny oglądamy odcinki z całego tygodnia. Sześć razy śmieję się na głos. To miłe uczucie, ale kiedy robię sobie przerwę na pójście do łazienki i wracam do salonu, ciężar ostatnich wydarzeń znowu zaczyna mnie przygniatać.

Zajmuję miejsce obok Atlasa. Siedzi rozparty, opierając nogi na stoliku do kawy. Zupełnie naturalnie opieram się o niego, a on, całkiem jak wtedy, kiedy byliśmy nastolatkami, przytula mnie do piersi. Potem siedzimy w milczeniu. Głaszcze mnie kciukiem po ramieniu, a ja wiem, że to jego bezgłośny sposób na powiedzenie, że jest przy mnie. Że mi współczuje. I po raz pierwszy, odkąd wczoraj wieczorem po mnie przyjechał, czuję, że mam ochotę o tym pogadać. Moja głowa spoczywa na jego ramieniu, a ręce na moich kolanach. Obracam w palcach sznurek spodni, które są na mnie o wiele za duże.

– Atlas? – mówię ledwie dosłyszalnym szeptem. – Przepraszam, że wtedy, w restauracji, tak się na ciebie rozżościłam. Miałaś rację. W głębi serca wiedziałam, że masz rację, ale nie chciałam tego przyznać. – Podnoszę głowę i spoglądam na niego z żalnym uśmiechem. – Teraz możesz powiedzieć: „A nie mówiłem?”

Marszczy brwi, jakby moje słowa jakoś go zraniły.

– Lily, to nie jest sprawa, w której chciałbym mieć rację. Codziennie się modliłem, żebym się co do niego mylił.

Krzywię się. Nie powinnam była tak mówić. Dobrze wiem, że Atlas nigdy nie powiedziałaby niczego takiego jak: „A nie mówiłem?”

Ścisza mnie za ramię i się przysuwa, żeby pocałować mnie w czoło. Zamykam oczy, chłonąc znajome ciepło. Jego zapach, jego dotyk, jego kojącą obecność. Nigdy nie rozumiałam, jak można być tak twardym i jednocześnie kojącym. Ale Atlas zawsze taki dla mnie był. Jakby potrafił wszystko przetrzymać, a mimo to czuł ciężar niesiony przez innych.

Nie podoba mi się, że nigdy nie byłam w stanie całkiem o nim zapomnieć, bez względu na to, jak bardzo się starałam. Myślę o tym, jak pokłóciłam się z Ryle'em o jego numer telefonu. A potem o magnesik, artykuł, wpisy w moim pamiętniku, tatuaż. Nic takiego by się nie stało, gdybym po prostu zapomniała o Atlasie i to wszystko wyrzuciła. Ryle nie miałby powodu, żeby się na mnie denerwować.

Po tej myśli chowam twarz w dłoniach, przygębiona tym, że jakaś część mnie nadal próbuje usprawiedliwić reakcję Ryle'a moimi niezamkniętymi relacjami z Atlasem.

A nie ma żadnego usprawiedliwienia. Żadnego.

To po prostu kolejna fala, z którą muszę się zmierzyć. Fala totalnej dezorientacji.

Atlas wyczuwa zmianę mojego nastroju.

– Dobrze się czujesz?

Nie.

Nie czuję się dobrze, bo aż do tej chwili nie miałam pojęcia, jak bardzo jestem zraniona, że Atlas do mnie nie wrócił. Gdyby po mnie przyjechał, tak jak obiecał, nigdy nie poznałabym Ryle'a. I nigdy nie znalazłabym się w tej sytuacji.

Tak. Zdecydowanie mam mętlik w głowie. Jak w ogóle mogę winić za to wszystko Atlasa?

– Chyba powinnam już iść spać – mówię cicho, odsuwając się od niego.

Wstaję i Atlas podnosi się w ślad za mną.

– Jutro przez większość dnia mnie nie będzie – mówi. – Zastanę cię, kiedy wrócę?

Słyszac to pytanie, wzdrygam się. Oczywiście, chce, żebym się wyniosła i poszukała sobie innego miejsca. Co ja tu w ogóle jeszcze robię?

– Nie, nie, poszukam jakiegoś hotelu, nie ma sprawy.

Kieruję się w stronę korytarza, ale kładzie mi rękę na ramieniu.

– Lily – mówi, odwracając mnie. – Nie prosiłem, żebyś sobie poszła. Upewniałem się tylko, czy nadal tu będziesz. Chcę, żebyś została, jak długo potrzebujesz.

Patrzy na mnie szczerze i gdybym nie uznała, że mogłoby to wypaść trochę niestosownie, zarzuciłabym mu rękę na szyję. Bo jeszcze nie jestem gotowa, żeby odejść. Potrzebuję paru kolejnych dni, zanim zadecyduję, jaki będzie mój następny krok.

Kiwam głową.

– Jutro muszę na kilka godzin pójść do pracy – mówię. – Powinnam się zająć pewnymi sprawami. Ale jeśli rzeczywiście nie masz nic przeciwko, chciałabym u ciebie zostać jeszcze kilka dni.

– Nie mam nic przeciwko, Lily. Chciałbym, żebyś została.

Zmuszam się do uśmiechu, a potem idę do pokoju gościnnego. Jak dobrze, że Atlas zapewnia mi bufor, zanim będę musiała stawić czoło sytuacji.

I choć na razie nie bardzo wiem, co myśleć o jego obecności w moim życiu, jestem mu ogromnie wdzięczna.

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy sięgam w stronę klamki, drży mi ręka. Jeszcze nigdy nie bałam się wejść do własnej kwaciarni – z drugiej strony jeszcze nigdy nie miałam ku temu powodów.

Wewnątrz jest ciemno, więc wstrzymuję oddech i włączam światło. Powoli idę do biura i ostrożnie otwieram drzwi.

Ryle'a nigdzie nie ma, a jednak jest wszędzie.

Siadając przy biurku, włączam telefon pierwszy raz od poprzedniego wieczoru. Chciałam się porządnie wyspać i nie zastanawiać się, czy Ryle próbuje się ze mną skontaktować.

Kiedy komórka się włącza, przychodzi dwadzieścia dziewięć esemesów od Ryle'a. Tak się składa, że do takiej samej liczby drzwi pukał w ubiegłym roku, szukając mojego mieszkania.

Co za ironia. Nie wiem, czy śmiać się czy płakać.

Reszta dnia upływa mi podobnie. Zerkam przez ramię i patrzę na drzwi za każdym razem, kiedy ktoś je otwiera. Zastanawiam się, czy Ryle nieodwracalnie mnie zniszczył. Czy ten strach kiedykolwiek mnie opuści.

Przez pół dnia nie próbuje się ze mną skontaktować ani razu, a ja nadrabiam zaległości w papierkowej robocie. Allysa dzwoni do mnie po lunchu i poznaję po jej głosie, że nie ma pojęcia, co wydarzyło się między mną a Ryle'em. Pozwalam jej chwilę opowiadać o dziecku, a potem udaję, że mam klienta, i się rozłączam.

Zamierzam wyjść z pracy po powrocie Lucy z przerwy na lunch. Zostało jeszcze pół godziny.

Trzy minuty później do kwaciarni wchodzi Ryle.

W środku nie ma nikogo oprócz mnie.

Na jego widok truchleję. Stoję za ladą, trzymając rękę na kasie, bo tuż obok leży zszywacz. Jestem pewna, że zszywacz nie wyrządziłby wielkiej krzywdy rękom neurochirurga, ale muszę korzystać z tego, co mam.

Powoli podchodzi do lady. Widzę go po raz pierwszy od tamtego wieczoru, od chwili, w której leżał na mnie w naszym łóżku. Całe moje ciało natychmiast wraca do tego momentu i zalewają mnie te same emocje co wtedy. Kiedy Ryle dociera do lady, czuję gwałtowny przypływ strachu zmieszanego ze złością.

Podnosi rękę i kładzie przede mną klucze. Patrzę na nie.

– Dzisiaj wieczorem lecę do Anglii – mówi. – Nie będzie mnie trzy miesiące. Zapłaciłem rachunki, żebyś nie musiała się nimi przejmować pod moją nieobecność.

Mówi opanowanym tonem, ale widzę żyły w jego szyi, świadczące o tym, że to opanowanie wymaga od niego mnóstwa energii.

– Potrzebujesz czasu. – Głośno przelyka ślinę. – A ja chcę ci go dać. – Krzywi się i przesuwając klucze do mieszkania w moją stronę. – Wróć do domu, Lily. Nie będzie mnie tam. Obiecuję.

Odwraca się i rusza w stronę drzwi. Uświadamiam sobie, że nawet nie próbował przeprosić. Nie jestem zła z tego powodu. Rozumiem to. Wie, że przeprosiny nie cofną tego, co zrobił. Wie, że w tej sytuacji najlepiej nam zrobi rozłąka.

Wie, że popełnił ogromny błąd... mimo to czuję potrzebę, by zatopić nóż trochę głębiej.

– Ryle.

Spogląda na mnie w taki sposób, jakby stawiał między nami tarczę. Nie odwraca się do końca i sztywno czeka na to, co mam do powiedzenia. Wie, że moje słowa go zranią.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – pytam.

Patrzy na mnie w milczeniu, czekając na odpowiedź.

– Kiedy znalazłeś mój pamiętnik, wystarczyło poprosić o nagą prawdę. Byłabym z tobą szczerą. Ale nie poprosiłeś. Wolałeś nie prosić mnie o pomoc, a teraz obydwójce musimy do końca życia cierpieć z powodu konsekwencji twoich działań.

Krzywi się przy każdym słowie.

– Lily – mówi, odwracając się do mnie.

Podnoszę rękę, żeby nic więcej nie powiedział.

– Nie. Teraz możesz już iść. Baw się dobrze w Anglii.

Widzę, że toczy wewnętrzną walkę. Wie, że w tej chwili niczego nie wskóra, bez względu na to, jak bardzo chce mnie błagać o przebaczenie. Wie, że jedyne, co mu pozostaje, to odwrócić się i wyjść, mimo że to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę.

Kiedy wreszcie opuszcza kwiaciarnię, biegnę zamknąć drzwi. Osuwam się na podłogę i obejmuję kolana, wtulając w nie twarz. Trzęsę się tak bardzo, że szczękam zębami.

Nie mogę uwierzyć, że rośnie we mnie część tego człowieka. I nie mogę uwierzyć, że pewnego dnia będę musiała mu o tym powiedzieć.

Rozdział dwudziesty ósmy

Po wizycie Ryle'a zastanawiałam się, czy nie wrócić do mieszkania. Podjechałam nawet taksówką pod budynek, ale nie mogłam się zmusić, żeby z niej wysiąść. Wiedziałam, że jeśli dzisiaj wrócę, w pewnym momencie spotkam się z Allyszą. Nie jestem gotowa jej tłumaczyć, skąd wzięły się szwy na moim czole. Nie jestem gotowa zobaczyć kuchni, w której chlastały mnie ostre słowa Ryle'a. Nie jestem gotowa wejść do sypialni, w której przeżyłam najgłębszą rozpacz.

Dlatego zamiast wrócić do domu, pojechałam taksówką do Atlasa. Mam wrażenie, że to teraz moja jedyna strefa bezpieczeństwa. Kiedy się tu ukrywam, nie muszę się z niczym konfrontować.

Atlas przysłał mi dzisiaj już dwa esemesy, żeby sprawdzić, jak sobie radzę, więc kiedy kilka minut przed dziewiętnastą dostaję kolejną wiadomość, zakładam, że jest od niego. Ale nie. Pisze do mnie Allysa.

Allysa: Wróciłaś już z pracy? Wpadnij do nas z wizytą, już się nudzę.

Kiedy czytam tego esemesa, serce ścisza mi się w piersi. Allysa nie ma pojęcia, co zaszło między mną a jej bratem. Zastanawiam się, czy Ryle w ogóle jej wspomniał, że leci dziś do Anglii. Mój kciuk wystukuje litery, wymazuje je i znowu wystukuje, gdy szukam dobrej wymówki, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność.

Ja: Nie mogę. Jestem na pogotowiu. Uderzyłam się głową o tę półkę w składziku. Zakładają mi szwy.

Jestem na siebie wściekła, że ją okłamuję, ale dzięki temu nie będę musiała się tłumaczyć z rany na głowie i z tego, że nie ma mnie w domu.

Allysa: O nie! Jesteś sama? Ryle wyjechał, więc Marshall może tam podskoczyć i przy tobie posiedzieć.

Okej, zatem wie, że Ryle poleciał do Anglii. To dobrze. I myśli, że u nas wszystko w porządku. To też dobrze. Mam co najmniej trzy miesiące, zanim będę musiała wyjawić jej prawdę.

Spójrz na siebie: zamiatasz brudy pod dywan całkiem jak twoja matka.

Ja: Nie, wszystko w porządku. Skończą, zanim Marshall zdąży przyjechać. Wpadnę jutro po pracy. Ucałuj ode mnie Rylee.

Blokuję telefon i kładę go na łóżku. Za oknem jest już ciemno, więc od razu zauważam światła reflektorów, kiedy ktoś wjeżdża na podjazd. Wiem, że to nie Atlas, bo on korzysta z drugiego podjazdu i parkuje w garażu. Serce zaczyna mi galopować i nagle ogarnia mnie strach. Czy to Ryle? Dowiedział się, gdzie mieszka Atlas?

Po chwili rozlega się głośne pukanie do drzwi. A raczej walenie. Jednocześnie słychać dzwonek.

Podchodzę na paluszkach do okna i tylko nieznacznie odchylam zasłonę, żeby spojrzeć na zewnątrz. Nie widzę, kto jest przed drzwiami, ale na podjeździe stoi furgonetka. Nie należy do Ryle'a.

Może to dziewczyna Atlasa? Cassie?

Łapię telefon i idę do salonu. Cały czas słychać łomotanie do drzwi przeplatane

dźwiękiem dzwonka. Ktokolwiek tam jest, wydaje się nedorzecznie zniecierpliwiony. Jeśli to Cassie, już teraz sprawia wrażenie skrajnie irytującej.

– Atlas! – woła jakiś facet. – Otwórz te cholerne drzwi!

– Jaja mi zamarzają! – krzyczy inny głos, także należący do mężczyzny. – Zmieniły się w rodzinę, chłopie, otwieraj!

Przed otwarciem drzwi i oznajmieniem im, że Atlasa nie ma w domu, piszę do niego esemesa, mając nadzieję, że już wkrótce się pojawi i sam to załatwi.

Ja: Gdzie jesteś? Przed twoimi drzwiami stoją dwaj faceci i nie mam pojęcia, co im powiedzieć.

Czekam, dalej słuchając dzwonka i łomotania, ale Atlas nie odpisuje. W końcu podchodzę do drzwi. Przesuwam zasuwę i lekko je uchylam, choć nie zdejmuję łańcucha.

Jeden z mężczyzn jest wysoki, ma z metr osiemdziesiąt. Czarne włosy przyprószone siwizną kontrastują z chłopcęcą twarzą. Drugi jest o kilka centymetrów niższy, ma jasnobrązowe włosy i buzię niemal jak dziecko. Obaj wyglądają, jakby dobiegali trzydziestki albo byli tuż po. Twarz wysokiego wykrzywia się ze zdumienia.

– Ktoś ty? – pyta, zaglądając do środka.

– Lily. A wy?

Ten niższy przepycha się naprzód.

– Jest Atlas?

Nie chcę im mówić, że go nie ma, bo wtedy będą wiedzieli, że jestem tu sama. A w tym tygodniu raczej nie mam zaufania do facetów.

Dzwoni telefon w mojej ręce i wszyscy troje podskakujemy. To Atlas. Odbieram i przysuwam komórkę do ucha.

– Halo?

– Lily, wszystko w porządku, to tylko moi kumple. Zapomniałem, że jest piątek, a w piątek zawsze gramy w pokera. Zaraz do nich zadzwonię i odwołam spotkanie.

Patrzę na tych dwóch. Stoją i przyglądają mi się bez słowa. Czuję się niezręcznie, że Atlas zamierza zmienić swoje plany tylko dlatego, że u niego pomieszkuję. Zamykam drzwi, zdejmuję łańcuch, a potem znowu je otwieram, zapraszając ich do środka.

– Atlas, w porządku. Nie musisz zmieniać planów. I tak zaraz miałam się kłaskać.

– Nie, już jadę. Powiem, żeby poszli.

Nadal stoję z komórką przy uchu, kiedy ci dwaj wchodzi do salonu.

– Do zobaczenia wkrótce – mówię do Atlasa, a potem kończę połączenie. Atmosfera na chwilę robi się niezręczna, bo chłopaki przyglądają się mnie, a ja im.

– Jak macie na imię?

– Ja jestem Darin – mówi ten wysoki.

– A ja Brad – przedstawia się niższy.

– Lily – mówię, mimo że już to wiedzą. – Atlas niedługo przyjedzie.

Zamykam za nimi drzwi, a oni chyba trochę się rozluźniają. Darin wchodzi do kuchni i otwiera lodówkę.

Brad zdejmuje kurtkę i ją odwiesza.

– Lily, umiesz grać w pokera?

Wzruszam ramionami.

– Nie robiłam tego od kilku lat, ale kiedyś grałam z przyjaciółmi z college’u.

Obaj podchodzą do stołu w jadalni.

– Co ci się stało w głowę? – pyta Darin, siadając. Wypada to tak zwyczajnie, jakby nawet

nie przeszło mu przez myśl, że poruszył drażliwy temat.

Nie wiem, dlaczego nagle czuję, że muszę im powiedzieć nagą prawdę. Może po prostu chcę zobaczyć, jak zareagują inni ludzie, dowiadując się, że zrobił mi to mój własny mąż.

– To dzieło mojego męża. Pokłóciliśmy się dwa dni temu i walnął mnie głową. Atlas zawiózł mnie na pogotowie. Założyli mi sześć szwów i powiedzieli, że jestem w ciąży. Teraz się tu ukrywam, dopóki nie wymyślę, co robić.

Biedny Darin zastygł w połowie drogi na krzesło. Nie ma pojęcia, jak zareagować. Sądząc po jego minie, chyba jest przekonany, że mi odbiło.

Brad siada, pokazując na mnie.

– Powinnaś sobie kupić roller Rodan and Fields. Działa cuda na blizny.

Słyszając tę spontaniczną radę, wybucham śmiechem. O dziwo.

– Jezu, Brad! – oburza się Darin, opadając na krzesło. – Jesteś gorszy niż twoja żona i te jej zasrane techniki sprzedaży bezpośredniej. Przypominasz chodzącą reklamę.

Brad podnosi ręce w obronnym geście.

– No co? – pyta niewinnie. – Nie próbuję niczego sprzedać, po prostu jestem szczery. To działa. Wiedziałbyś o tym, gdybyś zaczął to stosować na swój pieprzony trądzik.

– Wal się – mówi Darin.

– Zupełnie jakbyś chciał na zawsze pozostać nastolatkiem – mamrocze Brad. – Po trzydziestce trądzik przestaje być fajny.

Brad siada obok Darina, a ten zaczyna tasować karty.

– Siadaj, Lily. Jeden z naszych kumpli postanowił zostać kretynem i w zeszłym tygodniu się ożenił, a teraz żona zabrania mu grać wieczorem w pokera. Możesz go zastąpić, dopóki nie dostanie rozwodu.

Miałam zamiar schować się dzisiaj wieczorem w pokoju, ale trudno odejść od tych dwóch typów. Siadam obok Brada i wyciągam rękę.

– Daj mi je – mówię do Darina. Tasuje jak jednorękie niemowlę.

Darin unosi brew i podsuwa mi talię. Nie znam się na grach karcianych, ale tasować potrafię jak zawodowiec.

Dzielę karty na dwie kupki i łączę je w jedną, przytrzymując końce kciukami i patrząc, jak się pięknie zazębiają. Darin i Brad wpatrują się w talię. Nagle znowu rozlega się pukanie. Tym razem drzwi natychmiast się otwierają i do środka wchodzi facet ubrany w tweedową marynarkę, która wygląda na bardzo drogą. Na szyi ma szalik i zaczyna go zdejmować, gdy tylko zamykają się za nim drzwi. Wchodząc do kuchni, kiwa głową w moją stronę.

– A ty to kto?

Jest starszy niż dwaj pozostali, ma jakieś czterdzieści pięć lat.

Atlas otacza się niesłuchanie ciekawymi ludźmi.

– To Lily – mówi Brad. – Wyszła za dupka i właśnie odkryła, że jest z nim w ciąży. Lily, to Jimmy. Jest nadęty i arogancki.

– Nadęty i arogancki to jedno i to samo, kretynie – mówi Jimmy. Siada obok Darina i kiwa głową w stronę kart w mojej dłoni. – Atlas cię tu sprowadził, żebyś spuściła nam łomot? Mało kto umie tak tasować karty.

Uśmiecham się i zaczynam rozdawać.

– Chyba będziemy musieli rozegrać partyjkę, żeby się dowiedzieć.

Gdy w końcu zjawia się Atlas, jesteśmy przy trzeciej rundzie zakładów. Zamyka za sobą drzwi i zdziwiony przygląda się naszej czwórce. Przed chwilą Brad powiedział coś zabawnego, więc kiedy wzrok Atlasa pada na mnie, akurat zwijam się ze śmiechu. Kiwa głową w stronę kuchni i rusza w tym kierunku.

– Pas – mówię, kładąc karty na stole, po czym wstaję, żeby pójść za nim.

Kiedy wchodzę do kuchni, stoi w miejscu, z którego nie mogą go zobaczyć chłopaki przy stole. Podchodzę do niego i opieram się o blat.

– Mam poprosić, żeby już poszli?

– Nie, nie rób tego. W zasadzie dobrze się bawię. Dzięki temu nie myślę o swoich sprawach.

Kiwa głową, a ja chcąc nie chcąc, zauważam, że pachnie ziołami. Konkretnie mówiąc, rozmarynem. Żałuję, że nie mogę zobaczyć go w akcji w jego restauracyjnej kuchni.

– Jesteś głodna? – pyta.

– Nie bardzo. Dwie godziny temu odgrzałam sobie makaron.

Trzymam się krawędzi blatu. Atlas podchodzi, kładzie dłoń na mojej i głaszcze ją kciukiem. Wiem, że to ma być tylko pokrzepiający gest, ale kiedy mnie dotyka, czuję coś znacznie więcej. W piersi wzbiera mi fala ciepła i natychmiast spuszczam wzrok na nasze ręce. Atlas na chwilę przestaje mnie głaskać, jakby też to poczuł. Odsuwa rękę i robi krok do tyłu.

– Przepraszam – mamrocze. Odwraca się do lodówki i udaje, że czegoś szuka. Od razu widać, że chce mi oszczędzić zakłopotania w związku z tym, co się przed chwilą stało.

Wracam do stołu i sięgam po karty, gotowa do następnej rundy. Parę minut później przychodzi Atlas i siada obok mnie. Jimmy rozdaje.

– No to powiedz nam, Atlas, skąd znasz Lily?

Atlas bierze po jednej karcie.

– Ocaliła mi życie, kiedy byliśmy dziećmi – mówi rzeczowo. Spogląda na mnie i puszcza oko, a ja tonę w poczuciu winy, czując, jak to mrugnięcie na mnie działa. I to w takim momencie. Dlaczego moje serce mi to robi?

– O, jakie to słodkie – mówi Brad. – Lily ocaliła ci życie, a teraz ty ocalasz życie Lily.

Atlas opuszcza karty i piorunuje go wzrokiem.

– Słucham?

– Spokojnie – mówi Brad. – Ja i Lily znamy się jak łyse konie. Ona wie, że żartuję. – Spogląda na mnie. – Lily, może i twoje życie jest teraz kompletnie do dupy, ale będzie lepiej. Wierz mi, przerabiałem to.

Darin się śmieje.

– Byłeś bity, w ciąży i ukrywałeś się w domu innego faceta? – pyta Brada.

Atlas rzuca karty na stół i gwałtownie odsuwa krzesło.

– Pogięło cię?! – krzyczy na Darina.

Wyciągam rękę i uspokajająco ściskam jego ramię.

– Spokojnie – mówię. – Zanim się zjawileś, zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. W zasadzie wcale mi nie przeszkadza, że żartują z mojej sytuacji. Naprawdę, dzięki temu mam wrażenie, że nie jest aż taka straszna.

Sfrustrowany przeczesuje włosy palcami.

– Nie rozumiem – mówi. – Przecież spędziłaś z nimi raptem dziesięć minut.

Śmieję się.

– W dziesięć minut można się o człowieku dużo dowiedzieć. – Staram się zmienić temat: – A wy skąd się znacie?

Darin się pochyla i pokazuje na siebie.

– Jestem zastępcą szefa kuchni w Bib's. – Następnie wskazuje na Brada. – On jest pomywaczem.

– Na razie – wtrąca Brad. – Pnę się w górę.

– A ty? – pytam Jimmy'ego.

– Zgadnij – mówi ze znaczącym uśmiechem.

Jego sposób ubierania się, a także fakt, że nazwano go aroganckim i nadętym, mogą oznaczać tylko jedno.

– Jesteś kierownikiem sali?

Atlas się śmieje.

– Właściwie to odprowadza samochody na parking.

Spoglądam na Jimmy'ego i unoszę brew. Rzuca na stół trzy żetony.

– To prawda – mówi. – Parkuję samochody w zamian za napiwki.

– Nie daj się zwieść – mówi Atlas. – Robi to tylko dlatego, że jest bogaczem i się nudzi.

Uśmiecham się. Przypominam sobie o Allysie.

– Zatrudniam taką dziewczynę. Pracuje z nudów. I w zasadzie jest najlepszą pracownicą, jaką mam.

– Się kurde wie – mamrocze Jimmy.

Wypada moja kolej, więc spoglądam na karty i rzucam na stół trzy żetony. Dzwoni telefon Atlasa. Wyjmuje go z kieszeni. Podbijam stawkę następnym żetonem, a Atlas odchodzi od stołu, żeby porozmawiać.

– Pas – mówi Brad, rzucając karty na stół.

Patrzę na korytarz, w którym pospiesznie zniknął Atlas. Zaczynam się zastanawiać, czy rozmawia z Cassie czy może w jego życiu jest ktoś inny. Wiem, jak zarabia na życie. Wiem, że ma co najmniej trzech przyjaciół. Jednak nie mam pojęcia o jego życiu uczuciowym.

Darin kładzie karty na stół. Kareta. Ja wykładam pokera i zgarniam wszystkie żetony. Darin jęczy.

– Cassie zazwyczaj nie przychodzi na wasze pokerowe wieczory? – pytam, próbując zdobyć więcej informacji o Atlasie. Informacji, o które sama za bardzo boję się spytać.

– Cassie? – mówi Brad.

Układam przed sobą wygraną i kiwam głową.

– Czy nie tak ma na imię jego dziewczyna?

Darin się śmieje.

– Atlas nie ma dziewczyny. Znam go od dwóch lat i nigdy nie wspomniał o żadnej Cassie. – Rozdaje karty, a ja staram się przyswoić właśnie usłyszane informacje. Kiedy Atlas wraca do pokoju, sięgam po dwie pierwsze karty.

– Hej, Atlas – zagaduje Jimmy – kim, do diabła, jest Cassie i jak to możliwe, że nigdy nam o niej nie wspomniałeś?

O cholera.

Jestem zażenowana. Mocniej ściskam karty w dłoniach i próbuję uniknąć wzroku Atlasa, ale wokół zapada taka cisza, że sprawa nie mogłaby być bardziej oczywista.

Atlas wpatruje się w Jimmy'ego. Jimmy wpatruje się w Atlasa. Brad i Darin wpatrują się we mnie.

Atlas zaciska usta, a po chwili mówi:

– Nie ma żadnej Cassie. – Spogląda mi w oczy. Trwa to tylko przez ułamek sekundy, jednak dostrzegam prawdę wymalowaną na jego twarzy.

Nigdy nie było żadnej Cassie.

Oklamał mnie.

– Słuchajcie. – Chrząka. – Powiniennem był odwołać nasze dzisiejsze spotkanie. Ten tydzień jest trochę... – Pociera usta dłonią.

Jimmy wstaje i ściska Atlasa za ramię.

– Za tydzień u mnie.

Atlas z wdzięcznością kiwa głową. Wszyscy trzej zaczynają zbierać karty i żetony. Brad z przeproszącą miną wyjmuję mi karty z dłoni, bo nie jestem w stanie się ruszyć i tylko kurczowo je trzymam.

– Lily, wspaniale było cię poznać – mówi.

Jakimś cudem znajduję w sobie siłę, żeby się uśmiechnąć i wstać. Ściskam ich wszystkich na pożegnanie, a kiedy zamykają się za nimi drzwi, zostaję sam na sam z Atlasem.

I nie ma z nami żadnej Cassie.

Cassie nigdy tu nie było, bo Cassie nie istnieje.

O co tu chodzi, do cholery?

Atlas nie ruszył się ze swojego miejsca przy stole. Ja też. Stoi z rękami splecionymi na piersi. Głowę ma lekko pochyloną, ale świdruje mnie wzrokiem.

Dlaczego mnie okłamał?

Kiedy natknęłam się na niego po raz pierwszy, ja i Ryle oficjalnie nie byliśmy jeszcze parą. Do diabła, gdyby tamtego wieczoru Atlas dał mi do zrozumienia, że mamy jakąś szansę, na pewno wybrałabym jego, a nie Ryle'a, którego na dobrą sprawę nie znałam.

Ale Atlas nic nie zrobił. Okłamał mnie, mówiąc, że od roku jest w związku. Dlaczego tak postąpił? Nie chciał, żebym myślała, że mogłoby nam się udać?

Może cały czas byłam w błędzie. Może nigdy mnie nie kochał i wiedział, że jeśli zmyśli tę całą Cassie, będę trzymała się od niego z daleka.

A jednak jestem tu. Pomieszkuję w jego domu. Spotykam się z jego przyjaciółmi. Jem jego jedzenie. Korzystam z jego prysznic.

Czuję, jak łzy zaczynają kłuć mnie w oczy, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest rozplakanie się w jego obecności. Okrążam stół i pospiesznie mijam Atlasa. Nie udaje mi się to, bo łapie mnie za rękę.

– Zaczekaj.

Zatrzymuję się, nadal patrząc w drugą stronę.

– Lily, porozmawiaj ze mną.

Stoi za moimi plecami i wciąż trzyma mnie za rękę. Wysuwam ją z jego dłoni i idę na drugi koniec salonu. Tam odwracam się gwałtownie i patrzę na niego, akurat gdy pierwsza łza spływa mi po policzku.

– Dlaczego nigdy po mnie nie wróciłeś?

Chyba był przygotowany na wszystko oprócz tego, co właśnie powiedziałam. Przeczesuje włosy palcami i podchodzi do kanapy. Siada. Powoli wypuszcza powietrze, żeby się uspokoić, a potem nieśmiało na mnie spogląda.

– Wróciłem, Lily.

Przestaję oddychać.

Stoję zupełnie nieruchomo, przyswajając sobie jego odpowiedź.

Wrócił po mnie?

Splata przed sobą dłonie.

– Po pierwszym okresie służby w piechocie morskiej pojechałem do Maine z nadzieją, że cię znajdę. Popytałem tu i tam i dowiedziałem się, do którego poszłaś college'u. Kiedy się tam zjawiłem, nie byłem pewny, czego się spodziewać, bo byliśmy wtedy dwojgiem zupełnie innych ludzi. Nie widzieliśmy się od czterech lat. Wiedziałem, że w tym czasie wiele się w nas zmieniło.

Czuję słabość w kolanach, więc podchodzę do fotela obok kanapy i siadam.

Wrócił po mnie?

– Przez cały dzień chodziłem po kampusie i cię szukałem. Wreszcie późnym popołudniem cię zobaczyłem. Siedziałas na dziedzińcu z grupą przyjaciół. Długo cię

obserwowałem, zbierając się na odwagę, żeby podejść. Śmiałaś się. Wyglądałaś na szczęśliwą. Emanowałaś energią, jakiej wcześniej u ciebie nie widziałem. Nigdy nie cieszyłem się z czyjegoś szczęścia tak jak tego dnia. Z samej świadomości, że wszystko u ciebie w porządku...

Na chwilę milknie. Przyciskam ręce do brzucha, bo czuję ból. Ból spowodowany tym, że był tak blisko, a ja nawet o tym nie wiedziałam.

– Ruszyłem w twoją stronę i wtedy ktoś do ciebie podszedł. Jakiś facet. Przyklęknął obok ciebie, a ty uśmiechnęłaś się na jego widok, zarzuciłaś mu ręce na szyję i go pocałowałaś.

Zamykam oczy. To był tylko chłopak, z którym chodziłam przez pół roku. Nie czułam do niego nawet ułamka tego, co do Atlasa.

Gwałtownie wypuszcza powietrze.

– Wyjechałem. Kiedy zobaczyłem, że jesteś szczęśliwa, przeżyłem coś najgorszego i jednocześnie najlepszego, co można przeżyć. Poza tym uważałem, że moje życie wciąż nie jest dla ciebie zbyt dobre. Nie miałem ci do zaoferowania nic oprócz miłości, a moim zdaniem zasługiwałaś na coś więcej. Następnego dnia znowu zaciągnąłem się do piechoty morskiej. A teraz... – Niemrawo podnosi rękę, jakby w jego życiu nie było niczego imponującego.

Chowam twarz w dłoniach, żeby chwilę pomyśleć. Cicho rozpaczam nad tym, co mogło się wydarzyć, a się nie wydarzyło. Nad tym, co dzieje się teraz. I nad tym, co jest niemożliwe. Moje palce przesuwają się w stronę tatuażu na ramieniu. Zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek będę w stanie wypełnić tę pustkę.

Czy Atlas kiedykolwiek czuł to samo, co czułam ja, robiąc sobie ten tatuaż – jakby z jego serca uszło całe powietrze?

Nadal nie rozumiem, dlaczego mnie okłamał, kiedy wpadliśmy na siebie w jego restauracji. Skoro naprawdę czuł do mnie to, co ja do niego, po co coś takiego powiedział?

– Dlaczego skłamałeś, że masz dziewczynę?

Pociera twarz dłonią, a gdy się odzywa, w jego głosie słychać żal.

– Powiedziałem tak, bo... tamtego wieczoru wydawałaś się szczęśliwa. Kiedy zobaczyłem, jak się z nim żegnasz, zabolowało mnie to jak cholera, ale jednocześnie poczułem ulgę, że tak dobrze ci się układa. Nie chciałem, żebyś się o mnie martwiła. Nie wiem... może byłem trochę zazdrosny. Nie mam pojęcia, Lily. Powiedziałem to i od razu tego pożałowałem.

Przykładam dłoń do ust. Moje myśli zaczynają pędzić równie szybko jak serce. Natychmiast myślę, co by było gdyby. Co by było, gdyby był ze mną szczery? Gdyby powiedział, co naprawdę czuje? Gdzie byśmy teraz byli?

Mam ochotę spytać dlaczego. Dlaczego o mnie nie walczył. Ale nie muszę zadawać tego pytania, bo już znam odpowiedź. Myślał, że daje mi to, czego pragnę, bo sam zawsze pragnął jedynie mojego szczęścia. I z jakiegoś głupiego powodu nie przestał uważać, że nie znajdę go u jego boku.

Troskliwy Atlas.

Im dłużej o tym myślę, tym trudniej mi oddychać. Myślę o Atlasie. O Ryle'u. O dzisiejszym wieczorze. O wieczorze dwa dni temu. To ponad moje siły.

Wstaję i idę do pokoju gościnnego. Biorę telefon, torebkę i wracam do salonu. Atlas wciąż siedzi w tym samym miejscu.

– Dzisiaj Ryle poleciał do Anglii – mówię. – Chyba powinnam wracać do domu. Mógłbyś mnie odwiedzić?

W jego oczach pojawia się smutek. Widząc to, nabieram przekonania, że podjęłam słuszną decyzję. Żadne z nas nie zakończyło tego rozdziału. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek go zakończymy. Wszystko wskazuje na to, że kończenie rozdziałów to mit, a przebywanie tutaj podczas analizowania ostatnich wydarzeń tylko pogorszy sprawę. Muszę unikać rzeczy, które

mieszają mi w głowie, a aktualnie moje uczucia do Atlasa znajdują się na szczycie listy rzeczy, które mieszają mi w głowie najbardziej.

Atlas zaciska usta, kiwa głową, wstaje i sięga po kluczyki.

Przez całą drogę milczymy. Atlas nie tylko mnie podwozi. Wjeżdża na parking i wysiada z samochodu.

– Poczuję się lepiej, jeśli pozwolisz się odprowadzić – mówi.

Kiwam głową, a potem znowu pogrążamy się w milczeniu, jadąc windą na siódme piętro. Idzie za mną aż do drzwi. Szukam klucza w torebce i nawet nie zdaję sobie sprawy, że trzęsą mi się ręce, dopóki trzecia próba włożenia klucza do zamka nie kończy się fiaskiem. Atlas spokojnie wyjmuję mi go z ręki i otwiera.

– Mam się upewnić, że w środku nikogo nie ma? – pyta.

Kiwam głową. Wiem, że nie zastanę tu Ryle'a, bo poleciał do Anglii, ale szczerze mówiąc, nadal trochę się boję wejść do środka sama.

Atlas wchodzi pierwszy i włącza światło. Idzie przez mieszkanie, pstrykając pozostałe włączniki i zaglądając do poszczególnych pomieszczeń. Kiedy wraca do salonu, wsuwa ręce do kieszeni marynarki. Bierze głęboki oddech.

– Lily – mówi – nie wiem, co teraz będzie.

Wie. Wie! Po prostu nie chce, żeby to się stało, bo obydwójce zdajemy sobie sprawę, jak bolesne są pożegnania.

Odwracam się od niego, bo jego spojrzenie przeszywa mnie na wskroś, kierując mi serce. Splatam ręce na piersi i spuszczam wzrok.

– Atlas, mam wiele spraw do przemyślenia. Wiele. I boję się, że jeśli będziesz obecny w moim życiu, nie zdołam sobie z tym poradzić. – Zbieram się w sobie i spoglądam mu w oczy. – Mam nadzieję, że nie czujesz się urażony, bo to komplement.

Przygląda mi się w milczeniu. Wcale nie wydaje się zaskoczony, widzę jednak, że chciałby mi wiele powiedzieć. Sama też chciałabym mu wiele powiedzieć, ale obydwójce wiemy, że rozmawianie o nas w tym momencie jest niestosowne. Mam męża. Jestem z nim w ciąży. A Atlas stoi w salonie w mieszkaniu, które ten mąż mi kupił. To raczej nie najlepsze warunki do rozmawiania o sprawach, o których powinniśmy byli porozmawiać już dawno temu.

Przez chwilę patrzy na drzwi, jakby próbował zdecydować, czy wyjść, czy coś powiedzieć. Widzę, jak drga mu mięsień dolnej szczęki.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, chcę, żebyś do mnie zadzwoniła – mówi. – Ale tylko w nagłym wypadku. Nie jestem w stanie traktować cię jak zwykłą znajomą, Lily.

Jego słowa mnie zaskakują, lecz tylko na chwilę. Nie spodziewałam się, że to wyzna, ale ma całkowitą rację. Nigdy nie łączyła nas zwyczajna znajomość. W grę wchodzi wszystko albo nic. To dlatego zerwał ze mną kontakt, zaciągając się do wojska. Wiedział, że nigdy nie będziemy zwyczajnymi przyjaciółmi. To byłoby zbyt bolesne.

Wygląda na to, że nadal tak jest.

– Żegnaj, Atlas.

Gdy to mówię, zbiera mi się na płacz prawie tak samo jak za pierwszym razem. Atlas się krzywi i rusza do drzwi. Gdy znika, zamykam je na zamek, a potem przyciskam do nich czoło.

Dwa dni temu zadawałam sobie pytanie, czy moje życie mogłoby wyglądać lepiej. Dzisiaj się zastanawiam, czy mogłoby wyglądać gorzej.

Nagle odskakuję, bo rozlega się pukanie. Odkąd Atlas wyszedł, minęło tylko kilka sekund, więc wiem, że to on. Otwieram i od razu wpadam w coś miękkiego. Atlas mocno, rozpaczliwie obejmuje mnie ramionami i przyciska usta do mojej skroni.

Zamykam oczy i wreszcie pozwalam, żeby popłynęły mi łzy. W ciągu ostatnich dwóch dni z powodu Ryle'a wylałam ich tyle, że nie mam pojęcia, skąd we mnie miejsce jeszcze na te dla Atlasa. Spływają mi po policzkach jak deszcz.

– Lily – szepcze Atlas, nadal mocno mnie przytulając. – Wiem, że to ostatnia rzecz, jaką chciałabyś teraz usłyszeć. Ale muszę to powiedzieć, bo zbyt wiele razy od ciebie odchodziłem, nie mówiąc tego, co naprawdę chciałem.

Odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć, a na widok łez zbliża ręce do moich policzków.

– Jeśli w przyszłości... jakimś cudem znowu będziesz w stanie się zakochać... zakochaj się we mnie. – Przyciska usta do mojego czoła. – Nadal lubię cię bardziej niż innych, Lily. To się nigdy nie zmienia.

Wypuszcza mnie i odchodzi, nie czekając na odpowiedź.

Gdy za nim zamykam, osuwam się na podłogę. Czuję, że moje serce ma ochotę się poddać. Wcale mu się nie dziwię. W ciągu dwóch dni dwukrotnie rozdzierał je ból.

I mam wrażenie, że upłynie dużo czasu, zanim zaczniesz dochodzić do siebie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Allysa opada na kanapę obok mnie i Rylee.

– Lily, tak bardzo za tobą tęsknię – mówi. – Zastanawiam się, czy nie przychodzić do pracy na parę dni w tygodniu.

Śmieję się, lekko zaszokowana jej słowami.

– Mieszkam w tym samym budynku co ty i widzimy się prawie codziennie. Jak możesz za mną tęsknić?

Wydyma usta i podciąga kolana pod brodę.

– No dobrze, to nie za tobą tęsknię. Tęsknię za pracą. I czasami zwyczajnie chcę się wyrwać z domu.

Od porodu minęło sześć tygodni, więc na pewno mogłaby już wrócić do kwaciarni. Ale szczerze mówiąc, nie przypuszczałam, że po urodzeniu Rylee Allysa będzie chciała pracować. Pochylałam się i całuję małą w nosek.

– A będziesz przynosiła Rylee?

Allysa kręci głową.

– Nie, mam u ciebie za dużo roboty. Kiedy mnie nie będzie, zajmie się nią Marshall.

– Chcesz powiedzieć, że nie macie od tego ludzi?

Moje słowa docierają do uszu Marshalla, który właśnie przechodzi przez salon.

– Cii, Lily. Nie mów przy mojej córce jak rozpieszczona bogaczka. To bluźnierstwo.

Śmieję się. Właśnie dlatego wpadam do nich kilka razy w tygodniu – tylko wtedy się śmieję. Od wyjazdu Ryle’a minęło sześć tygodni. Nikt nie wie, co między nami zaszło. Wszyscy, łącznie z moją mamą, są przekonani, że po prostu poleciał na szkolenie w Cambridge i nic się między nami nie zmieniło.

Poza tym nikomu nie powiedziałam o ciąży.

Dwa razy byłam u lekarza. Okazuje się, że w dniu, w którym dowiedziałam się o dziecku, byłam już w trzecim miesiącu, więc teraz to osiemnasty tydzień. Nadal nie mogę się z tym oswoić. Od osiemnastego roku życia biorę pigułki. Widocznie kilka razy zapomniałam i takie są tego konsekwencje.

Ciąża robi się widoczna, ale na zewnątrz jest zimno, więc łatwo ją ukryć. Nikt niczego nie podejrzewa, kiedy masz na sobie szeroki sweter i kurtkę.

Wiem, że wkrótce powinnam komuś powiedzieć, ale czuję, że pierwszy powinien o tym usłyszeć Ryle, a nie chcę przekazywać mu takiej wiadomości przez telefon. Wraca za sześć tygodni. Jeśli do tego czasu jakimś cudem uda mi się zachować ciążę w tajemnicy, zastanowię się, co dalej.

Spoglądam na Rylee, a ona się do mnie uśmiecha. Robię głupie miny, żeby uśmiechała się jeszcze bardziej. Wiele razy chciałam powiedzieć Allysie o tym, że zostanę matką, ale sprawa nie jest prosta, bo próbuję to utrzymać w tajemnicy przed jej bratem. Nie chcę jej stawiać w trudnej sytuacji, ale dobija mnie, że nie mogę z nią porozmawiać.

– Jak sobie radzisz bez Ryle’a? – pyta Allysa. – Jesteś gotowa na jego powrót?

Kiwam głową, ale milczę. Staram się nie rozwijać tego tematu.

Allysa rozpiiera się na kanapie.

– Nadal podoba mu się w Cambridge? – pyta.

– Tak – mówię, pokazując Rylee język. Mała się uśmiecha. Zastanawiam się, czy moje dziecko będzie do niej podobne. Mam nadzieję, że tak. Jest naprawdę słodka, choć przecież mogę

być trochę nieobiektywna.

– Połapał się już w tamtejszej sieci metra? – pyta ze śmiechem Allysa. – Przysięgam, że za każdym razem, kiedy z nim rozmawiam, mówi, że zabłądził. Nie ma pojęcia, czy jeździć linią A czy linią B.

– No – mówię. – Poradził sobie.

Allysa siada prosto.

– Marshall!

Marshall wchodzi do salonu i Allysa bierze ode mnie Rylee. Podaje ją mężowi.

– Mógłbyś ją przewinać?

Nie wiem, dlaczego go o to prosi. Przed chwilą założyłam małej czystą pieluszkę.

Marshall marszczy nos i wyjmuję Rylee z rąk Allysy.

– Jesteś śmierdziuszką?

Mają na sobie jednocześnie piżamy w taki sam wzór.

Allysa łapie mnie za ręce i tak szybko podnosi z kanapy, że piszczę z zaskoczenia.

– Dokąd idziemy?

Nie odpowiada. Maszeruje do sypialni, a potem głośno zamyka za nami drzwi. Przez chwilę chodzi tam i z powrotem, a potem zatrzymuje się i spogląda mi w oczy.

– Lily, lepiej od razu mi powiedz, co się dzieje!

Odsuwam się zszokowana. O co jej chodzi?

Moja ręka od razu przysuwa się do brzucha. Może Allysa zauważyła ciążę. Tylko że ona wcale nie patrzy na mój brzuch. Robi krok w moją stronę i celuje we mnie palcem.

– W Cambridge nie ma metra, kretynko!

– Co? – Jestem zupełnie skołowana.

– Zmyśliłam to! – mówi. – Od dawna czułam, że coś jest między wami nie tak. Lily, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. I znam mojego brata. Rozmawiam z nim co tydzień, nie zachowuje się normalnie. Coś między wami zaszło i masz mi natychmiast powiedzieć, o co chodzi!

Cholera. Wygląda na to, że sytuacja rozwija się prędzej, niżbym chciała.

Powoli przykładam rękę do ust. Nie jestem pewna, co jej powiedzieć. Jak dużo jej powiedzieć. Aż do tej chwili nie miałam pojęcia, jak bardzo się męczę, nie mogąc się nikomu zwierzyć. Czuję niemal ulgę, że mnie przejrzała.

Podchodzę do łóżka i siadam.

– Allysa – szepczę. – Usiądź.

Wiem, że zaboli ją to prawie tak bardzo, jak zabolalo mnie. Podchodzi, siada obok i bierze mnie za rękę.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć.

Ścisną moje dłonie, ale milczy. Przez następne piętnaście minut wszystko jej opowiadam. Opowiadam jej o kłótni. O tym, jak przyjechał po mnie Atlas. O szpitalu. O ciąży.

Mówię jej, że przez ostatnie sześć tygodni codziennie zasypiam z płaczem, bo jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna i taka wystraszona.

Kiedy kończę, obie płacemy. Allysa cały czas milczała, od czasu do czasu powtarzając tylko: „Och, Lily”.

Ale nie oczekuję od niej niczego więcej. Ryle jest jej bratem. Wiem, chciałaby, żebym wzięła pod uwagę to, co przeszedł, tak jak poprzednim razem. Wiem, że chciałaby, żebyśmy się pogodzili, bo to jej brat. Powinniśmy być jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Doskonale wiem, co myśli.

Długo milczy, zmagając się ze wszystkim, co właśnie usłyszała. W końcu spogląda mi

w oczy i ściska moją rękę.

– Lily, mój brat cię kocha. Bardzo. Zmieniłaś całe jego życie i uczyniłaś go kimś, kim nigdy nie przypuszczałam, że mógłby być. Jako jego siostra bardziej niż czegokolwiek innego pragnęłabym, żebyś zdołała mu wybaczyć. Ale jako twoja przyjaciółka muszę ci powiedzieć, że jeśli przyjmiesz go z powrotem, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Dopiero po chwili dociera do mnie sens jej słów. Zaczynam płakać.

Allysa także.

Obejmuje mnie i płaczemy nad swoją miłością do Ryle'a. Płaczemy z powodu nienawiści, jaką teraz do niego czujemy.

Po kilku minutach tego rozklejania się Allysa wstaje, żeby przynieść opakowanie chusteczek z komody.

– Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam – mówię, gdy wycieramy oczy i wydymujemy nosy.

Kiwa głową.

– Wiem. A teraz zamierzam być najlepszą ciocią. – Wyciera nos i jeszcze raz nim pociąga, ale już z uśmiechem. – Lily. Będziesz miała dziecko. – Mówi to z radością, a ja tak się cieszę, że wreszcie mogę się z kimś podzielić swoim szczęściem z powodu ciąży. – Wolałam o tym nie wspominać, ale zauważyłam, że przybrałaś na wadze. Myślałam, że jesteś przygnębiona rozłąką z Ryle'em i dużo jesz.

Podchodzi do szafy i zaczyna wyjmować różne rzeczy.

– Mam dla ciebie mnóstwo ubrań ciążowych.

Zaczynamy oglądać ciuchy. Allysa wydobywa walizkę i ją otwiera. Wrzuca do niej ubrania, aż zaczynają wypadać na podłogę.

– Nie mogłabym nosić czegoś takiego – mówię, pokazując jej koszulkę z nieoderwaną jeszcze metką. – To ciuchy od projektantów. Ubrudzę je.

Allysa się śmieje i wrzuca je wszystkie do walizki.

– Mnie nie będą już potrzebne. Jeśli znowu zajdę w ciążę, poproszę moich ludzi, żeby kupili nowe. – Zdejmuje jakąś bluzkę z wieszaka i mi ją podaje. – Masz, przymierz.

Ściągam koszulkę i wkładam bluzkę przez głowę. Patrzę w lustro.

Wyglądam... jak kobieta w ciąży. W ciąży, której nie da się już ukryć.

Allysa kładzie mi rękę na brzuchu i razem wpatrujemy się w moje odbicie.

– Wiesz już, czy to chłopczyk, czy dziewczynka?

Kręcę głową.

– W zasadzie to nie chcę wiedzieć.

– Mam nadzieję, że dziewczynka – mówi. – Nasze córki będą mogły zostać najlepszymi przyjaciółkami.

– Lily?

Obie gwałtownie się odwracamy i widzimy Marshalla stojącego w drzwiach. Patrzy na mój brzuch. Na rękę Allysy, która nadal na nim spoczywa. Przechyla głowę. Pokazuje na mnie.

– Ej... – mówi skołowany. – Lily, masz... Zdajesz sobie sprawę, że jesteś w ciąży?

Allysa spokojnie podchodzi do drzwi i kładzie rękę na klamce.

– Jeśli chcesz, żebym nadal była twoją żoną, to przyjmij do wiadomości, że są sprawy, o których nigdy, przenigdy nie wolno ci rozmawiać. To jedna z takich spraw. Zrozumiano?

Marshall unosi brwi i odsuwa się o krok.

– Tak. Okej. Załapałem. Lily nie jest w ciąży. – Całuje Allyse w czoło i patrzy na mnie. – Nie gratuluję ci, Lily. Nie ma żadnego powodu. – Allysa wypycha go na korytarz i zamyka drzwi, a potem odwraca się do mnie.

– Musimy zaplanować baby shower – mówi.

– Nie. Najpierw muszę powiedzieć Ryle’owi.

Lekceważąco macha ręką, sięgając po laptopa.

– Nie jest nam potrzebny, żeby zaplanować imprezę. Po prostu na razie zachowamy ją w tajemnicy.

Po raz pierwszy, odkąd dowiedziałam się o ciąży, czuję się z jej powodu szczęśliwa.

Rozdział trzydziesty

To dość wygodne, że od apartamentu Allysy dzieli mnie tylko krótka jazda windą, bo czasami mam ochotę się wyrwać ze swojego mieszkania. Nadal dziwnie się tam czuję. Zanim Ryle poleciał do Anglii, spędziliśmy tam tylko tydzień. Nie zdążyłam poczuć się tam jak w domu, a teraz to miejsce jest już jakby skażone. Od tamtego wieczoru nie jestem w stanie wejść do sypialni, więc śpię w pokoju gościnnym na swoim starym łóżku.

O ciąży nadal wiedzą tylko Allysa i Marshall. Odkąd poznali prawdę, minęły dopiero dwa tygodnie, a zatem jestem teraz w dwudziestym tygodniu. Wiem, że powinnam powiedzieć mamie, ale Ryle wraca już za miesiąc. Oby tylko udało mi się jakoś ukryć przed nią brzuszek.

Pewnie byłoby najrozsądniej, gdybym po prostu do niego zadzwoniła i poinformowała go o ciąży przez telefon. Z mamą nie widziałam się od dwóch tygodni. To nasza najdłuższa przerwa, odkąd przeprowadziła się do Bostonu, więc jeśli wkrótce nic się nie wydarzy, mama z pewnością zjawi się pod moimi drzwiami, kiedy nie będę na to gotowa.

W ciągu tych dwóch tygodni mój brzuch zrobił się dwa razy większy. Jeśli zobaczy mnie ktoś, kto mnie dobrze zna, nie będę w stanie tego ukryć. Jak na razie nikt w kwiaciarni nie zadaje pytań. Chyba jestem jeszcze w fazie: „Czy ona jest w ciąży, czy tylko utyla?”

Zaczynam otwierać drzwi do mieszkania, ale ktoś otwiera je z drugiej strony. Zanim mam szansę naciągnąć kurtkę, żeby zasłonić brzuch, zatrzymuje się na nim spojrzenie Ryle’a. Mam na sobie jedną z koszulek od Allysy i nie sposób zaprzeczyć, że to odzież ciążowa.

Ryle.

Ryle tu jest!

Moje serce zaczyna tłuc o żebra. Czuję, że swędzi mnie szyja, więc przykładam do niej dłoń i wyczuwam dudnienie krwi.

Dudni, dlatego że boję się Ryle’a.

Dudni, dlatego że go nienawidzę.

Dudni, dlatego że za nim tęskniłam.

Powoli przesuwam wzrokiem od mojego brzucha do twarzy. Robi urażoną minę, jakbym właśnie go uderzyła. Odsuwa się i zasłania usta rękami.

Zdezorientowany zaczyna kręcić głową. Widzę, że czuje się zdradzony.

– Lily? – z trudem wykrztusza moje imię.

Stoję skamieniała, z jedną ręką na brzuchu i drugą nadal przy szyi. Za bardzo się boję, żeby się poruszyć albo cokolwiek powiedzieć. Nie chcę reagować, dopóki nie będę wiedziała, jak zareaguje Ryle.

Widząc strach w moich oczach i słysząc mój płytki oddech, uspokajająco podnosi rękę.

– Lily, nic ci nie zrobię. Przyszedłem po prostu porozmawiać. – Otwiera drzwi szerzej i wyciąga rękę w stronę salonu. – Popatrz. – Odsuwa się i mój wzrok zatrzymuje się na kimś, kto stoi za jego plecami.

Teraz to ja czuję się zdradzona.

– Marshall?

Marshall od razu podnosi ręce w obronnym geście.

– Lily, nie miałem pojęcia, że wróci wcześniej. Przysłał mi esemesa z prośbą o pomoc. Kazał obiecać, że nic nie powiem tobie ani Issie. Proszę, nie pozwól, żeby się ze mną rozwiodła. Jestem tylko niewinnym obserwatorem.

Kręcę głową, próbując zrozumieć, co się dzieje.

– Zaprosiłem go tutaj, żebyś czuła się pewniej, kiedy będziemy rozmawiać – mówi Ryle. – Jest tu dla ciebie, nie dla mnie.

Spoglądam na Marshalla, a on kiwa głową. Czuję się na tyle uspokojona, żeby wejść głębiej do mieszkania. Ryle nadal jest w szoku, czemu trudno się dziwić. Spogląda na mój brzuch, a potem szybko odwraca wzrok, jakby patrzenie na mnie sprawiało mu ból. Przeczesuje włosy palcami obu rąk, a potem pokazuje na korytarz.

– Będziemy w sypialni – zwraca się do Marshalla. – Jeśli usłyszysz, że... Jeśli zacznę krzyczeć...

Marshall wie, o co Ryle prosi.

– Nigdzie się nie wybieram.

Idąc za Ryle'em do sypialni, zastanawiam się, jakie to uczucie. Nie mieć pojęcia, co może cię wyprowadzić z równowagi ani jak okropnie zareagujesz. Nie mieć absolutnie żadnej kontroli nad własnymi emocjami.

Przez chwilę jest mi go trochę żal. Ale gdy moje spojrzenie pada na nasze łóżko i przypominam sobie tamten wieczór, wszelki żal natychmiast znika.

Ryle zamyka drzwi, ale nie do końca. Wygląda, jakby w ciągu tych dwóch miesięcy postarzał się o cały rok. Ma podkrążone oczy, zmarszczki na czole, jest przygarbiony. Gdyby skrucha przybrała ludzką postać, wyglądałaby tak jak on.

Znowu skupia spojrzenie na moim brzuchu i powoli robi krok w moją stronę. Potem drugi. Jest ostrożny – i słusznie. Nieśmiało wyciąga rękę, pytając, czy może mnie dotknąć. Lekko kiwam głową.

Robi jeszcze jeden krok i pewnie kładzie mi rękę na brzuchu.

Czuję przez bluzkę ciepło jego dłoni i natychmiast zamykam oczy. Mimo żalu, jaki zgromadził się w moim sercu, wciąż są w nim inne emocje. To, że ktoś cię krzywdzi, nie oznacza, że możesz tak po prostu przestać go kochać. To nie czyni sprawiąją najwięcej bólu, lecz miłość. Gdyby czynom nie towarzyszyła miłość, ból byłby trochę łatwiejszy do zniesienia.

Ryle przesuwając dłoń po moim brzuchu, a ja otwieram oczy. Kręci głową, jakby nie potrafił pojąć, co się dzieje. Patrzę, jak powoli pada przede mną na kolana.

Obejmuje mnie w talii, przyciska usta do brzucha. Kładzie dłonie na moim krzyżu i opiera się o mnie czołem.

Trudno opisać, co do niego w tej chwili czuję. Cudownie jest widzieć miłość, którą już w sobie ma dla tego dziecka – każda matka chciałaby takiej reakcji. Było mi ciężko, gdy nie mogłam się z nikim podzielić radością. I trudno nie dzielić się nią z Ryle'em, bez względu na żal, jaki do niego mam. Gdy mnie do siebie tuli, zanurzam dłonie w jego włosach. Z jednej strony mam ochotę na niego nakrzyczeć i wezwać policję, tak jak powinnam zrobić tamtego wieczoru. Z drugiej współczuję temu chłopczykowi, który trzymał w objęciach brata i patrzył, jak on umiera. Z jednej strony żałuję, że w ogóle go poznałam. Z drugiej chciałabym móc mu wybaczyć.

Odsuwa ode mnie ręce i opierając się na materacu, podnosi się z podłogi, a potem siada na łóżku. Kładzie łokcie na kolanach i zbliża ręce do ust.

Siadam obok niego, wiedząc, że musimy odbyć tę rozmowę, ale nie mając na nią ochoty.

– Naga prawda?

Kiwa głową.

Nie wiem, które z nas powinno zacząć. W tym momencie właściwie mam mu niewiele do powiedzenia, więc czekam, aż odezwie się pierwszy.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć, Lily. – Pociera twarz dłońmi.

– Może od: „Przepraszam, że się na ciebie rzuciłem”?

Spogląda mi w oczy z pełnym przekonaniem.

– Lily, nie masz pojęcia, jak mi przykro. Nie wyobrażasz sobie, przez co przechodziłem przez te dwa miesiące, mając świadomość, co ci zrobiłem.

Czuję, jak moje palce zaciskają się w pięść na kocu.

Nie mam pojęcia, przez co on przechodził?

Powoli kręcę głową.

– To ty nie masz pojęcia, Ryle.

Wstaję. Wzbiera we mnie złość połączona z nienawiścią. Odwracam się gwałtownie i celuję w niego palcem.

– To ty nie masz pojęcia! Nie masz pojęcia, jak to jest przechodzić przez to, co mi robisz! Wiesz, jak to jest bać się o swoje życie w obecności ukochanego człowieka? Wiesz, jak to jest, kiedy zbiera ci się na wymioty na samą myśl o tym, co ci zrobił? To ty nie masz pojęcia, Ryle! Nie masz pojęcia! Pierdol się! Niech cię szlag za to, co mi robisz!

Gwałtownie wciągam powietrze, zszokowana tym wybuchem. Złość wezbrała we mnie jak fala. Ocieram łzy i odwracam się od niego, nie będąc w stanie na niego patrzeć.

– Lily – mówi. – Ja wcale nie...

– Nie! – krzyczę, odwracając się z powrotem. – Jeszcze nie skończyłam! Nie powiesz swojej prawdy, dopóki ja nie powiem swojej!

Zaciska ręce na żuchwie, próbując się uspokoić. Spuszcza wzrok, bo nie jest w stanie na mnie patrzeć, kiedy emanuję taką wściekłością. Robię trzy kroki w jego stronę i padam na kolana. Kładę ręce na jego nogach, zmuszając go, żeby patrzył mi prosto w oczy, kiedy będę mówiła.

– Tak. Zachowałam magnesik, który dostałam od Atlasa, kiedy byliśmy dziećmi. Tak. Zachowałam pamiętniki. Nie, nie powiedziałam ci o tatuażu. Tak, prawdopodobnie powinnam była powiedzieć. I tak, nadal go kocham. Będę go kochała aż do śmierci, bo był ważną częścią mojego życia. I tak, jestem pewna, że sprawia ci to ból. Ale żadna z tych rzeczy nie dała ci prawa do tego, co mi zrobiłeś. Nawet gdybyś wszedł do mojej sypialni i przyłapał nas razem w łóżku, nie miałbyś prawa mnie tknąć, ty pieprzony sukinsynie!

Odsuwam się od jego kolan i znowu wstaję.

– Twoja kolej! – krzyczę.

Znowu zaczynam chodzić po pokoju. Serce wali mi tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi. Szkoda, że nie jestem w stanie pomóc Ryle'owi. Gdybym mogła, od razu zwróciłabym skurwysynowi wolność.

Mija kilka minut, a ja cały czas chodzę tam i z powrotem. Ryle milczy, a moja złość płynnie przechodzi w ból.

Łzy mnie wyczerpały. Jestem strasznie zmęczona. Zrozpaczona padam na łóżko i płaczę w poduszkę. Wciskam w nią twarz tak mocno, że ledwie mogę oddychać.

Czuję, że Ryle kładzie się obok. Delikatnie dotyka mojej głowy, próbując ukoić ból, który mi sprawia. Ostrożnie kładzie głowę obok mojej.

– Moja prawda brzmi tak, że nie mam zupełnie nic do powiedzenia – mówi cicho. – Nigdy nie będę w stanie cofnąć tego, co ci zrobiłem. A ty nigdy mi nie uwierzysz, jeśli obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. – Całuje mnie w głowę. – Lily, jesteś dla mnie całym światem. Całym światem. Kiedy tamtej nocy obudziłem się i cię nie było, wiedziałem, że nigdy cię nie odzyskam. Przyszedłem ci powiedzieć, jak ogromnie mi przykro. Przyszedłem ci powiedzieć, że zamierzam przyjąć tę ofertę pracy w Minnesocie. Przyszedłem się z tobą pożegnać. Ale... – Znowu przykładam usta do mojej głowy i szybko wypuszcza powietrze. – Lily, teraz nie mogę tego zrobić. Nosisz w sobie część mnie. I już teraz kocham to dziecko najbardziej na świecie. –

Załamuje mu się głos i przytula mnie jeszcze mocniej. – Proszę, Lily, nie odbieraj mi tego. Proszę.

Przeszywa mnie ból pobrzmiwiający w jego głosie, a kiedy podnoszę zażawioną twarz, żeby na niego spojrzeć, rozpaczliwie przywiera ustami do moich ust. Odsuwa się szybko.

– Lily, proszę. Kocham cię. Pomóż mi.

Nasze usta na chwilę znowu się stykają. Nie odpycham go, więc całuje mnie po raz trzeci. I czwarty.

Za piątym razem jego usta już się nie odsuwają.

Obejmuje mnie i przytula. Moje ciało jest zmęczone i słabe, ale go pamięta. Pamiętam, że jego ciało potrafi ukoić wszelki ból. Że ma w sobie delikatność, za którą moje ciało tęskni od dwóch miesięcy.

– Kocham cię – szepcze. Muska mój język swoim. To takie złe, takie dobre i takie bolesne. Zanim się spostrzegam, leżę na plecach, a on kładzie się na mnie. Jego dotyk jest wszystkim, czego potrzebuję, i wszystkim, czego nie powinienam potrzebować.

Ryle zanurza palce w moich włosach, a wtedy wspomnienia wracają w okamgnieniu.

Jestem w kuchni, a on ciągnie mnie za włosy tak mocno, że czuję ból.

Odsuwa mi włosy z twarzy, a ja znów jestem myślami przy tamtym wieczorze.

Stoję w drzwiach, a on przesuwa dłonią po moim ramieniu, by po chwili ugryźć mnie z całej siły.

Jego czoło delikatnie opiera się na moim i znów czuję się tak jak wtedy.

Leżę pod nim na tym samym łóżku, a on tak mocno uderza mnie głową, że potem muszę mi założyć sześć szwów.

Moje ciało przestaje na niego reagować. Znowu wzbiera we mnie złość. Gdy wyczuwa, że zastygłam, jego usta nieruchomieją.

Odsuwa się ode mnie, a ja nie muszę nawet niczego mówić. Wpatrujemy się w siebie i nasze oczy mówią więcej nagiej prawdy, niż kiedykolwiek powiedziały nasze usta. Moje oczy mówią jego oczom, że nie zniosę dłużej jego dotyku. Jego oczy mówią moim oczom, że on już o tym wie.

Powoli kiwa głową, odsuwa się ode mnie i siada na krawędzi łóżka, zwrócony do mnie plecami. Wstając, cały czas kiwa głową, w pełni świadomy, że nie uzyska dziś mojego przebaczenia. Rusza w stronę drzwi.

– Zaczekaj – mówię.

Odwraca się lekko i patrzy na mnie, stojąc w drzwiach.

Podnoszę się na ramieniu i oznajmiam stanowczo:

– Żałuję, że to dziecko jest twoje, Ryle. Każdą komórką mojego ciała żałuję, że to dziecko jest częścią ciebie.

Jeśli myślałam, że mój świat nie może się bardziej rozpaść, byłam w błędzie.

Ryle wychodzi z sypialni, a ja znów wtulam twarz w poduszkę. Sądziłam, że jeśli zdołam go zranić tak, jak on zranił mnie, poczuję się lepiej.

Ale nie.

Czuję się tylko mściwa i podła.

Czuję, że jestem taka jak mój ojciec.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Mama: Tęsknię za tobą. Kiedy się zobaczymy?

Wpatruję się w esemesa. Minęły dwa dni, odkąd Ryle dowiedział się o ciąży, i wiem, że pora powiedzieć o niej mamie. Nie tym się stresuję. Boję się rozmowy o tym, co się dzieje między mną a Ryle'em.

Ja: Ja też za tobą tęsknię. Wpadnę jutro popołudniu. Zrobisz lazanie?

Gdy tylko wysyłam jej esemesa, przychodzi inna wiadomość.

Allysa: Wpadnij do nas na kolację. Mamy dziś wieczór domowej pizzy.

Nie byłam u Allysy od powrotu Ryle'a. Nie jestem pewna, gdzie mieszka, ale zakładam, że u niej. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest przebywanie z nim w tym samym mieszkaniu.

Ja: Kto będzie?

Allysa: Lily... Nie zrobiłabym ci tego. Ryle pracuje do jutra do ósmej rano. Będziemy tylko we troje.

Zdecydowanie za dobrze mnie zna. Odpisuję, że przyjdę zaraz po pracy.

– Co jedzą dzieci w tym wieku?

Wszyscy siedzimy przy stole. Kiedy przyszłam, Rylee spała, ale ją obudziłam, żeby chwilkę ją potrzymać. Allysa nie miała nic przeciwko temu – nie chciała, żeby mała była rozbudzona, kiedy sama będzie się chciała położyć.

– Mleko matki – mówi Marshall z pełnymi ustami. – Ale czasami zanurzam palec w coli i wkładam jej do buzi, żeby mogła posmakować.

– Marshall! – krzyczy Allysa. – Lepiej, żeby to był żart.

– Jasne, że to żart – zapewnia, ale nie jestem pewna, czy szczerze.

– A kiedy zaczynają jeść jedzenie dla niemowląt? – pytam. Muszę się dowiedzieć wszystkiego na ten temat, zanim urodzę.

– Około czwartego miesiąca – odpowiada Allysa, ziewając. Odkłada widelec i pociera powieki.

– Jeśli chcecie, mogę wziąć ją na noc, żebyście mogli się porządnie wyspać.

– Nie, nie trzeba – mówi Allysa.

– Byłoby super – stwierdza Marshall dokładnie w tym samym momencie.

Śmieję się.

– Poważnie. Mieszkam tuż pod wami. Jutro nie pracuję, więc jeśli się nie wyśpię, będę mogła nadrobić braki w ciągu dnia.

Allysa wygląda, jakby się zastanawiała.

– Mogłabym zostawić włączoną komórkę, w razie gdybym była ci potrzebna.

Spoglądam na Rylee i się uśmiecham.

– Słyszałaś? Będiesz nocowała u cioci Lily!

Patrząc, ile rzeczy Allysa wrzuca do torby, można by pomyśleć, że zabieram Rylee na wycieczkę krajoznawczą.

– Jeśli będzie głodna, da ci znać. Nie podgrzewaj mleka w mikrofalówce, po prostu włóż butelkę do...

– Wiem – wchodzę jej w słowo. – Odkąd się urodziła, robiłam to z pięćdziesiąt razy.

Allysa podchodzi do łóżka i stawia torbę obok. Marshall jeszcze karmi Rylee w salonie, więc kładzie się przy mnie. Opiera głowę na rękę.

– Wiesz, co to znaczy? – pyta.

– Nie. Co?

– Dziś wieczorem będę uprawiała seks. Po raz pierwszy od czterech miesięcy. Marszczę nos.

– Nie musiałam tego wiedzieć.

Allysa się śmieje i opada na poduszkę, ale po chwili siada.

– Cholera – mówi. – Chyba powinnam ogolić nogi. Tego też nie robiłam od jakichś czterech miesięcy.

Śmieję się, ale nagle wydaję z siebie zduszony okrzyk. Szybko przykładam rękę do brzucha.

– Boże! Właśnie coś poczułam!

– Naprawdę?

Allysa kładzie mi rękę na brzuchu i przez następne pięć minut obie milczymy, czekając, aż to się powtórzy. Dziecko znów kopie, ale tak delikatnie, że ledwo to wyczuwam. Gdy tylko to robi, znowu się śmieję.

– Niczego nie poczułam – mówi Allysa, wydymając usta. – Pewnie minie jeszcze kilka tygodni, zanim będzie można to poczuć z zewnątrz. To pierwszy raz?

– Tak. Już się bałam, że rośnie we mnie najbardziej leniwe dziecko w historii.

Trzymam rękę na brzuchu, licząc, że znowu to poczuję. Milkniemy na kolejnych kilka minut i chcąc nie chcąc, zaczynam żałować, że nie jestem w innej sytuacji. Ryle powinien być przy mnie. To on powinien siedzieć obok z ręką na moim brzuchu. Nie jego siostra.

Ta myśl prawie odbiera mi całą radość. Allysa chyba to wyczuwa, bo kładzie drugą rękę na mojej i delikatnie ściska. Kiedy na nią spoglądam, już się nie uśmiecha.

– Lily – mówi. – Chcę ci coś powiedzieć.

Oj. Nie podoba mi się ton jej głosu.

– Co takiego?

Wzdycha i zmusza się do ponurego uśmiechu.

– Wiem, że ci smutno, bo przechodzisz przez to bez udziału mojego brata. Ale bez względu na to, czy on w tym uczestniczy, chcę, żebyś wiedziała, że to będzie najlepsze doświadczenie w twoim życiu. Lily, będziesz wspaniałą mamą. To dziecko ma wielkie szczęście.

Cieszę się, że w tej chwili jest przy mnie tylko Allysa, bo po jej słowach śmieję się, płaczę i zasmarkuję jak nastolatka przechodząca burzę hormonalną. Ściskam ją i dziękuję. To zadziwiające, ale jej słowa przywracają mi radość.

Uśmiecha się.

– A teraz idź po moje dziecko i zabierz je stąd, żebyśmy mogła uprawiać seks z moim obrzydliwie bogatym mężem.

Zsuwam się z łóżka i wstaję.

– Potrafisz rozładować napięcie. Powiedziałabym, że to twoja mocna strona.

– Po to tu jestem – mówi ciepło. – A teraz już idź.

Rozdział trzydziesty drugi

Gdy myślę o wszystkich sprawach, jakie musiałam trzymać w tajemnicy w ciągu kilku ostatnich miesięcy, najbardziej zasmuca mnie to, że byłam zmuszona ukrywać wszystko przed mamą. Nie wiem, jak ona to przyjmie. Wiem, że ucieszy się na wieść o ciąży, ale nie mam pojęcia, jak zareaguje na moje rozstanie z Ryle'em. Uwielbia go. A biorąc pod uwagę jej doświadczenia, prawdopodobnie łatwo przyjdzie jej znaleźć usprawiedliwienie dla jego zachowania i będzie próbowała mnie przekonać do przyjęcia go z powrotem. Szczerze mówiąc, między innymi właśnie dlatego odwlekałam to spotkanie. Boję się, że może jej się udać.

Przeważnie jestem silna. Przeważnie jestem taka wściekła na Ryle'a, że myśl o wybaczeniu mu wydaje mi się niedorzeczna. Ale są dni, kiedy tęsknię za nim tak bardzo, że nie mogę oddychać. Tęsknię za tym, jak dobrze się z nim bawiłam. Tęsknię za Kochaniem się z nim. Tęsknię za samym tęsknieniem za nim. Tak dużo pracował, że kiedy wieczorem wchodził do domu, podbiegałam do niego i wskakiwałam mu w ramiona, bo tak bardzo nie mogłam się doczekać jego powrotu. Tęsknię nawet za tym, jak uwielbiał, kiedy to robiłam.

W takie przepełnione bezsilnością dni żałuję, że mama o niczym nie wie. Czasami mam ochotę po prostu do niej pojechać i zwinąć się w kłębek na kanapie. Założyłaby mi włosy za ucho i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Czasami nawet dorosłe kobiety potrzebują matczynej pociechy, żeby móc zrobić sobie przerwę od ciągłego bycia silną.

Zanim zbieram się na odwagę, żeby wejść do środka, siedzę w samochodzie zaparkowanym na jej podjeździe przez dobre pięć minut. Czuję się okropnie, bo wiem, że w pewnym sensie złamię serce także jej. Nie znoszę, kiedy jest smutna, a wyznanie, że poślubiłam mężczyznę, który może być podobny do mojego ojca, bardzo ją zasmuci.

Zastaję ją w kuchni – układa płaty makaronu w naczyniu żaroodpornym. Z oczywistych względów nie od razu zdejmuję płaszcz. Nie mam bluzki ciążowej, ale bez kurtki raczej nie zdołam ukryć brzucha. Zwłaszcza przed mamą.

– Cześć, skarbie! – mówi.

Podchodzę i ją przytulam, stając z boku, kiedy posypuje lazanie warstwą sera. Po wstawieniu naczynia do piekarnika idziemy do stołu w jadalni i siadamy. Mama opada na oparcie krzesła i upija łyk herbaty.

Uśmiecha się. Widząc, jaka jest szczęśliwa, czuję się jeszcze gorzej.

– Lily – mówi. – Muszę ci coś powiedzieć.

To mi się nie podoba. Przecież to ja miałam jej coś powiedzieć. Nie jestem przygotowana na przyjmowanie wiadomości.

– O co chodzi? – pytam z wahaniem.

Mama ściska szklankę obiema rękami.

– Spotykam się z kimś.

Opada mi szczęka.

– Naprawdę? – pytam, kręcąc głową. – To... – Już mam powiedzieć „dobrze”, ale natychmiast zaczynam się martwić, że wpakowała się w podobną relację jak ta z ojcem. Mama zauważa niepokój na mojej twarzy, więc bierze mnie za rękę.

– To dobry człowiek, Lily. Bardzo dobry. Wierz mi.

Natychmiast czuję ulgę, bo wiem, że mówi prawdę. Widzę szczęście w jej oczach.

– Ojej. – Zupełnie się tego nie spodziewałam. – Cieszę się. Kiedy będę mogła go poznać?

– Dzisiaj wieczorem, jeśli chcesz – odpowiada. – Mogę go zaprosić, żeby zjadł z nami

kolację.

– Nie – szepczę. – To nie jest dobry moment.

Gdy tylko sobie uświadamiam, że przyjechałam, by powiedzieć jej coś ważnego, mocniej ściska moje dłonie. Postanawiam zacząć od dobrej wiadomości.

Wstaję i zdejmuję kurtkę. Początkowo niczego nie zauważa – myśli, że po prostu się rozbieram. Jednak po chwili ujmuję jej rękę i przykładam sobie do brzucha.

– Będziesz babcią.

Wytrzeszcza oczy i przez kilka sekund nie jest w stanie się odezwać. Potem do jej oczu zaczynają napływać łzy. Zrywa się z krzesła i mnie przytula.

– Lily! Wspaniale! – Odsuwa się z uśmiechem. – Bardzo szybko. Staraliście się? Jesteście małżeństwem dopiero od niedawna.

Kręcę głową.

– Nie. Byłam zaskoczona. Wierz mi.

Śmieje się i znowu mnie przytula. Siadamy przy stole. Cały czas staram się uśmiechać, ale nie jest to uśmiech szczęśliwej przyszłej mamy. Prawie od razu to zauważa. Zasłania usta dłonią.

– Skarbie – szepcze. – Co się dzieje?

Aż do tej chwili usiłowałam być silna. Usiłowałam nie użalać się nad sobą w obecności innych ludzi. Ale siedząc obok mamy, pragnę słabości. Po prostu chcę móc się na chwilę jej poddać. Chcę, żeby mama przejęła kontrolę, przytuliła mnie i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. I przez następne piętnaście minut, gdy płaczę w jej ramionach, właśnie tak się dzieje. Najzwyczajniej przestaję o siebie walczyć, bo potrzebuję kogoś, kto mnie w tym wyręczy.

Oszczędzam jej większości szczegółów, opowiadam o tym, co najważniejsze. Że więcej niż jeden raz zrobił mi krzywdę i że nie wiem, co dalej. Że boję się samotnego wychowywania tego dziecka. Że boję się, że podjęłam złą decyzję. Że boję się, że jestem zbyt słaba, bo powinnam była zgłosić te incydenty na policję. Że boję się, że jestem zbyt wrażliwa i nie wiem, czy przypadkiem nie przesadzam. Słowem, mówię jej wszystko, do czego nie miałam odwagi przyznać się przed samą sobą.

Przynosi chusteczki. Kiedy w końcu mamy suche oczy, zaczyna miętosić swoją w dłoniach, nie odrywając od niej wzroku.

– Chcesz go przyjąć z powrotem? – pyta.

Nie mówię, że tak. Ale nie mówię, że nie.

Po raz pierwszy, odkąd to się stało, jestem zupełnie szczerą. Szczera wobec niej i wobec siebie. Może dlatego, że jako jedyna ze znanych mi osób też przez coś takiego przechodziła. Jako jedyna rozumie chaos, którego teraz doświadczam.

Kręcę głową, ale jednocześnie wzruszam ramionami.

– Przeważnie czuję, że już nigdy nie będę w stanie mu zaufać. Ale ogromna część mnie rozpacza po stracie tego, co nas łączyło. Mamo, było nam ze sobą tak dobrze. Spędziłam z nim większość najlepszych chwil w życiu. I czasami czuję, że wolałabym z tego nie rezygnować. – Przecieram chusteczką policzek, osuszając go z kolejnych łez. – Czasami... kiedy naprawdę za nim tęsknię... tłumaczę sobie, że chyba nie było aż tak źle. Że chyba mogłabym wytrzymać te najgorsze chwile, żeby móc go mieć w tych najlepszych.

Kładzie mi rękę na dłoni i pociera ją kciukiem.

– Lily, doskonale wiem, co masz na myśli. Ale najgorsze, co możesz zrobić, to stracić z oczu granicę swojej wytrzymałości. Proszę, nie dopuść do tego.

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Zauważa moje zdziwienie, więc ściska mnie za ramię i wyjaśnia:

– Każda z nas ma granicę swojej wytrzymałości. To, ile jesteśmy skłonne znieść, zanim opadniemy z sił. Wychodząc za twojego ojca, doskonale wiedziałam, gdzie leży moja granica. Ale powoli... po każdym incydencie... przesuwałam ją trochę dalej. I jeszcze trochę. Kiedy twój ojciec uderzył mnie po raz pierwszy, natychmiast przeprosił. Przysięgał, że to się nie powtórzy. Za drugim razem było mu jeszcze bardziej przykro. Za trzecim to było coś więcej niż uderzenie. Pobił mnie. I za każdym razem mu wybaczałam. Za czwartym razem tylko mnie spoliczkował. I wtedy poczułam ulgę. Pamiętam, jak pomyślałam: przynajmniej tym razem mnie nie pobił. Nie było tak źle. – Przykłada chusteczkę do oczu. – Każdy incydent narusza granicę twojej wytrzymałości. Im częściej postanawiasz zostać, tym trudniej jest ci odejść następnym razem. W końcu zupełnie tracisz z oczu granicę swojej wytrzymałości, bo zaczynasz myśleć: wytrzymałam już pięć lat. Co znaczy pięć lat więcej? – Łapie mnie za rękę, a ja płaczę. – Lily, nie bądź taka jak ja. Wiem, myślisz, że on cię kocha, i jestem pewna, że tak jest. Ale nie kocha cię we właściwy sposób. Nie kocha cię tak, jak na to zasługujesz. Gdyby naprawdę cię kochał, nie dopuściłby do tego, żebyś przyjęła go z powrotem. Sam postanowiłby odejść, żeby mieć pewność, że nigdy więcej cię nie skrzywdzi. Na taką miłość zasługuje kobieta, Lily.

Żałuję z całego serca, że przekonała się o tym wszystkim na własnej skórze. Przyciągam ją do siebie i przytulam.

Przychodząc do niej, z jakiegoś powodu myślałam, że będę musiała się bronić. Nie przyszło mi do głowy, że czegoś się od niej nauczę. A powinnam była wiedzieć. Dawniej myślałam, że moja mama jest słaba, ale tak naprawdę to jedna z najsilniejszych kobiet, jakie znam.

– Mamo...? – mówię, uwalniając dłonie. – Kiedy dorosnę, chcę być tobą.

Śmieje się i odgarnia mi włosy z twarzy. Widzę w jej spojrzeniu, że bez mrugnięcia okiem zamieniłaby się ze mną miejscami. W tym momencie czuje z mojego powodu więcej bólu, niż kiedykolwiek czuła ze swojego.

– Chcę ci coś powiedzieć. – Znowu bierze mnie za rękę. – Pamiętasz swoją mowę pożegnalną na pogrzebie ojca? Lily, wiem, że wcale nie oniemiałaś. Stałaś tam i nie chciałaś powiedzieć o tym człowieku ani jednej dobrej rzeczy. Jeszcze nigdy nie byłam z ciebie taka dumna. Tylko ty kiedykolwiek się za mną wstawiłaś. Byłaś silna, kiedy ja się bałam. – Po jej policzku spływa łza. – Bądź tą dziewczyną, Lily. Odważną i bezkompromisową.

Rozdział trzydziesty trzeci

– Co ja zrobię z trzema fotelikami samochodowymi?

Siedzę na kanapie, wpatrując się w hałdę przedmiotów. Allysa zorganizowała dziś dla mnie baby shower. Przyszła moja mama. Przyleciała nawet mama Ryle'a, ale właśnie odsypia jet lag w pokoju gościnnym. Przyszły dziewczyny z kwaciarni i kilkoro przyjaciół z dawnej pracy. Zjawił się nawet Devin. Było całkiem fajnie, mimo że bałam się tego od kilku tygodni.

– Właśnie dlatego mówiłam, żebyś zrobiła listę. Wtedy prezenty by się nie powtarzały – mówi Allysa.

Wzdycham.

– Chyba poproszę mamę, żeby jeden zwróciła. I tak kupiła mi już mnóstwo rzeczy.

Wstaję i zaczynam zbierać prezenty. Marshall zaoferował, że zanieś je do mnie, więc Allysa pomaga mi je powkladać do worków na śmieci. Przytrzymuję je, a ona zbiera przedmioty z podłogi. Jestem już prawie w trzydziestym tygodniu, więc to mnie przypada łatwiejsze zadanie.

Gdy wszystko jest już zapakowane, a Marshall wyrusza w drugi kurs do mojego mieszkania, otwieram drzwi, gotowa powlec do windy worek pełen prezentów. Nie jestem jednak gotowa na Ryle'a, który stoi za progiem i patrzy na mnie. Obydwoje wydajemy się równie wstrząśnięci. Nie rozmawialiśmy ze sobą od tamtej kłótni sprzed trzech miesięcy.

To spotkanie było jednak nieuniknione. Nie mogę być najlepszą przyjaciółką siostry męża, mieszkać w tym samym budynku co on i w końcu się na niego nie natknąć.

Na pewno wiedział o dzisiejszej imprezie, bo przecież przyleciała na nią jego mama, ale i tak wydaje się lekko zaskoczony widokiem wszystkich leżących za mną rzeczy. Zastanawiam się, czy jego pojawienie się w chwili, kiedy wychodzę, to zbieg okoliczności czy starannie wybrany moment. Patrzy na worek na śmieci, który trzymam, po czym wyjmuję mi go z rąk.

– Pozwól, że ja się tym zajmę.

Pozwalam. Niesie ten i jeszcze jeden worek do mieszkania, a ja zbieram swoje rzeczy. Kiedy szykuję się do wyjścia, wraca razem z Marshalllem.

Bierze ostatni worek i rusza w stronę drzwi. Idę za nim. Marshall rzuca mi pytające spojrzenie, jakby chciał się upewnić, czy nie mam nic przeciwko temu, żeby Ryle ze mną poszedł. Kiwam głową – wszystko w porządku. Nie mogę wечно unikać Ryle'a, wykorzystam tę okazję, skoro się nadarzyła, żeby porozmawiać z nim o tym, co z nami będzie.

Nasze mieszkania dzieli tylko kilka pięter, ale mam wrażenie, że podróż windą z Ryle'em trwa w nieskończoność. Dwa razy przyłapuję go na tym, że wpatruje się w mój brzuch, i zaczynam się zastanawiać, jak musi się czuć z faktem, że nie widział swojej ciężarnej żony od trzech miesięcy.

Drzwi nie są zamknięte na klucz, więc je otwieram, a Ryle wchodzi za mną. Znosi resztę rzeczy do pokoju dziecięcego, a potem słyszę, jak coś przestawia i otwiera pudła. Zostaję w kuchni i sprzątam w miejscach, które wcale nie wymagają sprzątania. Czuję, że serce podchodzi mi do gardła. W tej chwili nie boję się Ryle'a. Jestem po prostu zdenerwowana. Wolałabym być lepiej przygotowana do tej rozmowy, bo z całego serca nie znoszę konfrontacji. Wiem jednak, że musimy porozmawiać o dziecku i o swojej przyszłości. Po prostu nie mam na to ochoty. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Wchodzi do kuchni i znowu przyłapuję go na wpatrywaniu się w mój brzuch. Natychmiast odwraca wzrok.

– Chcesz, żebym przed wyjściem złożył łóżeczko?

Pewnie powinnam powiedzieć, że nie, ale przecież jest współodpowiedzialny za dziecko, które noszę. Jeśli zgłasza gotowość do pracy fizycznej, przyjmę ofertę bez względu na to, jak strasznie jestem na niego zła.

– Tak. Bardzo byś mi pomógł.

– Nadal jest tam moja skrzynka z narzędziami? – pyta, pokazując na pralnię.

Potakuję. Otwieram lodówkę i zaglądam do środka, żeby nie patrzeć, jak przechodzi przez kuchnię. Kiedy wreszcie znowu znika w pokoju dziecięcym, zamykam lodówkę i przyciskam do niej czoło, łapiąc za rączkę. Oddycham, starając się zrozumieć wszystko, co się we mnie dzieje.

Ryle wygląda naprawdę dobrze. Nie widziałam go tyle czasu, że zapomniałam, jaki jest przystojny. Mam ochotę pobiec za nim korytarzem i rzucić mu się w ramiona. Chcę poczuć dotyk jego ust. Chcę usłyszeć, jak bardzo mnie kocha. Chcę, żeby położył się obok mnie i przysunął rękę do mojego brzucha, tak jak wielokrotnie sobie wyobrażałam.

To byłoby takie proste. Moje życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdybym po prostu mu wybaczyła i przyjęła go z powrotem.

Zamykam oczy i powtarzam sobie słowa, które usłyszałam od mamy: „Jeśli Ryle naprawdę cię kocha, nie pozwoli, żebyś przyjęła go z powrotem”.

Tylko one powstrzymują mnie przed pobiegnięciem za nim korytarzem.

Przez następną godzinę krztałam się w kuchni, a Ryle siedzi w pokoju dziecięcym. W końcu muszę przejść obok, żeby przynieść ładowarkę. Wracając, przystaję w korytarzu.

Łóżeczko jest gotowe, nawet rozłożył pościel. Stoi nad nim nieruchomo, trzymając się barierki i wpatrując w puste miejsce w środku. Zastygł, jest jak z kamienia. Nawet nie zauważył, że stoję w drzwiach. Zastanawiam się, gdzie błądzą jego myśli.

Czy myśli o dziecku? O dziecku, z którym nie będzie mieszkał, gdy będzie spało w tym łóżeczku?

Aż do tej chwili nie byłam pewna, czy w ogóle chce uczestniczyć w życiu naszego syna lub córki. Ale jego mina dowodzi, że tak. Chyba nigdy nie widziałam takiego smutku na czyjejś twarzy, a przecież nawet nie widzę jej całej. Czuję, że przygnębienie, którego doświadcza w tym momencie, nie ma żadnego związku ze mną i wiąże się wyłącznie z myślami o dziecku.

Podnosi wzrok i zauważa, że stoję w drzwiach. Otrząsa się z zamyślenia.

– Gotowe – mówi, wykonując gest w stronę łóżeczka. Zaczyna wkładać narzędzia z powrotem do skrzynki. – Mogę ci się jeszcze do czegoś przydać, zanim pójde?

Kręcę głową i podchodzę do łóżeczka, żeby je popodziwiać. Nie wiem, czy urodzę chłopczyka czy dziewczynkę, więc zdecydowałam się na barwy ziemi. Pościel jest brązowo-zielona, ozdobiona rysunkami roślin. Pasuje do zasłon i będzie pasowała do obrazu, który namaluję na ścianie. Zamierzam też wstawić tu rośliny z kwaciarni. Nie umiem powstrzymać uśmiechu, widząc, jak wszystko zaczyna łączyć się w całość. Ryle zamontował nawet karuzelę. Włączam ją i płynie kołysanka Brahmsa. Czekam, aż karuzela zatoczy pełne koło, i znowu spoglądam na Ryle’a. Stoi kilka kroków dalej i po prostu mnie obserwuje.

Gdy patrzę teraz na niego, myślę o tym, jak łatwo jest wydawać sądy, gdy ogląda się coś z zewnątrz. Przez lata osądzałam tak mamę.

Kiedy stoimy z boku, łatwo myśleć, że gdyby ktoś nas krzywdził, odeszlibyśmy od niego bez zastanowienia. Łatwo powiedzieć, że nie moglibyśmy kochać kogoś, kto nami poniewiera. To nie my czujemy miłość tej osoby.

Jeśli doświadcza się przemocy osobiście, nie jest tak prosto nienawidzić oprawcy, który przez większość czasu jest dla nas niczym dar z nieba.

W oczach Ryle’a pojawia się trochę nadziei i jestem zła, że zauważył tę moją chwilową

słabość. Powoli zaczyna do mnie podchodzić. Wiem, że chce mnie do siebie przyciągnąć i przytulić, więc szybko się odsuwam.

I tak po prostu znowu pojawia się między nami mur.

Już samo wpuszczenie go do domu było dla mnie wielkim krokiem. Powinien to zrozumieć.

Ze stoickim spokojem godzi się z odrzuceniem. Wkłada skrzynkę z narzędziami pod pachę i podnosi pudło. Jest pełne pozostałości po złożonym łóżeczku.

– Wyrzucę to – mówi, idąc do drzwi. – Jeśli będziesz jeszcze potrzebowała pomocy, daj mi znać, dobrze?

Kiwam głową i jakimś cudem udaje mi się wykrztusić „dziękuję”.

Gdy słyszę, jak zamykają się drzwi, odwracam się do łóżeczka. Do oczu napływają mi łzy – tym razem nie płaczę jednak nad sobą. Nie płaczę nad dzieckiem.

Płaczę nad Ryle'em. Bo choć sam ponosi odpowiedzialność za sytuację, w której się znalazł, wiem, jak bardzo mu z tego powodu przykro. A gdy kogoś kochasz, widok jego smutku zasmuca także ciebie.

Żadne z nas nie poruszyło kwestii separacji ani szans na pojednanie. Nie rozmawialiśmy nawet o tym, co się stanie za dziesięć tygodni, kiedy nasze dziecko przyjdzie na świat.

Nie jestem jeszcze gotowa na tę rozmowę i jedyne, co Ryle może teraz dla mnie zrobić, to wykazać się cierpliwością.

Cierpliwością, którą jest mi winien, odkąd mu jej zabrakło.

Rozdział trzydziesty czwarty

Kończę myć pędzle i idę z powrotem do pokoju dziecięcego, żeby popodziwiać malunek. Pracowałam nad nim przez większość wczorajszego dnia i cały dzisiejszy.

Odkąd Ryle przyszedł złożyć łóżeczko, minęły dwa tygodnie. Teraz, kiedy malunek jest gotowy i przywiozłam z kwaciarni kilka roślin, czuję, że pokój wreszcie jest urządzony. Rozglądam się i trochę mi smutno, że nie ma tu nikogo, kto mógłby się nim pozachwycać razem ze mną. Łapię komórkę i esemesuję do Allysy.

Ja: Malunek gotowy! Wpadnij zobaczyć.

Allysa: Nie ma mnie w domu, załatwiam sprawunki. Wpadnę jutro.

Marszczę brwi i postanawiam napisać do mamy. Jutro pracuje, ale wiem, że na widok muralu ucieszy się tak samo jak ja, kiedy go skończyłam.

Ja: Masz ochotę przyjechać dziś do miasta? Pokój dziecięcy wreszcie jest gotowy.

Mama: Nie mogę. Gala w szkole. Wrócę późno. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę! Wpadnę jutro!

Siadam w bujanym fotelu i wiem, że nie powinnam robić tego, co za chwilę zrobię, ale i tak to robię.

Ja: Pokój dziecięcy gotowy. Chcesz przyjść zobaczyć?

Gdy naciskam „wyślij”, wszystkie nerwy w moim ciele gwałtownie budzą się do życia. Wpatruję się w ekran, dopóki nie przychodzi odpowiedź.

Ryle: Pewnie. Już schodzę.

Od razu wstaję i zaczynam wprowadzać ostatnie udoskonalenia. Poprawiam poduszki na dwuosobowej kanapie i prostuję jedną z zawieszek, którymi ozdobiłam ściany. Słyszę pukanie, jeszcze zanim podchodzę do drzwi. Otwieram i... niech to szlag. Ma na sobie kitel.

Odsuwam się, a Ryle wchodzi do środka.

– Allysa mówiła, że coś malujesz.

Idę za nim korytarzem do pokoju dziecięcego.

– Zajęło mi to dwa dni – odpowiadam. – Czuję się jak po przebiegnięciu maratonu, a przecież tylko kilka razy weszłam na drabinę.

Spogląda przez ramię i widzę zaniepokojenie na jego twarzy. Martwi się, że robiłam tu wszystko sama. Nie powinien. Radzę sobie.

Zatrzymuje się w drzwiach. Na ścianie naprzeciwko wejścia namalowałam ogród. Jest w nim chyba każdy owoc i każde warzywo, jakie mi przyszło do głowy. Nie jestem malarką, ale to niesamowite, co można zdziałać, mając projektor i przezroczysty papier.

– O rany... – szepcze Ryle.

Uśmiecham się, bo słyszę podziw w jego głosie, i wiem, że jest szczery. Ryle wchodzi do środka i się rozgląda, przez cały czas kręcąc głową.

– Lily... To jest... O rany.

Gdyby zamiast niego była tu Allysa, zaczęłabym podskakiwać i klaskać. Ale to Ryle i w

naszej obecnej sytuacji wypadłoby to trochę niezręcznie.

Podchodzi do okna, przy którym umieściłam huśtawkę. Popycha ją lekko, a ona kołysze się na boki.

– Porusza się też w przód i w tył – mówię. Nie wiem, czy zna się na huśtawkach dla dzieci, ale na mnie jej możliwości zrobiły wrażenie.

Podchodzi do przewijaka, wyjmuje z pojemnika pieluszkę. Rozkłada ją i trzyma przed sobą.

– Jaka malutka – wzdycha. – Nie pamiętam, kiedy Rylee była taka maleńka.

Kiedy wspomina o Rylee, robi mi się trochę smutno. Odkąd się urodziła, mieszkamy osobno, więc nie miałam okazji widywać ich razem.

Ryle składa pieluszkę z powrotem i umieszcza ją w pojemniku. Odwraca się do mnie z uśmiechem, podnosząc ręce i pokazując wszystko wokół.

– Lily, to naprawdę wspaniałe, czego tu dokonałaś. Naprawdę dobrze... – Ręce opadają mi na biodra i jego uśmiech gaśnie. – Naprawdę dobrze sobie radzisz.

Powietrze wokół mnie zaczyna gęstnieć. Nagle zaczynam mieć trudności z oddychaniem, bo z jakiegoś powodu czuję, że zaraz się rozplaczę. Robi mi się okropnie przykro, że cała moja ciąża nie była pełna takich chwil jak ta. Dobrze jest ją z nim dzielić, ale jednocześnie boję się, że mogłabym mu dać złudną nadzieję.

Przyszedł i obejrzał pokój dziecięcy, a teraz nie jestem pewna, co dalej. To oczywiste, że powinniśmy omówić wiele spraw, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć. Ani jak.

Podchodzę do bujanego fotela i siadam.

– Naga prawda? – pytam, patrząc na niego.

Z ulgą wypuszcza powietrze i kiwa głową, a potem siada na kanapie.

– Lily, proszę, powiedz, że jesteś gotowa o tym porozmawiać.

Jego reakcja trochę mnie uspokaja. Widzę, że ma to już przemyślane. Oplatam brzuch rękami i lekko pochylam się w fotelu.

– Ty pierwszy.

Składa dłonie i wsuwa je między kolana. Patrzy na mnie z taką szczerością, że muszę odwrócić wzrok.

– Lily, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. Nie wiem, jaką rolę chcesz mi powierzyć. Staram się dać ci tyle przestrzeni, ile ci potrzeba, ale jednocześnie chcę ci pomagać bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Chcę uczestniczyć w życiu naszego dziecka. Chcę być twoim mężem, i to dobrym. Ale nie mam pojęcia, co się dzieje w twojej głowie.

Jego słowa przepelniają mnie poczuciem winy. Mimo tego, co między nami zaszło, nadal jest ojcem dziecka. Ma prawo być jego ojcem bez względu na to, co o tym sędzę. I chcę, żeby nim był. Chcę, żeby był dobrym ojcem. Ale w głębi serca żywię ogromną obawę i wiem, że powinnam z nim o niej porozmawiać.

– Ryle, nigdy nie odsunęłabym cię od twojego dziecka. Cieszę się, że chcesz być obecny. Ale...

Po ostatnim słowie pochyla się i chowa twarz w dłoniach.

– Jaka byłaby ze mnie matka, gdybym choć trochę nie obawiała się twojej porywczosci? Tego, że stracisz panowanie nad sobą? Skąd mam wiedzieć, że coś cię nie wytrąci z równowagi, kiedy będziesz z dzieckiem sam na sam?

W jego oczach wzbiera tyle cierpienia, że mogłyby pęknąć niczym tamy.

– Lily, nigdy bym...

– Wiem, Ryle. Nigdy umyślnie nie skrzywdziłbyś swojego dziecka. Myślę, że mnie też nie skrzywdziłeś umyślnie, ale jednak skrzywdziłeś. I przysięgam ci, chciałabym wierzyć, że

nigdy byś czegoś takiego nie zrobił. Mój ojciec był agresywny tylko wobec mamy. Wielu mężczyzn, a nawet wiele kobiet krzywdzących swoich bliskich nie traci panowania nad sobą w kontaktach z innymi. Całym sercem pragnę ci ufać, ale musisz zrozumieć, skąd się bierze moja niepewność. Nigdy ci nie zabronię relacji z twoim dzieckiem. Ale będziesz musiał wykazać wiele cierpliwości, żeby odzyskać zaufanie, które straciłeś.

Kiwa głową. Na pewno wie, że daje mu znacznie więcej, niż zasługuje.

– Oczywiście – mówi. – Wszystko będzie się odbywało na twoich warunkach. Wszystko, dobrze?

Znowu składa ręce i zaczyna nerwowo przygryzać dolną wargę. Czuję, że chce coś dodać, ale nie jest pewny, czy powinien.

– Powiedz, o czym myślisz, dopóki jestem w nastroju, żeby o tym rozmawiać.

Odchyła głowę i patrzy na sufit. Cokolwiek myśli, widać, że to dla niego niełatwe. Nie wiem, czy chce zadać jakieś trudne pytanie czy może boi się odpowiedzi, którą może usłyszeć.

– A co z nami? – szepcze.

Też odchylam głowę i wzdycham. Wiedziałam, że padnie to pytanie, ale naprawdę trudno udzielić odpowiedzi, której się nie zna. W zasadzie pozostają nam tylko dwie możliwości: rozwód albo pojednanie, ale nie skłaniam się ku żadnej z nich.

– Ryle, nie chcę ci dawać złudnych nadziei – mówię cicho. – Gdybym miała podjąć tę decyzję dzisiaj... prawdopodobnie wybrałabym rozwód. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy byłaby podyktowana tym, że naprawdę tego chcę, czy zwyczajną burzą hormonów. Chyba nie byłoby w porządku wobec żadnego z nas, gdybym decydowała o naszym małżeństwie przed urodzeniem dziecka.

Drżącymi ustami wypuszcza powietrze, kładzie dłoń na karku i mocno zaciska palce. Chwilę później wstaje i spogląda mi w oczy.

– Dziękuję – mówi. – Za to, że mnie zaprosiłaś. Za tę rozmowę. Chciałem wpaść już parę tygodni temu, ale nie wiedziałem, jak zareagujesz.

– Ja też nie wiedziałam, jak zareaguję – odpowiadam szczerze. Staram się wstać z bujanego fotela, ale w ciągu ostatniego tygodnia to zadanie stało się o wiele trudniejsze. Ryle podchodzi i wyciąga rękę, żeby mi pomóc.

Nie wiem, jak wytrzymam do terminu porodu, skoro nie mogę nawet wstać z fotela i przy tym nie stęknąć.

Kiedy już stoję, nie od razu wypuszcza moją dłoń. Dzieli nas tylko kilkanaście centymetrów i wiem, że jeśli na niego spojrzę, dopadną mnie różne emocje. A nie chcę nic do niego czuć.

Sięga po moją drugą rękę i trzyma je obie na dole. Wplata palce między moje i czuję to aż w sercu. Przyciskam czoło do jego klatki piersiowej i zamykam oczy. Ryle kładzie policzek na mojej głowie i stoimy zupełnie nieruchomo, obydwójce zbyt wystraszeni, żeby wykonać choć najmniejszy gest. Boję się poruszyć, bo mogłabym się okazać zbyt słaba, żeby powstrzymać go od pocałunków. On również boi się poruszyć – myśli, że jeśli to zrobi, odsunę się od niego.

Przez jakieś pięć minut żadne z nas nawet nie drgnie.

– Ryle – odzywam się w końcu. – Możesz mi coś obiecać?

Czuję, że kiwa głową.

– Proszę, aż do porodu nie próbuj mnie namawiać, żebym ci wybaczyła. I proszę, nie próbuj mnie całować... – Robię krok do tyłu i patrzę mu w twarz. – Poważnymi sprawami wolę się zajmować po kolei, a teraz najważniejsze jest dla mnie urodzenie dziecka. Nie chcę dodatkowych stresów i dezorientacji, bo i tak mam wystarczająco dużo na głowie.

Uspokajająco ściska mi ręce.

– Jedna monumentalna, przełomowa sprawa naraz. Zrozumiałem.

Uśmiecham się, czując ulgę, że wreszcie odbyliśmy tę rozmowę. Co prawda nie podjęłam ostatecznej decyzji w sprawie naszej przyszłości, ale i tak czuję, że łatwiej mi się oddycha, gdy już wszystko sobie wyjaśniliśmy.

Wpuszcza moje ręce.

– Spóźnię się na dyżur – mówi, pokazując kciukiem przez ramię. – Muszę wracać do pracy.

Kiwam głową i odprowadzam go do drzwi. Dopiero kiedy je za nim zamykam i zostaję w mieszkaniu sama, uświadamiam sobie, że szeroko się uśmiecham.

Nadal mam do niego wielki żal za to, że znaleźliśmy się w tej sytuacji. Uśmiecham się dlatego, że zrobiliśmy mały krok do przodu. Czasami rodzice muszą przewyciężyć dzielące ich różnice i wykazać się odrobiną dojrzałości, żeby zrobić to, co najlepsze dla dziecka.

I właśnie to robimy. Uczymy się radzić sobie ze swoją sytuacją, zanim dołączy do nas nasz syn lub córka.

Rozdział trzydziesty piąty

Czuję zapach grzanek.

Przeciągam się na łóżku i uśmiecham, bo Ryle wie, że uwielbiam grzanki. Leżę przez chwilę, zanim choćby pomyślę o wstaniu. Mam wrażenie, że potrzeba by siły trzech mężczyzn, żeby zwlec mnie z łóżka. W końcu biorę głęboki oddech i zsuwam nogi z materaca, z trudem podnosząc się na łokciach.

Na początek idę zrobić siusiu. Ostatnio siusiam bez przerwy. Za dwa dni mam termin porodu, a lekarz mówi, że to może potrwać jeszcze z tydzień. W ubiegłym tygodniu zaczęłam urlop macierzyński, więc tak właśnie wygląda teraz moje życie: sikam i oglądam telewizję.

Kiedy docieram do kuchni, Ryle miesza jajka na patelni. Słyszając, że wchodzi, odwraca się.

– Dzień dobry – mówi. – Dziecka jeszcze nie ma?

Kręcę głową i kładę rękę na brzuchu.

– Nie, ale sikałam dziewięć razy w ciągu ostatniej nocy.

Ryle się śmieje.

– Nowy rekord. – Nakłada na talerz trochę jajecznicę, po czym dorzuca bekon i grzankę. Odwraca się i podaje mi talerz, szybko całując mnie w skroń. – Muszę lecieć. Już jestem spóźniony. Nie będę wyłączał telefonu.

Uśmiecham się, patrząc na śniadanie. No dobrze, zapomniałam o jedzeniu – sikanie, oglądanie telewizji i jedzenie.

– Dziękuję – mówię wesoło.

Idę z talerzem na kanapę i włączam telewizor. Ryle pędzi przez salon, zbierając swoje rzeczy.

– Zajrzę do ciebie w porze lunchu. Możliwe, że będę pracował do późna, ale Allysa powiedziała, że może ci przynieść kolację.

Przewracam oczami.

– Ryle, nic mi nie jest. Lekarz zalecił odpoczynek, a nie kompletne otępienie.

Zaczyna otwierać drzwi, ale nieruchomieje, jakby o czymś zapomniał. Wraca do mnie biegiem i pochyla się, żeby pocałować mój brzuch.

– Jeśli postanowisz wyjść dzisiaj, podwoję ci kieszonkowe – mówi do dziecka.

Często mówi do dziecka. Dwa tygodnie temu wreszcie poczułam się na tyle pewnie, by pozwolić mu dotknąć mojego brzucha i od tego czasu wpada, żeby po prostu do niego mówić. Do mnie mówi niewiele. To mi się jednak podoba. Podoba mi się, jaki jest przejęty, że zostanie ojcem.

Sięgam po koc, pod którym Ryle spał dziś na kanapie, i ciasno się owijam. Ryle nocuje tu od tygodnia, czekając, aż zacznę rodzić. Początkowo nie byłam przekonana do takiego układu, ale okazał się naprawdę wygodny. Nadal śpię w pokoju gościnnym. W trzecim pomieszczeniu jest teraz pokój dziecięcy, co oznacza, że Ryle mógłby spać w głównej sypialni. Z jakiegoś powodu woli jednak kanapę. Myślę, że wspomnienia z sypialni nękają go tak samo jak mnie, więc żadnemu z nas nawet nie przychodzi do głowy, żeby tam wejść.

Przez ostatnie tygodnie układało się między nami naprawdę dobrze. Pomijając to, że nie łączą nas żadne fizyczne relacje, czuję się prawie jak dawniej. Ryle nadal dużo pracuje, ale gdy wieczorem ma wolne, jemy razem kolację u Allysy i Marshalla. Tyle że nigdy tylko we dwoje. Unikam sytuacji, które mogą przypominać randkę albo dawać cię nadziei, że jesteśmy parą.

Nadal próbuję się skupiać na jednej istotnej sprawie naraz, więc dopóki dziecko nie przyjdzie na świat i moje hormony się nie uspokoją, nie chcę podejmować decyzji w kwestii naszego małżeństwa. W jakimś stopniu wykorzystuję swój stan jako wymówkę, żeby odwlec to, co nieuniknione, ale ciąża pozwala kobiecie na odrobinę egoizmu.

Dzwoni moja komórka. Opuszczam głowę na kanapę i wydaję z siebie jęk. Telefon został aż w kuchni. Dzieli mnie od niego z piętnaście kroków.

Uch.

Próbuję się podnieść z kanapy, ale nic się nie dzieje.

Próbuję jeszcze raz. Nadal siedzę.

Łapię za oparcie krzesła i się podciągam. Do trzech razy sztuka.

Wstając, wylewam na siebie wodę ze szklanki. Jęczę... ale po chwili wydaję zduszony okrzyk.

Nie trzymałam żadnej szklanki.

O cholera.

Spoglądam w dół i widzę wodę spływającą mi po nodze. W kuchni nadal dzwoni telefon. Idę tam – a raczej człapię – i odbieram.

– Słucham?

– Cześć, mówi Lucy! Szybkie pytanie. Zamówione przez nas czerwone róże zostały zniszczone w transporcie, a dzisiaj jest pogrzeb Levenberga i klienci zażyczyli sobie czerwonych róż na trumnie. Mamy jakiś plan awaryjny?

– Tak, zadzwoń do kwiaciarni przy Broadway. Są mi winni przysługę.

– Okej, dzięki!

Chcę się rozłączyć, by zadzwonić do Ryle'a i powiedzieć, że odeszły mi wody, ale Lucy krzyczy, żebym zaczekała.

Przysuwam komórkę z powrotem do ucha.

– Jeszcze te faktury. Miałam je zapłacić dzisiaj czy poczekać...

– Możesz poczekać, nic się nie stanie.

Znowu chcę się rozłączyć, ale Lucy zaczyna zadawać kolejne pytanie.

– Lucy – mówię spokojnie, wchodząc jej w słowo. – Na wszystkie pytania odpowiem ci jutro. Chyba właśnie odeszły mi wody.

Zapada milczenie.

– Aha. AHA! JEDŹ!

Kiedy kończymy rozmowę, mój brzuch przeszywa pierwsza zapowiedź bólu. Krzywię się i wybieram numer Ryle'a. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Mam zawrócić?

– Tak.

– O Boże. Naprawdę? Zaczęło się?

– Tak.

– Lily! – mówi podekscytowany. A potem w telefonie zapada cisza.

Przez następne kilka minut zbieram wszystko, czego będę potrzebowała. Mam już spakowaną torbę do szpitala, ale czuję się trochę nieświeżo, więc wskazuję pod prysznic, żeby się opłukać. Druga fala bólu przychodzi jakieś dziesięć minut po pierwszej. Pochylam się i łapię za brzuch, pozwalając, by woda spadała mi na plecy. Pod koniec skurczu słyszę, że otwierają się drzwi do łazienki.

– Bierzesz prysznic? – dziwi się Ryle. – Lily, wyjdź stamtąd. Musimy jechać!

– Podaj mi ręcznik.

Kilka sekund później ręka Ryle'a wysuwa się zza zasłony prysznica. Zanim wyjdę,

próbuję się owinąć ręcznikiem. Dziwnie jest tak się chować przed własnym mężem.

Ręcznik nie pasuje. Zasłania piersi, ale niżej, na brzuchu, rozchyła się jak odwrócone V.

Następny skurcz zaczyna się, gdy wychodzę spod prysznic. Ryle łapie mnie za rękę i pomaga mi oddychać, a potem prowadzi mnie do sypialni. Spokojnie wybieram czyste ubrania. Spoglądam na niego.

Wpatruje się w mój brzuch. Na jego twarzy maluje się mina, której nie potrafię rozszyfrować.

Patrzy mi w oczy i nieruchomieję.

W tej chwili nie jestem w stanie przewidzieć, czy zmarszczy brwi czy się uśmiechnie. Jakimś cudem robi obie te rzeczy naraz, po czym szybko wypuszcza powietrze i znowu skupia wzrok na moim brzuchu.

– Jesteś piękna – szepcze.

Moją pierś przeszywa ból niemający nic wspólnego ze skurczami. Uświadamiam sobie, że Ryle po raz pierwszy widzi mój nagi brzuch. Po raz pierwszy miał okazję zobaczyć, jak wyglądam, gdy rośnie we mnie jego dziecko.

Podchodzę do niego i biorę go za rękę. Przykładam ją sobie do brzucha i trzymam tam przez chwilę. Ryle się do mnie uśmiecha, głaszcząc moją skórę kciukiem. To piękna chwila. Jedna z naszych najlepszych.

– Dziękuję, Lily.

Widać to w każdym jego geście, w sposobie, w jaki mnie dotyka, w spojrzeniu. Nie dziękuję mi za tę chwilę ani za żadną inną, która wydarzyła się wcześniej. Dziękuję mi za ten czas, który pozwałam mu spędzać razem z jego dzieckiem.

Stękam i zginam się w pół.

– Niech to cholera.

Ta chwila właśnie dobiegła końca.

Ryle łapie moje ciuchy i pomaga mi się ubrać. Podnosi wszystkie rzeczy, które każe mu zabrać, a potem powoli prowadzi mnie do windy. W połowie drogi mam skurcz.

– Powinieneś zadzwonić do Allysy – mówię, kiedy wyjeżdżamy z garażu.

– Prowadzę. Zadzwonię do niej ze szpitala. I dam znać twojej mamie.

Kiwam głową. Z pewnością mogłabym do nich zadzwonić już teraz, ale chyba bardziej zależy mi na tym, żebyśmy dotarli do szpitala pierwsi, bo wygląda na to, że dziecko naprawdę się niecierpliwi.

Dojeżdżamy na miejsce, a skurcze pojawiają się już co niespełna minutę. Kiedy zjawia się lekarz i kładą mnie na łóżku, mam aż dziewięć centymetrów rozwarcia. Pięć minut później każą mi przeć. Wszystko się dzieje tak szybko, że Ryle nie ma nawet szansy po nikogo zadzwonić.

Prac, za każdym razem ściskam go za rękę. W pewnym momencie myślę o tym, jak ważna jest ta ściskana przeze mnie ręka dla jego kariery, ale Ryle nie protestuje. Pozwala mi ją ściskać ze wszystkich sił i tak właśnie robię.

– Główka już prawie wyszła – mówi lekarz. – Jeszcze tylko kilka razy.

Następnych minut nawet nie jestem w stanie opisać. To mieszanina bólu, sapania, niepokoju i czystej, niezmaconej radości. Oraz ciśnienia. Ciśnienia tak olbrzymiego, jakbym za chwilę miała eksplodować, a potem...

– To dziewczynka! – mówi Ryle. – Lily, mamy córkę!

Otwieram oczy i widzę, że trzyma ją lekarz. Dostrzegam tylko jej zarys, bo wzrok mam zamglony od łez. Kładą mi ją na piersi i jest to absolutnie najwspanialsza chwila w moim życiu. Od razu zaczynam dotykać jej czerwonych ust, policzków i palców. Ryle przecina pępowinę, a kiedy zabierają mi dziecko, żeby je umyć, czuję się pusta.

Kilka minut później znowu leży na mojej piersi, owinięte w kocyk.

Jestem w stanie tylko na nie patrzeć.

Ryle siada na łóżku obok mnie i odsuwa naszej córce kocyk od brody, żebyśmy mogli się przyjrzeć jej buzi. Liczymy jej paluszki u rąk i nóg. Próbuje otworzyć oczy, co uznajemy za najzabawniejszą rzecz na świecie. Kiedy ziewa, obydwójce się uśmiechamy i zakochujemy się w niej jeszcze bardziej.

Po wyjściu ostatniej pielęgniarki, kiedy wreszcie zostajemy sami, Ryle pyta, czy może ją potrzymać. Podnosi stelaż łóżka, żeby łatwiej nam było usiąść. Kiedy podaję mu małą, opieram głowę na jego ramieniu. Zwyczajnie nie możemy się na nią napatrzeć.

– Lily – szepcze Ryle. – Chcesz usłyszeć nagą prawdę?

Kiwam głową.

– Jest o wiele ładniejsza od dziecka Marshalla i Allysy.

Śmieję się i szturcham go w bok.

– Żartuję – szepcze.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Rylee jest przepiękna, ale nikt nigdy nie dorówna naszej córce.

– Jak jej damy na imię? – pyta Ryle.

W czasie ciąży łączyły nas nietypowe stosunki, więc jeszcze nie rozmawialiśmy o imieniu dla dziecka.

– Chciałabym dać jej imię po twojej siostrze – mówię, spoglądając na niego. – Albo może po twoim bracie?

Nie jestem pewna, jak na to zareaguje. Osobiście uważam, że nazwanie naszej córki na cześć jego brata mogłoby się okazać w pewnym sensie uzdrawiające, ale on może mieć na ten temat inne zdanie.

Patrzy na mnie. Nie spodziewał się tego.

– Emerson? Całkiem ładne imię dla dziewczynki. Moglibyśmy wołać na nią Emma. Albo Emmy. – Uśmiecha się z dumą i patrzy na małą. – Brzmi doskonale. – Pochyla się i całuje ją w czoło.

Po chwili podnoszę głowę z jego ramienia, żeby móc widzieć, jak trzyma Emerson. Wspaniale jest patrzeć na nich dwoje razem. Już teraz widzę, jak bardzo ją kocha, mimo że znają się dopiero od niedawna. Wiem, że zrobiłby wszystko, żeby ją ochronić. Absolutnie wszystko.

Dopiero w tym momencie wreszcie podejmuję decyzję w sprawie naszej przyszłości.

W sprawie nas.

W sprawie tego, co jest najlepsze dla naszej rodziny.

Ryle jest cudowny z wielu powodów. Czuły. Troskliwy. Bystry. Charyzmatyczny. Zdeterminowany.

Mój ojciec też miał niektóre z tych cech. Nie był zbyt troskliwy, ale czasami, kiedy byliśmy razem, czułam, że mnie kocha. Był bystry. Charyzmatyczny. Zdeterminowany. A mimo to nienawidziłam go o wiele bardziej, niż kochałam. Byłam ślepa na wszystkie jego najlepsze cechy, bo widywałam go od najgorszej strony. Pięć lat patrzenia na jego najlepszą stronę nie było w stanie zrekompensować pięciu minut patrzenia na tę najgorszą.

Spoglądam na Emerson, a potem na Ryle'a. I wiem, że muszę zrobić to, co będzie dla niej najlepsze. Najlepsze dla relacji, którą, mam nadzieję, stworzy ze swoim ojcem. Nie podejmuję tej decyzji dla siebie i nie podejmuję jej dla Ryle'a.

Podejmuję ją dla niej.

– Ryle?

Kiedy się do mnie odwraca, uśmiecha się. Lecz na widok mojego spojrzenia poważnieje.

– Chcę rozwodu.

Mruga. Moje słowa rażą go jak prąd. Krzywi się i znowu spogląda na naszą córkę. Garbi się.

– Lily... Proszę, nie rób tego.

Mówi błagalnym tonem i czuję się okropnie, wiedząc, że miał nadzieję na pojednanie. Wiem, to po trosze moja wina, ale chyba nie zdawałam sobie sprawy, jaką podejmę decyzję, dopóki po raz pierwszy nie wzięł mojej córki na ręce.

– Jeszcze jedna szansa, Lily. Proszę. – Głos mu się załamuje, z oczu płyną mu łzy.

Wiem, że zadaję mu ból w najgorszym możliwym momencie. Łamię mu serce, choć to powinna być najlepsza chwila w jego życiu. Ale wiem też, że jeśli nie zrobię tego teraz, być może już nigdy nie zdołam go przekonać, że nie wolno mi podejmować ryzyka, przyjmując go z powrotem.

Zaczynam płakać, bo cierpię tak samo jak on.

– Ryle – mówię łagodnie. – Co byś zrobił, gdyby pewnego dnia ta mała dziewczynka spojrzała na ciebie i powiedziała: „Tatusiu, mój chłopak mnie uderzył”. Jak byś zareagował?

Przytula Emerson do piersi i chowa twarz w jej kocyku.

– Lily, przestań – błaga.

Prostuję się na łóżku. Kładę rękę na plecach Emerson i próbuję skłonić Ryle’a, żeby spojrzał mi w oczy.

– A jeśli przyszłaby do ciebie i powiedziała: „Tatusiu, mój mąż zepchnął mnie ze schodów. Twierdzi, że to był wypadek. Poradź mi, co mam robić”?

Jego ramiona zaczynają drżeć i po raz pierwszy, odkąd go poznałam, płacze. Gdy tuli do siebie swoją córkę, po jego policzkach płyną najprawdziwsze łzy. Ja też płaczę, ale nie milknę. Dla jej dobra.

– A jeśli... – Załamuje mi się głos. – A jeśli przyjdzie i powie: „Tatusiu, mój mąż próbował mnie zgwałcić. Nie chciał mnie puścić, mimo że błagałam, by przestał. Ale przysięga, że to się nigdy nie powtórzy. Nie wiem, co robić, tatusiu”?

Raz po raz całuje ją w czołko, a po twarzy ciekną mu łzy.

– Ryle, co byś jej poradził? Powiedz mi. Muszę wiedzieć, co byś powiedział naszej córce, gdyby mężczyzna, którego kochałaby całym sercem, robił jej krzywdę.

Z jego piersi wrywa się szloch. Przytula się do mnie i obejmuje mnie ramieniem.

– Błagałbym, żeby od niego odeszła – mówi. Rozpaczliwie przyciska usta do mojego czoła, a jego łzy moczą mi policzki. Przesuwa wargi w stronę mojego ucha i tuli do siebie nas obie. – Powiedziałbym jej, że zasługuje na coś znacznie lepszego. I błagałbym, żeby do niego nie wracała bez względu na to, jak bardzo ją kocha. Bo zasługuje na coś znacznie lepszego.

Obojgu nam krwawią serca, składamy się teraz wyłącznie z łez i roztrzaskanych marzeń. Tulimy się do siebie. Tulimy naszą córkę. I choć to bardzo trudne, przełamujemy schemat, zanim ten schemat nas zniszczy.

Ryle oddaje mi małą i wyciera oczy. Wstaje, nadal płacząc. Wciąż nie panuje nad oddechem. W ciągu ostatnich piętnastu minut stracił miłość swojego życia. W ciągu ostatnich piętnastu minut został ojcem ślicznej dziewczynki.

Tyle może się zmienić w ciągu piętnastu minut. Piętnaście minut może człowieka zniszczyć.

Albo ocalić.

Pokazuje na korytarz, dając mi do zrozumienia, że musi się pozbierać. Nigdy nie widziałam, żeby był taki smutny jak w tej chwili. Ale wiem, że pewnego dnia mi za to podziękuje. Wiem, że nadejdzie dzień, w którym zrozumie, że dokonałam właściwego wyboru

dla dobra jego córki.

Gdy drzwi się zamykają, spoglądam na nią. Wiem, że nie dam jej życia, jakie sobie dla niej wymarzyłam. Domu, w którym mogłaby mieszkać z obojgiem kochających rodziców. Ale nie chcę, żeby miała takie życie jak ja. Nie chcę, żeby widywała swojego ojca w najgorszych momentach. Nie chcę, żeby patrzyła, jak jej ojciec traci panowanie nad sobą do tego stopnia, że przestaje przypominać jej ojca. Bo bez względu na to, jak wiele dobrych chwil mogłaby przeżyć z Ryle'em, wiem z doświadczenia, że najlepiej zapamiętałaby te najgorsze.

Błędne koła istnieją, bo strasznie trudno je przerwać. Wymaga to wytrzymania olbrzymiego bólu i odwagi, by odrzucić utarty wzorec. Czasami wydaje się, że łatwiej byłoby dalej trwać w błędnym kole, niż zmierzyć się ze strachem i skoczyć, ryzykując, że nie wyląduje się na nogach.

Moja mama przez to przeszła.

Ja też przez to przeszłam.

Ale niech mnie szlag, jeśli pozwolę, by moją córkę spotkało to samo.

Całuję ją w czółko i składam obietnicę:

– W tym miejscu to się kończy. Na mnie i na tobie. Na nas.

Epilog

Brnę w tłumie na Boylston Street i w końcu docieram do przejścia dla pieszych. Zwalniam i zatrzymuję wózek przy krawężniku. Odchylam budkę i spoglądam na Emmy. Jak zwykle się uśmiecha i przebiera nóżkami. To bardzo wesołe dziecko. Emanuje spokojną energią, która jest zaraźliwa.

– Ile ma miesięcy? – pyta jakaś kobieta. Stoi obok nas przy przejściu i z sympatią przygląda się Emerson.

– Jedenaście.

– Prześliczna – mówi. – Podobna do pani. Macie identyczne usta.

Uśmiecham się.

– Dziękuję. Ale powinna pani zobaczyć jej ojca. Oczy ma zdecydowanie po nim.

Zapala się zielone światło i staram się wyprzedzić tłum w drodze na drugą stronę ulicy. Jestem już pół godziny spóźniona, Ryle przysłał mi dwa esemesy. Ale on nie doświadczył jeszcze marchewkowych uciech. Niebawem się dowie, jakiego bałaganu można narobić za pomocą przecieru marchewkowego, bo zapakowałam do torby mnóstwo słoiczków.

Gdy Emerson skończyła trzy miesiące, wyprowadziłyśmy się. Kupiłam własne mieszkanie, bliżej pracy, dzięki czemu mogę teraz dostać się do kwaciarni pieszo, a to jest wspaniałe. Ryle z powrotem wprowadził się do swojego mieszkania. Biorąc pod uwagę wszystkie odwiedziny u Allysy i dni, w które Emerson przebywa z Ryle'em, mam wrażenie, że spędzam u nich niemal tyle samo czasu co u siebie.

– Już prawie jesteśmy na miejscu, Emmy. – Skręcamy w prawo. Tak bardzo się spieszę, że jakiś mężczyzna musi zejść mi z drogi i przysunąć się do ściany, żeby uniknąć stratowania. – Przepraszam – mamroczę, pochylając głowę i okrążając go.

– Lily?

Zatrzymuję się.

Odwracam się powoli, bo poczułam ten głos aż w palcach u nóg. Znam tylko dwa głosy, które tak na mnie działały, a głos Ryle'a już tak daleko nie sięga.

Kiedy podnoszę na niego wzrok, widzę, że mi się przygląda, mrużąc w słońcu niebieskie oczy. Podnosi rękę, żeby je osłonić, i szeroko się uśmiecha.

– Hej.

– Cześć – mówię i gorączkowo usiłuję zebrać myśli.

Atlas patrzy na wózek.

– To... twoje dziecko?

Przytakuję, a on przyklęka i uśmiecha się do małej.

– Rany. Jest cudowna. Jak ma na imię?

– Emerson. Czasami nazywamy ją Emmy.

Wsuwa jej palec do rączki, a ona zaczyna wierzgać, potrząsając nim na wszystkie strony. Przygląda się jej przez chwilę z uznaniem, po czym wstaje.

– Wyglądasz wspaniale – mówi.

Staram się na niego nie gapić, ale trudno się powstrzymać. Jest przystojniejszy niż kiedykolwiek dotąd i po raz pierwszy nie muszę się ganić za tego rodzaju myśl. Ani trochę nie przypomina tego bezdomnego chłopaka w moim dawnym pokoju. A jednak... w pewnym sensie jest zupełnie taki sam jak on.

Czuję wibrowanie telefonu w kieszeni, sygnalizujące nadejście kolejnej wiadomości.

Ryle.

Pokazuję przed siebie.

– Jesteśmy mocno spóźnione – mówię. – Ryle czeka już pół godziny.

Kiedy wypowiadam jego imię, do oczu Atlasa zakrada się smutek. Próbuje to ukryć. Kiwa głową i powoli się odsuwa, żebyśmy mogły przejść.

– To jego dzień opieki – tłumaczę. W tych czterech słowach wyjaśniam więcej, niż zdołałabym powiedzieć w trakcie całej rozmowy.

Widzę błysk ulgi w jego spojrzeniu. Kiwa głową i pokazuje kciukiem przez ramię.

– No tak, ja też jestem spóźniony. W zeszłym miesiącu otworzyłem nową restaurację przy Boylston.

– Ojej, gratuluję! Będę musiała zaprosić tam mamę.

Uśmiecha się.

– Koniecznie. Daj znać kiedy, a sam coś dla was przygotuję.

Zapada krępująca cisza, a potem znowu pokazuję na ulicę.

– Musimy już...

– Idź – mówi z uśmiechem.

Pochylam głowę i ruszam przed siebie. Nie mam pojęcia, dlaczego reaguję w ten sposób. Jakbym nie umiała poprowadzić normalnej rozmowy. Kilka metrów dalej spoglądam przez ramię. Atlas stoi w miejscu. Odprowadza mnie wzrokiem.

Skręcamy za róg i widzę, że Ryle czeka przy swoim samochodzie przed kwaciarnią. Rozpromienia się na nasz widok.

– Dostałaś mojego mejla? – Przykłęka i zaczyna odpinać Emerson.

– Tego o niebezpiecznych kojcach?

Potwierdza i wyjmuje małą z wózka.

– Nie kupiliśmy jej czegoś takiego?

Naciskam na dźwignię, żeby złożyć wózek, i stawiam go przy bagażniku.

– Kupiliśmy, ale zepsuło się w ubiegłym miesiącu. Wyrzuciłam.

Ryle otwiera bagażnik i dotyka palcami brody Emerson.

– Słyszałaś, Emmy? Mamusia ocaliła ci życie.

Mała uśmiecha się do niego i wesoło uderza go w rękę. Ryle całuje ją w czołko, a potem wrzuca wózek do bagażnika. Opuszczam klapę i się pochylam, żeby dać córeczce całusa.

– Kocham cię, Emmy. Do zobaczenia wieczorem.

Ryle otwiera tylne drzwi, żeby posadzić ją w foteliku. Żegnam się z nim, po czym pospiesznie ruszam z powrotem.

– Lily! – woła za mną. – Gdzie idziesz?

Na pewno myślał, że wejdę do kwaciarni, bo już i tak spóźniam się z otwarciem. Pewnie powinienam to zrobić, ale coś nie daje mi spokoju. Muszę jakoś temu zaradzić. Odwracam się i idę tyłem.

– Zapomniałam o czymś! Zobaczmy się, kiedy przyjdę po nią wieczorem!

Ryle podnosi rączkę Emerson i machają mi na pożegnanie. Gdy tylko skręcam za róg, puszczam się biegiem. Omijam ludzi, wpadam na kilka osób – jedna pani mnie nawet przeklina – ale już w chwili, kiedy go zauważam, czuję, że było warto.

– Atlas! – wołam, przeciskając się przez tłum. – Atlas!

Zatrzymuje się, ale nie odwraca. Przechyla głowę, jakby nie do końca wierzył własnym uszom.

– Atlas! – wołam jeszcze raz.

Tym razem się odwraca, i to szybko. Nasze oczy się spotykają i następuje trzysekundowa

pauza, podczas której tylko się na siebie gapimy. Kiedy jednak zaczynamy iść ku sobie, czuć determinację w każdym kroku. A dzieli nas ich dwadzieścia.

Dziesięć.

Pięć.

Jeden.

Żadne z nas go nie wykonuje.

Brakuje mi tchu, dyszę i bardzo się denerwuję.

– Zapomniałam ci powiedzieć, jak Emerson ma na drugie. – Opieram ręce na biodrach i wypuszczam powietrze. – Dory.

Nie reaguje od razu, ale po chwili w kąciakach jego oczu pojawiają się malutkie zmarszczki. Drgają mu usta, jakby powstrzymywał uśmiech.

– Idealnie do niej pasuje.

Kiwam głową i się uśmiecham, lecz zaraz poważnieję.

Nie jestem pewna, co dalej. Chciałam tylko, żeby o tym wiedział, ale teraz, kiedy już mu powiedziałam, nie bardzo wiem, co jeszcze zrobić.

Rozglądam się i pokazuję kciukiem przez ramię.

– No to... chyba już...

Atlas podchodzi, bierze mnie w objęcia i mocno przytula do piersi. Gdy mnie obejmuje, od razu zamykam oczy. Przykłada dłoń do moich włosów i stoimy w ryku klaksonów, pośród pędzących przechodniów, którzy raz po raz nas potrącają. Atlas delikatnie całuje mnie w głowę, a wtedy to wszystko odpływa.

– Lily – mówi cicho. – Myślę, że teraz moje życie jest już dla ciebie wystarczająco dobre. Więc jeśli tylko będziesz gotowa...

Zaciskam dłoń na jego kurtce i stoję z twarzą mocno wtuloną w jego pierś. Nagle czuję się tak, jakbym znowu miała piętnaście lat. Szyja i policzki oblewają mi się rumieńcem.

Tylko że już nie mam piętnastu lat.

Jestem dorosła, mam obowiązki i dziecko. Nie mogę pozwolić, by uczucia z przeszłości wzięły nade mną górę. Potrzebuję przynajmniej małej gwarancji.

Odsuwam się i patrzę mu w twarz.

– Wpłacasz datki na cele dobroczynne?

Śmieje się, zdezorientowany.

– Na kilka. Czemu pytasz?

– Chcesz mieć dzieci?

Kiwa głową.

– Oczywiście.

– Myślisz, że kiedykolwiek będziesz chciał wyjechać z Bostonu?

Kręci głową.

– Nie. Nigdy. Tutaj wszystko jest lepsze, pamiętasz?

Jego odpowiedzi dają mi gwarancję, jakiej potrzebuję. Uśmiecham się.

– W porządku. Jestem gotowa.

Mocno mnie przytula i głośno się śmieje. Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, odkąd pojawił się w moim życiu, nigdy nie spodziewałam się takiego finału. Miałam wielką nadzieję, że tak się stanie, ale aż do tej pory nie byłam pewna, czy to w ogóle możliwe.

Zamykam oczy, czując, jak jego usta stykają się z miejscem na moim obojczyku. Delikatnie mnie tam całuje, a ja czuję się dokładnie tak jak przed laty, gdy pocałował mnie tam po raz pierwszy. Przysuwa usta do mojego ucha i szepcze:

– Lily, możesz już przestać płynąć. Wreszcie dotarliśmy do brzegu.

Od autorki

Radzimy zapoznać się z tą częścią po przeczytaniu książki, ponieważ zawiera ona spoilery.

Moje najwcześniejsze wspomnienie pochodzi z okresu, kiedy miałam dwa i pół roku. W pokoju dziecięcym nie było drzwi, a jedynie zasłona przybita gwoździami do górnej części framugi. Pamiętam, że usłyszałam krzyki ojca, więc wyjrzałam zza tej zasłony – akurat w momencie, gdy ojciec podniósł telewizor i rzucił nim w matkę, a ona upadła na podłogę.

Rozwiodła się z nim, zanim skończyłam trzy lata. Potem miałam już tylko dobre wspomnienia związane z ojcem. Ani razu nie stracił panowania nad sobą w obecności mojej i moich siostr, mimo że wielokrotnie zdarzało mu się to w obecności mamy.

Wiedziałam, że w ich małżeństwie była obecna przemoc, ale mama nigdy o tym nie mówiła. Wspominanie jej oznaczałoby, że wypowiada się niepoehlebnie o moim ojcu, a tego nigdy nie chciała zrobić. Zależało jej, żeby łączyły mnie z nim relacje wolne od napięć, które występowały między nimi dwojgiem. Dlatego mam głęboki szacunek dla rodziców, którzy nie angażują dzieci w rozpad swoich związków.

Kiedyś spytałam ojca o tę przemoc. Mówił o ich związku bardzo szczerze. W czasie małżeństwa z moją mamą był alkoholikiem i pierwszy przyznał, że nie traktował jej dobrze. Powiedział mi nawet, że miał przemieszczone dwa knykcie, bo bił ją tak mocno, że uszkodziły się w zetknięciu z jej czaszką.

Ojciec przez całe życie żałował, że traktował moją matkę w ten sposób. Przemoc wobec niej była najgorszym błędem, jaki kiedykolwiek popełnił. Powiedział, że zestarzeje się i umrze, nadal kochając ją do szaleństwa.

Myślę, że to bardzo lekka kara za to, przez co przeszła.

Gdy postanowiłam napisać tę historię, najpierw poprosiłam mamę o pozwolenie. Powiedziałam, że pragnę ofiarować książkę kobietom takim jak ona. I wszystkim, którzy kobiet takich jak ona nie rozumieją.

Sama byłam jedną z takich osób.

Mama, którą znam, nie jest słaba. Nie byłabym w stanie sobie wyobrazić, że wybacza mężczyźnie, który wielokrotnie wyrządził jej krzywdę. Jednak pisząc tę książkę i wnikając w umysł Lily, szybko zdałam sobie sprawę, że tego typu sytuacje nie są tak czarno-białe, jak mogłoby się wydawać.

Kilka razy miałam ochotę zmienić fabułę. Nie chciałam, żeby Ryle był tym, kim miał być, bo tworząc pierwsze rozdziały, sama się w nim zakochałam. Tak jak moja matka zakochała się w ojcu.

Pierwszy incydent między Ryle'em i Lily, ten w kuchni, to opis pierwszego razu, kiedy ojciec uderzył matkę. Ona robiła zapiekankę, a on pił. Wyjął zapiekankę z piekarnika, nie używając rękawicy. Rozbawiło ją to, więc się roześmiała. Zanim się obejrzała, uderzył ją tak mocno, że upadła na podłogę.

Postanowiła mu wybaczyć, bo jego przeprosiny i żal wypadły wiarygodnie. A przynajmniej na tyle wiarygodnie, że danie mu drugiej szansy było mniej bolesne niż odejście od niego ze złamanym sercem.

Potem następowały podobne incydenty. Ojciec zawsze wyrażał żal i obiecywał, że to się nigdy nie powtórzy. Po jakimś czasie mama już wiedziała, że to puste obietnice, ale miała dwie córki i za mało pieniędzy, żeby go zostawić. W przeciwieństwie do Lily nie mogła liczyć na

niczyje wsparcie. W okolicy nie działały schroniska dla kobiet. W tamtych czasach nie można było oczekiwać pomocy ze strony państwa. Odejście od męża oznaczało ryzyko utraty dachu nad głową, lecz dla mojej mamy i tak było to jedyne wyjście.

Ojciec umarł, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat. Nie był najlepszym ojcem. Z pewnością nie był najlepszym mężem. Ale dzięki mamie mogłam mieć z nim bardzo bliską relację – podjęła bowiem niezbędne działania, żeby przełamać schemat, zanim schemat by nas zniszczył. Nie było to łatwe. Gdy odeszła od ojca, miałam niespełna trzy lata, a moja starsza siostra skończyła zaledwie pięć. Przez bite dwa lata żywiłyśmy się fasolą i makaronem z serem. Mama była sama, nie skończyła studiów i wychowywała dwie córki, nie mogąc liczyć właściwie na żadną pomoc. Miłość do nas dawała jej jednak siłę potrzebną, by zrobić ten przerażający krok.

W żadnym razie nie chcę definiować przemocy domowej przez pryzmat sytuacji Ryle'a i Lily. Nie chcę też utożsamiać Ryle'a z większością oprawców. Każda sytuacja jest inna. Każda prowadzi do innych skutków. Postanowiłam ułożyć historię Lily i Ryle'a na wzór historii związku moich rodziców. Pod wieloma względami Ryle przypomina mojego ojca. Tato też był przystojny, czuły, zabawny i bystry – ale zdarzały mu się chwile, których nie sposób wybaczyć.

Pod wieloma względami Lily przypomina moją matkę. Obie są troskliwymi, inteligentnymi, silnymi kobietami, które po prostu zakochały się w mężczyznach w ogóle niezasługujących na miłość.

Dwa lata po rozwodzie mama poznała mojego późniejszego ojczyma. Był wzorowym mężem. Dorastając i patrząc na nich, zgromadziłam wspomnienia, które ustawiły poprzeczkę dla małżeństwa, o jakim sama marzyłam.

Gdy wreszcie wychodziłam za mąż, najtrudniej było mi powiedzieć biologicznemu ojcu, że to nie on poprowadzi mnie do ołtarza – zamierzałam o to poprosić ojczyma.

Czułam, że muszę to zrobić z wielu powodów. W przeciwieństwie do mojego ojca ojczym sprawdził się w roli męża. W przeciwieństwie do niego zapewnił nam godziwy byt. A poza tym wychowywał nas tak, jakbyśmy były jego córkami, choć nigdy nie zabronił nam relacji z biologicznym ojcem.

Pamiętam, jak miesiąc przed ślubem siedziałam w salonie taty. Powiedziałam mu, że go kocham, ale o poprowadzenie do ołtarza zamierzam poprosić ojczyma. Byłam gotowa odpierać wszelkie argumenty. Jego reakcja zupełnie mnie jednak zaskoczyła.

„Colleen, on cię wychował – powiedział. – Zasługuje na to, by w dniu twojego ślubu przekazać cię mężowi. I nie powinnaś mieć z tego powodu poczucia winy, bo właśnie tak należy zrobić”.

Wiedziałam, że moja decyzja zakłóca ojca do żywego. Był jednak na tyle wyrozumiały, że nie tylko ją uszanował, lecz także chciał, żebym sama ją uszanowała.

Podczas ceremonii ślubnej ojciec siedział wśród gości i patrzył, jak inny mężczyzna prowadzi mnie do ołtarza. Wiem, że niektórzy ludzie zastanawiali się, dlaczego nie poprosiłam o to ich obu. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że podjęłam taką decyzję z szacunku dla mamy.

To, kto mnie poprowadzi do ołtarza, tak naprawdę nie miało związku z moim ojcem ani nawet z ojczymem. Chodziło mi o mamę. Chciałam, żeby zaszczyt wydania jej córki za mąż przypadł mężczyźnie, który traktował ją tak, jak na to zasługiwała.

Dawniej zawsze powtarzałam, że piszę wyłącznie dla rozrywki. Że nie chcę edukować, przekonywać ani uświadamiać.

Ta książka jest inna. Nie była dla mnie rozrywką. To najbardziej wyczerpująca rzecz, którą kiedykolwiek napisałam. Czasami miałam ochotę wcisnąć „delete” i wymazać to, jak Ryle potraktował Lily. Miałam też ochotę przepisać sceny, w których Lily mu wybacza, i zastąpić

moją bohaterkę odporniejszą kobietą – postacią, która podejmuje wyłącznie właściwe decyzje we właściwych momentach. Tyle że nie o takich ludziach pisałam.

Nie taką historię opowiadałam.

Chciałam w realistyczny sposób odnieść się do sytuacji, w której była kiedyś moja mama i w której obecnie jest wiele kobiet. Chciałam zgłębić miłość łączącą Lily i Ryle'a, żeby poczuć to, co czuła moja mama, kiedy musiała podjąć decyzję o opuszczeniu ojca – mężczyzny, którego kochała całym sercem.

Czasami się zastanawiam, jak wyglądałoby moje życie, gdyby mama podjęła inną decyzję. Odeszła od kogoś, kogo kochała, by jej córki nie nabrały przekonania, że taki związek jest w porządku. Nie uratował jej inny mężczyzna – książę w lśniącej zbroi. Sama postanowiła zostawić swojego ojca, wiedząc, że czeka ją walka zupełnie innego rodzaju, związana z dodatkowym stresem wynikającym z bycia samotną matką. Zależało mi na tym, by moja bohaterka była ucieleśnieniem takiej właśnie siły. Ostatecznie Lily podjęła decyzję o opuszczeniu Ryle'a dla dobra ich córki. Choć istniał cień szansy, że Ryle zdoła zmienić się na lepsze, w pewnych sytuacjach nie warto ryzykować. Zwłaszcza jeśli w przeszłości podejmowanie ryzyka kończyło się źle.

Przed napisaniem tej książki miałam dla mamy ogromny szacunek. Teraz, gdy wiem, że przynajmniej w małym stopniu zdołałam zgłębić istotę tej bolesnej walki, którą mama stoczyła, by dotrzeć tu, gdzie jest dzisiaj, pragnę jej powiedzieć tylko jedno: Kiedy dorosnę, chcę być Tobą.

Pomoc

Jeśli jesteś ofiarą przemocy domowej albo znasz kogoś, komu potrzebna jest pomoc, by mógł uniknąć zagrożenia, zajrzyj na strony:

– Ogólnopolskie Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia”, www.niebieskalinia.pl

– Fundacja Centrum Praw Kobiet, www.cpk.org.pl

– Zakładka „Przeciwdziałanie przemocy w rodzinie” na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości, www.ms.gov.pl/pl/dzialalnosc/przeciwdzialanie-przemocy-w-rodzinie

Informacje na temat pomocy osobom bezdomnym znajdziesz w zakładce „Bezdomność” na stronie Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, www.mpips.gov.pl/pomoc-spoeczna/bezdomnosc

Podziękowania

Ta książka mogła mieć tylko jednego autora, ale nie powstałaby, gdyby nie następujące osoby:

Moje siostry. Kochałabym Was obie równie mocno, nawet gdybyście nie były moimi siostrami. Nasz wspólny rodzic to tylko dodatkowa korzyść.

Moje dzieci. Jesteście moim największym życiowym osiągnięciem. Proszę, nie dopuście do tego, żebym kiedykolwiek pożałowała tych słów.

Członkowie Weblich, CoHorts, TL Discussion Group, Book Swap i wszystkich innych grup, do których mogę się zwrócić online, gdy potrzebuję pozytywnej energii. W ogromnej mierze to właśnie dzięki Wam mogę zarabiać na życie pisaniem, więc Wam dziękuję.

Cały zespół Dystel & Goderich Literary Management. Dziękuję za nieustanne wsparcie i doping.

Wszyscy pracownicy Atria Books. Zorganizowane przez Was premiery należą do najlepszych dni w moim życiu.

Moja redaktorka Johanna Castillo. Dziękuję za pomoc podczas pisania tej książki. I za wspieranie mnie. Jesteś opoką, dzięki której mogę wykonywać swoją wymarzoną pracę.

Ellen DeGeneres, jedna z zaledwie czterech osób, których mam nadzieję nigdy nie poznać osobiście. Jesteś światłem w ciemności. Lily i Atlas są Ci wdzięczni za to, że świecisz.

Beta-czytelnicy i ludzie, którzy pomagają mi na wczesnym etapie powstawania moich książek. Dziękuję za informacje zwrotne, wsparcie i przyjaźń. Otrzymuję od Was więcej, niż na to zasługuję. Kocham Was wszystkich.

Moja siostrzenica. Poznam Cię już lada dzień i nie mogę się tego doczekać. Zamierzam być Twoją ulubioną ciocią.

Lindy. Dziękuję za lekcje życia i przykłady bezinteresownego zachowania. Oraz za jedne z najgłębszych słów, które pozostaną ze mną na zawsze: „Nie ma czegoś takiego jak źli ludzie. Po prostu wszyscy czasami robimy złe rzeczy”. Cieszę się, że jesteś mamą mojej młodszej siostry.

Vance. Dziękuję, że jesteś mężem, na jakiego zasłużyła moja mama, oraz ojcem, którym wcale nie musiałeś zostawać.

Heath. Mężu, jesteś dobry aż do samego dna swojej duszy. Nie mogłabym wybrać lepszego towarzysza życia ani ojca dla moich dzieci. Wszyscy jesteśmy szczęściarzami, że Cię mamy.

Moja mama. Każdemu pragniesz przychylić nieba. Coś takiego może przytłaczać, ale Ty traktujesz ten ciężar, jakby był darem. Cała nasza rodzina jest Ci wdzięczna.

Na koniec podziękowania dla mojego nieszczęsnego staruszka Eddiego. Nie ma Cię już wśród nas i nie możesz przeczytać tej książki, ale wiem, że byłbyś największym orędownikiem jej powstania. Wiele mnie nauczyłeś – a najważniejszą rzeczą, jaką dzięki Tobie zrozumiałam, jest to, że ludzie są w stanie się zmienić. Obiecuję, że moich wspomnień o Tobie nie będą kształtowały te najgorsze dni, lecz te najlepsze, a było ich wiele. Zapamiętam Cię jako człowieka, który umiał przewyciężyć coś, czego wielu przewyciężyć nie zdołało. Dziękuję, że zostałeś jednym z moich najbliższych przyjaciół. I dziękuję, że w dniu mojego ślubu wspierałeś mnie tak, jak wielu ojców nie potrafiłoby wspierać swoich córek. Kocham Cię. Tęsknię za Tobą.

Tytuł oryginału: *It Ends with Us*

Copyright © 2016 by Colleen Hoover.

First paperback edition published by Atria Books,
a Division of Simon & Schuster, Inc., August 2016

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Opieka redakcyjna: Natalia Karolak

Korekta: Joanna Mika, Aneta Wieczorek

Projekt okładki: Laywan Kwan

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografie na okładce: orchidea – © Sarah2 / Shutterstock.com,

drewno – © iStockphoto.com / janniwet

ISBN 978-83-7515-659-1



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

